Cyr. P. 9786 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/400-2/401 1981

• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

REDAKCJA : **OBSERWATORIUM**

St. KUROWSKI :
CO ZACHÓD MOŻE ZROBIĆ DLA POLSKI?

T. KLEMPSKI : **POMIĘDZY EUFORIĄ A ZGROZĄ**

Zb. BYRSKI :
AMERYKAŃSKIE REFLEKSJE POWYBORCZE

NAGRODY "KULTURY"

SPIS RZECZY

Redakcja:	*Obserwatorium*	3
Stefan Kurowski:	*Co Zachód może zrobić dla Polski?*	6
Czesław Miłosz — Lars Gyllensten:	*Mowy miane w Stockholmie przy wręczaniu nagrody Nobla*	13
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	28
Ewa Berberyusz:	*Pielgrzymka*	45
	KRAJ	
Tymoteusz Klempski:	*Pomiędzy euforią a zgrozą*	59
Maciej Poleski:	*Umowa a zmowa społeczna*	73
Socjusz:	*Spółka Scylla i Charybda*	81
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Zbigniew Byrski:	*Amerykańskie refleksje powyborcze*	88
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	103
Dominik Morawski:	*Korespondencja z Rzymu*	115
	SĄSIEDZI	
Jiři Lederer:	*Historyczne doświadczenia*	123
Barbara Toruńczyk:	*Rozmowa z Bukowskim w Madrycie*	130
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	137
Borys Lewyćkyj:	*Mechanizmy integracji krajów socjalistycznych*	143
Andrzej J. Chilecki:	*Kronika niemiecka*	152
E. Żagiell:	*Kronika litewska*	156
—	*Rosyjscy bojownicy o prawa człowieka do polskich robotników*	157
	KRONIKA KULTURALNA	
—	*Nagrody Kultury*	158
—	*Dorobek wydawniczy*	161
	WOŁANIE NA PUSZCZY	
Kisiel:	*Strachy wschodnie na Zachodzie*	171
	KSIĄŻKI	
Mirosław Chojecki:	*Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a*	175
Maria Danilewicz Zielińska:	*Myśli o „Pograniczu" Janiny Kowalskiej*	181
Włodzimierz Odojewski:	*„Dziennik nie dziennik..."*	186
Krzysztof Zawrat:	*Biblioteka romantyczna*	189
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	192
	◆	
—	*Wydarzenia miesiąca*	194
—	*Konferencja w Madrycie*	201
	◆	
J. Jurkszus-Tomaszewska, A. Korboński:	*Listy do Redakcji*	205
—	*Odpowiedzi Redakcji*	206
	DOKUMENTY	
—	*Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej*	207
—	*O pracy Biura Interwencyjnego KSS „KOR"*	216
—	*Nadzwyczajny Zjazd Delegatów Stow. Dziennikarzy Polskich*	223
—	*Uchwała Komitetu Zakładowego PZPR w PLL „LOT"*	231
Jacek Kuroń:	*Czy grozi nam interwencja?*	232
Stefan Nędzyński:	*List do Lecha Wałęsy*	234
—	*Zadania T.K.N. w obecnej sytuacji Kraju*	235

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1981

INSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Teresa Achmatowicz, Ashburn, Ont. (Kanada) — $ c. 1.000,00	F.3.600,00
Renata i Juliusz Dzianott, Rosario de Santa Fé (Argentyna), po raz 5-ty — $ 110,00	F. 485,00
T. Farbisz, Flyinge (Szwecja), po raz 11-ty	F. 130,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz 18-ty	F. 300,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz 13-ty	F. 100,00
Piotr Kalinowski, Paryż, po raz 10-ty	F. 100,00
Stanisław N. Konarzewski, River Forest, Ill. (USA), po raz 25-ty — $ 8,25	F. 36,30
B. T. Łaszewski, New York, N.Y., po raz 14-ty — $ 47,00	F. 207,00
Kazimierz Mielewczyk, Oshawa, Ont. (Kanada) — $ c. 10,00	F. 36,00
Christopher Norblin, Norsborg (Szwecja)	F. 100,00
Stefan Rose, Paryż, po raz 2-gi	F. 290,00
Janina i Edward Skrutkowscy, Sherbrooke, Que. (Kanada), po raz 2-gi	F. 355,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz 14-ty — $ 48,00	F. 211,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz 21-szy — $ 38,00	F. 168,00
M. Trokenheim, Stockholm	F. 230,00
J. S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 17-ty	F. 75,00
Wacław Winowski, Cincinnati, Ohio (USA), po raz 3-ci — $ 50,00	F. 220,00
Józef Wojciechowski, Partille (Szwecja) — K.S. 90,00	F. 90,00
Dr St. Wowczak, Wedemark — O. T. Brelingen, (RFN) — zamiast kwiatów na groby śp. Prof. Dr Jana Wowczaka, zm. 5. 5. 1935; jego żony Janiny z Petryków Wowczak, zm. 23. 4. 1946; Janiny z Majewskich Wowczak, zm. 17. 9. 1955; Dr Stefana Wowczaka, zm. 25. 4. 1978 i jego żony Kazimiery Wowczak, bestialsko zamorodowanej w Chorzowie 11. 10. 1980 oraz Prof. Zb. Bromowicza, zm. 18. 1. 1980 i Dr Wł. Butelskiego, zm. 17. 1. 1980	F. 500,00
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz 16-ty — $ 148,00	F. 652,00
Norbert Żaba, Stockholm — zamiast życzeń Świątecznych	F. 100,00
Stefania Żelichowska, Stockholm — K.S. 400,00	F. 400,00
Anonimowo z Australii, po raz 10-ty	F. 95,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria) — F.szw. 50,00	F. 125,00
Bezimiennie z Guelph, Ont. (Kanada) — $ 70,00	F. 310,00
Anonimowo z Houston, Texas (USA) — $ 63,80	F. 282,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 18-ty	F. 115,00
Bezimiennie z USA	F.1.620,50

◆

Bezimiennie z Brisbane (Australia) — na pomoc dla opozycji w Polsce — roczna składka po $ A. 10,00 miesięcznie	F. 625,68
Wanda Pilecka, Pau (Francja) — na potrzeby ruchu wolnościowego w kraju	F. 500,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada) — na opozycję w kraju — $ US 50,00	F. 220,00
R. Głowacki, Melbourne (Australia) — dla Jerzego Pawłowskiego, więzionego w Strzelacach Opolskich — $ A. 100,00	F. 500,00
Wpłaty zebrane przez „Konfederację 76" w USA od osób, których nazwiska i wpłacone przez nich sumy były ogłoszone w *Nowym Dzienniku* z dn. 24. 9. 1980 — na pomoc dla Ruchu Oporu w kraju — $ 3.400,00	F.14.960,00

DZIĘKUJEMY!

(Ciąg dalszy Wpłat na str. 238)

1981 N. 1837
BIBLIOTEKA NARODOWA BN P. 9786
Chr.

Obserwatorium

Nasi czytelnicy zwrócą z pewnością szczególną uwagę na kilka zdań w dwóch tekstach, drukowanych w bieżącym numerze *Kultury*. Pisarz katolicki z kraju, używający pseudonimu Tymoteusz Klempski, ostrzega: „Nie wolno działać przeciw inicjatywom społecznym" w imię zasady, że „my (Kościół) znamy się na tym jak się załatwia sprawy z rządem". I dodaje jeszcze dobitniej: „Kościół nie może i nie powinien załatwiać czegokolwiek za społeczeństwo". W swoim stałym felietonie Kisiel pisze, że „nieodpowiedzialne, prymitywne i jątrzące wypowiedzi księdza Orszulika, zwłaszcza gdy czyta się je w oświetleniu prasy zachodniej, to po prostu nieszczęście; nieodpowiedni człowiek na nieodpowiednim stanowisku w takim momencie — istny to pech narodowy".

Nie ma potrzeby zaostrzać epitetów na określenie wypowiedzi księdza Orszulika. Zareagował na nie KSS „KOR" w *Oświadczeniu* z 19 grudnia 1980, z którym się w pełni solidaryzujemy:

„Dnia 13 grudnia 1980 roku prasa zagraniczna, a później również prasą krajowa, przytoczyła obszerne fragmenty wypowiedzi dyrektora Biura Prasowego Episkopatu Polski, księdza Alojzego Orszulika, charakteryzujące m.in. działalność KSS 'KOR' i osobiście Jacka Kuronia. Ponieważ przez tydzień nie ukazało się żadne sprostowanie, czujemy się zmuszeni zabrać publicznie głos w tej sprawie.

„Przez ponad cztery lata wedle naszych możliwości występowaliśmy w obronie krzywdzonych i prześladowanych, demaskowaliśmy bezprawie, walczyliśmy o praworządność, staraliśmy się przełamywać barierę kłamstwa i strachu, których tyle było w polskim życiu publicznym. Nigdy nie wzywaliśmy do działań

pochopnych, nieprzemyślanych, działań które nie uzględniałyby międzynarodowego położenia naszego kraju".

„Z ogromnym ubolewaniem stwierdzamy, że wypowiedź dyrektora Biura Prasowego Episkopatu Polski dezinformuje polską oraz zagraniczną opinię publiczną na temat działań KSS 'KOR' i fałszuje wypowiedź Jacka Kuronia, sprzyja plotkom i wzmaga napięcie społeczne, przeciwko czemu zawsze wypowiadał się Episkopat i cała polska opinia publiczna. W sytuacji gdy trwa kampania oszczerstw przeciwko członkom KSS 'KOR', gdy ewentualności represji policyjnych nikt wykluczyć nie potrafi, wypowiedź księdza Orszulika pozostaje w głębokiej sprzeczności z całą historią Kościoła katolickiego w Polsce w ostatnich trzydziestu pięciu latach, z historią nacechowaną troską o obronę prawdy, godności i wolności osoby ludzkiej".

Zatrzymamy się na jednym tylko twierdzeniu dyrektora Biura Prasowego Episkopatu: jakkolwiek Kościół przeciwny jest więzieniu w Polsce ludzi za przekonania polityczne, może ono być uzasadnione „jeśli rozlegają się wezwania publiczne do obalenia systemu konstytucyjnego, wywołując nerwową reakcję u naszych sąsiadów". Niewiarygodne wprost jest to podżyrowanie ewentualnych represji, odzywa się upiornym echem zeszłowiecznej „branki" przedpowstaniowej. Ksiądz Orszulik przemawia przecież nie w swoim jedynie imieniu. A zatem? Czy zostanie zdezawuowany przez swoich przełożonych? Czy została przez kogokolwiek zdezawuowana wersja Jerzego Ozdowskiego, że z aprobatą Prymasa objął urząd, na który przed ćwierćwieczem tak sobie ostrzył zęby rzecznik „instynktu państwowego", „socjalistyczny katolik", Bolesław Piasecki? Czy zdementowano wiadomość, że Prymas łaskawym okiem patrzy na tworzenie Polskiego Związku Katolicko-Społecznego? Albo podaną przez *Le Monde* wiadomość, że wyznaczył (sic!) Andrzeja Micewskiego na redaktora tygodnika *Solidarność?* Kościół — powtarzamy to przy każdej sposobności — odegrał ogromną rolę w okresie powojennym, stał się najwyższym autorytetem moralnym, uznawanym przez znakomitą większość wolnych Polaków, zarówno wierzących jak niewierzących. Teraz jednak po raz pierwszy, po trzydziestu pięciu latach moralnego i duchowego ochraniania i podtrzymywania społeczeństwa, nabrał zdaje się ochoty do „zastępowania" go we wszystkim, w myśl zasady że najlepiej wie jak „postępować z rządem". I to w chwili, gdy samo społeczeństwo obudziło się najgwałtowniej i najpowszechniej od końca wojny do własnego życia społecznego. Kościół usiłuje to robić w sposób paternalistyczny, trochę w duchu Pétaina, sędziwego bohatera narodowego, pewnego że jedyny posiadł sekret „załatwiania spraw" z wrogiem

w dobrze (przez siebie wyłącznie) rozumianym interesie narodu francuskiego. Tendencja do „zastąpienia społeczeństwa" dochodzi do głosu w chwili, gdy w Polsce realizmowi politycznemu musi towarzyszyć uparta wola walki, a krok w krok z trzeźwością musi iść odwaga.

Jedno jeszcze wskazanie z artykułu Tymoteusza Klempskiego warte jest podkreślenia grubą kreską: „Nie można i nie trzeba stawiać równania polskość - katolicyzm. Ten ostatni powinien sam sobie postawić program limitowany, nie czekając — jak PZPR — aż ograniczenie wyjdzie od społeczeństwa". W świetle najświeższych wypadków wskazanie to oznacza, że polityka Prymasa i jego otoczenia naraża na szwank autorytet Kościoła, grozi wywołaniem głębokich rozdźwięków i w społeczeństwie i w samym Kościele. Jeśli pojawią się rysy na wspaniałej jedności społeczeństwa o której pisaliśmy w poprzednim *Obserwatorium,* czyli na prawdziwym fundamencie Polskiego Sierpnia, ujrzymy znowu w naszym kraju straszliwy narodowy cień Zmarnowanej Okazji.

REDAKCJA

Co Zachód może zrobić dla Polski?

Wyłączając z odpowiedzi na to pytanie rzeczy wprawdzie pożądane, ale przy obecnym stanie świadomości historycznej na Zachodzie niemożliwe i nie mające szans na realizację, przejdźmy do tych reakcji Zachodu na sprawę polską, które znajdują się całkowicie w zasięgu jego możliwości. Spróbujmy przy tym zaproponować tego typu działania, w których interesy Zachodu byłyby zbieżne z interesami Polski. Na to, że Zachód zechce nam pomóc możemy liczyć tylko wtedy, jeśli będzie on uważał, że pomaga sam sobie. Czy istnieją takie sposoby działania, zarazem możliwe i pożyteczne?

Oczywiście, że istnieją, a warunek, iż mają się mieścić w ramach możliwości i interesów Zachodu wskazuje od razu, gdzie ich szukać. Zachód, przy wszystkich swoich słabościach, przy obecnym kryzysie gospodarczym i przy wysokim poziomie bezrobocia, jest w zestawieniu z całym obozem sowieckim potęgą ekonomiczną i płaszczyzna gospodarcza jest tym terenem działania, na którym trzeba szukać odpowiedzi na pytanie, co Zachód może zrobić dla Polski.

Wybór działań w tej dziedzinie jest ogromny; wystarczy chwila zastanowienia, by ułożyć listę propozycji, które łącznie złożą się na kompleksowy i konkretny program pomocy dla naszego kraju.

A więc po pierwsze Zachód może (i powinien) przestać udzielać rządowi PRL pożyczek na dotychczasowych warunkach. Nie chodzi mi o warunki finansowe, poziom oprocentowania, terminy płatności, okres karencji. Chodzi o coś ważniejszego: nie mogą to być pożyczki służące utrzymaniu dotychczasowego systemu gospodarczego. Jak wykazało ostatnie dziesięciolecie, wpompowanie 22 miliardów dolarów w gospodarkę PRL nie tylko nie dało narodowi pożytku ale przeciwnie, pogłębiło wypaczenia strukturalne gospodarki, utrwaliło jej marnotrawne i antyekonomiczne funkcjonowanie i pozwoliło na przedłużenie działania całego systemu bez reform, a nawet na dokonywanie posunięć o charakterze antyreform w postaci zwiększającej się centralizacji gospodarczej i polityki popierania „socjalistycznych przeobrażeń polskiego rolnictwa". Owe 22 miliardy dolarów były więc premią dla rządzącej w PRL partii komunistycznej i dla systemu, który za amerykańskie pieniądze mógł w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych budować pozory fałszywego dobrobytu i lansować tezę, że socjalizm jest tak wydajnym ustrojem, że stać go na jednoczesne podnoszenie stopy życiowej ludności, dokonywanie olbrzymich inwestycji w przemyśle ciężkim i kontynuowanie socjalizacji rolnictwa.

Ale godzina prawdy wybiła i dziś wiadomo, że za tę premię dla socjalizmu wyrósł nam garb długów, który będziemy musieli spłacać przez całe pokolenie. Ale czy spłacimy? Jest to wątpliwe. Nasi pożyczkodawcy — jak to się elegancko nazywa państwowych i prywatnych bankierów Zachodu — powinni sobie zdawać sprawę, że kierunek w jakim toczą się wypadki wskazuje, iż pieniądze te mogą być utopione bezpowrotnie i nie do odzyskania. Po prostu naród może ich nie spłacić, bo najpierw nie będzie mógł, a potem może nie będzie chciał.

A zatem pierwsza rzecz, którą Zachód może i powinien zrobić dla Polski, ale także w swoim własnym interesie, to wstrzymać wszelkie dalsze pożyczki udzielane na podtrzymanie systemu. Postawienie sprawy w ten sposób jest tym bardziej konieczne, iż ludzie rządzący PRL również i obecnie, po ujawnieniu się rzeczywistej, katastrofalnej sytuacji gospodarczej kraju, nie znajdują na to innej odpowiedzi jak tylko kontynuowanie polityki ekipy Gierka-Jaroszewicza, czyli pożyczanie gdzie tylko się da, aby przetrwać choćby do jutra, nic możliwie nie zmieniając w systemie. Toczą się więc nowe pertraktacje o nowe pożyczki w miliardach dolarów, marek, franków. Jest to polityka samobójcza dla obu stron.

Ale nie udzielać nowych pożyczek to za mało na program pomocy. Stare pożyczki ciążą na nas spiętrzającą się górą płatności rat i procentów. Statystyki polskie nie ujawniają danych o bilansie płatniczym, ale z nieoficjalnych źródeł wiadomo, że tak zwane sztywne płatności jakich PRL musi dokonywać (właśnie spłaty owych rat i procentów) przekraczają wpływy dewizowe z tzw. drugiego obszaru płatniczego, czyli w twardej walucie. Jest to więc sytuacja absolutnie tragiczna, gdyż właśnie z tego obszaru płatniczego trzeba zakupywać bieżący import: surowce, półfabrykaty, części zamienne, maszyny na wymianę, nie mówiąc już o niewielkim choćby imporcie towarów konsumpcyjnych. Wskutek gierkowskiej polityki inwestycji licencyjnych gospodarka polska zrobiła się bardziej importochłonna i po to aby aparat produkcyjny, zbudowany za pożyczone miliardy, miał z czego i czym produkować, trzeba więcej importować. Za co więc kupić import biegowy? Oczywiście za nowe pożyczki, i to

właśnie usiłują czynić ludzie z nowej, choć wcale nienowej ekipy rządzącej. Ale tym samym wracamy do punktu wyjścia, czyli do tego, że musimy jednak brać nowe pożyczki.

Jest na to rada: zawiesić owe sztywne płatności! W interesie gospodarki polskiej leży dokonanie następującego manewru: PRL zwraca się do swoich wierzycieli o udzielenie 10-letniego moratorium na spłatę rat i procentów oraz na naliczanie w tym czasie nowych procentów. Dzięki takiemu moratorium Polska będzie mogła przeznaczyć cały uzysk dewizowy z bieżącego eksportu na opłacanie bieżącego importu. Będzie to kwota większa niż możliwe do uzyskania pożyczki, a więc pozwoli na zwiększenie importu biegowego, dzięki czemu aparat produkcyjny będzie pełniej wykorzystany, co pozwoli na zwiększenie produkcji, która zasili rynek wewnętrzny i eksport; to pozwoli z kolei na zwiększony import, a ten da znowu zwiększoną produkcję itd. — maszyna gospodarcza zacznie się kręcić na zwiększonych obrotach.

Zwrócenie się o moratorium wymaga jednak od PRL przyznania, że PRL nie może dłużej udawać dobrego i terminowego płatnika. Polityka dobrego i akuratnego płatnika nakłada się dodatkowym i coraz większym ciężarem na społeczeństwo, gdyż realizuje się poprzez forsowanie rabunkowego eksportu i ogołacanie rynku wewnętrznego. Wyliczenia, iż eksport nasz musi wzrastać rocznie o 12 % do 16 %, podczas gdy cała produkcja może rosnąć najwyżej o 3 % rocznie i fakt, iż wpływy z tego eksportu trzeba by przekazywać na spłatę długów pokazuje arytmetycznie, iż zadanie jest niewykonalne, gdyż oznaczałoby stałe obniżanie tzw. dochodu do podziału, czyli funduszu konsumpcji i inwestycji. Obniżenie pokrycia towarowego na rynku krajowym, a zatem i stopy życiowej, byłoby takiego rzędu, iż społeczeństwo nie pogodziłoby się z tak brutalnym załamaniem osiągniętego już poziomu życia. Wyraziłoby się to w załamaniu i tak już wątłej stabilizacji społecznej — a zatem i politycznej — w Polsce.

W dniach sierpniowego napięcia w całej prasie zachodniej w relacjach o Polsce występował wspólny ton: troska, obawa, a nawet strach przed tym, by się w Polsce nie stało coś, co załamie ogólną stabilizację w kraju, a następnie w Europie i na całym świecie. Z tego prosty wniosek, iż nasza stabilizacja ma wartość europejską, a nawet ogólnoświatową. Koszty jakie trzeba ponieść dla jej podtrzymania są niczym w porównaniu z tymi, jakie świat musiałby ponieść, gdyby stabilizacja w Polsce się załamała. Przez długi czas uważaliśmy nasze położenie geopolityczne — i słusznie — za obciążenie historyczne, za *handicap*. Teraz jest okazja, żeby odwrócić ten układ wartości i z wady zrobić cnotę. Dzięki naszemu położeniu geopolitycznemu stajemy się cenni i światu warto będzie za to zapłacić. Dlatego też, jeżeli moratorium na spłatę długów stanowi — a stanowi — warunek stabilizacji społeczno-politycznej w Polsce, w interesie Zachodu leży stworzenie konsorcjum, które skonsoliduje nasze długi i udzieli nam takiego ogólnego moratorium.

Na tym jednak nie koniec. Byłoby dziwne, gdyby moratorium udzielono bez postawienia jakichś warunków. Wierzyciel może odroczyć termin płatności, ale pod warunkiem, że dłużnik uzdrowi swoją sytuację gospodarczą w takim stopniu, że w przyszłości będzie mógł długi spłacić. Brak takiego warunku sprawiłby, iż moratorium nie różniłoby się niczym od umorzenia długów, a tego nie możemy oczekiwać. Byłoby to zresztą obecnie niezgodne z naszym interesem politycznym.

Jaki warunek może postawić Zachód, decydując się na udzielenie nam moratorium? Oczywiście warunek uzdrowienia gospodarki, zwiększenia jej efektywności, co zapewni spłatę tych długów w przyszłości. Na czym konkretnie ma to polegać? Otóż wszyscy są zgodni co do tego, iż uzdrowienie gospodarki polskiej, zwiększenie jej efektywności może być dokonane tylko na drodze kompleksowej i daleko idącej reformy gospodarczej*.

A zatem sformułowanie wobec władz PRL żądania przeprowadzenia szybkiej, kompleksowej i głębokiej reformy gospodarczej jest trzecią rzeczą, którą Zachód może zrobić dla Polski. Sformułowanie takiego warunku to jednak dopiero początek sprawy. Trzeba określić konkretnie na czym ta reforma ma polegać. Od strony koncepcyjnej dobrze wiadomo o co chodzi i od lat model taki w różnych wersjach jest opracowywany. Reforma gospodarcza w Polsce musi dokonać się w dwóch płaszczyznach: w płaszczyźnie funkcjonowania systemu gospodarczego i w płaszczyźnie struktury gospodarki.

W płaszczyźnie funkcjonowania systemu reforma musi polegać na ograniczeniu roli planu centralnego przez sprowadzenie go do funkcji ogólnego koordynatora programów długookresowych, na usamodzielnieniu przedsiębiorstw, zastosowaniu zasad gospodarki pieniężno-rynkowej (z rynkiem kapitałów włącznie) i na dopuszczeniu do produkcji na skalę drobną i średnią podmiotów prywatnych, przy czym w rolnictwie sektor prywatny powinien być i w dalszej perspektywie główną formą własności.

W płaszczyźnie struktury gospodarczej należy dokonać szerokiej konwersji aparatu produkcyjnego z produkcji środków produkcji do produkcji środków produkcji na produkcję przedmiotów spożycia lub maszyn do produkcji przedmiotów spożycia. Konwersję taką ekonomiści nazywają przekuciem aparatu produkcyjnego. Może to być konwersja techniczna, a może też być konwersja ekonomiczna, która nie jest uwarunkowana technicznym przekuciem aparatu: na tych samych maszynach można produkować prawie to samo z innym przeznaczeniem. Konwersję ekonomiczną można rozszerzyć przy pomocy handlu zagranicznego.

Powyższa konkretyzacja kierunku reformy gospodarczej wiąże

* Ostatnio postulat ten stawia Zbigniew Fallenbuchl w doskonale udokumentowanym artykule „Pożyczki zachodnie dla Polski", *Kultura* 12/1980.

się ściśle z naszym tematem. Chodzi bowiem o to (z czego wielu ludzi postulujących reformę nie zdaje sobie sprawy), że reforma taka musi kosztować. Są trzy obszary w reformie, na których trzeba ponieść pewne koszty. Pierwszym takim obszarem są ceny. Ograniczenie roli planu centralnego i usamodzielnienie przedsiębiorstw wymaga zmiany systemu cen, zmiany kompleksowej, jednorazowej i głębokiej, i to zarówno cen czynników produkcji czyli tzw. cen zaopatrzeniowych jak i cen detalicznych. Ceny pewnych towarów — w tym wielu surowców i żywności — muszą zostać podwyższone, ceny innych powinny zostać obniżone. Zmiany cen, a zwłaszcza podwyższenie cen żywności odbije się na kosztach utrzymania, co musi być skompensowane przez podniesienie płac nominalnych. Kompensata taka może być dokonana przez przeniesienie obecnych dotacji budżetowych do funduszu płac. Doświadczenie jednak pokazuje, że taka kompensata — jeśli nawet arytmetycznie jest pełna — psychologicznie będzie niepełna i ludność będzie uważała, że doznała uszczerbku w swoich dochodach realnych. W obecnej sytuacji politycznej w Polsce żadna operacja cenowa nie jest do przeprowadzenia, jeżeli nie zostanie zaakceptowana przez ludność, a konkretnie przez nowe związki zawodowe. A zatem taka operacja musi być powiązana z dodatkową kompensatą dochodów ludności, które zostaną skierowane na zakup towarów. Konkludując: operacja cenowa niezbędna do tego, by usamodzielnione przedsiębiorstwa mogły działać według rachunku gospodarczego i zgodnie z interesem gospodarki wymaga dodatkowego pokrycia towarowego.

Drugim obszarem dodatkowych kosztów jest to, co wyniknie z konwersji struktury gospodarczej. Konwersja musi spowodować, że pewne przedsiębiorstwa, zakłady, niektóre rodzaje produkcji okażą się niepotrzebne, produkcję trzeba będzie ograniczyć, zatrudnienie zmniejszyć, czasem w ogóle zamknąć zakład. Ludzie zostaną pozbawieni pracy, pojawi się bezrobocie. Będzie to wprawdzie tylko tzw. bezrobocie fikcyjne, gdyż równocześnie gdzie indziej rozbudują się inne zakłady, rozwiną się inne działy gospodarcze, które wchłoną (teoretycznie) ludzi zwolnionych z zamykanych zakładów. Praktycznie proces ten jednak musi trwać, a mogą się w nim pojawić przeszkody: bariera mieszkaniowa, bariera kwalifikacyjna. Dlatego też z pewnym bezrobociem należy się liczyć. Ponieważ zaś państwo nie może pozbyć się swej funkcji opiekuńczej, musi stworzyć fundusz na finansowanie bezrobocia, czy to w postaci zasiłków, czy to w postaci tzw. robót publicznych. Fundusz taki wymaga znów dodatkowego pokrycia towarowego.

Konwersja gospodarki wymaga również pewnych inwestycji: rozszerzenia niektórych wąskich gardeł, modernizacji, tworzenia nowych warsztatów w przemyśle drobnym i średnim i w usługach, zwiększenia inwestycji w rolnictwie indywidualnym. Pewna część tych inwestycji, zwłaszcza w przemyśle i usługach, przyjmie postać importu zagranicznych maszyn i urządzeń. Import taki musi być dodatkowo sfinansowany.

Nie należy oczekiwać że gospodarka polska w swoim obecnym stanie zdoła ponieść wszystkie te dodatkowe koszty, jakich wymaga reforma gospodarcza. A zatem kto to może sfinansować? Oczywiście — Zachód, jeśli nie w całości, to przynajmniej w dużej części. Sfinansowanie to może przybrać różne formy, np. sprzedaż po niskich cenach nadwyżek żywnościowych Wspólnego Rynku, które od lat już płyną w formie subsydiowanych dostaw do Związku Sowieckiego. Skierowane do nas byłyby bardziej pożyteczne, gdyż stanowiłyby pokrycie części kosztów reformy. I to jest czwarta rzecz, którą Zachód może zrobić dla Polski: sfinansować, przynajmniej w dużej części, koszty koniecznej i postulowanej przez siebie reformy gospodarki polskiej.

Ale co to znaczy, sfinansować koszty reformy? Przecież znaczy to znów pożyczyć pieniądze, a więc wracamy do punktu wyjścia. Niezupełnie. Trzeba pożyczyć, ale inaczej. Trzeba pożyczyć pod konkretny program reformy. A ponieważ reforma wymaga odpowiedniego klimatu społecznego, program ten nie powinien się ograniczać do spraw czysto gospodarczych, lecz winien objąć również ten zespół problemów, który określamy jako prawa człowieka. Ponieważ reforma zakłada rozwój inicjatywy gospodarczej społeczeństwa, warunkiem jej powodzenia musi być wysoki poziom praworządności i demokratyczny sposób wyrażania woli społeczeństwa.

Pożyczyć pod konkretny program reformy to znaczy zaangażować się w administrację tej pożyczki. A zatem trzeba stworzyć z odpowiednim kapitałem zachodnim Bank Reformy i Konwersji z siedzibą w Warszawie, który będzie dysponował kompetentnym aparatem analitycznym i kontrolnym i będzie zarządzał finansowaniem wielopłaszczyznowego procesu reformy. Bank taki powinien działać od trzech do pięciu lat, to znaczy do czasu, póki reforma nie zacznie dawać wyników i gospodarka polska nie stanie na własnych nogach.

Całość składa się na kompleksowy program pomocy rozumnej i skutecznej. Nie jest to program łatwy. Przede wszystkim spotka się z zarzutem „ingerowania w wewnętrzne sprawy Polski". Tak jest, jest to forma ingerowania. Ale dziesięcioletnie doświadczenie udzielania pożyczek bez owego ingerowania, czyli finansowanie doktrynerskiego programu lekkomyślnego rządu PRL nie tylko nie przyniosło krajowi pożytku, ale doprowadziło do chaosu i ogromnych dysproporcji w strukturze gospodarki i do degeneracji systemu. Trzeba sobie zdać sprawę, że ten, kto udziela pożyczek bierze na siebie część odpowiedzialności za to, jak i na co te pożyczki zostaną wykorzystane. Dlatego też Zachód nie może ukryć się za wygodną formułą: dać pieniądze i nie wtrącać się. Świat jest dziś mały i skutki takiej polityki wracają szybko do jej autorów, w postaci bardzo nieprzyjemnej.

Po drugie program ten może się nie udać. Np. słabym punktem w proponowanej reformie może się okazać państwowe przedsiębiorstwo. Czy przy obecnej kadrze kierowniczej, nawet uwolnione od ograniczeń planu centralnego, zdoła ono spełnić rolę

lokomotywy polskiej gospodarki? Plan może się nie udać również dlatego, iż pewne siły będą mu przeszkadzać, aby skompromitować samą ideę reformy, ideę pomocy Zachodu itd. A więc jest z tym związane pewne ryzyko. Ale alternatywa w postaci kontynuowania dotychczasowej strategii jest tak zniechęcająca, że ryzyko staje się opłacalne. Mogą również wystąpić przeszkody ze strony oficjalnej w PRL. Ale właśnie dlatego trzeba zacząć od punktu pierwszego, którego konsekwentna realizacja otworzy drogę do przeprowadzenia całego programu.

Jak już powiedzieliśmy, plan musi kosztować. Moratorium i sfinansowanie reformy oznaczają obciążenie gospodarcze dla Zachodu. Ale po pierwsze reforma gospodarcza w Polsce jest z punktu widzenia rachunku ekonomicznego najbardziej opłacalną inwestycją jaką można sfinansować, bardziej opłacalną niż cały nasz węgiel, miedź, siarka, porty, przemysł maszynowy czy drogi (gdyż reforma zawiera to wszystko). Skanalizowanie we właściwych kierunkach energii i pracy 36-milionowego narodu mieszkającego w środku Europy to dobry interes dla całego świata. A udany precedens już był w postaci planu Marshalla dla Europy zachodniej. A poza tym, wobec możliwych kosztów alternatywy, jaką jest pozostawienie spraw swojemu biegowi, to wszystko będzie bardzo mało kosztować...

Bo co my możemy uczynić dla Zachodu? Możemy zagwarantować — zreformowani i ustabilizowani — że jeżeli już się coś zacznie, to nie zacznie się to od naszego kraju. Nie jest to błaha gwarancja, zważywszy wydarzenia sprzed 41 lat.

Stefan KUROWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 320 — SERIA „DOKUMENTY"

JAK Z TEGO WYJŚĆ?

Druga część „Raportu o stanie Rzeczypospolitej i drogach do jej naprawy" opracowanego przez Komitet Redakcyjny Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość".

Str. 80. **Cena F. 25,00**

Mowy miane w Stockholmie przy wręczaniu nagrody Nobla

© THE NOBEL FOUNDATION 1980
General permission is granted for the publication in newspapers in any language after December, 8-th, 1980, 5.30 p.m. Swedish time.
Publication in periodicals or books otherwise than in summary requires the consent of the Foundation.
On all publication in full or in major parts the above underlined copyright notice must be applied.

PRZEMÓWIENIE CZESŁAWA MIŁOSZA W AKADEMII

I.

Moje znalezienie się na tej trybunie powinno być argumentem dla tych wszystkich, którzy sławią daną nam od Boga, cudownie złożoną, nieobliczalność życia. W moich latach szkolnych czytałem tomy wydawanej wówczas w Polsce serii „Biblioteka Laureatów Nobla", pamiętam kształt liter i kolor papieru. Myślałem wtedy, że laureaci Nobla to pisarze czyli ludzie produkujący grube dzieła prozą i nawet kiedy już wiedziałem, że są wśród nich i poeci, długo nie mogłem się pozbyć tego myślowego nawyku. A drukując w roku 1930 pierwsze wiersze w naszym piśmie uniwersyteckim pod tytułem *Alma Mater Vilnensis* nie aspirowałem przecie do tytułu pisarza. Tak samo dużo później, wybierając samotność i oddając się dziwacznemu zajęciu jakim jest pisanie wierszy po polsku, choć mieszka się we Francji czy w Ameryce, podtrzymywałem pewien idealny obraz poety, który jeżeli chce być sławny, to tylko w swojej wiosce czy w swoim mieście.

Jeden z laureatów nagrody Nobla czytany w dzieciństwie, w znacznym stopniu, myślę, wpłynął na moje pojęcia o poezji i rad jestem, że mogę tutaj o tym powiedzieć. Była to Selma Lagerlöf.

BIBLIOTEKA NARODOWA BN

Jej *Cudowna podróż,* książka, którą uwielbiałem, umieszcza bohatera w podwójnej roli. Jest on tym, który leci nad ziemią i ogarnia ją *z góry,* a zarazem widzi ją w każdym szczególe, co może być metaforą powołania poety. Podobną metaforę znalazłem później w łacińskiej odzie poety XVII wieku, Macieja Sarbiewskiego, który znany był w Europie pod pseudonimem Casimire. Na moim uniwersytecie wykładał poetykę. W tej odzie opisuje swoją podróż z Wilna do Brukseli, gdzie ma przyjaciół-poetów — na grzbiecie Pegaza. Tak jak Nils Holgersson, ogląda *w dole* rzeki, jeziora, lasy, czyli mapę zarówno odległą i ukonkretnioną.

Tak więc dwa atrybuty poety: chciwość oczu i chęć opisu. Ktokolwiek jednak pojmuje poezję jako „widzieć i opisywać", musi być świadomy, że wkracza w poważny spór z nowoczesnością zafascynowaną niezliczonymi teoriami specyficznego poetyckiego języka.

Każdy poeta zależy od pokoleń, które pisały w jego rodzinnym języku, dziedziczy style i formy wypracowane przez tych, co żyli przed nim. Równocześnie jednak czuje, że te dawne sposoby wypowiedzi nie są dostosowane do jego własnego doświadczenia. Adaptując się, słyszy w sobie głos, który go ostrzega przed maską i przebraniem. Buntując się, popada z kolei w zależność od swoich rówieśników, od przeróżnych kierunków awangardy. Niestety, wystarczy, że wyda pierwszy tom wierszy, a jest już schwytany. Gdyż ledwo obeschnie farba drukarska, to dzieło, które wydawało mu się czymś najbardziej własnym, ukazuje mu się jako uwikłanie w styl, jako zależność. Jedynym sposobem na niejasny wyrzut sumienia jest szukać dalej i wydać nową książkę, po czym wszystko się powtarza i nie ma końca tej pogoni. A może się nawet zdarzyć, że zostawiając tak za sobą książki niby zeschłą skórę węża, po to żeby uciekać wprzód od tego co zrobiło się dawniej, dostaje się Nagrodę Nobla.

Czym jest ten zagadkowy impuls, który nie pozwala zadomowić się w tym co dokonane, skończone? Myślę, że jest to poszukiwanie rzeczywistości. Słowu temu nadaję znaczenie naiwne i dostojne, nie mające nic wspólnego z filozoficznymi sporami ostatnich stuleci. Jest to Ziemia widziana przez Nilsa z grzbietu gąsiora i przez autora łacińskiej ody z grzbietu Pegaza. Niewątpliwie ta Ziemia *jest* i bogactw jej żaden opis nie potrafi wyczerpać. Podtrzymywać takie twierdzenie znaczy odrzucić z góry słyszane dzisiaj często pytanie: „Cóż jest rzeczywistość?", bo jest ono tym samym co pytanie Poncjusza Piłata „Cóż jest prawda?". Jeżeli pośród par przeciwieństw którymi się co dzień posługujemy tak ważne jest przeciwieństwo życia i śmierci, to nie mniej ważne jest przeciwieństwo prawdy i fałszu, rzeczywistości i iluzji.

II.

Simone Weil, której pismom wiele zawdzięczam, powiada: „Dystans jest duszą piękna". Bywa jednak, że jego uzyskanie jest niemal niemożliwością. Jestem „Dzieckiem Europy", jak wskazuje tytuł jednego z moich wierszy, ale jest to gorzkie, sarkastyczne stwierdzenie. Jestem też autorem książki autobiograficznej, która w przekładzie francuskim została nazwana *Une autre Europe.* Niewątpliwie, istnieją dwie Europy i zdarzyło się tak, że nam, mieszkańcom tej drugiej, dane było zstąpić w „jądro ciemności" XX-go wieku. I nie umiałbym mówić o poezji w ogóle, muszę mówić o poezji w jej spotkaniu ze szczególnymi okolicznościami miejsca i czasu. Teraz, z perspektywy, widać ogólne zarysy wydarzeń, które śmiercionośnym zasięgiem przewyższyły wszelkie znane nam żywiołowe katastrofy, ale poezja moja i moich rówieśników, czy posługująca się stylem awangardowym, czy odziedziczonym, nie była do przyjęcia tych wydarzeń przygotowana. Niby ślepcy, poruszaliśmy się po omacku, narażeni na wszelkie pokusy na jakie w tym naszym stuleciu wystawia sam siebie umysł. Nie jest łatwo odróżnić rzeczywistość od iluzji kiedy żyje się w okresie wielkiego przewrotu, który zaczął się paręset lat temu na małym zachodnim półwyspie euroazjatyckiego lądu, po to żeby za jednego ludzkiego życia objąć całą planetę jednym kultem — nauki i techniki. A szczególnie trudno było opierać się rozlicznym pokusom na tych obszarach Europy, gdzie zwyrodniałe idee panowania nad ludźmi niby nad Naturą doprowadziły do paroksyzmów rewolucji i wojny, kosztujących niezliczone miliony ludzkich istnień, zabijanych fizycznie czy duchowo. Być może jednak nie refleksja nad tymi ideami jest najcenniejszą naszą zdobyczą, nas, to jest tych, którzy zetknęli się z nimi w ich aż nadto dotykalnym kształcie, ale szacunek i wdzięczność dla tego wszystkiego co chroni ludzi od wewnętrznej dezintegracji i uległości wobec przemocy. To właśnie było przedmiotem furii złowrogich sił: pewne obyczaje, pewne instytucje, w pierwszym rzędzie wszelkie związki między ludźmi istniejące organicznie, niejako same z siebie, podtrzymywane przez rodzinę, religię, sąsiedztwo, wspólne dziedzictwo, jednym słowem cała ludzkość nieporządna, nielogiczna, tak często określana jako śmieszna w swoich prowincjonalnych przywiązaniach i lojalnościach. W wielu krajach tradycyjne więzi *civitas* ulegają dzisiaj stopniowo erozji i ich mieszkańcy zostają wydziedziczeni, nie zdając sobie z tego sprawy. Co innego jednak tam, gdzie nagle, w sytuacji zagrożenia, ukazuje się tych więzów chroniąca, życiodajna wartość. Tak było na ziemiach, z których po-

chodzę. Sądzę, że tutaj jest właściwe miejsce aby wspomnieć o darach otrzymanych przeze mnie i moich przyjaciół w naszej części Europy, wymówić słowa błogosławieństw.

Dobrze jest urodzić się w małym kraju, gdzie przyroda jest ludzka, na miarę człowieka, gdzie w ciągu stuleci współżyły ze sobą różne języki i różne religie. Mam na myśli Litwę, ziemię mitów i poezji. I chociaż moja rodzina już od XVI-go wieku posługiwała się językiem polskim, tak jak wiele rodzin w Finlandii szwedzkim, a w Irlandii angielskim, wskutek czego jestem polskim, nie litewskim, poetą, krajobrazy i być może duchy Litwy nigdy mnie nie opuściły. Dobrze jest słyszeć od dziecka słowa łacińskiej liturgii, tłumaczyć w szkole Owidiusza, uczyć się katolickiej dogmatyki i apologetyki. Jest błogosławieństwem jeżeli ktoś otrzymał od losu takie miasto studiów szkolnych i uniwersyteckich jakim było Wilno, miasto dziwaczne, barokowej i włoskiej architektury przeniesionej w północne lasy i historii utrwalonej w każdym kamieniu, miasto czterdziestu katolickich kościołów, ale i licznych synagog; w owych czasach Żydzi nazywali je Jerozolimą północy. Dopiero też wykładając w Ameryce zrozumiałem jak wiele przeniknęło we mnie z grubych murów naszego starego uniwersytetu, z zapamiętanych formuł prawa rzymskiego, z historii i literatury dawnej Polski, które dziwią młodych Amerykanów swoimi szczególnymi cechami: pobłażliwą anarchią, rozbrajającym zaciekłe spory humorem, zmysłem organicznej wspólnoty, nieufnością wobec wszelkiej władzy scentralizowanej.

Poeta, który wyrósł w takim świecie powinien być poszukiwaczem rzeczywistości przez kontemplację. Drogi powinien mu być pewien ład patriarchalny, dźwięk dzwonów, oddzielenie się od nacisków i uporczywych żądań naszych bliźnich, cisza klasztornej celi, jeżeli księgi na stole, to traktujące o tej niepojętej właściwości rzeczy stworzonych, jaką jest ich *esse*. I nagle wszystko to zostaje zaprzeczone przez demoniczne działania Historii, mającej wszelkie cechy krwiożerczego bóstwa. Ziemia, na którą poeta patrzył w swoim locie wzywa krzykiem zaiste z otchłani i nie pozwala się oglądać *z wysoka*. Powstaje niepokonalna sprzeczność, realna, nie dająca spokoju w dzień i w nocy, jakkolwiek ją nazwiemy, sprzecznością pomiędzy bytem i działaniem czy sprzecznością pomiędzy sztuką i solidarnością z ludźmi. Rzeczywistość domaga się żeby ją zamknąć w słowach ale jest nie do zniesienia i jeżeli dotykamy jej, jeżeli jest tuż, nie wydobywa się z ust poety nawet skarga Hioba, wszelka sztuka okazuje się niczym w porównaniu z czynem. Natomiast ogarnąć rzeczywistość tak, żeby zachować ją w całym jej odwiecznym powikłaniu zła i dobra, rozpaczy i nadziei, można tylko dzięki dystansowi,

tylko wznosząc się *nad nią* — ale to z kolei wydaje się moralną zdradą.

Taka była sprzeczność sięgająca w samo sedno konfliktów XX-go wieku, odkryta przez poetów na ziemi skażonej zbrodnią ludobójstwa. Co myśli autor pewnej liczby wierszy, które pozostają jako pamiątka tamtego czasu, jako świadectwo? Myśli, że zrodziły się z bolesnej sprzeczności i że byłoby lepiej, gdyby umiał ją rozwiązać, a one nie zostały napisane.

III.

Patronem wszystkich poetów wygnanych, odwiedzających rodzinne okolice tylko we wspomnieniu, pozostaje Dante, ale jakże wzrosła ilość Florencji od tamtego czasu! Wygnanie poety jest dziś prostą funkcją względnie niedawnego odkrycia: że kto posiada władzę, może też kontrolować język, i to nie tylko przez zakazy cenzury ale przez zmienianie sensu słów. Osobliwym zjawiskiem jest język społeczności nie-wolnej, nabywającej pewnych stałych przyzwyczajeń: całe strefy rzeczywistości przestają istnieć po prostu dlatego, że nie mają nazwy. Jak się zdaje, istnieje ukryta więź pomiędzy teoriami literatury jako *écriture,* mowy żywiącej się samą sobą, i wzrostem totalitarnego państwa. W każdym razie nie ma powodu, żeby państwo nie tolerowało działalności polegającej na tworzeniu wierszy i prozy pojmowanych jako autonomiczne systemy odniesień, zamknięte w swoich granicach. Tylko jeżeli przyjmiemy, że poeta stale dąży do wyzwalania się od stylów zapożyczonych bo szuka rzeczywistości, jest niebezpieczny. W sali, gdy wszyscy zgromadzeni zgodnie podtrzymują zmowę przemilczeń, jedno słowo prawdy brzmi jak strzał z pistoletu i, co gorsza, pokusa żeby je wypowiedzieć, podobna do gwałtownego świerzbienia, staje się obsesją, która nie pozwala myśleć o niczym innym. Taki jest powód dla którego poeci wybierają wygnanie. Nie jest jednak pewne czy chodzi tu głównie o przejęcie się aktualnością czy o pragnienie żeby się od niej wyzwolić i w innych krajach, na innych brzegach, móc choćby chwilami odzyskać swoje prawdziwe powołanie, którym jest kontemplacja Bytu.

Ta nadzieja jest jednak dość złudna, bo przybysz z naszej „innej Europy" wszędzie, gdziekolwiek się znajdzie, spostrzega, że od nowego środowiska dzieli go jego zasób doświadczeń, co z kolei może się stać źródłem obsesji. Na planecie, która maleje z każdym rokiem, przy fantastycznym rozwoju środków przekazu, odbywa się proces dotychczas wymykający się określeniom, a który można nazwać odmową pamięci. Z pewnością analfabeci ubie-

głych wieków — czyli ogromna większość ludzkości — niewiele wiedzieli o historii swoich krajów czy swojej cywilizacji. Natomiast w umysłach nowoczesnych analfabetów, umiejących czytać i pisać, nawet uczących młodzież w szkołach i na uniwersytetach, historia jest obecna, ale w dziwnym pomieszaniu i zamgleniu. Molière staje się współczesnym Napoleona, Voltaire Lenina. Również wydarzenia ostatnich dekad o znaczeniu tak zasadniczym, że wiedza albo niewiedza o nich przesądzi o losach naszego gatunku, oddalają się, bledną, tracą wszelką konsystencję, jakby dosłownie spełniała się przepowiednia Nietzschego o nihilizmie europejskim. „Oko nihilisty — pisał Nietzsche w 1887 roku — jest niewierne wobec wspomnień: pozwala im obnażyć się, stracić liście... A czego nihilista nie umie zrobić dla siebie, nie umie też zrobić dla całej przeszłości ludzkiego gatunku: pozwala jej przepaść". Pełno też już zmyśleń o przeszłości sprzecznych z najprostszym zdrowym rozsądkiem i elementarnym poczuciem zła i dobra. Jak doniósł niedawno *The Los Angeles Times,* ukazało się w różnych krajach około stu książek dowodzących, że *the Holocaust* nigdy nie było, że wynalazła to żydowska propaganda. Jeżeli taki obłęd jest możliwy, czyż zupełnie nieprawdopodobna jest powszechna utrata pamięci jako stan permanentny i czy nie byłoby to groźbą większą niż manipulacja genami albo zatrucie naturalnego środowiska?

Dla poety z „innej Europy", wydarzenia obejmowane nazwą *the Holocaust* są rzeczywistością tak bliską w czasie, że może on próbować uwolnić się od ich stałej obecności w jego wyobraźni chyba tylko tłumacząc Psalmy Dawida. Czuje jednak lęk, kiedy znaczenie tego wyrazu ulega stopniowo przekształceniom, tak że wyraz ten zaczyna należeć tylko do historii Żydów, tak jakby ofiarą zbrodni nie padły także miliony Polaków, Rosjan, Ukraińców i więźniów innych narodowości. Czuje lęk dlatego, że jest w tym jakby zapowiedź być może niedalekiego jutra, kiedy z historii zostanie to tylko, co ukaże się na ekranie telewizji, natomiast prawda, jako zbyt skomplikowana, zostanie pogrzebana w archiwach, jeżeli w ogóle nie zostanie unicestwiona. Również inne fakty, dla niego bliskie, dla ludzi Zachodu odległe, sprawiają, że nabiera dla niego wiarygodności wizja H. G. Wellsa w *Wehikule czasu:* Ziemia zamieszkała przez plemię dzieci dnia, beztroskie, pozbawione pamięci i tym samym historii, bezbronne wobec mieszkańców podziemnych pieczar, ludożerczych dzieci nocy.

Unoszeni przez ruch technologicznej przemiany, wiemy, że zaczęło się jednoczenie naszej planety i przywiązujemy wagę do pojęcia międzynarodowej wspólnoty. Daty utworzenia Ligi Narodów i następnie Organizacji Narodów Zjednoczonych zasługują

na to żeby je pamiętać. Niestety, tracą wagę w porównaniu z inną datą, która powinna być obchodzona co roku jako dzień żałoby, podczas gdy młode pokolenia o niej nie słyszą. Jest to dzień 23 sierpnia 1939 roku. Dwaj dyktatorzy zawarli wtedy umowę zaopatrzoną w tajną klauzulę o podziale między siebie sąsiednich krajów, mających własne stolice, rządy i parlamenty. Oznaczało to nie tylko rozpętanie straszliwej wojny. Wprowadzona znów została kolonialna zasada w myśl której narody nie są niczym innym niż trzodą, kupowaną, sprzedawaną, całkowicie zależną od woli każdorazowego właściciela. Ich granice, ich prawo do samostanowienia, ich paszporty przestały istnieć. I można się tylko zdumiewać jeżeli dzisiaj mówi się szeptem, kładąc palec na ustach, o zastosowaniu tej zasady przez dyktatorów czterdzieści lat temu. A przecie nie wyznane i nie potępione publicznie występki przeciwko prawom ludzkim są trucizną, która działa powoli i zamiast przyjaźni stwarza nienawiść między narodami.

Antologie poezji polskiej podają nazwiska moich przyjaciół, Władysława Sebyły i Lecha Piwowara oraz datę ich śmierci, 1940. Jest absurdem, że nie wolno napisać jak zginęli, chociaż każdy w Polsce zna prawdę: podzielili los wielu tysięcy oficerów polskich, rozbrojonych i internowanych przez ówczesnego wspólnika Hitlera i są pochowani w masowym grobie. I czyż młode pokolenia na Zachodzie, jeżeli w ogóle uczą się historii, nie powinny wiedzieć o dwustu tysiącach ludzi poległych w 1944 roku w Warszawie, mieście skazanym na zagładę przez obu wspólników?

Dwaj dyktatorzy-ludobójcy dawno nie żyją, kto wie jednak czy nie odnieśli zwycięstwa o trwalszych skutkach niż zwycięstwa czy klęski ich armii. Wbrew oświadczeniom Karty Atlantyckiej zasada, że kraje są przedmiotem handlu albo nawet gry w karty czy w kości została zatwierdzona przez podział Europy na dwie strefy. A stałym przypomnieniem o spadku po dwóch dyktatorach jest nieobecność trzech państw bałtyckich wśród członków Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przed wojną te państwa należały do Ligi Narodów ale znikły z mapy Europy w wyniku tajnych klauzuli do układu z 1939 roku.

Niech mi będzie wybaczone obnażanie pamięci jako rany. Przedmiot ten nie jest bez związku z moją medytacją nad źle często używanym, a przecie godnym szacunku słowem rzeczywistość. Skarga ludów, pakty bardziej zdradzieckie niż te, o jakich czytamy u Tukydydesa, kształt liścia klonu, wschody i zachody słońca nad oceanem, cała ta tkanina przyczyn i skutków, czy nazywamy ją Naturą czy Historią, wskazuje, jak wierzę, na rzeczywistość inną, dla nas nie do przeniknięcia, choć nieskończone dążenie do niej jest napędem wszelkiej nauki i sztuki. Chwilami wydaje mi się, że odcyfrowuję sens nieszczęść, jakimi zostały

dotknięte narody „innej Europy" i że jest nim zachowanie pamięci, wtedy kiedy Europa bez przymiotnika i Ameryka zdają się mieć jej coraz mniej z każdym pokoleniem. Być może jest tak, że nie ma innej pamięci niż pamięć ran, jak tego dowodzi Biblia, kronika ciężkich prób Izraela. Księga ta długo pozwalała narodom europejskim zachować zmysł ciągłości, który nie jest tym samym co modny dziś termin historyzm.

W ciągu trzydziestu lat spędzonych przeze mnie za granicą czułem się bardziej uprzywilejowany niż moi zachodni koledzy, czy piszący czy wykładający literaturę, bo wydarzenia i niedawne i bardzo dawne, sprzed wieków, przybierały w moim umyśle kształt ostry, precyzyjny. Zagraniczna publiczność stykająca się z wierszami czy powieściami pisanymi w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, albo oglądająca produkowane tam filmy, zapewne odgaduje podobnie wyostrzoną świadomość w ciągłej walce z ograniczeniami cenzury. Pamięć jest więc tą naszą, nas wszystkich z „innej Europy" siłą, ona to chroni nas od mowy owijającej się sama o siebie, jak bluszcz owija się o siebie kiedy nie znajduje oparcia w murze albo pniu drzewa.

Przed chwilą wyraziłem tutaj tęsknotę do pozbycia się sprzeczności jaka zachodzi pomiędzy potrzebą dystansu i poczuciem solidarności z ludźmi. Jeżeli jednak uznamy lot *nad* ziemią, czy na grzbiecie gęsiora czy Pegaza, za metaforę powołania poety, nietrudno zauważyć, że już w niej zawiera się sprzeczność, bo jak być *ponad* i równocześnie widzieć ziemię w każdym szczególe? A jednak, przy chwiejnej równowadze przeciwieństw, pewna harmonia może być osiągnięta dzięki dystansowi, jaki wprowadza sam upływ czasu. „Widzieć" znaczy nie tylko mieć przed oczami, także przechować w pamięci, „widzieć i opisywać" znaczy odtworzyć w wyobraźni. Dystans, jaki stwarza tajemnica czasu nie musi zmieniać wydarzeń, krajobrazów, twarzy ludzkich, w gmatwaninę coraz bardziej blednących cieni. Przeciwnie, może je ukazywać w pełnym świetle, tak, że każdy fakt, każda data nabiera wyrazu i trwa na wieczne przypomnienie ludzkiego znieprawienia, ale i ludzkiej wielkości. Ci, którzy żyją, otrzymują mandat od tych wszystkich, którzy umilkli na zawsze. Wywiązać się ze swego obowiązku mogą tylko starając się odtworzyć dokładnie to co było, wydzierając przeszłość zmyśleniom i legendom. Tak ziemia widziana z wysoka, w wiecznym teraz, i ziemia trwająca w odzyskanym czasie stają się na równo materiałem poezji.

IV.

Nie chciałbym stwarzać wrażenia, że mój umysł zwrócony

jest ku przeszłości, bo nie byłoby to prawdą. Jak wszyscy moi współcześni byłem skłonny do rozpaczy, do przewidywania bliskiej zagłady, i wyrzucałem sobie uleganie nihilistycznej pokusie. Na głębszym jednak poziomie poezja moja, jak mi się zdaje, pozostała zdrowa i wyrażała tęsknotę do Królestwa Prawdy i Sprawiedliwości. Nazwisko człowieka, który nauczył mnie, że nie trzeba poddawać się rozpaczy, powinno być tutaj wspomniane. Otrzymujemy dary nie tylko od naszego rodzinnego kraju, jego rzek i jezior, jego tradycji, ale także od ludzi, zwłaszcza jeżeli silną osobowość spotykamy we wczesnej młodości. Miałem to szczęście, że traktował mnie prawie jak syna mój krewny Oskar Miłosz, paryski samotnik i wizjoner. Jak się stało, że był francuskim poetą, wyjaśnić mogłyby zawiłe dzieje rodziny i kraju zwanego niegdyś Wielkim Xięstwem Litewskim. Jakiekolwiek są przyczyny, można było niedawno czytać w prasie paryskiej wyrazy żalu, że najwyższe międzynarodowe odznaczenie pół wieku wcześniej nie przypadło poecie tego samego co moje nazwiska.

Wiele nauczyłem się od niego. Dał mi głębsze zrozumienie religii Starego i Nowego Testamentu i narzucił potrzebę ścisłej, ascetycznej hierarchii we wszystkich sprawach umysłu, łącznie ze wszystkim co dotyczy sztuki. Tutaj za największy grzech uważał stawianie tego co drugorzędne na równi z pierwszorzędnym. Przede wszystkim jednak słuchałem go jak się słucha proroka, który, jak sam mówił, kochał ludzi „starą miłością zużytą przez litość, samotność i gniew" i dlatego rzucał ostrzeżenie szalonemu światu pędzącemu ku katastrofie. Dowiadywałem się od niego, że katastrofa jest nieunikniona, ale też dowiadywałem się, że wielki pożar wróżony przez niego będzie tylko częścią szerszego dramatu, który musi być dograny do końca.

Głębsze przyczyny widział w błędnym kierunku obranym przez naukę XVIII wieku, co spowodowało lawinowe skutki. Nie inaczej niż William Blake przed nim, zapowiadał Wiek Nowy, powtórny renesans wyobraźni, dzisiaj skażonej przez pewien typ naukowej wiedzy, ale, jak wierzył, nie przez każdą naukową wiedzę, na pewno nie tę jaką odkryją ludzie przyszłości. Nie ma znaczenia w jakim stopniu brałem jego przepowiednie dosłownie, ważna była ogólna orientacja.

Oskar Miłosz, tak jak William Blake, czerpał inspiracje z pism Emanuela Swedenborga, uczonego, który wcześniej niż ktokolwiek przewidział klęskę człowieka czającą się w newtonowskim modelu wszechświata. Kiedy, dzięki memu krewnemu, stałem się uważnym czytelnikiem Swedenborga, interpretując go zresztą nie tak jak to było przyjęte w erze romantyzmu, nie spodziewałem się, że odwiedzę jego kraj po raz pierwszy przy takiej jak obecna okazji.

Nasze stulecie dobiega końca i głównie dzięki takim wpływom nie odważyłbym się mu złorzeczyć, bo było to także stulecie wiary i nadziei. Odbywa się głęboka przemiana, której nie jesteśmy prawie świadomi, bo sami jesteśmy jej częścią, i od czasu do czasu daje znać o sobie w zjawiskach, które budzą powszechne zdumienie. Przemiana ta ma związek z tym co, że użyję słów Oskara Miłosza, stanowi „najgłębszy sekret mas pracujących, bardziej niż kiedykolwiek żywych, chłonnych i pełnych wewnętrznej udręki". Ich sekret, niewyznana potrzeba prawdziwych wartości, nie znajduje języka w jakim mogłaby się wyrazić i tutaj nie tylko środki masowego przekazu, także intelektualiści ponoszą ciężką odpowiedzialność. A jednak przemiana dalej się odbywa, wbrew przewidywaniom na krótką metę i jest prawdopodobne, że mimo horrorów i niebezpieczeństw, nasz czas będzie oceniony jako nieunikniona faza porodowych bólów, zanim ludzkość nie wstąpi na nowy próg świadomości. Wtedy pojawi się nowa hierarchia zasług i jestem przekonany, że Simone Weil i Oskar Miłosz, pisarze w których szkole byłem posłusznym uczniem, otrzymają co im się należy. Wydaje mi się, że powinniśmy publicznie oświadczać o naszym przywiązaniu do pewnych nazwisk, bo w ten sposób jaśniej określamy naszą pozycję, niż wymieniając nazwiska którym przeciwstawiamy się gwałtownie. Mam nadzieję, że ten odczyt, mimo meandrów myśli, co jest zawodowym nałogiem poetów, pokazuje wyraźnie moje „tak" i „nie", w każdym razie tam gdzie chodzi o sukcesję. Bo wszyscy którzy tu jesteśmy, i mówca i słuchacze, stanowimy jedynie ogniwa pomiędzy przeszłością i przyszłością.

PRZEMÓWIENIE LARSA GYLLENSTENA STAŁEGO SEKRETARZA AKADEMII

Wasze Królewskie Mości, Wasze Królewskie Wysokości, Panie, Panowie,

Czesław Miłosz urodził się na Litwie i wychował w środowisku, w którym wciąż żywe były stare tradycje ludowe i które posiadało bogatą i złożoną spuściznę historyczną. Uprzemysłowienie nie dotarło tam jeszcze wówczas na dobre i ludzie żyli w bliskiej wspólnocie, w niemal naturalnych warunkach. Tego

kraju ani większości tego ludu już nie ma. Nazistowski terror i ludobójstwo, wojna i prześladowania dokonały tam niebywałych spustoszeń.

Działalność literacką rozpoczął Miłosz bardzo wcześnie. Należał on do czołówki młodego pokolenia, które pragnęło odnowienia poezji i które później aktywnie uczestniczyło w podziemnym ruchu antyhitlerowskim. Po wojnie jako socjalista włączył się w życie intelektualne nowej Polski, stał się w tym życiu wybitną i zaufaną osobistością reprezentującą swój kraj za granicą. Wraz z nastaniem zimnej wojny zmienił się klimat polityczny, nastały czasy stalinowskie. Bezkompromisowy jeśli idzie o uczciwość twórcy i wolność jednostki, nie mógł Miłosz dłużej solidaryzować się z takim systemem. W 1951 roku opuszcza Polskę i osiada w Paryżu jako „wolny pisarz" — określenie bynajmniej nie pozbawione ironicznego podtekstu. W 1960 roku przenosi się do Stanów Zjednoczonych, by na uniwersytecie w Berkeley w Kalifornii wykładać literaturę polską. Korzenie jego nadal jednak tkwią w Polsce, nigdy nie zerwał związków z życiem swego kraju.

Rozterki wewnętrzne i wyobcowanie towarzyszą Miłoszowi od początku jego twórczości. Jest on zarówno w sensie fizycznym, jak i duchowym pisarzem emigrantem — obcym, dla którego fizyczna emigracja jest w gruncie rzeczy tylko odbiciem metafizycznego, czy wręcz religijnego, duchowego wygnania w sensie ogólnoludzkim. Świat, który Miłosz pokazuje w swojej prozie, poezji, esejach jest światem, w którym człowiek żyje od czasu wygnania go z raju. Lecz ów raj, z którego człowieka wydziedziczono, nie jest jakąś ułudną idyllą, lecz prawdziwym, rzeczywistym Edenem starego testamentu z jego Dobrem i Złem, z Szatanem, rywalem do panowania nad światem. Siły złe, niszczycielskie przemieszane są z siłami dobrymi, twórczymi — i jedne, i drugie są jednakowo rzeczywiste i obecne.

Dla twórczości Miłosza i jego światopoglądu typowe są konflikty i kontrasty. Jednym z najważniejszych powołań poety — zdaniem Miłosza — jest *„... ouvrir une dimension qui rend l'affaire de vivre plus passionnante"*, „obrona człowieka przed ciszą galaktyki", ukazywanie, jak trudno jest pozostać *tą samą* osobą. Wiele jest w postawie Miłosza patosu Kaznodziei Salomona czy Pascala, wiele namiętnego dążenia do uświadomienia nam, że żyjemy na wygnaniu, ale też że nie może być raju bez walki z siłami zła i zniszczenia. Widzenie rzeczywistości takiej jaką ona jest nie oznacza wcale widzenia wszystkiego w czarnych barwach, nie oznacza poddawania się pesymizmowi i zwątpieniu, jak też widzenie wszystkiego w jasnych kolorach nie powinno

prowadzić do utraty poczucia rzeczywistości, pogrążania się w zakłamaniu, a tym bardziej nie może być chęcią zamazywania istniejących sprzeczności na rzecz wygodnego kompromisu. Sprzeczności, namiętności, konflikty, ta zarówno dobrowolna, jak i tą siłą narzucona diaspora — to realna treść naszego życia.

Miłosz jest poetą wybitnie intelektualnym, o głębokiej wiedzy filozoficznej i historyczno-literackiej. Jego poezja pełna jest podtekstów, pastiszów, ironii, zmian stylu i ról, polifoniczna w swej budowie. A jednocześnie jest on poetą zmysłowym. Trudno się łudzić, że zalety takiego języka, jego poetycka wrażliwość mogą być wiernie przekazane w tłumaczeniu. A jednak również w przekładach odczuwa się bogactwo zmysłowej wrażliwości poety. Obrazowość języka Miłosza, sugestywna i zaskakująca, zrodzić się mogła jedynie dzięki jego własnym doświadczeniom, jego bogatej wyobraźni, pamięci, przeżyciom. Pierwiastki intelektualne idą w parze u Miłosza z wyjątkową zdolnością postrzegania i wyjątkową wrażliwością poetycką. W konkretnej rzeczywistości, w tradycjach, we wspólnocie człowieczej znajduje on oparcie przed niszczycielskimi siłami panującymi na świecie, na który zostaliśmy skazani wbrew naszej woli. Cechuje go w równym stopniu zdolność do zachowania perspektywy, jak i do bezpośredniego osobistego zaangażowania. Dotyczy to również jego stosunku do nowej ojczyzny, gdzie jest poetą, którego trzeba tłumaczyć, by był zrozumiany, a który jednocześnie jest rozumiany i ceniony, jednakże jak gdyby pośrednio i tylko za niedoskonałe odbicie swojej twórczości. Lecz w takiej właśnie sytuacji — jego zdaniem — znajdujemy się my wszyscy — poeci i nie-poeci.

Twórczość Miłosza cechuje żarliwe zaangażowanie a jednocześnie surowa dyscyplina i nieomylna intuicja. Nieprzejednany patos nie pozwala mu nigdy poddawać się uczuciu ludzkiej bezsilności, skłonnościom języka do słownych iluzji, napadom współczucia, wyrzutom sumienia „że nie kochaliśmy jak należy biednego popiołu w Sachsenhausen miłością absolutną nad miarę człowieka". Ten patos łączy się u niego z dojrzałym i bardzo doświadczonym spojrzeniem na człowieka oraz dążeniem do świadomego, stoickiego, a nawet wręcz epikurejskiego heroizmu. Spotykamy u niego upór i gniew, niemal nietzscheańskie w swym zapamiętaniu przeciwko kondycji stworzenia, która każe człowiekowi być tylko człowiekiem i nie pozwala, by na podobieństwo bogów mógł zmieniać to, co jest podłe i bezlitosne. Przeciwwagą tego są chwile spokojnego, jasnego spełnienia, radości z tego co po prostu jest obecne — co cudownie obecne. Jego poezja jest wielogłosowa, pełna dramatyzmu, czasami agresywna, prowokująca, zmienna w nastrojach od liryzmu do namiętnego zaangażowania, od abstraktu do konkretu.

Czesław Miłosz jest pisarzem trudnym w najlepszym tego słowa znaczeniu — pobudzającym do myślenia i wymagającym uwagi, fascynującym również dlatego, że jest tak bardzo skomplikowany.

Drogi Panie Miłosz!

Mówił Pan kilkakrotnie o swoim języku ojczystym, o języku polskim, będącym niewielkim językiem niedużego narodu. Próbowałem przed chwilą zaprezentować Pana poglądy i Pana doświadczenie opisywane po polsku i wyrosłe na gruncie polskich tradycji i polskiej kultury. Mówiłem w jeszcze mniejszym języku, jeszcze mniej znanym na świecie i dość odległym od polskich tradycji. Miałem przy tym bardzo niewiele czasu do dyspozycji, by przekazać przynajmniej część uczuć, jakie daje lektura Pana utworów. Pozwoli Pan, że zakończę moje wystąpienie po angielsku, a zatem w języku, który nie jest językiem ani Pana, ani moim, przy tym w jeszcze krótszym czasie. Nie zdołam zatem wyrazić nawet małej części tego, co pragnąłbym o Panu powiedzieć.

Znajdujemy się tutaj w sytuacji nie pozbawionej swoistej ironii — przy tym ironii, która tu właśnie, w tym miejscu, nie jest wcale niestosowna. Według Pana obcość jest jedną z głównych cech sytuacji człowieka — jesteśmy obcy w tym świecie i obcy wobec siebie. Ale czy *tylko obcy?* Czy nagroda Nobla dla Pana nie jest również wyrazem i dowodem tego, że granice *mogą* być przekraczane, że zrozumienie i sympatia *mogą* się rodzić, że kontakty i więzi między ludźmi *mogą* być nawiązywane? Czytanie Pana utworów i możność konfrontowania własnej postawy z głoszonymi przez Pana przesłaniami oznacza wzbogacanie się o nowe ważne doświadczenia — mimo całej dzielącej nas obcości.

Z największą radością przekazuję Panu w imieniu Akademii Szwedzkiej najserdeczniejsze życzenia. Proszę o przyjęcie z rąk Jego Królewskiej Mości tegorocznej literackiej nagrody Nobla.

PRZEMÓWIENIE CZESŁAWA MIŁOSZA NA BANKIECIE

Przyjmuję to najwyższe odznaczenie pamiętając o wszystkich mężczyznach i kobietach, dla których jestem nie tyle jednostką,

ile głosem i kimś kto należy do nich. Oni to powinni być tutaj przywołani, a pochodzą nie z jednego tylko kraju. W pierwszym rzędzie myślę o tych, którzy przywiązani są do polskiego języka i literatury, gdziekolwiek mieszkają, w Polsce czy za granicą; myślę również o mojej części Europy, o krajach położonych między Niemcami i Rosją, w których jutro wolności i godności wierzę; a szczególnie moje myśli zwracają się ku krajowi, gdzie się urodziłem, Litwie. Co więcej, ponieważ od dawna żyję na wygnaniu, mogę być słusznie uznany za swego przez tych wszystkich, którzy musieli opuścić swoje wioski i prowincje, czy to z powodu nędzy czy prześladowań, i adaptować się do nowych sposobów życia; jest nas na całej Ziemi miliony, bo jest to wiek wygnania. Ani nie mogę pominąć tutaj kraju mojego nowego osiedlenia, Ameryki, gdzie nie tylko znalazłem, jak wielu przede mną, gościnność i dobrze wynagradzaną pracę, ale także przyjaźń amerykańskich poetów. A chociaż Uniwersytet Kalifornijski w Berkeley, gdzie od dwudziestu lat wykładam literatury słowiańskie, liczy wśród swoich profesorów niemało laureatów Nobla w zakresie nauk ścisłych, jest dzisiaj rad szczególnie, mogąc dodać do ich liczby swego pierwszego laureata Nobla w zakresie humanistyki.

W samym powołaniu poety zawiera się paradoks. Zaciekle indywidualistyczny, dążąc do celów widocznych dla kilku tylko jego najbliższych przyjaciół, przyzwyczaja się do swojej etykietki trudnego i mało zrozumiałego, po to tylko, żeby odkryć któregoś dnia, że jego wiersze stanowią więź między ludźmi i że, chce tego czy nie chce, musi wziąć na siebie symboliczną rolę. Mieszkając długo za granicą, stałem się stopniowo poetą młodych pokoleń w Polsce i sądzę, że moja przygoda ma pewne prekursorskie cechy o powszechnym znaczeniu. Poeci i ich czytelnicy mogą być rozdzieleni przestrzenią, ale jeżeli duchowa łączność zostaje zachowana, granice i bariery, jakiejkolwiek są natury, nie mają mocy. Wydaje mi się, że nam, zarówno tym w Polsce, jak i poza Polską, udało się dokonać ważnej rzeczy przez odmowę uznania podziału polskiej literatury na dwa odrębne organizmy, zależnie od tego, gdzie dany autor mieszka. Jest to zasługa tych moich kolegów w Polsce, którzy nie dali się zachwiać przez absurdalne doktryny, jak i młodych obrońców wolnej wymiany myśli, czy to przez odczyty, pisma czy książki. Tomy moich wierszy wydane przez ich niezależne oficyny są najcenniejszymi pozycjami na półkach mojej biblioteki. Nie mniejszy hołd należy się zdumiewającej energii i wytrwałości kilku osób, które założyły za granicą instytucje poświęcone wydawaniu książek i czasopism po polsku, takie jak Instytut Literacki we Francji działający bez przerwy od końca wojny i publikujący książki zarówno autorów

emigracyjnych jak i krajowych. Taka ciągłość i jedność danej kultury, utrzymywana w jak najmniej korzystnych okolicznościach, przemawia przeciwko romantycznym nastrojom nieodwołalności i tęsknoty, jakie wiek XIX skojarzył z pojęciem wygnania.

Jestem częścią polskiej literatury, która jest względnie mało znana w świecie, gdyż jest niemal nieprzetłumaczalna. Porównując ją z innymi literaturami, mogłem ocenić jej niezrównaną dziwaczność. Jest to rodzaj tajnego bractwa mającego własne obrzędy obcowania z umarłymi, gdzie płacz i śmiech, patos i ironia współistnieją na równych prawach. Przejęta historią, zawsze aluzyjna, w tym stuleciu tak jak dawniej towarzyszyła ludowi w jego ciężkich przejściach. Linie polskiego wiersza krążyły w podziemiu, były pisane w barakach koncentracyjnych obozów i w żołnierskich namiotach, w Azji, Afryce i w Europie. Reprezentować tutaj taką literaturę znaczy czuć się pokornym wobec świadectw miłości i poświęcenia zostawionych przez tych, którzy już nie żyją. Pozostaje mi nadzieja, że zaszczyt, jakim mnie łaskawie obdarzyła Szwedzka Akademia pośrednio wynagradza tych, którzy prowadzili moją rękę i których niewidzialna obecność podtrzymywała mnie w trudnych chwilach.

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 3 października 1980

Przed tygodniem poświęcono u pallotynów wieczór zmarłemu 26 sierpnia księdzu Józefowi Sadzikowi. Uderzyło mnie kilka akcentów w przemówieniu księdza Janusza Pasierba. Nazwał „autoportretem" wstęp Sadzika do *Księgi Hioba* (wstęp „bardzo osobisty, wręcz autobiograficzny"), cytując fragment z testamentu zmarłego: „Nie jest ważne, ile kto zdziała — zależy to wyłącznie od niezasłużonych talentów. Liczy się cierpienie złączone z krzyżem Jezusa, liczy się uczciwość i dobroć". Przytoczył z testamentu znaczące wyznanie: „Miałem licznych przyjaciół niewierzących, od których nierzadko uczyłem się godności i uczciwości. Za nich również oddaję życie, wiedząc że w domu Ojca jest mieszkań wiele". Wydobył ze wstępu do *Księgi Hioba,* zatytułowanego przez Sadzika *Przesłanie Hioba,* jego istotę w jednym krótkim zdaniu: „Wiara jest przede wszystkim wiernością Bogu w cierpieniu". I dodał: „Chciałbym przekazać to, co wydaje mi się prawdą jego życia: że wiele cierpiał. Co roku pisał w swoim kalendarzu, pod datą 27 sierpnia, wielkimi literami DZIEŃ MĘKI. Co to była za rocznica? Nie zdradzał tego nikomu. Rocznica tak pamiętna, że bał się o niej zapomnieć? Której nie chciał sobie darować? Taki kalendarz na rok 1980 miał ze sobą w Osny. Umarł w wigilię tej tajemniczej rocznicy".

Widywałem Sadzika niezbyt często, nie mam prawa zaliczać się do jego przyjaciół (wierzących i niewierzących), nie potrafię jednak — i nigdy, od początku naszej znajomości, nie potrafiłem — myśleć o nim bez uczucia fascynacji. Nie, nie chodziło tu o jego inteligencję, wiedzę, czystość i uczciwość rozumowania, rozwagę w sądach. Fascynowały mnie w nim dwie cechy. Tajemnica własnego cierpienia równie absolutna, jak wrażliwość na cudze. Dobroć tak wielka, że gdy zdarzyło mu się o kimś powiedzieć jakąś zupełnie niewinną złośliwość, w chwilę później pojawiał się w jego oczach wyraz żalu do samego siebie za ten błahy nawet brak zrozumienia i wyrozumiałości. Pierwsza cecha była godnością wykształconą przez doświadczenie, druga naturalną, odruchową potrzebą serca.

Ze wstępu do *Księgi Hioba* widzę, że uważnie czytał *Dżumę* Camusa. Jestem pewien, że nie tylko uważnie, lecz i z przejęciem. Parokrotnie, słuchając go, uprzytamniałem sobie naraz że wchodzę w klimat *Dżumy,* tej powieści o zbrataniu się i przeplataniu dwóch świętości: katolickiej i laickiej. Oto ojciec Paneloux, jezuita, dla którego dżuma jest początkowo dopustem bożym. Po śmierci niewinnego dziecka, małego Othon, Paneloux woła w pamiętnym w zadżumionym Oranie kazaniu: „Nie ufajmy tym moralistom, którzy mówią że należy paść na kolana i poniechać wszystkiego. Należy jedynie iść naprzód, w ciemności, trochę po omacku, i starać się czynić dobrze". Przed ową zmianą Tarrou, „święty bez Boga", tak go opisuje w rozmowie z doktorem Rieux: „Paneloux jest człowiekiem nauki, uczonym. Nie zetknął się nigdy ze śmiercią, dlatego chyba potrafi z taką pewnością siebie mówić o Prawdzie przez duże P. Ale każdy proboszcz wiejski, który odwiedza swoich parafian i nie jeden już raz widział człowieka dyszącego ciężko na łożu śmierci, rozumuje tak jak ja. Będzie się mianowicie starał ulżyć ludzkiemu cierpieniu, zanim spróbuje wykazać jego zalety". W innej rozmowie z orańskim lekarzem Tarrou uprzedza, że „doraźne zwycięstwa nad dżumą nie okażą się na pewno w przyszłości trwałe". „Wiem o tym — odpowiada Rieux, — ale to nie powód by przerwać walkę". „Nie powód, zgadzam się z panem, doktorze; i mogę sobie teraz wyobrazić, czym jest dla pana ta dżuma". „Tak. Nigdy nie kończącą się klęską". „Kto pana tego wszystkiego nauczył, doktorze?". „Cierpienie" — pada natychmiastowa odpowiedź.

Paneloux umiera prosząc, aby go pozostawiono w samotności, gdyż „duchowni nie mają przyjaciół, wszystko powierzyli Bogu". Sadzik przytakiwał może w lekturze tej prośbie o samotną śmierć, ale z innych względów.

◆

Więc wstęp do *Księgi Hioba,* którego odbitka szczotkowa (dzięki uprzejmości przyjaciół zmarłego) leży przede mną. Niewątpliwie piękny, najpiękniejszy ze wszystkich znanych mi rzeczy Sadzika, kto wie czy nie dlatego właśnie że „bardzo osobisty, wręcz autobiograficzny". *Księga Hioba,* postawiony przez nią

„problem" (także Sadzik używa tu cudzysłowu), jest kamieniem probierczym „duszy religijnej" w najszerszym tych słów znaczeniu: w takim mianowicie, że religijna jest również dusza niewierzącego, który wiarę odrzucił ale po długim z nią zmaganiu. Posunąłbym się dalej: można nie znać biblijnej historii Sprawiedliwego Męża z Uz, a mimo to mieć ją wpisaną na zawsze w serce i w umysł. Cała tajemnica ludzkiej egzystencji, wszystkie pytania krążące bezustannie wokół ludzkiego losu, prowadzą do szukania „odpowiedzi na Hioba": od uczonych komentarzy biblistów do *Answer to Job* Junga.

Osobisty i autobiograficzny charakter wstępu Sadzika polega na zmianie zdania. „Przez długi czas sądziłem, że *Księga Hioba* jest biblijną odpowiedzią na problem cierpienia i zła. Obecnie nie jestem tego pewny". To w pierwszych niemal słowach wstępu. Dalej następuje dociśnięcie, precyzacja: „Po latach obcowania z *Księgą* zrozumiałem, że Hiob nie jest biblijną odpowiedzią na problem cierpienia i zła. Nie jest ich eksplikacją. Jest przemożną lekcją godności ludzkiej, postawy człowieka dotkniętego bólem, jest lekcją wierności Bogu w cierpieniu. W tym, ale tylko w tym znaczeniu *Księga Hioba* może być uznana za odpowiedź. Dzisiaj wydaje mi się to tak oczywiste, że nie pojmuję dlaczego tak długo łuski przesłaniały moje spojrzenie". Surowy i majestatyczny zarazem obraz podsumowuje (chciałoby się powiedzieć: przypieczętowuje), w ostatnich słowach wstępu, odtworzoną subtelnie i drobiazgowo zmianę zdania: „Tak oto stoi przed nami Hiob z wiecznym przesłaniem o godności ludzkiego losu".

Co ten obraz przypomina? Tak oto stoi przed nami na szczycie góry Syzyf, patrzy na staczający się głaz i schodzi z powrotem w dół. W czasie powrotu w dół „wznosi się (według Camusa) ponad swój los". Bo „samo wdzieranie się na szczyt starczy by wypełnić serce człowieka"; wolno zatem „wyobrażać sobie Syzyfa jako szczęśliwego". Jak nie podejrzewać, że w intencjach Sadzika jego „wierny Bogu w cierpieniu" Hiob jest bliskim krewnym niewierzącego, camusowskiego Syzyfa?

Różni ich jednak dużo. W *Księdze* powiada Elifaz z Temanu: „Nie z prochu wychodzi ból, nie z ziemi wyrasta nieszczęście, lecz człowiek rodzi się do nieszczęścia, jak orły rodzą się do lotu". Hiob Sadzika „stoi z przesłaniem o godności ludzkiego losu", gdyż „jest przekonany o swojej prawości, a jednocześnie pewny, że to Bóg Sprawiedliwy znęca się nad nim"; gdyż zwycięsko przechodzi „bezlitosną próbę wiary"; gdyż „osaczony przez Boga", ma odwagę „wystąpić w imię swej godności przeciw Bogu", wiedząc zarazem że „Bóg nie może istnieć przeciw człowiekowi". Syzyf Camusa z godnością „wznosi się ponad swój

los", gdyż jest świadomy jego tragizmu i absurdu; gdyż pokonuje go „pogardą", z sercem „wypełnionym samym wdzieraniem się na szczyt" (czyli „szczęściem"); gdyż zwycięsko przechodzi swoistą próbę niewiary w bogów, którzy skazali go na daremny i beznadziejny trud. „Cierpienia nie można pojąć ani wytłumaczyć, można je przyjąć albo odrzucić", pisze Sadzik o swoim Hiobie. To samo mógłby napisać Camus o swoim Syzyfie. Obaj, Hiob i Syzyf, przyjmują cierpienie. Ale gdy jeden pozostaje w cierpieniu wierny Bogu Sprawiedliwemu, drugi nazwałby zapewne takiego Boga Absurdalnym.

Po *Księgę Hioba* sięga się w momentach depresji, a raczej smutku w ciągłym opadaniu spragnionego dotknięcia dna i odbicia się wzwyż. Znajduję zapis o niej w moim dzienniku pod datą 3 listopada 1973: „Bóg potraktował Hioba jak winnego; uwalniając go od winy, i w dwójnasób obsypując darami za przebycie ciężkiej próby, proklamuje zasadę niewinności zawsze problematycznej i zawsze warunkowej. Istotne jest to: w swej wszechwiedzy Bóg nie wie czym jest cierpienie człowieka. Chrześcijaństwo powstało z tęsknoty ludzi do Boga cierpiącego. I z tęsknoty Boga do uczestnictwa w ludzkim cierpieniu. Hiob nie otrzymał zadowalającej odpowiedzi na samotność w mękach i obojętne milczenie Nieba. Jego następcy, dzięki Synowi Bożemu przybitemu do krzyża, wyszli z samotności na przekór obojętnemu milczeniu świata".

Gdzieś w połowie drogi między wstępem Sadzika do *Księgi Hioba* i jej nowoczesną wersją, powieścią o „winnym bez winy", *Procesem* Kafki.

6 października

Moje częste powracanie do głębszych powinowactw „ideologicznych" między hitleryzmem i komunizmem nie jest „dziwną zaiste manią i obsesją", jak pisze do mnie urażony czytelnik z Kopenhagi, który „mimo doznanych krzywd osobistych nie pozwoli sobie odebrać, u progu starości a może już nad grobem, głównego sensu własnego życia: walki, dopóki to było możliwe, o realizację szczytnych rewolucyjnych ideałów wyzwolenia człowieka". Jestem po prostu przeświadczony, że jeśli się te powinowactwa dostrzeże i zbada z całą uwagą na jaką zasługują, odpadną liczne przeszkody w dotarciu do jądra współczesnego „fenomenu totalitarnego". „Tak to Prometeusz budzi się ze snu o potędze jako kafkowski Gregor Samsa", zamyka Kołakowski pierwszy tom swojej historii marksizmu. Tej klamrze odpowiada klamra zamykająca tom trzeci i ostatni: „Samoubóstwienie czło-

wieka, któremu marksizm dał filozoficzny wyraz, kończy się tak samo, jak wszystkie, indywidualne i zbiorowe, próby samoubóstwienia: ukazuje się jako farsowa strona ludzkiej niedoli".

Raczej tragi-farsowa. Taką małą tragi-farsę wyłowiłem dziś ze szkicu *Stalin i hitlerowskie Niemcy* Aleksandra Niekricza, historyka sowieckiego, autora głośnej w roku 1965 książki *22 czerwca 1941,* emigranta od roku 1976. Niekricz opowiada o poufnych rozmowach, w roku 1934, grupy prominentów sowieckich pod wodzą Karola Radka z profesorem Oberlaenderem, przybocznym *Gauleitera* Ericha Kocha, z ambasadorem niemieckim w Moskwie Nadolnym i innymi urzędnikami ambasady. Radek nie ukrywał swego podziwu dla talentów organizacyjnych hitlerowców, zachwycał się entuzjazmem młodzieży niemieckiej. „Na twarzach studentów niemieckich, ubranych w skórzane kurtki, oglądamy to samo oddanie i to samo natchnienie (sic!), jakie niegdyś opromieniały twarze młodych dowódców Czerwonej Armii, oraz ochotników z roku 1918". Wynosił też pod niebiosa żołnierzy oddziałów szturmowych i esesmanów, nazywając ich „wspaniałymi chłopcami". „Zobaczycie — wykrzyknął, — że będą się jeszcze bić za nas, że będą za nas rzucać ręczne granaty". Niekricz, z dokładnością beznamiętnego historyka, wprowadza drobną korekturę: „Hitler był odmiennego zdania, twierdził że były komunista może jeszcze stać się dobrym hitlerowcem, ale hitlerowiec komunistą nigdy".

Radek, mały Sobelson ze Lwowa, płomienny trybun rewolucyjny, niezrównany pamflecista i żartowniś, niemiecki „ekspert" na Kremlu, komunista o „rozdartym sercu" między Trockim i Stalinem, wielbiciel poezji polskiej (za deklamowanie z pamięci ogromnych fragmentów Mickiewicza miał do niego słabość Miedziński). Nie wiadomo kiedy i w jakich okolicznościach zginął. W moim *Innym Świecie* taki jest o nim odsyłacz: „Pewien komunista besarabski opowiadał mi, że w roku 1938 był naocznym świadkiem potwornego skatowania Karola Radka, który padł ofiarą *proizwoła* więźniów w obozie na Wyspach Sołowieckich". Jeżeli to prawda, wolał może razy współwięźniów od likwidacji z rąk „wspaniałych, natchnionych chłopców w skórzanych kurtkach" (ze swastyką czy sierpem i młotem w klapach).

Żywot Radka: byłby pasjonujący, gdyby napisała go powiedzmy, bez hamulców i ostrożności, spółka autorska Erenburg-Babel. Od dawna zresztą sądzę, że brak nam takich „żywotów"; brak o wiele bardziej, niż suchych i rzeczowych przyczynków historycznych. Zwierzył mi się kiedyś Adam Michnik, że marzy o napisaniu książki o Henryku Dembińskim. Albo — dla przykładu tylko — jak niezwykła i przejmująca mogłaby się okazać książka Wiktora Woroszylskiego o Tadeuszu Borowskim!

10 października

Miłosz laureatem nagrody Nobla. Chociaż się tę szansę brało od pewnego czasu w rachubę (w zeszłym roku jego nazwisko figurowało na liście kandydatów w depeszach agencji prasowych ze Sztokholmu), wielka i radosna niespodzianka.

Pamięć podsuwa pierwsze zetknięcie z Miłoszem. Rok 1938. Studiowałem wtedy polonistykę w Warszawie, poza uniwersytetem należałem do „szkoły krytyki literackiej" Ludwika Frydego. W dziedzinie współczesnej poezji polskiej „szkoła" miała „programowo" niechętny stosunek do Skamandra i jego świeższych popłuczyn. Dała temu wyraz *Antologia współczesnej poezji polskiej,* opracowana przez samego Frydego z pomocą Antoniego Andrzejewskiego (najwybitniejszego ucznia „szkoły", przepadł bez śladu po kampanii wrześniowej, prawdopodobnie zgnojono go w Rosji). Faworytem Frydego wśród poetów poza zasięgiem i wpływami Skamandra był Józef Czechowicz; cenił też wysoko Annę Świrszczyńską. Z jego inicjatywy Koło Polonistów zorganizowało cykl niedzielnych poranków poetyckich w sali Reduty. Wytypowano szóstkę poetów: Gałczyńskiego, Przybosia, Czechowicza, Miłosza, Świrszczyńską, Piętaka. Wybrałem Miłosza. Mój odczyt o nim (drukowany potem w *Pionie* jako *Granice poezji Czesława Miłosza)* połączono, jak na wszystkich zresztą sześciu porankach, z recytacjami. Czytali jego wiersze Maria Wiercińska i Jan Kreczmar. Zdaje się, że i on sam przeczytał na zakończenie kilka wierszy.

Był wówczas, w dwa lata po ukazaniu się *Trzech zim,* czymś w rodzaju meteoru poetyckiego. W rok po przyjeździe z Wilna, wymuszonym bodaj przez atmosferę „skandalu" wokół procesu Dembińskiego i towarzyszy, robił wciąż wrażenie ryby na warszawskim piasku: obca mu była „Warszawka", ciągnęło „miłe miasto". Siedział na poranku w pierwszym rzędzie, „piękny, dwudziestosiedmioletni", nastroszony lekko i nieufny, jakby węsząc w słuchanych elożach i w całej tej celebracji jakiś na siebie zamach, przedwczesną i podejrzaną mumifikację, próbę wciągnięcia w kadzidlanym dymie do określonej „koterii" wbrew własnym upodobaniom do indywidualnej, samotnej, niezależnej drogi. Później miałem się przekonać, że był z natury (niektórzy dodawali: litewskiej) nieufny, podejrzliwy i alergiczny na wszelką „przynależność". Czasem na szczęście, czasem mniej.

W tych latach w przededniu wojny miałem z nim również kontakt jako kierownik działu literackiego *Orki na Ugorze.* Polonistyczni dłubacze w kraju, od których się pewnie zaroi na półzakazanym dotąd a teraz oficjalnie przez Nobla uświęconym

polu „miłoszologii", znajdą w *Orce na Ugorze* polemiczny artykuł Czesława *Kłamstwo dzisiejszej poezji.* Sąsiadował może z reportażem jego młodszego brata Andrzeja, podpisującego się panieńskim nazwiskiem matki Kunat, *Trudna Polska.* Obaj bracia wybrali dla swoich artykułów tytuły, które nie przestają mi się po tylu latach bardzo podobać...

Podczas wojny, w więzieniach i łagrach sowieckich, w wojsku na Bliskim Wschodzie i we Włoszech, często powtarzałem sobie z *Trzech zim* jeden szczególnie wiersz: *O książce* (Wilno 1934):

Była epoka burzy, czas apokalipsy.
Państwa dawne zburzono, pijanem wrzecionem
Kręciły się stolice pod niebem spienionem.
Gdzież jest miejsce dla ciebie w tym wieku zamętu
Książko spokojna, mądra, stopie elementów
Pogodzonych na zawsze spojrzeniem artysty?

Moją pierwszą książeczkę *Żywi i umarli* zamyka szkic *O książce,* pisany w lutym 1945 w Rzymie, jeszcze w mundurze wojskowym. Przytoczony na wstępie w całości wiersz Miłosza, potem rozważania dwudziestosześcioletniego autora który „po pięciu latach rozłąki wojennej wchodzi nieśmiało i ze wzruszeniem pomiędzy ściany biblioteki", wreszcie dedykacja pod tekstem: Pamięci Ludwika Frydego.

◆

Nagrodą Nobla dla Miłosza pociąga za sobą, marginesowo, jedno niebezpieczeństwo i jedno błogosławieństwo.

Niebezpieczeństwo. Nie trzeba nadmiernego daru przewidywania, aby sobie wyobrazić że u szczytu euforii narodowej ktoś powiąże październikowe wyniesienie Miłosza na tron literacki z październikowym (dwa lata temu) wyniesieniem Wojtyły na tron papieski. Po czym rozepnie nad tymi dwiema datami tęczę „Solidarności". Niewykluczone też, że dla pełnego już efektu przytoczy niezbyt mądre zdanie z epilogu *Ziemi Ulro:* „Jaki ustrój polityczny wtedy (w przyszłości) będzie wybrany, nie staram się odgadywać. Gdyby była to teokracja idąca w parze z daleko posuniętą decentralizacją, wcale bym się nie zdziwił".

Błogosławieństwo. Od bardzo wielu lat „noblizm" jest chorobą chroniczną pisarzy polskich. Dałoby się bez trudu wymienić ze dwa tuziny pisarzy polskich (w kraju i za granicą), którzy się z większą lub mniejszą otwartością do lauru szwedzkiego przymierzali, odwołując się do dziesiątków swoich grubych czy cienkich „grzbietów" na półkach bibliotecznych. Iwaszkiewicz pochlipywał z rozbrajającą szczerością w roku 1971, po przyznaniu nagrody Sołżenicynowi: „Znów nas odetną od nagrody Nobla na dłuższy czas". To „odcięcie" nie trwało aż tak długo, jakkolwiek wolno wątpić czy Iwaszkiewicz włączał (w myślach) Miłosza do słówka „nas". Teraz „odcięcie" potrwa o wiele dłużej, co umożliwi pisarzom polskim, po krótkim okresie rekonwalescencji, odzyskać nieodzowną w pracy pisarskiej równowagę ducha.

Neapol, 29 października

Nie licząc krajobrazu oglądanego w czasie przelotów z Rangoonu do Mandalay i z Mandalay do Bassein i Moulmein, tylko przez kilka godzin widziałem z bliska dżunglę burmeńską. Było to w okolicach Sagaing, na prawym brzegu Irrawady. Pamiętam gwałtowny przeskok znad Irrawady do najpłytszej warstwy dżungli: słońce sączyło się przez splątany dach drzew jak przez gęste sito; ziemia najpierw tłumiła miękko, a potem zawieszała groźnie w nieruchomym powietrzu, każdy najlżejszy odgłos; co kilka kilometrów urywał się las i kamieniste łachy odpływały ku nagim, martwym pagórkom. Wszystko razem — rzeka, dżungla, doliny i wzgórza — miało złotawy odcień i dźwiękom nadawało czysty, a jednocześnie dziwnie smutny i jakby oderwany od świata ton. Burma nazywana była niegdyś Złotą Ziemią, lub Złotym Krajem. Na złotym — i czerwonym od krwi — tle rozgrywa się cudowny film japoński *Harfa burmeńska.* Rok 1945, ostatnie tygodnie wojny. Mały oddział japoński, ścigany przez Anglików, przedziera się dżunglą burmeńską ku granicy syjamskiej. Jeden z żołnierzy, Mizusima, nie rozstaje się z harfą — typową harfą burmeńską w kształcie modelu okrętu, ze strunami przypiętymi do szyjki wydłużonego dziobu. Mizusima nauczył się sam grać w czasie wojny i improwizuje teraz dla towarzyszy pełne żalu, nostalgii i zadumy melodie, które „własnymi słowami" opowiadają na strunach los tej grupki rozbitków rzuconych daleko od kraju ojczystego. Oddział dobija do małej wioski burmeńskiej; o zmierzchu okazuje się, że wpadł w kleszcze angielsko-hinduskie. Następuje najsugestywniejsza scena filmu. Zapada wieczór, na pociemniałe nagle niebo wypływa księżyc i oświetla skały i dżunglę blaskiem, w którym jest coś wspaniałego i zarazem posępnego, tragicznego — jakby sygnał wytchnienia dla skrwawionej Złotej Ziemi, zanurzającej się codziennie tak samo w nieprzeniknionym, ożywczym bezmiarze nocy. Żołnierze japoń-

scy obserwują przez szpary w matach okiennych bagnety wroga na skraju dżungli i żeby upozorować że niczego nie podejrzewają, wybiegają z chaty, tańcząc i śpiewając przy dźwiękach harfy, do pozostawionego na zewnątrz ciągnika z bronią i amunicją. Wita ich nie huk wystrzałów, lecz śpiew — głęboki, poważny, wieczornie rozmodlony śpiew pieśni angielskiej. Tą bitwą śpiewów kończy się dla nich wojna, która na okamgnienie odsłania się jako odwieczny, niepojęty i równocześnie nieuchronny obrzęd zła uniwersalnego.

Widziałem *Harfę burmeńską* przed dwudziestu przeszło laty i wtedy napisałem tę notę. „Obrzęd", właśnie „obrzęd". Rytualizacja ludzkiego losu, głęboko tkwiąca w kulturze japońskiej (wystarczy wskazać dramat *No),* kształtuje również styl filmu Kurosawy *Cień wojownika,* wychwalanego obecnie i nagradzanego na całym świecie. Oznacza ona naturalnie coś więcej, niż siłę pewnej tradycji stylizacyjnej. W tej historii z okresu japońskich wojen feudalnych w XVII stuleciu, która jest kanwą dla epizodu sobowtóra, sprawy tożsamości człowieka, nie ma żadnych rafinacji psychologicznych czy metafizycznych. „Wy Francuzi — uśmiecha się ironicznie Kurosawa, zapytany przez dziennikarza francuskiego o sens filmu — za dużo mówicie o metafizyce". A za mało (dorzuca) zastanawiacie się, czemu przypisać *une meilleure qualité* ludzi przeszłości w porównaniu z dzisiejszymi. Co kruszeje, zanika, obumiera? „Twarde jądro" człowieka, jego niezniszczalny niegdyś punkt oporu w obliczu losu, przemawiającego głosami swoich wielu zrytualizowanych *dramatis personae.* Wojny, na przykład, jak w *Harfie burmeńskiej.* Trwałości ludzkiego „ja", jak w *Cieniu wojownika.* Wszystko dziś staje się miałkie, względne, rozbite na setki elementów, widziane w setkach refleksów i załamań, pozbawione wspólnej nici. Pan swego losu w apogeum potęgi; oraz na ruchomych piaskach chaosu, zabłąkania, bezradności.

30 października

Odrobinę dla większej wyrazistości naciągając, można książkę Siniawskiego *W cieniu Gogola* sprowadzić do następującej tezy: natchniony, poetycki, swobodny i wyzwolicielski, „święty" czy w każdym razie „podobny do modlitwy", srebrzysty, pełen miłości śmiech *Rewizora* zamiera w *Martwych duszach;* a raczej przeobraża się w śmiech stetryczały, jałowy, zapowiadający (nic to że na stronicach bezspornego arcydzieła) dekadencję artystyczną „ojca prozy rosyjskiej", wysychanie jego źródeł twórczych,

pustkę w której przy blasku płomieni pochłaniających różne redakcje drugiego tomu miał się narodzić i stopniowo rozwijać, aż do samobójczej w praktyce śmierci, rzekomy „kryzys mistyczny" Gogola połączony z atakiem moralizatorskiego i kaznodziejskiego obskurantyzmu; rzekomy, skoro zdaniem Siniawskiego autor *Martwych dusz* nie tyle topniał jak rozjarzona świeca w mistycznej bliskości Boga, ile zapadał po prostu na nieuleczalną chorobę impotencji pisarskiej.

Siniawski jest bardzo wnikliwym i inteligentnym krytykiem, więc dość trudno pogodzić się z myślą, że dla samego tylko efektu połasił się na „oryginalną" kontrowersyjność z absolutnym prawie lekceważeniem istoty sztuki Gogola. Więcej nawet — istoty nowoczesnej literatury i nowej wizji człowieka. „Wyszliśmy wszyscy spod *Płaszcza* Gogola", miał powiedzieć Dostojewski. *Se non è vero* (tzn. czy tak naprawdę powiedział czy nie), *è ben trovato.* Ale o *Płaszczu* w książce Siniawskiego mowa jedynie półgębkiem, między pomniejszymi utworami Gogola. A przecież jest on swoistym pomostem od „świętego" śmiechu *Rewizora* do innego zupełnie śmiechu *Martwych dusz;* i prawdziwym centrum twórczości Gogola. Dla Siniawskiego zdaje się istnieć jeden wyłącznie „pełnowartościowy" śmiech, ten z *Rewizora;* pozostałe są „jałowe". Jakby nie dostrzegał powstania, właśnie w *Płaszczu,* śmiechu który z braku lepszej nazwy określę jako „egzystencjalny". Nie oklepany i banalny „śmiech przez łzy", lecz egzystencjalny w tym znaczeniu, że dobywa się z dna ludzkiej egzystencji. Max Brod wspomina, że Kafka czytał swoje utwory przyjaciołom pokładając się ze śmiechu. O taki śmiech chodzi także w *Płaszczu,* a później w *Martwych duszach.* Nie słyszeć jego nowej tonacji, przenikającej do szpiku kości, jest zaiste dowodem nagłego ogłuchnięcia. Niespodzianego u Siniawskiego.

W papierach pośmiertnych Nabokowa znaleziono cykl jego wykładów uniwersyteckich o Kafce, w sumie zanadto pedantycznych i belferskich, ale odkrywczych przez niezwykłe na pozór zestawienie: *Płaszcza* Gogola i *Metamorfozy* Kafki. W „absurdalnym świecie" stają obok siebie „patetycznie absurdalny" Baszmaczkin i „tragicznie absurdalny" Gregor Samsa. Usiłują na próżno wyrwać się do „ludzkiego świata"; i umierają w rozpaczy.

Baszmaczkina sam niegdyś postawiłem w dzienniku obok kopisty Bartleby z noweli Melville'a. Wszyscy trzej — rosyjski Baszmaczkin z roku 1841, amerykański Bartley z roku 1856, środkowoeuropejski Samsa z roku 1912 — lepiej wykreślają agonię tradycji romantycznej i wchodzenie w epokę martwych dusz.

31 października

W powieści Kundery *Księga śmiechu i zapomnienia* powtarza się ironiczny motyw. W lutym 1948 Klement Gottwald przemawiał z balkonu pałacu barokowego w Pradze do stutysięcznego tłumu na Rynku Starego Miasta. Był mróz, sypał śnieg, a Gottwald przemawiał z gołą głową. Towarzyszący mu na balkonie Klementis zdjął w pewnej chwili z głowy czapkę futrzaną i troskliwym gestem wsadził ją na głowę Wodza. Ani Gottwald ani Klementis (powieszony w cztery lata później) nie wiedzieli, że przez wiele lat po schodach owego pałacu barokowego wbiegał codziennie do niemieckiej szkoły na pierwszym piętrze chudy i chorowity chłopiec, niejaki Franz Kafka. I że na parterze tegoż pałacu mieścił się sklep jego ojca, Hermana Kafki, z kawką wymalowaną na szyldzie koło nazwiska.

5 listopada

Isaiah Berlin opisuje swoje spotkania z Pasternakiem i Achmatową. Achmatową odwiedził w Leningradzie w roku 1945. Jej izolacja od świata była tak kompletna, że gość z Anglii okazał się drugim spotkanym przez nią od rewolucji cudzoziemcem. Pierwszym był nie wymieniony z nazwiska Polak. A może wymieniła nazwisko Czapskiego, lecz Berlin go nie zapamiętał?

Wielogodzinna rozmowa nocna zeszła na upodobania i antypatie literackie Achmatowej. Uwielbiała Dostojewskiego i Kafkę. „Kafka pisał dla mnie i o mnie, uważam go za pisarza większego od Joyce'a i Eliota; nie wszystko rozumiał, wszystko rozumiał tylko Puszkin". Nie znosiła Tołstoja, „potwora próżności i wroga wolności"; raziła ją ciągła nuta fałszu w tołstojowskich „kazaniach".

Berlin nie jest pewien, czy o swojej niechęci do Tołstoja mówiła całkiem na serio. Nie mam takich wątpliwości. I podzielam, przynajmniej częściowo, tę niechęć.

Trudno o jaskrawsze świadectwo próżności, niż ogromny dziennik Tołstoja (trzynaście tomów na dziewięćdziesiąt pełnego wydania pism). Nawet przysięgli „tołstojowcy" przebąkują tu o „narcyzmie", a są wśród nich i tacy, którzy niestrudzone czernienie przez Mistrza *zapisnych książok* i *dniewnikow* tłumaczą bliskim niekiedy sąsiadowaniem geniuszu pisarskiego z „organiczną grafomanią". Sens tej rosnącej w ciągu sześćdziesięciu lat góry zeszytów wyraża zapis: „Tołstoj naciska na *mnie*. Kłamie. *Ja, Ja,* jestem tylko *Ja,* a on, Tołstoj, jest tylko śmiesznym i głupim widmem".

Gdy własna osobowość staje się kłamliwym, śmiesznym i głupim widmem, do czego może pretendować to odłączone, suwerenne Ja? Nie do roli zwornika czy rdzenia osobowości, skoro odpycha ją jak dokuczliwą i natrętną zjawę. Nie do roli ogniwa łączącego z Bogiem, skoro Bóg chrześcijański przemawia do człowieka poprzez jego osobowość. Do czego zatem? Do wygrodzonego przed światem i Bogiem obszaru *sancta sanctorum,* w którym Tołstoj ma nadzieję wywyższyć się ponad samego siebie i ponad Boga. Czyli do nudnego na ogół (oczywiście z przebłyskami, tu i ówdzie, zapisów wstrząsających, wyrwanych ze ściśniętego gardła) rejestrowania wprost lub pośrednio dziejów swej próżności, ba — miejscami pychy. W dzienniku Tołstoja chciałoby się odczuwać podskórną obecność wielkich protagonistów jego powieści i opowiadań, ludzi którzy byli tworem i jego wyobraźni i jego osobowości. Odczuwa się obecność tylko jednego: księcia Kasackiego, Ojca Sergieja, za młodu oficera przybocznego pułku cesarskiego, potem mnicha i eremity, w końcu pielgrzyma z sekty wędrownej, człowieka który do nieskażonego niczym, czystego Ja dotarł w drodze unicestwienia własnej osobowości. Musiały maczać palce w tym triumfie siły nieczyste...

8 listopada

Nie należą w Neapolu do rzadkości, zwłaszcza w mniejszych kościołach „dzielnic ludowych", sceny głośnych suplik i skarg przed ołtarzem: ktoś klęczący podnosi nagle głowę, albo podnosi się z klęczek, i wybucha szybkim, gwałtownym krzykiem, jakby nie ufał że będzie naprawdę dosłyszana modlitwa bezgłośna. Są to wybuchy krótkie, kilka przygotowanych może zawczasu zdań, po nich zapada znowu cisza, zgorszone spojrzenia modlących się znikają pod opuszczonymi na powrót powiekami.

Takiej sceny jak dziś po południu u Świętej Klary nie widziałem dotąd nigdy. W olbrzymiej pustej nawie oświetlony był tylko jeden boczny ołtarz. Gromadka ludzi, głównie dzieci o rozbawionych twarzach, otaczała siedzącą w pierwszej ławce kobietę, rozczochraną, nędznie ubraną, nie więcej chyba niż pięćdziesięcioletnią, wpatrzoną w krucyfiks, obrazy i światło żarówek na ołtarzu z chłodną intensywnością bezbarwnych, prawie przezroczystych oczu; i równomiernym, mocnym, podobnym do metalicznego szumu głosem mówiącą, opowiadającą, mówiącą, opowiadającą... Bez ani jednej przerwy czy przestanku, bez najlżejszego załamania głosu, jak spieniony i rwący potok, który po

odwilży znosi z gór wszystko cokolwiek napotkał po drodze. „Mówi tak, opowiada od godziny", szepnął mój sąsiad. „Pewnie wariatka, pewnie zwolniono ją niedawno z zakładu". A jednak staliśmy nieporuszeni, słuchaliśmy w napięciu, nawet na twarzach dzieci gasły stopniowo uśmiechy.

Co mówiła, co opowiadała, nie jest możliwe do powtórzenia a tym mniej streszczenia. W jej monologu strzępy własnego życia wlokły za sobą inwokacje do „Madonny, Jezusa i Wszystkich Świętych", błagania przeplatały się z oskarżeniami i przekleństwami, oskarżenia i przekleństwa wyszarpywały z wirów strzępy własnego życia, i tak w kółko, w zamęcie, w jasności, w zamęcie, w jasności...

Przyglądał się temu i przysłuchiwał stojący opodal zakonnik franciszkanin. Gdy rozległy się trzy uderzenia dwonu Świętej Klary, przepchnął się do kobiety, położył jej rękę na ramieniu: „Moja córko, także dobry Bóg bywa czasem zmęczony". Urwała w pół słowa, wytrącona z transu: „Jestem bardziej zmęczona od Niego". Ale wstała natychmiast z ławki, zarzuciła sobie na plecy pękatą torbę i, nie patrząc na nas, podreptała ku wyjściu.

11 listopada

Sierpień zburzył pewien schemat robotnika polskiego, dość rozpowszechniony wśród inteligencji, po części zbudowany z pobożnych życzeń i tęsknych westchnień, przeważnie jednak ze skrajnego sceptycyzmu (słówko „robol" powstało w Polsce). Może będzie z tego nareszcie wyciągnięta trwała nauka, że zdobycie rzeczywistej wiedzy o społeczeństwie zamkniętym jest przedsięwzięciem w dużej mierze beznadziejnym; a wyrokowanie o stanie społeczeństwa zamkniętego, o tym co myślą i czują, jak się odnoszą do ustroju obywatele państwa totalitarnego, graniczy z chiromancją. Bywa to czasem chiromancja błyskotliwa i nader pomysłowa, ale nie zmienia to jej zasadniczego charakteru czytania z kart, z ręki, ze szklanej kuli. Przy zachowaniu wszelkich proporcji i odrębnych „specyfik" — ZSSR nie jest Polską — znakomity pisarz Zinowiew ma w sobie coś z pomysłowego i błyskotliwego chiromanty jako krynica „gorzkiej, lecz realnej" wiedzy o społeczeństwie sowieckim. Społeczeństwo zamknięte odsłania swoje bardziej autentyczne oblicze w momentach głębokiego kryzysu; słowem, gdy się otwiera. Polskie otworzyło się najszerzej w sierpniu.

To co zaszło wczoraj w Warszawie — usunięcie dogmatu

„kierowniczej roli partii" ze statutu samorządnych związków zawodowych i poprzestanie na jego obecności w aneksie gdańskim — jest niezmiernie ważnym osiągnięciem „Solidarności". Ale przywódcy i eksperci „Solidarności" wiedzą doskonale, że doniosłe osiągnięcie instytucjonalne oczyszcza tylko pole na którym codziennie, w konkretnych działaniach, partia dochodzić będzie pełni swej nadkruszonej mocno „kierowniczości", a społeczeństwo bronić porcji swej wywalczonej ciężko samorządności. Sytuacja eufemistycznie zwana „geopolityczną" wymaga, aby układ „ani zwycięzców, ani zwyciężonych" utrzymał się jak najdłużej. Partia spróbuje się wzmocnić, „Solidarność" musi równolegle okrzepnąć. Jeśli równowaga zostanie przez którąś ze stron gwałtownie zachwiana — jeśli, prościej mówiąc, partia albo „Solidarność" nie oprze się pokusie (bądź presji w kierunku) decydującej konfrontacji — nastąpi katastrofa.

Usiłując się wzmocnić, partia sięgnie po wszystko co jest jeszcze w jej orbicie żywe i zdatne do użytku. Zdrowy rozsądek nakazuje więc, żeby „Solidarność" nie rezygnowała z niczego co jest cenne w jej orbicie. Irytujące są częste ostatnio (u niektórych publicystów z kraju związanych z opozycją) wezwania do korowców, aby w imię nieobciążania „Solidarności" swą hipoteką polityczną wycofali się chwilowo w cień. Rzecz tu nie w niemoralnym posmaku takich wezwań, zważywszy że wzywający deklarują z niewątpliwą szczerością swój podziw i respekt dla „historycznych zasług" KOR-u. Rzecz w ich naiwności i krótkowzroczności. Postulat „nieprowokowania władz" jest zawsze narzędziem w rękach władz, nigdy samoobronnym choćby narzędziem w rękach podwładnych. Kto jest a kto nie jest „elementem antysocjalistycznym", orzeka na danym etapie partia. Na następnym, gdy poniewczasie rozwieją się złudzenia korzyści płynących z „nieprowokowania władz", przyjdzie kolej na wskazanie przez partię świeżego garnituru „elementów antysocjalistycznych". A przecież największą siłą „Solidarności" — kto wie czy nie jedynym programem, jaki społeczeństwo może obecnie przeciwstawić reżymowi — jest proste hasło zawarte w jej nazwie.

20 listopada

W procesach moskiewskich lat trzydziestych kolejne ekipy na ławie oskarżonych nosiły nazwę „bloków". Pekińska dziesiątka podsądnych nazywana jest „bandą". „Blok" czy „banda", ceremonia „ideologiczna" w Pekinie niewiele się na pozór różni

od ceremonii moskiewskich; nawet opasły przewodniczący trybunału chińskiego przypomina sędziego Ulricha.

Na pozór, gdyż należy ją raczej porównywać z drugim „ideologicznym" stadium w ZSSR, którego ukoronowaniem było usunięcie zabalsamowanej mumii Stalina z Mauzoleum. Przebieg i wynik XXII Zjazdu nasuwały na myśl epizod opowiedziany przez Gregoroviusa w *Historii Rzymu w Średniowieczu:* następca papieża Formozjusza wytoczył mu pośmierny proces, rozkazawszy wnieść na salę obrad synodu i posadzić w fotelu jego mumię; po zasądzeniu oskarżonego na drugą śmierć, jego zwłoki wrzucono do Tybru. Proces tego typu odbywa się obecnie w Pekinie. „Banda" sądzona jest w zastępstwie dwóch trupów: zabalsamowanej mumii Mao i zwęglonych zwłok Lin Piao. Na ławie oskarżonych dobijana jest „rewolucja kulturalna", ostatni krzyk „ideologiczny" komunizmu. Ceremonia pekińska zakończy się jej definitywnym pogrzebem. I symbolicznym wrzuceniem obu trupów do Żółtej Rzeki.

Nikt już nie uczestniczy z daleka duchem w pekińskim pogrzebie, nikt nie opłakuje „rewolucji kulturalnej" rzęsistymi łzami. A tak była niegdyś kochana i czczona, tak często widziano w niej akt na miarę tez Lutra przybitych do drzwi zdeprawowanego kościoła! Tyle miała na Zachodzie naturalnych i przybranych dzieci! Gdzie się podziały biedne sieroty „odnowionej nareszcie (w Pekinie) lewicy"? Ze starszych wymieńmy Sartre'a, który jeszcze w roku 1972 oczekiwał od *révolution culturelle* zbawiennego zniszczenia państwa; aby krótko przed śmiercią wyciągnąć, na znak zgody, drżącą rękę do „prawicowca" Arona.

Trzeba też wymienić Althussera, wraz z miłosierną inwokacją: zlituj się, Wielki Boże, nad jego udręczoną duszą... A młodsi? Według znawców przedmiotu, tzn. badaczy wałkowanego bezustannie „zmierzchu" czy wręcz „krachu ideologii", uczepili się w swoim sieroctwie ostatniej deski ratunku, rozmaitych (terrorystycznych lub biernych) form nihilizmu. Słowem, powrót kwiatów do korzeni.

Podczas wojny wydano w Londynie książkę *The Ten Commandments:* dziesięć rozdziałów dziesięciu sławnych pisarzy na temat Dziesięciorga Przykazań. Przedmowę do niej napisał Hermann Rauschning, autor *Rewolucji nihilizmu,* przytaczając ze swoich notatek wściekłą tyradę Hitlera przeciw Kamiennym Tablicom w imię własnych Tablic Nowego Prawa. W roku 1936 Bucharin, w rozmowie z Nikołajewskim w Paryżu, wstydliwie, z zażenowaniem, odkrywał w przeczuciu swego bliskiego końca wagę Dziesięciorga Przykazań. Był to jego poufny testament. W dwa lata później wyznaczono mu rolę prowodyra „ideologicznego" w procesie „bloku prawicowego".

24 listopada

Wczoraj, siódma trzydzieści pięć wieczorem. Myłem ręce w łazience, do szumu wody dołączył się inny szum, jakby kamienny. Mur spęczniał, sufit obwisł wybrzuszeniem. W pierwszej chwili, zatoczywszy się lekko i pamiętając sierpniowy atak zawrotów głowy, pomyślałem że to powtórka. Naraz ogarnęło mnie, a właściwie przeszyło, uczucie którego nie umiem opisać. Nie, nie strach, znam strach dobrze, jest w nim świadomość konkretnego źródła zagrożenia; i świadomość, że istnieje przecież jakieś wyjście. Tu nie. Tu osaczało coś bezkształtnego, nieodpartego i wszechobecnego, coś daleko poza mną, tuż obok i równocześnie we mnie.

Z podwórza dobiegł krzyk *terremoto,* podbity zaraz dłuższym *la terra trema.* Częsty to w naszych stronach krzyk, dużo w moim dzienniku zapisów o trzęsieniu ziemi. W jednym mowa o tutejszym „atawizmie klęsk żywiołowych"; w innym o „atawistycznej grozie"; w jeszcze innym o tym, że trzęsienie ziemi „podcina w człowieku elementarne, pierwotne poczucie własnej egzystencji", bo „wymyka się zmysłom", jest dziełem „siły kapryśnej, ślepej, mrocznej, nieświadomej swej potęgi". Niby prawda, a jednak słowa, słowa, słowa.

Wybiegliśmy na podwórze, do zbitych w gromadkę lokatorów domu. W kierunku Mergelliny niebo wieczorne zaciągnęło się chmurą kurzu. Wyły syreny, zaryczały statki w porcie. Ulicą walił tłum, ku morzu, ku ogrodowi miejskiemu, ku wielkim placom. Wiedziano już, że na Poggioreale rozsypała się dziewięciopiętrowa kamienica jak dziecinny kopczyk z piasku na plaży (na dziewiątym odbywał się huczny chrzest noworodka). Twarze ludzi określanych tu *terremotati* mają zawsze ten sam wyraz. Po co silić się na opisy, jeśli można po prostu powiedzieć: wyraz gruzów? Taki sam wyraz ludzkich twarzy widziałem dziś na ulicach i placach Neapolu (sklepy, urzędy i szkoły zamknięto, w domu lepiej nie siedzieć, do kościołów lepiej nie wchodzić — ostrzeżeniem jest rysa na starej kampanili Świętej Klary), w reportażach telewizyjnych z Kampanii, Lukanii i Irpinii. Reporterzy telewizyjni za szczyt technicznej sprawności uważają możliwość przybliżenia słuchaczom jęków dobywających się z głębi zburzonych domów. Nie odróżnia się głów pochylonych nad gruzami od odwalanych kamieni. Płyną cyfry zabitych, rannych, zaginionych, ogląda się zwłoki układane obok siebie w równych rzędach, jakaś kobieta przeciska się między zwałami kamienia z martwym dzieckiem przyciśniętym kurczowo do piersi. Czego nie da się powiedzieć jasno, nie należy mówić

w ogóle. Zamiast słów, słów, słów, zdanie które zawiera może najwięcej: człowiek starty na proch jednym uderzeniem Nieznanej Ręki. To ona budzi uczucie inne niż strach, niemożliwe do opisania, obecne mgliście nawet w milczeniu.

25 listopada

Późna noc, właściwie bliski świt. Czekanie na to, co w języku sejsmologów nazywa się „kolejnym wstrząsem uporządkowania". Bywa takich wstrząsów masa: niektóre odnotowywane są wyłącznie przez sejsmografy, bo słabe, w skali Mercalli nie wykraczające poza punktację 3; inne mocniejsze, aż do 6 lub 7, a więc wyczuwalne dla ludzi, niekiedy groźne dla naruszonych już budynków. Kilka minut przed trzecią wyrwał mnie z płytkiej drzemki w fotelu nieoczekiwany w tej porze roku śpiew ptaków w ogrodzie sąsiada; dziwnie podobny do żałosnego kwilenia piskląt, ale bardzo intensywny i jak gdyby nerwowy, alarmujący. Zagłuszyło go po chwili chóralne wrzeszczenie okolicznych kotów na nutę rozjuszonego lamentu. W końcu zawyły razem psy sąsiada. Jutro dowiem się pewnie, że o tej godzinie ziemia drgnęła od „kolejnego wstrząsu uporządkowania". Ledwie dosłyszalny był ów szczególny szum kamienny w murze koło okna.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pielgrzymka

„Bije godzina ranna,
Masy rzekły: Hosanna!"
J. Słowacki

I

Władysław Reymont jako początkujący pisarz został poddany przez Wydawnictwo Gebethnera takiemu sprawdzianowi: pójdzie z Pieszą Warszawską Pielgrzymką do Częstochowy i napisze reportaż. Poszedł, a zapis z tego wydarzenia zapoczątkował jego kontrakt z tym wydawcą trwający do końca życia.

Pierwszą Pielgrzymkę z Warszawy do Częstochowy poprowadzili Paulini w roku 1711. Reymont wziął w niej udział w 183 lata później. Oto jak zanotował moment wyjścia ze stolicy w roku 1894: „... patrząc na tych gapiów trotuarowych, co bandami stoją i przeprowadzają nas głupio-ironicznymi spojrzeniami, na tę wstrętną tłuszczę drwiącą z idących, poczułem szaloną ochotę spoliczkowania jej..." „Tempora mutantur...".

Jest szósty sierpnia 1980 roku.

W Alei Krakowskiej formujemy się ostatecznie. Niektórzy doszlusowują z autobusów miejskich i PKS-ów, inni — z tłumu żegnających, którzy przyszli tu rano z familiami, bambetlami i żarciem, wypełniając szczelnie chodniki i pobocza. Zostaną tak do popołudnia, aż przejdzie ostatni pielgrzym. Wiedzą wszystko o Pielgrzymce — o jej strukturze socjalnej i geograficznej, kto pod jaką banderą, czyli pod jakim kolorem krzyża — biało-żółci, szmaragdowi, miedziani... — proszę bardzo! Nawet to wiedzą, że jeszcze teraz, w marszu, kto chce, może się zapisać i pójść...

◆

Już w lipcu w korytarzach „św. Anny" w Warszawie ustawiały się kolejki do stolików, nad którymi wisiał transparent:

„Studenci całego kraju idą w Siedemnastkach"; pod spodem ktoś dopisał ołówkiem: „niewierzący też".

Wpłacało się 200 zł, a otrzymywało drewniany krzyż na szyję, plakietkę na agrafce z liczbą „17" i napisem „269 Piesza Warszawska Pielgrzymka na Jasną Górę" oraz „list przewodni" z zakazami i nakazami pielgrzyma: Pielgrzymowi nie wolno pić ani palić, nie wolno chodzić w szortach ani podwiniętych koszulach; namioty i stodoły nie są koedukacyjne — Pielgrzymka nie ma charakteru rajdu, nie ma też ognisk, nie ma „panów" — mówimy sobie „bracie, siostro" albo po imieniu. Mamy prawo do czarnej kawy z Kwatermistrzostwa dwa razy dziennie oraz zupy — co drugi dzień. Należy zabrać dużo skarpet, butów i plastrów, jak również dużo rzeczy od słońca i od deszczu. Nadto: staramy się zapomnieć o sobie, a czynimy dobro drugiemu, zwłaszcza nie należącym do naszej wspólnoty lokalnej. Podpisano: Brat Przewodnik.

Choć formalnie wszyscy idziemy „pod Paulinami", ścisłych grup paulińskich jest szesnaście. Grupa siedemnasta to Duszpasterstwo Akademickie, oznaczone literami „DA" — czyli studenci. Mówi się o nich w liczbie mnogiej, Siedemnastki, ponieważ składają się z 38 podgrup regionalnych.

Studenckie Siedemnastki oraz Piętnastki złożone z kolei z młodych robotników i uczniów (z samego Radomia aż sześć podgrup!), stanowią nową rzeczywistość Pielgrzymki. Liczebnie są połową całości, duchowo — siłą napędową, która decyduje o dynamizmie i charakterze całej imprezy.

Ilu jest wszystkich? Jedni wymieniają liczbę stu, drudzy pięćdziesięciu tysięcy. Jakby nie liczyć — kilka dywizji.

Każda podgrupa stanowi odrębną „jednostkę administracyjną", z własną radiofonią, programem i władzą w postaci księży, czyli przewodników.

W marszu jednostka wygląda tak: najpierw idzie Znak, czyli krzyż na kiju, potem głośnik, mikrofon, znów głośnik, a na końcu, gdzie głosy dwu sąsiadujących ze sobą grup zlewają się w jeden szum, odbywa się nieustanna spowiedź. Księża w strojach służbowych (sutanna, komża, stuła), w ręku często siatka z pomidorem, jabłkiem, termosem. Program wykonywany na trasie. Na postojach (co 6-8 km) pielgrzymi padają jak kłody: głowa w rów, nogi nad rów, i dyszą. Przeciętna dzienna do przejścia: 30 km, łączny kilometraż: 245 km w ciągu dziewięciu dni.

◆

Gdy od strony miasta zbliża się czoło Pielgrzymki, w kościele raszyńskim zaczynają bić dzwony. Idziemy ze śpiewem, z chorągwiami, z kalekami, z dziećmi (najmłodszy pielgrzym ma cztery miesiące); plecaki, chlebaki, sakwy; manierki i kubki u pasa; czapki z napisami: „Trybuna Ludu", „John Travolta", „Moskwa 80"...

Krzyż i Tablica wchodzą na moment do kościoła, reszta przysiada na asfalcie, je, polewa się wodą, pokrzykuje, odpowiada na wiwaty z chodnika. Przed kościołem targ: cena foliowych płaszczy jednorazówek skacze ze złotych czterdziestu do stu dwudziestu. Kubły z kompotem, szlauchy z wodą, doprowadzone z willi badylarzy, „lody, śmietankowe lody!"...

Młoda zakonnica „od Piętnastek", smagła, zalotna, gryzie jabłko, podnosi wysoko tamburin i intonuje żywiołowo: „Królowo Polski, przetrzyj drogę...!". Ruszamy.

Słońce przeszło już na drugą stronę, a my idziemy, idziemy...

Z cudzoziemców najwięcej Włochów, dwie odrębne grupy, z plakietkami „Italia — Częstochowa", chyba w sumie ponad tysiąc osób, głównie młodzież z ruchu „Comunione e Liberazione". Niemców z obu państw jeszcze więcej, ale porozrzucani po grupach, podobnie jak Słowacy, bez flag narodowych. Większość „innostrańców" grupują Karawaniarze (element wielbłąda) pod przywództwem duszpasterstwa poznańsko-gdańskiego. Z KDL-i idą też Węgrzy z wielką flagą, no i ogromna kompania Francuzów.

Właśnie nadchodzi. Pierwszy szereg, jak sportowcy, ma przyczepione do piersi litery składające się na słowo „Francja", więc z tłumu łatwo rozpoznać i krzyknąć: „Niech żyje Francja!"; flagi włoska i węgierska mylą się, więc z chodnika wiwaty dla tych i tych.

Włosi wyskakują z kolumny, obłapiają publiczność, nawołują i mrugają porozumiewawczo: „Madonna nera, Madonna nera...".

Potem znów Polacy: karny „niebieski" Białystok z okrzykiem: „Białystok żegna serdecznie i grzecznie!". Więc: „Niech żyje Białystok, niech żyje Podlasie, niech żyje Polska wschodnia!". Czyjeś oczy wyławiają w szeregach rozsiane proporczyki czeskie: „Niech żyje Czechosłowacja!". W odpowiedzi rozanielone spojrzenie i pomruki: „ano, ano...". Niemcy mniej żywiołowi, skupieni, poważni, śpiewają psalmy z wielkich modlitewników.

Głos z tłumu: „Niech żyją Niemcy!". Nie krzyknę, ale pomacham, może będą lepsi...

Międzynarodowa E-7. Porządkowi nie pozwalają się rozłazić, delikatnie, ale nieustępliwie spychają nas na pobocze ze słowami: „lewa wolna, lewa wolna...". Regulują ruch za pomocą skomplikowanego wpuszczania samochodów w odstępy między grupami. Kierowcy wysuwają głowy, oglądając tych samozwańczych „milicjantów" z krzyżami na piersiach, potem unoszą rękę na znak

aprobaty. W górze trzy — wojskowe czy milicyjne? — helikoptery, do których dziewczyny wydzierają się wniebogłosy z pozdrowieniami.

Ludzie z autobusów, furtek, okien, zza siatek, machają nieustannie rękami; odmachujemy, ręce stale w robocie, bo i do śpiewu potrzebne: podnosząc ramiona na trzy takty, wrzeszczymy refren starego negro-spiritual „Pełni mocy, wdzięczności i chwały...". Włosi to samo po swojemu, tyle że sto razy melodyjniej: „Pieni di forza, di grazia, di gloria...".

W ogóle, repertuar brawurowy. Powtarzający się motyw brzegu, kresu, śmierci w tym radosno-tanecznym tonie właściwym religijności Murzynów: „Bo ja mam pałac, hen, tam za górami, w tym pięknym kraju, gdzie młodość wciąż trwa..." albo: „Gdy kiedyś Pan powróci znów, obyśmy też tam byli...", albo: „I wznosimy nasze ręce, uwielbiając miłość Twą...", albo: „Boża miłość jak rzeka wypełnia duszę mą...". W ogóle masę o miłości. Przypominam sobie, jak w zeszłym roku prezydent Częstochowy powiedział mi ze zgorszeniem: „Idą bojówką, pod sztandarami, i śpiewają erotykę" i westchnął: „Aleśmy sobie młodzież wychowali...".

Więc na całego: „Śpiewaj, Hosanna!", „Jubilate, Deo!", „Witamy Was, Alleluja...!".

II

Pierwszy nocleg w Woli Mrokowskiej na ściernisku z dala od zabudowań. Ktoś cytuje wieszcza: „Trzy razy księżyc obrócił się złoty, gdy na tym piasku rozbiłem namioty...". Rzeczywiście, krajobraz księżycowy, szare pola i góra bagażu zrzucona z ciężarówek.

◆

Są tacy, których bardziej niż zmęczenie paraliżuje niemycie, niespanie, niejedzenie, a właściwie robienie tego wszystkiego w sposób zaimprowizowany. Inni, o duszy traperskiej, odwrotnie, w pełnej mobilizacji, już rozbili namioty, zdobyli wrzątek, kawę, nawet zupę wiśniową z kluskami. Podział na ofermy i sprytnych utrzyma się do końca, zresztą nie antagonistyczny, mitygowany tym prawdziwym „duchem braterstwa i przyjaźni". (Żebranie jak najbardziej w modzie).

O czwartej trzydzieści klekot kołatek (pokrywa o pokrywę z kuchni polowych). Ciemno, szczękanie zębami, szron, na niebie bardzo wyraźny „znak Mahometa" w postaci rogala księżyca

z gwiazdą wewnątrz. Z brzaskiem gwiazda blednie i oddala się gwałtownie, jakby ciągnięta za sznurek, zjawisko znika...

Już na szosie. Odbij-dobij, „Kiedy ranne...", zapowiada się piękny dzień.

W Woli Mrokowskiej odłączyła się indywidualna, maleńka grupa Niemców. Brakowało im diety owocowo-białkowej. Odjechali w betach swoim autocampem z podnoszonym dachem, do zobaczenia na Jasnej Górze, pa, pa...!

Pierwszy odpoczynek w Tarczynie po grupach paulińskich, które wykupiły całe miasto: ptibery, oranżadę i tenisówki. Reymont napisał, że Tarczyn ma 74 domy i 24 szynki oraz pełną obsadę usługową, z ekspresowym zelowaniem butów włącznie. My siadamy na wygniecionym skwerku i żujemy czerstwy chleb...

◆

Od Tarczyna rozpoczyna się zagłębie sadownicze Grójecczyzny. Idziemy pospiesznym marszem przez las jabłoni. Od mikrofonu „konferencja" historyczna na temat upadku Rzeczypospolitej. Prelegent zaczyna od serialu *Korzenie*, „który wszyscy znamy", i od mniej wszystkim znanego listu Piotra Czaadajewa do cara. „Był taki naród — pisze Czaadajew do cara — który miał własną kulturę i tradycję, ale myśmy ten naród zniszczyli — tym narodem są Polacy". I dalej, o dwu nurtach w naszej tradycji — republikańskim i pańszczyźnianym.

Nurt republikański ma u nas tradycję dłuższą niż we Francji (przykłady: *neminem captivabimus*, Żydzi, arianie, w ogóle, tolerancja religijna). „Osobiście dumny jestem, że miałem króla — mówi prelegent — wcale nie specjalnie dobrego, ale który w dobie, kiedy w Europie panowało prawo *cuius regio eius religio*, powiedział narodowi: 'Nie jestem królem waszych sumień' ". I dalej, o poczuciu demokracji szlachty, która na sejmikach optowała mądrze, często za innowiercą, jeśli tylko wykazywał się kwalifikacjami...

Tradycja pańszczyźniana natomiast czerpie swój rodowód z naszego stosunku do czerni, do żywiołu osadzanego na kresach, które Rzeczpospolita traktowała jak kolonię, nie dopuszczając tamtejszych przedstawicielstw do pełnoprawnego uczestnictwa w instytucjach państwa. A kiedy się o takie prawo upominali, bo przecież są dziećmi tej samej matki, to im odpowiedziano, że owszem, są, ale takimi, którym trzeba od czasu do czasu przycinać włosy i paznokcie. I zaraz rzeź humańska, i odwety, i wojny kozackie, które rozpoczynają okres rozpadu państwa...

Wszystko to jest mówione przystępnie, łacina tłumaczona, postaci i trudniejsze słowa objaśniane.

Prelegent przypomina, że już w XX wieku, w Polsce międzywojennej, żyło pięć milionów Ukraińców w poczuciu krzywdy, polonizowano ich na siłę. Witos w pamiętnikach wspomina, jak fałszowano głosy ukraińskie w wyborach. I to był właśnie ciąg dalszy naszego haniebnego stosunku do czerni...

Głos polemisty w mikrofonie: „Polskę zgubił nie stosunek do czerni, ale kwietyzm tak wychwalanej tu szlachty. Hołdowała zasadzie: byle się urządzić! Jak będziemy cicho siedzieć, to się nas nie będą czepiać. No i siedzieli cicho, obrastając w majętności.

Wojny były domeną magnatów, toczono je wojskiem najemnym, szlachta się bić nie chciała ani nie umiała. Jak przyszło do tak zwanego okazowania, czyli prezentacji tego, czym dysponuje w razie pospolitego ruszenia — nikt się nie stawiał...".

I dalej: że kwietyzm szlachty można odnaleźć w dzisiejszych postawach neomieszczańskich: „niech na całym świecie wojna, byle moja dacza spokojna...", a znów prywatę magnaterii, w postawach kacykowskich — w rozszarpywaniu tego postawu sukna Rzeczpospolitej...

Dyskusja odbywa się niemal w biegu, kwietyzm szlachty grzęźnie w szybkim oddechu mówiącego, młody dyskutant (z tych niezmordowanych) chciałby jeszcze o Piłsudskim i Petlurze, ale oto Belsk, ktoś nadmienia, że miejsce urodzenia znanego działacza katolickiego z szesnastego wieku, Piotra Skargi; ostatnim zrywem wyśpiewujemy *à propos:* „Nie jesteśmy jeszcze w domu, jeszcze trochę trudu, a siądziemy nad brzegiem rzeki"... — i siadamy w sadzie księdza proboszcza.

Ksiądz proboszcz w Belsku kocha Pielgrzymkę. Karmi nas pięcioma rodzajami zup. Wkrótce danym nam będzie przekonać się, że to była ostatnia dobra zupa, później już tylko breja z pływającymi kulami zbitego proszku z torebek, przyrządzana przez męskich dyżurantów w kuchni polowej.

Mszy polowej w Belsku słuchamy w sadzie, gdzie kto siedzi, kto drzemie w popołudniowym słońcu. Księża chodzą między drzewami z Komunią w zakrętkach od termosów. Głos od ołtarza: „Kto jeszcze nie przyjął Ciała Pańskiego?". Las rąk: „Niech się kapłani przejdą w głąb, pod te grusze, i łamcie komunikaty na czworo...".

Już zmierzcha, a my jeszcze mamy przed sobą jeden etap. Ciężko ruszamy się z trawy. Tylko Niemcy karni: *Achtung, aufstehen!*, i wszyscy na nogach.

Gdy rozpoczynamy Godzinki, Francuzi milkną i słuchają.

Godzinki, te pogardzane do niedawna zawodzenia babek kościelnych, zrobiły na Pielgrzymce olśniewającą karierę.

„Zacznijcie wargi nasze chwalić Pannę Świętą — zawodzimy — zacznijcie opowiadać jej cześć niepojętą...".

Zachęcamy Francuzów, żeby refren śpiewali razem z nami: „Jak było na początku i zawsze, i ninie...". Kantor: „O Rodzicielko łaski, nadziejo grzeszących, o, jasna gwiazdo morska, o, porcie tonących..." i razem: „Jak było na początku i zawsze, i ninie...". I kantor: „O, miasto Pańskie bramo na wschód wystawiooona...".

III

Do Wodzicznej przybywamy w ciemności. W niskim sadzie gałęzie chwytają nas za włosy i ręce. Sielankowy nastrój, wywołany siedemnastowiecznym tekstem Godzinek, zostaje złamany nagłą dygresją. Taki dialog:

— Siostra zabrała moje szpilki i śledzie, proszę o natychmiastowy zwrot!

— A brat gwizdnął mi wierzchołek od masztu.

— Ja?!

— Tak, tak, brat...

Reymont w podobnych okolicznościach:

— Niech mi lepiej grzebienia siostra nie rusza i koszyka nie obmacuje...

— Ja zaraz klękam i modlę się, żeby Bóg nie ukarał siostry za to, co teraz powiedziała...

— Widzita ją, faryzejka! Stara Antyfona! Kratówka!

◆

Z Wodzicznej pochodzi kierowca naszej ciężarówki, bogacz, ma takich kilka na składzie. Tę podarowała mu żona na imieniny. Jeszcze niedotarta, ale „wziąłem ją, żeby zobaczyła Najświętszą Panienkę". Ta zbożna personifikacja pojazdu kłóci się z jego postępowaniem, wyjątkowo pazernym. Tak to w każdym razie widzimy z perspektywy pielgrzymów, z których opadła już masa przyziemności.

◆

Reymont napisał, że trzeciego dnia przychodzi kryzys. Nasza pielęgniarka patrzy nam bystro w oczy, a jak zauważy coś podejrzanego, każe otworzyć usta i pstryka „doping". Ma też cudowne środki na sraczkę i mazidła na nogi. Codziennie macza

igłę w spirytusie i pod latarką przekłuwa nam bąble... Rytuał równie ważny co marsz, modlitwa i program.

◆

Do Nowego Miasta przychodzimy tak skonani, że nie stać nas na zrobienie dodatkowych trzystu metrów do kotłów po zupę. Jakaś litościwa pątniczka oferuje mi bigos: „świeżutki z młodej kapusty, niech siostra bierze". Biorę, obdzielam swoich, którzy padli, jak stali. Potem wchodzimy do Pilicy i długo moczymy nogi. Ktoś mówi, że z Nowego Miasta pochodzi ojciec Hieronim Kuźmiński — osobistość niepospolita: zamknięty w carskiej twierdzy na głucho, stworzył zakon i kierował nim; niechybnie byłby kanonizowany, żeby nie Mariawici...

Zawsze na trasie znajdzie się taki objaśniacz — krajoznawca, łączący historię z regionem. Niektóre grupy są wręcz nastawione na program nawiązujący do idei regionalizmu, bardzo — ich zdaniem — na czasie, bo prócz walorów poznawczych, oczyszczającej z kompleksu prowincji.

Z tych okolic zapamiętałam widok z mostu: kilkadziesiąt tysięcy pielgrzymów stoi sztywno w rzece jeden obok drugiego. Nadbrzeżna plaża i upał potęgują wrażenie bieli, skojarzenie z Gangesem...

Za Pilicą morze piasku. Pył unosi się chmurą w górę. Dziewczyny założyły dla ochrony chustki jak czadory. Ten „przemarsz przez pustynię" przeznaczony jest tradycyjnie na modlitwę. W jednej z grup czyta się zebrane na kartkach „intencje": „Za Ryśka, żeby nie pił". Wszyscy: Zdrowaś Maria... „Matuchno kochana, żebym spotkała kogoś, z kim założyłabym wielodzietną rodzinę". Wszyscy: Zdrowaś Maria... „Za duszę brata Felka, który należał do naszej kompanii...". Zdrowaś Maria... W mikrofonie bardzo osobisty, wzruszony, męski głos: „Módlcie się za mnie...". Zdrowaś Maria...

IV

W Brudzewiczach burza. Bagaże, zwalone w łajno kurze, mokre i brudne. Każdy wyszarpuje swoje. Zamieszanie niepraw-dopodobne. Nagle pielgrzym do pielgrzyma na widok napisu na workach „Radziwiłł, Radziwiłł": „Patrz, to ci zdrajcy...", i napięcie natychmiast rozładowane.

Chronimy się kupą do najbliższej szopy koedukacyjnie, nie zważając na wywieszki: „stodoła sióstr", „stodoła braci". Jak zwykle ci, którzy desperacko starają się zapewnić sobie przestrzeń

życiową, są najbardziej poniewierani. Wygrywają natomiast przygodowcy: łapią nagle drugi oddech, strzelają dowcipem i mimo niebotycznych trudności, wyczarowują na słomie łany czerwonozielonych kanapek z ogórkiem i pomidorem.

W nocy błyskawice oświetlają stodołę jak scenę. Burza idzie seriami, pioruny trzaskają, jakby rozłupywały dach. Włosi, którzy dostają ataku strachu, odmawiają głośno Litanię. Pięknie to brzmi i egzotycznie. Zasypiam w jakiejś nieprawdopodobnej pozie, całkowicie uspokojona.

O świcie budzi nas głos Słonia. Jezuita, ale antyteza jezuickości; raczej jakiś „mniejszy franciszkanin", facet o nieprawdopodobnym wręcz kontakcie z ludźmi. Jeden z naszych przewodników. Zwykle idzie na końcu i spowiada, teraz stara się nas wywabić ze stodoły: „Słoń stoi i czeka, proszę was, stańcie za Słoniem...".

I znowu marsz, marsz, mijane pospiesznie krajobrazy jak widoki z okien pociągu.

Mam w oczach jeszcze taki obraz: Stół-krzyżak na dziedzińcu klasztornym. Pod nim góra zakrwawionych bandaży, na nim — flaszki z jodyną i gencjaną. Białe kornety zakonnic nad opatrywanymi stopami, biały klasztor, biały mur... Wrażenie jakiegoś filmu z pierwszej wojny.

Od klasztoru w Studziannem (tego, co to Hubal wszedł doń z wojskiem w rynsztunku na Mszę pod bokiem Niemców) rozpoczynają się pobożne strony opoczyńskie. W brzozowych gaikach ludzie z pierogami, jagodami i zsiadłym mlekiem, krygujący się przy zapłacie. Niestety, dla Siedemnastek, które idą na końcu, zostaje już tylko pazerność tych, którzy rozstawili na trasie swoje żuki z napisami w rodzaju: „Stanisława Knyć, użytek własny, Wołomin" i sprzedają „złotą rosę" po ruchomych cenach dyktowanych popytem (przeciętnie 20 zł za butelkę koli).

W sercu lasów opoczyńskich czeka nas niespodzianka: orkiestra dęta w pełnej instrumentacji. Trąby grają i błyszczą w słońcu jak lustra; obok dziadek na krześle z dzwonkiem w ręku. Dzwoni i woła dyszkantem do przechodzących: „Biedak uprasza braci pielgrzymów o wspomożenie". Ledwie to powie, dostaje kuksańca od rosłej kobiety: „Abo tata nie ma swego? Wstyd...". A on jeszcze cieniej: „Biedak uprasza pielgrzymów...".

I jeszcze taki obraz:

Milicjant na skrzyżowaniu szos. Dziewczyna wybiega z szeregu Pielgrzymki i daje mu różę. Jego mina, gdy dyryguje ruchem z tą różą w ręku... Oklaski.

Albo ten:

Grupa hipisów (na bosaka, dzwoniąca wiankami z kapsli) i mruczando: „Jezus-Maria, Jezus-Maria" na melodię „Rama Krishna"...

Prywatny fiat, który rokrocznie oddaje się do dyspozycji Pielgrzymki (w Opoczyńskiem dużo takich) i teraz stoi na leśnej ścieżce, żeby „wozić zasłabnięcia" — dzieli się z entuzjazmem obserwacją, że atak młodych roczników (czyli Piętnastek i Siedemnastek) zamieni Pielgrzymkę od wewnątrz w coś innego.

W Kunicach znowu feta: dzwony, flagi (nawet amerykańska), ludowe stroje, dzieci w bieli, jak do sypania kwiatków, chleb i sól. To samo w Zachorzowie, gdzie nocujemy. Gospodarze biją świnie, grzeją wodę i zbierają mleko — wszystko dla Pielgrzymki. Pozostawione po nas pobojowisko traktują jak należną pokutę: „za to, że my nie idziemy". Tylko jeden rolnik zwierzył mi się całkiem po cichu, że najgorsze są te ekskrementy za snopkami, bo gówno trafia do stodoły ze słomą, ale zaraz sumitował się szybko, że on rozumie, rozumie, przecież tyle narodu, więc nie można inaczej...

W Zachorzowie w nocy podrzucono ulotki: „Karol Wojtyła rozczarował". Podobno zeszłego roku treść była inna: „Niemcy strzelali do waszych ojców, a wy z nimi idziecie".

V

Na trasie Zachorzów - Reczków Nowy robię rajd przez grupy, podwożąc się, czym się da.

Zasłyszane urywki:

U Włochów:

Il senso del dolore di piede...

U „czarnych" szczeciniaków:

„Jesteście najbardziej świadomą cząstką tego narodu, nie zmarnujcie okazji, na miłość Boską!...".

U Piętnastek z tablicą „Maitri" (po hindusku: miłość); tych od Siostry Teresy z Kolombo (pokojowa nagroda Nobla, umieralnie dla konających z głodu): „Zrozummy się: Ruch MAITRI nie jest po to, żeby nawracać, tylko, żeby pomagać...".

U Francuzów:

Krótki rys historii Polski. Prelegent kończy pytaniem: „Pójdziecie teraz umierać za Gdańsk?" *Oui!*

Śpiew: „Od nas zależy, jacy będziemy za tysiąc lat...".

Rozmowy:

Głos męski: Będę miał dziesięcioro dzieci...

Głos damski: Lekko ci się to powiedziało...

Dziewczyna (III licealna) skarży się w mikrofon, że ma

w głowie doszczętny mętlik. Ojciec powtarza jej, żeby nie dała sobie nic wcisnąć. Ktoś w odpowiedzi radzi, żeby czytała, oficjalne i nieoficjalne, ktoś drugi, że czytanie do bani, niech działa, niech weźmie na siebie jakąś odpowiedzialność, choćby drobną, a zaraz jej się w głowie wyklaruje...

Z dyskusji o tolerancji:

Ktoś oburza się, że jedna z grup niesie na kijach wielkie powiększenie fotografii rozrywanego w łonie matki płodu. „Powiało imamem" — komentuje.

Z mikrofonu propozycja, żeby się teraz w zupełnym milczeniu pomodlić o ducha tolerancji dla każdego z nas i dla Kościoła. Przez pół godziny słychać tylko chrzęszczenie butów, potem: „Módlmy się: za braci innowierców, za braci ateistów, za tych, którzy się pod Twoją opiekę uciekają i za tych, którzy się nie uciekają, zdrowaś Maria...".

Miasteczko Podbórz. Wąskie uliczki, kocie łby jak gwoździe, skwar. Szybki marsz Pielgrzymki w górę ku potwornie odrapanej — ni to romańskiej? — fasadzie kościoła. Słyszę bardzo mocny i piękny śpiew: „Shalom, siostro, shalom...". I tak można.

VI

Na kwaterze w Raczkowie Nowym jak zwykle to samo, krzyki: „Wrzątku, słomy, noża...!". Gospodyni, samotna i młoda, tylko wzrusza ramionami. Wypatruje Zdziśka z Ochoty, który był tu z Pielgrzymką w zeszłym roku. Gdy Zdzisiek się ostatecznie pojawia — daje nam wszystko, tak że w końcu brak wody w studni...

Na szósty dzień odkrywam, że w jednej z grup czyta się odcinkami na głos Reymonta: „... Nikt nie dba, czy jadł, czy spał, czy jest chory, czy upał, czy zimno — tylko pada, podnosi się i idzie... Czuję, że w tej samej orbicie krążę, że ulegam przyciąganiu tego samego centrum... Dałem się porwać strumieniowi i płynę — dokąd? nie pytam, bo jest mi dobrze. Czuję, jakbym się coraz więcej zrastał z nimi... Nie jestem nawet wolą, jestem tylko pewną sumą mięśni, wprawionych w ruch i zautomatyzowanych... Kogóż tu można olśnić i czym, wobec hipnozy, jaką wywiera cel podróży? Będę chory, to mnie wsadzą na wóz i powiozą. Będę biedny, to bez tańczącej filantropii, nakarmią mnie. Umrę, to mi na jakim przydrożnym cmentarzu usypią mogiłę i pójdą, a gdy tędy przechodzić będą, rzucą gałąź tarniny...". Czuję to samo. Moja rzeczywistość jest tu, w szeregu,

w marszu, w padaniu i wstawaniu, w tępym bólu mięśni, w ciele wytrenowanym do niewygód. Zasłyszany dźwięk radia, migawki z telewizji, tabliczka urzędowa na murze — wydają mi się czymś zupełnie nierealnym.

◆

Pielgrzymi dzielą się na tych, co wolą w deszcz, i na tych, co wolą w upał. Ponieważ należę do tych drugich, więc na etapie do Soborzyc cierpię — leje potwornie. W okolicach Sekurska wchodzimy w regularne bagna, spotęgowane powodzią. Szyk łamie się, ludzie idą w rozsypkę, szukają przejść w zdradliwych kępach trawy. Pod brzozą, jak przy wypadku drogowym, białe fartuchy nad nieruchomym ciałem — dziewczyna straciła przytomność. Ktoś mówi, że w naszej Pielgrzymce były dwa zgony, ktoś inny, z okrutnym realizmem, że niedużo jak na taką liczbę ludzi.

W Soborzycach walę prosto na budynek szkoły. Wiem, że szkoła się przede mną nie otworzy, ale wierzę w nauczycieli. I rzeczywiście, dyrektor lokuje nas po kolegach, gościnność niesłychana, a nocą — długie rodaków rozmowy...

Nazajutrz dalej w deszczu, w zmordowaniu, ale już wszyscy wiedzą, że dojdą. Babina zgięta w pałąk, na plecach plastykowy worek, z którego prześwitują kamienie — niesie swoje grzechy na Jasną Górę. Nagle staje, podnosi kij i pokazuje: „O, ta saradela latoś marna...". Pięćdziesiąty raz na Pielgrzymce. Jubileusz.

Most nad Wartą i oberwanie chmury. Cały urok Jury Krakowsko-Częstochowskiej zmarnowany. I wzgórza, i źródła, i zakola rzeki, i wreszcie uroczysta Msza polowa koncelebrowana tradycyjnie przez wszystkich braci przewodników — bez blasku. Komunia święta w szpalerze parasoli.

Potem tłum pielgrzymów z worami na plecach wali naprzód przez opłotki w poszukiwaniu locum na spanie. Co rusz ktoś pada w śliski margiel i chrypi do sąsiada: „Bracie, pomóż...". Nagle dodatkowa przeszkoda: gospodarz broni przejścia, mamrocząc coś o zeszłorocznych zniszczeniach. Prośby, krzyki, gwałty-rety — bez skutku. Wtedy ktoś z pierwszej linii wali swój worek w błoto desperackim gestem, chwyta za poły gospodarza i wożąc go w przód i w tył, wrzeszczy: „Katolik jesteś, skurwysynu, czy nie?!". Obok trzęsący się z zimna Włoch pada w kałużę na klęczki i składając ręce, woła przeciągle: *Amiiico....!* (Już dla tej sceny warto było iść dziewięć dni!).

VII

Ostatni etap. Dziecinada — 16 km! Przed nami Jasna Góra. W pierwszym zarysie — jak Pałac Kultury. Ale już zaraz wynurza się szlachetność linii — milkniemy. Na krótko. Porządkowi przystępują do roboty, formują nas w dziesiątki i rozpoczyna się „wielkie stanie" w szpalerach publiczności. Dwa kroki naprzód, i stop. Odświętność, wyczarowane z brudnych plecaków świeże bluzki. Teraz dopiero widać, jak dużo dzieci! Wypchnięte naprzód, wystrojone, umorusane dawaną zewsząd czekoladą, kłaniające się, aktorskie. Za nimi kaleki na wózkach, też wiwatują, cieszą się, wcale nie czekają cudu. Dwie młode pary na czele swoich grup w nieskazitelnych strojach ślubnych. No i śpiew, śpiew... „Madonno, czarna Madonno", to słychać najczęściej. Ale również: „Do Częstochowy wiedzie nasz szlak, by Ci, Maryjo, powiedzieć, tak...". „Gdy Boży Duch wypełnia mnie, jak Dawid skakać chcę...". I białostoczanie, których są dwie grupy (w Siedemnastkach i Piętnastkach): „Bo wszystkie chaberki to jedna rodzina, stary i młody, chłopak i dziewczyna...". W ogóle wielki popis inicjatywy indywidualnej.

Na krawędzi dachu kamienicy w Alei Najświętszej Marii Panny Węgrzy powiewają swoją flagą; młody brodacz wyciąga rękę do starszej kobiety w czerni na chodniku, ze słowami w pedantycznej polszczyźnie: „Jestem Niemcem, już trzeci raz tu...". Kolumna rusza.

Brama jasnogórskiej twierdzy jest jak ucho igielne. Gdy czoło staje — będę tam dopiero o szóstej, by dojrzeć tylko, że Czarna Madonna ma twarz starej, steranej życiem kobiety, zgoła babki dziecka, które trzyma na ręku.

Nazajutrz uroczysta Suma na wałach Jasnej Góry. Klasztor oblężony, trawa zdeptana. Z ołtarza śpiewy koncelebrantów i nagłośniony tenor Prymasa. Poniżej terasami kramy, garkuchnie, wysadzanie dzieci, mycia, wróżby cyganek, proroctwa Królowej Saby... Na dzwonek Podniesienia — ogólne pochylenie tego ludzkiego mrowia. Widzę zatrzymany w drodze do ust widelec z parującym kartoflem, schabowym i ogórkiem małosolnym...

◆

Mamy zarezerwowane miejscówki w popołudniowym gliwickim Chemiku. Ktoś rozdaje po 50 zł, które zostały z rozliczenia: „Smacznego w wagonach WARS!". Kelner w białym kitlu roznosi po przedziałach kawę z zeschłym keksem, jak za dawnych dobrych lat. Głupie zdziwienie, że to, cośmy wykonywali w mo-

zole przez dziewięć dni, robimy teraz bezboleśnie w trzy i pół godziny. Pociąg przychodzi na Centralny z dokładnością co do minuty. Uczucie końca, umierania... Na peronie wyśpiewujemy do siebie w nieskończoność: „Żegnajcie nam, Alleluja".

Ewa BERBERYUSZ

Przedruk z 11/80 nru białostockich *KONTRASTÓW* bez wiedzy i zgody zarówno Autorki jak i Redakcji pisma.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 195 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MODELE I PRAKTYKA

Str. 244. Cena F. 20,00.

◆

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Str. 256. Cena F. 40,00.

Kraj

Pomiędzy euforią a zgrozą

Sytuacja schyłku 1980 roku w Polsce: entuzjazm i niepewność, zniechęcenie, ostatnie porywy oporu i *leitmotiv*'y rozmów: te bardziej abstrakcyjne — dokręcą śruby czy nie dokręcą? i te bardzo realne: wejdą czy nie wejdą? Polacy — wiadomo — naród taki bardziej nerwowy, reagujący gwałtownie, ale nie grzeszący ani wytrwałością, ani konsekwencją (choć podobno wszystkie dotychczasowe charakterystyki tej nacji są już zdezaktualizowane!). Mam wrażenie, że naród znalazł się teraz w takim stanie przesilenia: niby jeszcze impet trwa, jeszcze poczucie wielkiego zrywu nie wygasło, ale przycicha, przygasa, blednie w sytuacji wytworzenia się pewnej szarej codzienności, której zresztą bardziej godziłby się tytuł szarej niecodzienności, ale w końcu chodzi o to samo: o pewne zawiśnięcie w jakiejś niedookreślonej sytuacji.

Jeszcze na wiosnę krążyła anegdotka: czy może być w Polsce gorzej (a chodziło o stan ekonomiczny, o zaopatrzenie sklepów)? Odpowiedź brzmiała: Nie. Bowiem gdyby mogło, to już by było.

Mój Boże, jakże nieprzewidujący są „anegdotczycy" — na wiosnę był jeszcze w pełni dobrobyt uszczuplony pewnymi trudnościami z mięsem i tłuszczami. Obecnie sklepy zaczynają przedstawiać się wręcz humorystycznie. Jeszcze — gdy piszę te słowa — sprzedaje się w nich zupy w proszku, makarony dwujajeczne, sól, czasem widuje się groch i ocet, znikły wszelkie słodycze, wszelkie dżemy, w wielu miastach brak serów, za masłem stoi się w kolejkach, kiedy je „rzucą na sklep". Są miasta w których zniknęły już niektóre wyroby drogeryjne: ostatnio sąsiadowały ze sobą wywieszki w witrynach: w jednej „Miłosza brak" — w drugiej „Szamponu brak".

Wydaje się, że PZPR, chwytająca się już każdej możliwości

ratunku nawet poprzez tworzenie sytuacji absurdalnych, w ten sposób załatwia problem podwyżek: chcecie? No to macie. Co? Papierki, za które i tak niczego nabyć nie można.

Ale to dygresja próbująca wyjaśnić krajobraz po bitwie, choć bitwa wcale się nie skończyła, tyle że z fazy spektakularnej szarży kawaleryjskiej przeszła do fazy wojny pozycyjnej i wojny nerwów zarazem. Wszystko jest zgodne z logiką, wszystko co się dzieje dziś jest konsekwencją tego co stało się wczoraj. Tyle tylko, że to co stało się wczoraj — było czymś, co nie było zgodne z logiką z konsekwencjami, a jeżeli nawet, to i tak przekraczało najśmielsze wyobrażenia. Śmiem twierdzić, że jeszcze w czerwcu, jeszcze w lipcu nikt w Polsce, nawet ci którzy tkwili w samym środku wydarzeń — nie mogli przewidzieć sierpnia (a potem wszystkich następnych miesięcy). Niewyobrażalne jest zawsze czymś nieprzyswajalnym, a przynajmniej nie od zaraz. Chyba społeczeństwo polskie musi mieć jeszcze trochę czasu by ochłonąć, by — oderwawszy się od przytłaczających szarzyzną kolejek i oślepiających przerażeniem codziennych rewelacji o nowym rozdziale „Dziejów głupoty w Polsce" — zrozumieć co właściwie przeżyło.

Sądząc z reakcji prasy zachodniej i tam również, a zwłaszcza w owych kręgach jakże uczonych, jakże moralnie czyściutkich lewicujących intelektualistów gazetowych, nikt nie wie co się stało naprawdę. Sądzę, że gdyby Związek Sowiecki rzucił teraz swe siły do tego nowego — tym razem europejskiego — Afganistanu, spoza rwetesu, not, oświadczeń, manifestacji doszłoby z całego świata wielkie westchnienie ulgi: nareszcie *„l'ordre règne à Varsovie"*.

Powróćmy jednak do Polski: niepełna świadomość tego, co się stało, wynika nie tylko stąd, że jest szaro, coraz bardziej szaro, że wiadomości „z pierwszej linii" popadać zaczynają w rutynę komunikatów naczelnych dowództw, ale dlatego, że dla jednych stało się jeszcze za mało, a dla drugich już znacznie za dużo. Nie usiłuję nawet wyznaczyć między obydwu grupami proporcji. Wystarczy stwierdzić, że ci, którzy naprawdę wiedzą co i ile się stało należą do znikomej mniejszości.

Ale jak można nazwać to co się stało najkrócej? Sądzę, że ostateczną kompromitacją ideologii i pochodnego jej systemu (a nawet systemów — skoro wczorajszy najserdeczniejszy przyjaciel Pol-Pot jest dziś najgorszym wrogiem, a przecież nie da się zaprzeczyć, że ten mikro-stalinek azjatycki jest właśnie konsekwencją ideologii w specyficznej sytuacji indywidualnie kształtowanego systemu). Powie ktoś: przecież ta ideologia i ten nasz system (czy systemy) zostały już dawno skompromitowane.

W ciągu ostatnich kilku lat zadali im cios świadkowie historii: ci wszyscy, którzy zaprezentowali światu cały bezmiar okrucieństwa i terroru wiążący się niepodzielnie z ustrojem typu marksistowskiego, kolejną dziejową formacją dyktatury, która z samej swej natury jest antydemokratyczna, więcej — jest zwrócona przeciwko człowiekowi jako uczestnikowi zbiorowiska podporządkowanego jednostkom.

Otóż istnieją niestety w rzeczywistości politycznej dwie kompromitacje: jedna moralna, nie ważąca na faktycznej likwidacji terroru, i druga — kompromitacja klęski, przegranej, oczywistego załamania. Dlatego na ławie oskarżonych w Norymberdze zasiedli i zostali skazani pomocnicy i najbliżsi współpracownicy jednego tylko ludobójcy europejskiego połowy XX wieku, gdy tymczasem reprezentanci drugiego należeli do ekipy sędziowskiej, a on sam pozwalał się łaskawie czcić przez sterroryzowane przez siebie masy, a także przez sojuszników z obozu demokracji, którzy w tym czasie dyskretnie przymykali oczy na istotę tego drugiego, zwycięskiego totalitaryzmu.

Kompromitacja „polskiego sierpnia" roku 1980 polega wprawdzie nie na pełnym przezwyciężeniu zła, ale na ukazaniu drogi, na obnażeniu tego i tak nie nadmiernie odzianego króla, który — zachowując jeszcze ogromny kapitał władzy politycznej — popełnił już i popełnia nadal błędy, a w polityce z kolei nie ma błędów: są albo sukcesy, albo przegrane. Masowość wystąpienia robotników Wybrzeża ukazała światu: po pierwsze, że przeciwko marksistowskim rządom są nie tylko pojedynczy, nieco zapewne zwariowani intelektualiści czy dysydenci, po drugie — że pomimo wycinkowości zjawiska (w skali całego bloku), są to już sprawy nieodwracalne. Bowiem niewątpliwie w błędzie są ci, którzy twierdzą, że po pewnym okresie spazmatycznych działań wszystko powróci do starego koryta. Nic nigdy nie powraca. Mogą „dokręcić", mogą „wkroczyć" — i oni i ONI — ale tego co było już nigdy nie będzie. Na Wybrzeżu zamknął się jeden rozdział dziejów systemu marksistowskiego. Jaki będzie ten nowy? Nie mnie bawić się w proroctwa.

W sytuacji, w której mamy dziś zdruzgotany psychicznie, skompromitowany moralnie i nadal jeszcze bardzo mocny, z uwagi na sąsiednich „przyjaciół", mechanizm partii sprawującej władzę (lub usiłującej ją sprawować), na pierwszy plan wysuwa się problem taktyki. Wytworzyła się sytuacja paradoksalna: naród, który masowo zamanifestował swe niezadowolenie z tyleż autorytarnej co niedołężnej władzy, w większości chyba zgadza się na to, że nadal utrzymana być musi PZPR, może nie tyle jako „wiodąca siła narodu", co jako niezbędna gwarantka utrzymania państwa w tej sytuacji w której się ono znajduje: okrążenia

z jednej strony, obojętności wątpliwych mimo wszystko sprzymierzeńców z drugiej.

Zostaliśmy strasznie sami z naszymi problemami. Od nas samych w głównej mierze zależy dalszy bieg wypadków. Musimy chuchać i dmuchać, a zarazem bacznie spoglądać na działania partii. Poprzez samoistne ukonstytuowanie się reprezentacji społeczeństwa, jaką jest niewątpliwie „Solidarność", powstała zupełnie nowa w tej części świata sytuacja: dotychczas „przewodnia siła narodu" rządziła się jak chciała i jak umiała. Jak — wiadomo. Teraz wypełnia tylko mandat konieczności geopolitycznej: ma służyć tym orwellowskim „prolom", których tak naiwnie i bezczelnie zarazem lekceważyła. To nie trudności „obiektywne" (co to u licha znaczy?) sprawiają, że się wszystko chwieje, że niewypełniane są — ze złej woli na równi z niedołężnością — punkty porozumienia, ale dzieje się tak dlatego, że się dotychczas samowładna organizacja maleńkich nadludzi nie potrafi, nie chce, nie umie pogodzić z tą nową sytuacją.

Ta sytuacja nabrzmiewa jeszcze wskutek nieprzewidzianej i nie zaplanowanej rotacji w obrębie PZPR. Dotychczas, gdy tylko natężyło się słuch, z monumentalnej piramidy kulminującej w „białym domku" dochodził nieustanny chrobot podgryzania. Za fasadą wspaniałej jedności i mechanicznej jednomyślności (jedyny mechanizm, który działał w tym kraju bez części wymiennych) trwała zażarta walka indywidualna i frakcyjna o wyższe miejsce lub co najmniej o już zdobyty stołeczek i korytko. Teraz to wszystko przenicowało się i przenicowuje nadal. Wielu mieszkańców tego kraju nie śpi ze strachu przed jutrem, ale chyba ową bezsennością porażeni są najbardziej członkowie PZPR, zresztą proporcjonalnie do wysokości zajmowanego stopnia na tej piramidzie. Pisałem już o tym, że działając poprzez korupcję — tak na zewnątrz jak i wewnątrz — PZPR już przed kilku laty zaczęła coraz silniej cierpieć na brak miejsc przy tym stole, przy którym chciwie dzielono „wartość dodatkową". Już wtedy rosły zastępy niezadowolonych i nienasyconych, gdyż jak wiadomo „apetyt rośnie w miarę jedzenia". Teraz jest jeszcze gorzej, hej, aż łza się w oku kręci na myśl o tym zastępie upadłych aniołów, dla których w ogóle jakiegokolwiek miejsca na drabinie zabrakło.

To nie są żarty. To jest cały problem. Naród ma kontrolować ten mechanizm, ma nawet nań chuchać i dmuchać, bowiem jest potrzebny nie ze względu na swą sprawność, ale ze względu na to, że nie można go na nic wymienić, a ten mechanizm trzeszczy w szwach. Zastęp „upadłych aniołów" rośnie, czyli rośnie podwójna opozycja: przeciwko wszelkiej odnowie i przeciwko obecnej personalnej strukturze PZPR. To pośród nich musi się

znaleźć największa liczba potencjalnych kandydatów czekających na braterską sąsiedzką pomoc, która by im przywróciła raj utracony. Partia ukazała, chcąc nie chcąc, i ukazuje na co dzień swe prawdziwe oblicze moralne. Nie miejmy złudzeń: żadne uczucia patriotyczne, żadna odpowiedzialność wobec społeczeństwa ich nie powstrzyma. Groźni są nie ci, którzy teraz, czasem dość przypadkowo, znaleźli się na czubku. Oni wciąż jeszcze mają wiele do stracenia. Niebezpieczni są ci, których się już nie widzi lub jeszcze nie widzi na wszystkich akademiach, spotkaniach, „gospodarskich rozmowach".

Dojeżdżając do pracy, chodząc po ulicach, stojąc w ogonkach, lustrując puste półki i oglądając coraz to nowe skandale w telewizji zaczynam chwilami myśleć, czy to aby ktoś tego nie organizuje świadomie: bezwładu, dezorganizacji, niedoaprowizowania, poczucia surrealistycznej groteski i bzdury? To prawda: rok był ciężki, więc może być mniej ziemniaków i owoców, a nawet przetworów, ale rok ubiegły wcale nie był zły (to była tylko bzdurna propaganda Szczepańskiego et Co), a już nie ma niczego nawet z ubiegłorocznych zapasów? To prawda: w szeregach PZPR, w poprzedniej ekipie (a raczej w poprzednich ekipach) władzy coraz szerzej rozwierały się nożyce kwalifikacji, stopień niekompetencji na czubku rósł niemal tak gwałtownie jak fikcyjne statystyki produkcji, ale czy nie zależy komuś dzisiaj, by siać w społeczeństwie przekonanie o otaczającym nas absurdzie bez wyjścia? Obym był złym prorokiem! Jednego wszelako jestem pewien: nie brak w naszym kraju tych, którym usilnie zależy, aby we wszystkich dziedzinach życia było coraz trudniej, coraz gorzej.

I tu zaczyna się podstawowa moim zdaniem rola „Solidarności" (mówiąc o nowych związkach oczywiście tylko ją mam na myśli, branżowe kadłubki mają wyraźną i niechlubną rolę do odegrania, co do tego nikt przy zdrowych zmysłach nie może mieć wątpliwości!). Musi po prostu nie tylko walczyć przeciw skamienielinom systemu, ale i naprawiać go, a nawet w pewnym sensie osłaniać. Po latach kompromitacjonizmu kamuflowanego i po kilku miesiącach kompromitacjonizmu ujawnionego właściwie nie byłoby większych trudności, by zmienić ów domek z kart. Ale tego robić nie wolno.

W dyskusjach, w transmisjach, artykułach powtarzają się teraz niezwykle często dwa sformułowania: „odbudowa zaufania" i „umowa społeczna". To jest mowa-trawa, ale i taka jest w niektórych okolicznościach konieczna. Spróbujmy wyjaśnić o co chodzi. „Odbudować zaufanie" do „siły przewodniej" można, i owszem, ale nie tak, jak to sobie wyobrażają Kaniowie, Pińkowscy i pomniejsi, a raczej nie tak jak o tym marzą. Porzekadło ludowe głosi: do trzech razy sztuka. Może jestem uprze-

dzony, ale mnie wystarczyło raz. A społeczeństwu z pewnością te trzy razy wystarczyły raz na zawsze. Nie, szanowni towarzysze, zaufania już nigdy nie będzie (o ile założymy, że kiedykolwiek było). Gomułka i Gierek wyczerpali aż do dna nie tylko zagraniczne kredyty, ale przede wszystkim społeczne. Mamy wam do zaproponowania zupełnie co innego: kredyt zaufania za dobrze wypełnianą pracę, odpowiedzialną, trudną, ale uniemożliwiającą jakikolwiek szwindel. Nie będzie zaufania, że to wy nas poprowadzicie ku świetlanej przyszłości, może być tylko zaufanie, że się będziecie dobrze wywiązywać z tych zadań, które my — wasi pracodawcy, my — po prostu Polacy — damy wam do wypełnienia. I nie będzie żadnych więcej kredytów. Będzie tylko wynagrodzenie za pracę. A jeśli się nie sprawdzicie? Tak jak się nie sprawdzili wasi poprzednicy od Bolesława Bieruta poczynając? Wówczas będziecie zmuszeni odejść, tak jak tamci: w polityczną nicość, w historyczną kompromitację.

A teraz „umowa społeczna". Jan Jakub nie tak to sobie wyobrażał, że przyjdzie grupa ludzi mniej lub więcej pozbawionych skrupułów i zabierze się do rządzenia całą resztą, a skoro jej to rządzenie „nie wyjdzie", to się jakoś tam z rządzonymi dogada i utrzyma swe psim swędem zdobyte prerogatywy tanimi ustępstwami. Nie może być umowy społecznej między stronami, z których jedna w ogóle żadną stroną nie jest, a w najlepszym razie — stroną samozwańczą. A jednak autentyczni przedstawiciele społeczeństwa z tą „stroną" podpisują jakieś porozumienia, tym samym uznając partnerstwo przetargowe.

Pozwólmy sobie na chwilę szczerości: te przetargi i te porozumienia są w najlepszym razie zmową społeczną. Bowiem społeczeństwo, wbrew temu co o nim sądzili jego tyleż nieudolni co naiwni „władcy", ma wysoce rozwinięty zmysł samoobrony i ogromnie rozbudowany, a wiekami stałego zagrożenia wyczulony instynkt bezpieczeństwa. Zmową społeczną jest zresztą przede wszystkim nie to, co podpisywano w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu, ale to o czym piszę od samego początku: zachowanie „przewodniej siły narodu" jako tymczasowego gwaranta bezpieczeństwa zewnętrznego. Zaś wszelkie porozumienia są tylko klauzulami szczegółowymi, dotyczącymi konkretów życia na dziś. Bowiem już na jutro będziecie musieli, szanowni towarzysze, podpisywać dalsze zobowiązania. Jakie? To już nie od was samych zależy. I na żadne więcej kredyty nie liczcie.

◆

Tej zmowy społecznej, której zewnętrznymi znamionami są takie czy inne dokumenty, potwierdzające — poprzez szczegółowe

postanowienia — podporządkowanie partii społeczeństwu, strzec trzeba jak źrenicy oka. I trzeba także rozumieć specyficzną funkcję języka obiegowego i pewną umowność semiotyki języka stosowanego oficjalnie. Wystarczy pokazać jeden tylko przykład: określenie niemniej często od poprzednich goszczące na tzw. łamach i w tzw. środkach masowego przekazu: „demokratyzacja". To bardzo dobra formuła. Z jednej strony ukazuje o co chodzi społeczeństwu w jego własnym działaniu w stosunku do partii: o stopniowe rozluźnienie tych więzów, którymi dotąd było spętane.

Dlaczego więc nie mówi się o „demokracji"? Przecież nie tak dawno powszechnie posługiwano się takim nonsensownym sformułowaniem jak „demokracja socjalistyczna"? Po prostu nikogo już nie można nabrać na możliwość koegzystencji socjalizmu w wydaniu marksistowskim z demokracją. „Demokracja socjalistyczna" — właśnie przez tę zbędną doklejkę — oznaczała to co oznaczała: likwidację maksymalnej ilości instytucji, funkcji i elementów życia, które razem składają się na pojęcie demokracji. I dlatego dziś możemy mówić o demokratyzacji, to znaczy o odzyskiwaniu cząstkowym pewnych sfer społecznego działania, które nam zostały zabrane przez „demokrację socjalistyczną" wyrastającą z — marksizm nigdy nie obawiał się paradoksów i logicznych nonsensów — dyktatury proletariatu (czytaj: grupy uzurpującej sobie prawo reprezentowania tegoż).

Demokratyzacja jest cząstką zmowy społecznej: w warunkach ogromnego zewnętrznego zagrożenia społeczeństwo godzi się na „wiodącą rolę", ale poddaje ją wszechstronnej kontroli. Dla osłody i dla przestrogi zarazem mówi się o „demokratyzacji", łącząc ogień z wodą. I w tej sytuacji dwuznacznej, może nawet cynicznej, ale zgodnej z moralnością sukcesu, przyjdzie zastanowić się nad pewnymi konkretami zaistniałej sytuacji. Jest ich bardzo wiele. Świadomie skupiłem się na kilku, ponieważ i tak przyjdzie je zaprezentować skrótowo.

Rola opozycji politycznej.

W moim przekonaniu powinna ona działać nadal, na tej samej niedookreślonej prawnie, zagwarantowanej milczącym konsensem spacyfikowanej władzy, płaszczyźnie półoficjalności. Podobnie nie powinny przestać się ukazywać druki „nieoficjalne", ponieważ tak samo jak nie da się zdemokratyzować tzw. socjalizmu marksistowskiego, podobnie nie sposób zdemokratyzować jego tak operatywnego narzędzia, jakim jest cenzura. Spory wokół nowej ustawy o tej zasłużonej instytucji toczyć się będą długo i nie przyniosą oczekiwanych rezultatów: jak długo PZPR-u, tak długo cenzury czyli antydemokratycznego oręża ze strony władzy.

Ostatnie strajki w „Ursusie" na tle aresztowania Narożniaka i Sapały za rozpowszechnianie tajnych materiałów prokuratury są tego doskonałym świadectwem. Żadne ustawodawstwo, zatwierdzające jakąkolwiek kontrolę polityczną, nie zagwarantuje dostatecznie szerokiego marginesu swobody informacji. Jakąż bowiem „tajnością" osłania się rzeczona instrukcja? Tajnością urzędu, podejmującego wbrew społeczeństwu działania wymierzone przeciwko niemu? Cała ta obrzydliwa afera ma specyficzny posmaczek Watergate à la PZPR i jakże znowu na czasie wyświetlany obecnie serial „Waszyngton — za zamkniętymi drzwiami". Jeszcze raz film, zaprogramowany przez nasze czynniki, jako materiał zohydzający te obrzydliwe USA, przemienia się w krzywe zwierciadło naszej własnej rzeczywistości: Biały Dom przeobraża się w Biały Domek, po którego korytarzach biegają z gęstymi minami amerykańscy Bafiowie i Czubińscy.

Opozycja polityczna nie powinna jednoczyć się z „Solidarnością" na planie oficjalnym, bowiem wyrządzi jej tym krzywdę. Ja rozumiem tych wszystkich wyposzczonych działaczy (straszne, ale prawdziwe — ten naturalny gatunek ulega nienaturalnemu rozmnażaniu w warunkach takich, jak nasze!), którzy rwą się do czynu. Tylko, że trzeba odrobinę trzeźwości, by poprzez swoje dotychczas nie w pełni zaspokojone marzenia i apetyty dostrzec ogólny plan rzeczywistości. Z drugiej zaś strony opozycja w tejże sytuacji jest nadal niezbędnie konieczna i niechże ona nie wytraca tej szansy działania półoficjalnego pod całkowicie oficjalnym parasolem poparcia społecznego. Wyjście z półoficjalności i jakakolwiek fuzja czy alians z „Solidarnością" są nie tylko niepotrzebne, ale w najwyższym stopniu niebezpieczne dla obu stron. W ramach zmowy społecznej „Solidarność" winna być apolityczna, a tymczasem dla celów reedukacji społeczeństwa niezbędna jest działalność polityczna tak w sferze praktycznej, jak też — może bardziej jeszcze — ideowej. Przecież na gruzach dotychczas jedynie obowiązującej, strupieszałej i reakcyjnej ideologii marksistowskiej trzeba budować nową, twórczą, dostosowaną do czasów które idą. Nie ma ideologii niezmiennych i uniwersalnych: każda tego rodzaju nieweryfikowana ideologia musi skostnieć i zapaść w martwicę.

Podobnie uważam, że nie należy przywracać sejmowi pozoru instytucji demokratycznej. Taką być w tym ustroju nie może. Może w nim jedynie spełniać rolę pewnej aparatury pomocniczej przy pracy rządu i ograniczoną funkcję kontrolną. Sejm w przeważającej mierze złożony z towarzyszy nie może kontrolować PZPR-u, podobnie jak nigdy nie zrobi tego NIK. Są to jakieś marginesy funkcji kontrolnych, które nawet mogą być przydatne,

pod warunkiem, że będzie się je należycie rozumiało jako *pars pro toto*.

Z sejmem (zabawne — od niedawna spikerzy telewizyjni mówią: parlament) istnieje zawsze to niebezpieczeństwo, że z racji swej nazwy i z racji naszej narodowej tradycji wydaje się być predestynowany do odegrania jakiejś istotnej roli. Tak nie jest i być nie może. W rzeczywistości przez PZPR powołany i fikcyjnie wybrany sejm jest instytucją jeszcze bardziej skorumpowaną i skompromitowaną niż jego mocodawcy. I nie należy go uzdrawiać w kierunku pozornej demokracji. Stanie się tylko zawadą w wypełnianiu kontroli społecznej, która znalazła się w najwłaściwszych rękach: autentycznej reprezentacji społeczeństwa, jaką są związki zawodowe. Wiem, że jest to zupełną fikcją, ale byłbym najszczęśliwszy, gdyby o tzw. sejmie nie mówiono: parlament, ale po prostu — naczelna rada (jako nadbudowa wojewódzkich rad narodowych, równie nienaprawialnych organów).

Ja wiem, że w tym sejmie zasiada garstka ludzi uczciwych, mądrych, potrzebnych. Sam się wzruszyłem nielicho słuchając przemówienia Holoubka. Ale do chwili rozpisania wolnych, demokratycznych wyborów (a kiedy to nastąpi tego i ja nie wiem, i obawiam się, że nikt inny) nie możemy obdzielać kredytem zaufania żadnych narzuconych nam reprezentantów. Co więcej — nie powinniśmy dopuścić do tego, by tworzyła się fikcja reprezentacji społeczeństwa w organie zdominowanym przez aparatczyków. Niechże tam dalej odgrywają swe poliszynelowate rólki ci wszyscy Reiffowie i Zabłoccy, niech sobie Ozdowscy zasiadają obok Pińkowskich: to nie jest i nie może być nasza, polska, społeczna reprezentacja.

Pośród wielkiego narodowego meczu, w którym — jak na razie! — społeczeństwo dowala partii ileś tam goli do kółka, wymyka się z pola obserwacji problem bardzo istotny: chłopów. Powiedzmy: rolników, nie chciałbym bowiem oddzielać od owych iluś tam milionów małorolnych kapitalistów (jak to określił szef sowieckiego CRZZ) tych jeszcze kilkuset tysięcy pracowników PGR, a także pracowników leśnych. Niezarejestrowanie Niezależnego Związku Zawodowego Chłopów przeminęło bez większego echa. Za to głośno o rolnictwie, ze wszystkimi jego klęskami, niedowładem, brakami itd. Ponura rzeczywistość gospodarczego obłędu ideologów marksizmu z jednej, a funkcjonariuszy o ileś tam stopni przekraczających próg własnej niekompetencji z drugiej strony sprawiła, że w chwili obecnej ów wielowiekowy śpichlerz Europy musi z lewa i prawa starać się o import zbóż i pasz. I trwa jakby upojenie *à rebours* — aleśmy potrafili załatwić nasz własny, najautentyczniejszy skarb naturalny: cier-

pliwą, urodzajną ziemię polską! I pośród tego hałasu, tego upojenia klęską, tej oficjalnej „troski gospodarczej" umyka nam sprzed oczu zasadniczy problem wciągnięcia wsi w orbitę jednolitego społecznego ruchu Polaków. Bowiem wieś — w przytłaczającej większości — stoi jakby na uboczu tego co się dzieje. Krytykuje — bo krytykować zawsze lubiła, a jeszcze bardziej narzekać, choć wedle mej diagnozy chłopi, a już szczególnie chłopo-robotnicy są jedną z bardziej uprzywilejowanych warstw społecznych. Natomiast w swej ogromnej masie zostali politycznie daleko w tyle za robotnikami. Ci o wiele szybciej stali się dojrzałymi i rzetelnymi właścicielami swego państwa; chłopi nadal pozostali właścicielami przede wszystkim swoich morgów. I pod tym względem miał nawet nieco racji ów sowiecki Kruczek, tyle że jego diagnoza jest, niestety, dla tzw. obozu demoludów korzystna. Kapitaliści bardzo chętnie popierają komunizm, jeśli tylko liczą na względny spokój i możliwość zarobku.

Tak więc obserwuje się ostatnio znaczną mobilizację niesławnej przyczepki PZPR — Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Nagle pełno jego przedstawicieli w środkach masowego przekazu, nagle przypomniano sobie Witosa, nagle przypomniano sobie o ruchu ludowym przed pierwszą i przed drugą wojną światową, a w końcu także o współczesnych chłopach (przepraszam: indywidualnych rolnikach). Rwetes odwraca uwagę od sprawy zasadniczej, równie zasadniczej jak sensowność i nowoczesność naszego rolnictwa, tak bardzo odstającego od średniej przeciętnej krajów rozwiniętych — od sprawy wykrystalizowania się autentycznego ruchu ludowego.

Przez całe dziesięciolecia komuniści starali się zneutralizować chłopów i na siłę obniżyć ich procentowy udział w społeczeństwie. Dało to tylko cząstkowe wyniki, przysporzyło socjologiczny fenomen: wspomnianego już chłopo-robotnika, ale nie zmieniło faktu, że podstawową część społeczeństwa stanowią ludzie ze wsi. Natomiast udało się co innego: spenetrowanie owych małych wiejskich grup społecznych przez rozmaitego kalibru aparatczyków. Chłopi — a w każdym razie chłopi niektórych regionów kraju — nie tworzą dziś wcale jednorodnej społecznie i politycznie masy. Jest to warstwa w której proces społecznej korupcji sięgnął najgłębiej. Liderzy komunistyczni popełnili wiele błędów. Za większość płacimy my sami, za niektóre oni sami. Otóż jednym z największych błędów PZPR-u był notoryczny lęk przed chłopem. Wierzyli że „potęgą jest i basta". I przez to prześlepili całkowicie moment dojrzewania proletariatu (o ile coś takiego istotnie istnieje, granice podziału między robotnikami a inteligencją techniczną coraz wyraźniej się tu zacierają!). Ale pośród spuścizny z którą społeczeństwo musi się teraz borykać

pozostała chłopska *silent minority*. Tu PZPR osiągnął pewien sukces, więc problem ten musi być postawiony od zaraz.

Sprawa proletariatu i inteligencji: jestem głęboko przekonany, że proces ewolucyjny dokonujący się w społeczeństwie (a może we wszystkich społeczeństwach) steruje do zatarcia wyraźnych barier ustanowionych przez stopień wykształcenia. To raczej wewnątrz inteligencji dokonuje się podział na inteligencki proletariat i na intelektualistów (w obrębie tej ostatniej grupy widzę również wysoko kwalifikowanych specjalistów, np. profesorów fizyki, chemii, medycyny, inżynierów o wybitnych kwalifikacjach, a nie tylko filozofów z Krakowskiego Przedmieścia). To jest proces zdrowy i właściwy, jeśli idzie o ową integrację tzw. proletariusza z tzw. inteligentem. Z intelektualistami sprawa jest nieco trudniejsza. Im — z natury rzeczy — przypada rola przewodnia, to oni mają wskazywać kierunek, urabiać opinię, kształtować światopogląd.

Tymczasem, aby spełniać tę rolę, niezbędne są dwie kwalifikacje: z jednej strony autentycznie wysoki i szeroki punkt widzenia, owa umysłowa panoramiczność, z drugiej — wysoki standard moralny. Sądząc z rozlicznych enuncjacji w prasie, radiu, telewizji, z tym drugim wcale nie jest dobrze. Pośród tej nagle tak „zaktywizowanej" intelektualnej śmietanki ogromnie wielu, to zwyczajni spryciarze. W ich kręgach brzmi nieustannie mowa okrągła, mowa świadomie wypierająca semantyczną jednoznaczność. Każde śmielsze sformułowanie bywa zazwyczaj okupione natychmiastowym trybutem małego szmatławstwa lub niebezpiecznej dwuznaczności.

A na dobitkę brak choćby odrobiny pokory. A może całego kapitału pokory? Po to, by móc inspirować, a więc współrządzić, trzeba zdobyć się nie na pychę, ale właśnie na pokorę. A to oznacza także odpowiedzialność za to ogromne brzemię, które się na siebie nakłada.

I tu jedna uwaga na temat procesów intelektualnych towarzyszących wielkim wydarzeniom społecznym. Pośród bezmiaru katastrofy gospodarczej naszego kraju to, z czego możemy być wciąż i szczerze dumni, to wysoki standard intelektualny owej elity. Chociaż jej część pozwoliła się skorumpować, bo intelektualiści są po trosze jak niegdysiejsza arystokracja: formacja zawsze najłatwiejsza do kupienia, jednak w ogólnym bilansie daje świadectwo tych wielkich możliwości, które pozwoliły naszemu społeczeństwu wydać w ciągu jednego niemal pokolenia papieża, laureata Nobla i jeszcze kilkunastu czy kilkudziesięciu uczonych i myślicieli na skalę światową. Ja bardzo czczę Ducha Świętego, ale śmiem twierdzić że fenomen, któremu na imię Jan Paweł II

jest wynikiem kumulacji pewnych specyficznie polskich dyspozycji psychicznych i intelektualnych.

Otóż zdaje mi się, że obecnie przed ową elitą stoi bardzo poważne zadanie: budowa nowej i nowoczesnej koncepcji społeczno-politycznej. Po prostu: ideologii.

Krytyka jest potrzebna, ale ostatnio nie idzie ona dostatecznie w parze z propozycjami. Krytykę zresztą należy pozostawić dziennikarzom, ekonomistom, niespełnionym menadżerom; przecież muszą się jakoś rehabilitować. Ci, którzy rehabilitować się nie muszą, a którzy zostali przez naturę obdarzeni wspaniałym narzędziem umysłu, niech szeroko otwierają wrota przyszłości.

Społeczeństwo polskie miało być scementowane poprzez ideologię marksizmu-leninizmu. Były to pobożne życzenia. To co je dziś cementuje, to niewątpliwie katolicyzm. Była to siła (czasami fatalna) naszych dziejów, jest nią i dziś. Ale katolicyzm to wcale nie jest coś, co niezmiennie trwa poprzez wieki. Katolicyzm był, jest i będzie taki, jakim było, jest i będzie akceptujące go społeczeństwo. Mówi się o polskim katolicyzmie. Na Zachodzie mówi się nawet z przekąsem o wiejskim katolicyzmie polskim. Nie zamierzam wgłębiać się w tę skomplikowaną problematykę, nie jestem zresztą kompetentny. Przyjmuję, jako człek interesujący się również historią, fakt modelowania (czy modelowania się) katolicyzmu w określonych warunkach. Sądzę, że będziemy mieli taki katolicyzm, jaki wytworzy nowo kształtująca się świadomość narodowa i społeczna.

Interesuje mnie bardziej — na dziś i na jutro — sytuacja wśród tych, którzy owym katolicyzmem u nas zarządzają. Być może mam w ogóle antyinstytucjonalne skłonności, ale ostatnio zaczyna mnie niepokoić postawa episkopatu: metoda myślenia instytucjonalnego. Można nawoływać do powrotu do pracy i do utrzymania porządku w imię bezpieczeństwa kraju i narodu. Nie wolno jednak działać przeciwko inicjatywom społecznym na tej zasadzie, że „ostateczne załatwienie spraw z rządem pozostawcie nam, my się na tym znamy". Przyparta do muru partia gotowa jest na bardzo wiele ustępstw. Gotowa jest nawet zawiesić krzyż obok sierpa i młota, aby wygodnie czuli się obok siebie Pińkowski i Ozdowski. Ale czy naprawdę o to chodzi?

Uzyskanie dalszych iluś tam zezwoleń na budowę kościołów, dalszych ulg w zakresie publikacji, nauczania, zgoda na transmisję mszy niedzielnej przez radio — to oczywiście zdobycze ważne, w ostatnim wypadku nawet bardzo ważne. Ale gra toczy się nie tylko o niebo, ale także o ziemię. O tę naszą ziemię, o której tak pięknie mówił Jan Paweł II w swej nowotarskiej homilii.

Kościół nie może i nie powinien załatwiać czegokolwiek za

społeczeństwo. Nie jest do tego powołany, natomiast troska i inicjatywa winna się rozciągać na mocno rozchwiane przestrzenie etyki społecznej. Chrześcijańska nauka społeczna jest dość rozwinięta, ale nie może zatrzymywać się na Leonie XIII. Z drugiej strony nie można i nie trzeba stawiać równania — polskość-katolicyzm. Ten ostatni powinien sam sobie postawić program limitowany, nie czekając — jak PZPR — aż ograniczenie wyjdzie od społeczeństwa.

I tu dochodzimy do nie mniej kluczowego problemu: moralności społecznej. Przed kilku laty napisałem o zagrożeniu społeczeństwa korupcją, tą groźną bronią słabych i bezwzględnych władców. Tu właśnie rozciąga się szerokie pole dla działania kleru. Ale nie zwalnia to z poważnych obowiązków nas samych, a w konkretnym przypadku zarówno „Solidarności" jak i elity intelektualnej.

Dotychczas, co ustalili precyzyjnie socjologowie, funkcjonowało w społeczeństwie rozwarstwienie: my i oni. Takie rozwarstwienie jest konsekwencją każdego państwa, w którym władza nie pochodzi z wyboru i jest elementem narzuconym. W przypadku, kiedy takie państwo określa się mianem socjalistycznego i kiedy jest ono w istocie posiadaczem trzech czwartych narodowego majątku, rozwarstwienie „my — oni" zaczyna funkcjonować w sposób wykoszlawiony, wręcz chory. Zaciera się poczucie jakiejkolwiek własności, zanika odpowiedzialność, inicjatywa, wolną przestrzeń wypełnia etyczna anarchia. „Oni" są zobowiązani dać mieszkanie i pracę („czy kto stoi, czy kto leży..."), „oni" mają zabezpieczyć surowce i zbyt, a ponadto „oni" są wrogami i trzeba pracować byle jak, a kraść „ich" mienie byle gdzie. Bardzo gorzki dowcip wypłynął w okresie strajków: jaka jest różnica między strajkiem a pracą? Ta, że podczas strajku się nie pije.

Podobno imigranci ze Związku Sowieckiego w Izraelu nastręczają mnóstwo kłopotów tamtemu społeczeństwu. Są... nieprzystosowani do życia innego niż to, w którym dotychczas egzystowali, to znaczy życia ściśle normowanego i wykluczającego inicjatywę indywidualną. Możemy być dumni z naszego społeczeństwa. Ogromna dojrzałość i poczucie odpowiedzialności za zbiorowy porządek, do czego egzaminem wstępnym była wizyta Ojca Świętego, a egzaminem doktorskim — sierpień, nie powinna i nie może jednak usuwać nam z pola widzenia schorzeń, które tkwią w jego organizmie. Chorobę doktryny przechodzi się ciężko. Społeczeństwo sowieckie wydaje się być chore nieuleczalnie, choć jest to tylko złudzenie, bowiem społeczeństwa mają niebywałe siły regeneracyjne, nawet a może zwłaszcza wówczas, gdy są narodowościową mozaiką. Nasze było najmniej porażone

i dlatego właśnie u nas nastąpiło to, co nastąpić kiedyś i gdzieś musiało w świecie demoludów.

Ale to wszystko nie oznacza, by objawów choroby nie było. Pijaństwo i świadomie złe, niedbałe wykonywanie swej pracy, złodziejstwo i lekceważenie wobec wszystkiego, co nie jest prywatną, „moją" własnością, brak odpowiedzialności i poczucia współodpowiedzialności za wszelkiego rodzaju zło, kategorie myślenia instytucjonalnego i kategorie myślenia partyjnego (nie trzeba być koniecznie członkiem PZPR, by popadać w ten swoisty sposób myślenia i reagowania)... Symptomów można by wyliczyć znacznie więcej, ale nie o to mi chodzi, by do euforii *à rebours* ponurego nonsensu trzydziestokilkuletnich rządów partii dorzucać listę grzechów własnych współczesnego Polaka.

Chodzi mi o to, że wraz z odnową struktury państwa musi iść w parze odnowa samego społeczeństwa. I tu ważną rolę do odegrania ma Kościół: w planie etycznym, w intensyfikowaniu nauczania podstawowych zasad moralności oraz w propagowaniu chrześcijańskiej nauki społecznej. Ale księża zawsze pozostaną po trosze teoretykami (tak jak wówczas, gdy nauczają o rodzinie i o macierzyństwie). Społeczeństwo przede wszystkim samo musi dokonać procesu reedukacji. I ten jeszcze obowiązek spada w pierwszym rzędzie na „Solidarność". Trzeba ludzi uczyć myślenia socjalistycznego, ale nie marksistowskiego!

Zmieniła się sytuacja w układzie „my — oni". Przedtem „oni" byli właścicielami PRL, teraz myśmy reprywatyzowali społecznie tę pospolitą własność. Przedtem „oni" dyktowali nam i zbierali takie plony, na jakie zasłużyli (koszmarny regres gospodarczy, nie tylko w skali braków rynkowych na dziś, ale w skali ogólnoświatowej: pozostajemy w tyle za prawie wszystkimi krajami posługującymi się ekonomią zdrowego rozsądku). Teraz my „im" dyktujemy warunki rządzenia nami. Wyrównują się — powoli, z oporami, zgrzytami i wyraźnymi objawami sabotażu — proporcje: państwo jako system przestaje być nadrzędnym samoistnym bytem w stosunku do społeczeństwa, ale przeobraża się w funkcję, w mechanizm służebny tegoż.

A w ślad za tym musi postępować krok w krok reedukacja społeczna, budowa sensownej doktryny, realnej ideologii, a przede wszystkim przedszkole etyki społecznej. Innego sensu nabierają granice między własnością prywatną i społeczną, przestaje funkcjonować podział: to jest moje a to jest państwowe, zaczyna działać świadomość wspólnoty, wyrażająca się w określeniach: moje — nasze.

Wielki rozgardiasz przełomu roku 1980 i 1981 będzie zapewne trwał jeszcze dość długo (zakładając, że „przyjaciele" dadzą nam samodzielnie rozwikłać nasze, tym razem naprawdę nasze

sprawy). Musimy być w tym okresie szczególnie wyczuleni na te wielkie zdobycze, które stały się naszym udziałem i których nie wolno nam zaprzepaścić. Powtarzam minęły czasy kredytów. „Kredyt umarł", jak głosiły napisy w przedwojennych knajpach i sklepikach korzennych. Może być mowa tylko o wzajemnej lojalności, o wypełnianiu obowiązków, o twórczym współuczestnictwie w ratowaniu pogrążonego w niebywałym kryzysie kraju. Naszego kraju, proszę towarzyszy! Społeczeństwo gwarantuje wam ze swej strony lojalność za lojalność. Ale kredytu żadnego już nigdy nie udzieli.

A równocześnie to społeczeństwo musi podjąć samo wielką, trudną, ale w gruncie rzeczy ogromnie radosną kurację. Musi wyzwolić się z tej korupcji moralnej i psychicznej którą zostało porażone.

Sierpień 1980 roku zapisał się w historii świata, zapisał się szczególnie wyraziście w historii naszego kraju. Staje się datą tak przełomową, jak daty chrztu Polski i koronacji Chrobrego, zjednoczenia po rozbiciu dzielnicowym i bitwy grunwaldzkiej, Unii Lubelskiej, kolejnych powstań i odzyskania niepodległości. Świadomie przeskakuję jedną datę, którą zwykliśmy czcić trochę nieopatrznie, trochę na wyrost: datę 3 maja. Bowiem czciliśmy poprzez nią deklarację, akt, formułę, która nigdy *de facto* nie zaczęła funkcjonować, stała się natomiast gwoździem do trumny niepodległości. Oby nasze dzieci i nasze wnuki czciły datę podpisania porozumień w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu jako tę, w której skumulowała się wola narodu kierowania swym bytem, a nie tę, w której sformułowano ileś tam punktów zobowiązań. Jako datę rozpoczęcia nowej drogi, a nie powstania najszczytniejszego nawet, ale bezowocnego dokumentu.

Tymoteusz KLEMPSKI

Umowa i zmowa społeczna

Piszę te słowa w końcu listopada 1980 roku. Parę dni temu I Sekretarz trzymilionowej PZPR Stanisław Kania spotkał się z przywódcą dziewięciomilionowych Niezależnych Samorządnych Związków Zawodowych „Solidarność" Lechem Wałęsą. 10 listopada na dwa dni przed zapowiedzianym generalnym strajkiem

okupacyjnym w całej Polsce, Sąd Najwyższy zarejestrował „Solidarność" bez zmian w statucie. Pokonaliśmy w ten sposób już drugi próg w tym pracowitym i trudnym powrocie ze świata komunistycznej fikcji do świata komunistycznej rzeczywistości. Pokonanie pierwszego progu rozpoczęło się krótkim komunikatem prasowym o spotkaniu „przewodniczącego Komisji Rządowej Mieczysława Jagielskiego z przewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego Lechem Wałęsą", a zakończyło porozumieniami w Gdańsku, Szczecinie i Jastrzębiu. To, co się stało i to, co się dzieje partia opatrzyła okrągłą formułą „umowy społecznej". W terminie tym kryje się uznanie podstawowego faktu, że istnieją w Polsce dwie strony i to stanowi już pierwszy decydujący cios dla partyjnej nowo-mowy. Białe nazwano białym a czarne czarnym. Nie możemy więc eufemizmu o nowej umowie społecznej traktować podobnie jak „demokracji ludowej" roku 48-go, „suwerenności i demokratyzacji" roku 56-go, „nowego stylu i klimatu" roku 70-go, czy też „konsultacji ze społeczeństwem" roku 76-go. Jest rok 1980. I właściciele PRL zorganizowani w aparacie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej wiedzą, iż stoją naprzeciw całego społeczeństwa zorganizowanego (łącznie z częścią szarych członków partii zewnętrznej) w „Solidarności". Taki jest prawdziwy sens „odnowy".

Niezależne Samorządne Związki Zawodowe „Solidarność", nie są „pozostałością starego", jeśli określać je w nowo-mowie, są natomiast „zalążkiem nowego". Ukształtowana w komunizmie, w znacznej mierze pochodząca ze wsi, klasa robotnicza wystąpiła w obronie swoich praw w taki sposób, że partia nie może nawet przed sobą samą udawać, że ma inny niż moskiewski mandat na sprawowanie władzy. To, co się w Polsce stało nie jest odpowiednikiem odwilży inspirowanej odgórnie, czy choćby prowokowanej. Powtórzenie się trzy razy tego samego schematu (1970-1976-1980) dało „syndrom polski". Mimo ciągłych obaw Zachodu przed nową tragedią węgierską czy czeską Rosjanie nie znajdują na razie na syndrom polski innej odpowiedzi niż Radio Erywań, które na pytanie: „Czy jest wyjście z sytuacji bez wyjścia?" odpowiada: „Problematyką polską nie zajmujemy się w naszych audycjach".

◆

Przez ostatni rok polska opozycja znajdowała się w stanie, który wielu odbierało jako kryzys. Po pierwszych trzech latach rozwoju nastąpiła stabilizacja ruchu i padały pytania czy to aby nie stagnacja, czy opozycja nie wypełnia tylko wąskiego marginesu pozostawionego jej przez władze. Partia zrezygnowała już wówczas z wychowania na posłusznych obywateli garstki niepo-

prawnych wichrzycieli i postanowiła zastosować szeroką profilaktykę, aby uniemożliwić rozszerzanie się zarazy na zwykłych obywateli, np. słuchaczy Towarzystwa Kursów Naukowych, czy czytelników nieoficjalnych publikacji. Nie było to trudne. Każdego obywatela PRL można przecież co kilka dni zatrzymać w areszcie na 48 godzin, jest to praktyka względnie praworządna, a na tle normalnej brutalności komunistycznej policji, może wręcz uchodzić za łagodną perswazję. Czas pokazał jednak, że wszelkie policyjne represje były wyrazem słabości a nie siły. Solidarne kontrakcje społeczeństwa doprowadziły do uwolnienia z więzienia Michalaka czy Chojeckiego.

Czy opozycja reprezentowała milczącą większość narodu? Czy była i czuła się „u siebie"? Czy spotykała się z powszechnym poparciem podobnym do tego, jakie otaczało akowców w czasie okupacji? Na te pytania odpowiedź była wciąż negatywna. To opozycja tłumaczyła wciąż swe działania prawem do wolnego życia we własnym kraju, natomiast władza nie usprawiedliwiała się przed nikim z przymusu, który narzucała społeczeństwu. Karierowicz, donosiciel, łapownik, partyjny dziennikarz czuł się bardziej u siebie niż opozycjonista. To nie przypadek, że nikt nie napadł na Ryszarda Wojnę za uprawianie intelektualnej prostytucji, a pobito Michnika za popularyzowanie prawdy o historii Polski. Przełomem była wizyta Papieża. Partyjna nowo-mowa przegrała konfrontację z językiem elementarnych prawd. Wreszcie mogliśmy się policzyć ilu nas jest, a ile jest „służby porządkowej". Trójkąt władza - opozycja - społeczeństwo uprościł się do podziału władza - społeczeństwo. Po roku atmosfera tych wielkich dni z Papieżem wróciła w sierpniowych strajkach na Wybrzeżu.

◆

Wydawało się, że historia wlecze się gdzieś z tyłu. Tymczasem lipcowe i sierpniowe strajki wykazały, że historia żywa wyprzedziła wszystkie programy. Realiści są dziś w dużo trudniejszej sytuacji niż marzyciele — dłużnicy Juliusza Mieroszewskiego. Ale i realiści i marzyciele pracujący od lat nad nową umową społeczną zobaczyli, że jedynym liczącym się warunkiem jej ustanowienia jest zmowa społeczna (patent językowy Jana Nowaka, który tak nazwał w „Kurierze z Warszawy" okupacyjne poczucie solidarności). Tylko na zasadzie zmowy społecznej mogły spontanicznie powstać w ciągu dwóch miesięcy NSZZ „Solidarność". Bywało tak już nieraz w naszej historii i nic dziwnego, że historia okazała się znowu nauczycielką życia. Zmowy społecznej nikt nie uruchamia i nikt nie inicjuje. Ona jest lub jej nie ma. Dlatego Grot-Rowecki nie musiał zakładać AK od góry, a Jürgen

Stroop (patrz „Rozmowy z katem" Moczarskiego) mimo największych wysiłków nie zdołał założyć konspiracji hitlerowskiej mającej działać po kapitulacji Trzeciej Rzeszy.

Historia nie jest inkarnacją idei tak prostą, by ktokolwiek mógł powiedzieć: „A nie mówiłem!". Gdy opozycja pisała o wolnych związkach zawodowych czy strajku okupacyjnym jako najlepszej broni w walce z totalitaryzmem, były to wciąż tylko postulaty o charakterze strategicznym, bliskie nielicznej grupce działaczy skupionych w wolnych związkach zawodowych. Dopiero zmowa społeczna zmieniła te postulaty w rzeczywistość. Zmowa dotyczyła trzech czynników: akceptacji działaczy robotniczych czy intelektualistów znanych już społeczeństwu ze swojej postawy, sprawnej informacji i wypracowanych metod działania oraz zgody co do warunków realizacji założonych celów. Na Wybrzeżu czynnik ostatni sprowadzał się do przekonania, że: nie można wyjść na ulicę, nie można liczyć na dobrą wolę władz — kompromis wyłoni się dopiero z oporu i walki, nie ma celu choćby dotykanie kwestii ideologicznych. (Jeden z członków MKS-u tak skomentował zmiany na stanowisku I Sekretarza KC: „Nas te sprawy nie interesują. Nam nie chodzi o takie, czy inne osoby".). Lipiec i sierpień pokazały, że z chwilą istnienia elementarnej jedności w społeczeństwie spontaniczny odruch protestu, którym kieruje grupa świadomych działaczy, porusza lawinę i kolejni przywódcy średniego i niskiego szczebla wyrastają już w ciągu godzin i dni. I jeśli dziś bierzemy do rąk *Robotnika Wybrzeża,* organ NSZZ Wybrzeża z marca 1980 roku, nie możemy bez uśmiechu czytać o tym, jak panią Annę Walentynowicz konwojowano w pracy, by tylko w drodze z kabiny suwnicowej do toalety nie wręczyła kolegom bibuły. Co myślą teraz ci, którzy chronili zdrową klasę robotniczą przed zarazą samorządności? Podobne chyba uczucia zranionej godności cerbera muszą mieć profesorowie, którzy wyrzucali Michnika z uczelni, a później musieli słuchać jego wykładu w Audytorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego. Aparatczycy, którzy doprowadzają obecnie kraj do chaosu wojną podjazdową wypowiedzianą „Solidarności" wciąż nie mogą zrozumieć, że sytuacja zmieniła się nie ilościowo a jakościowo. Nie są to już nieliczni, pełni determinacji działacze, a zmowa społeczna. Gdy istnieje zmowa społeczna wystarcza kilkanaście mieszkań — lokali regionalnych związków zawodowych, by zbudować wielomilionową organizację. Bo zmowa społeczna odwołuje się do tego świata ideałów, który zakorzeniony jest w historii narodu i w doświadczeniu rodzinnym. Jest zaprzeczeniem prokurowanej wciąż na nowo przez partię spiskowej wersji historii PRL, w której głupi robotnicy są podszczuwani przeciw swojej władzy przez złych pisarzy i studentów.

Zmowa społeczna pokazuje, że „nasza rzeczywistość" jak nazywają to, w czym żyjemy komuniści, jest tylko narzuconą, cudzą fikcją. Choć społeczeństwo musi, jak w czasie zaborów, normalnie żyć, wielu ludzi widzi już, że komunizm nie będzie trwał wiecznie. Teraz naród nie tylko żyje podwójnym życiem, ale drugie życie zostało *de facto* uznane za ważniejsze niż pierwsze.

◆

Wolne związki zawodowe pozwalają wyrwać się ze szklanej kuli opozycyjnych dyskusji o granicach jawności i niejawności. Umożliwiają bowiem zalegalizowanie sfery działalności, która tu i teraz służy wyzwoleniu narodowemu i społecznemu, i to w bardzo szerokich ramach. Nakaz nieprzekraczania statutowych ram „Solidarności" każe jednak nadal rozwijać opozycję niejawną. Wprawdzie opozycja jest wreszcie „u siebie", ale partia komunistyczna jest także tu i teraz.

Powstanie „Solidarności" nakłada na grupy opozycyjne obowiązek penetracji w głąb, a często rewizji utrwalonych schematów myślenia. To, co było postulatami opozycji można już dziś często przeczytać na pierwszych stronach gazet. I jeśli poprzednio baliśmy się o los wolnego słowa w Polsce, dziś głównym problemem działań legalnych jest to, czy życie puści to, co puściła już oszołomiona cenzura? Nie chodzi więc o to, żeby pewne sprawy wykrzyczeć, a o tworzenie, choćby niewielkich faktów dokonanych, co „Solidarność" sprowadziła do wspaniałego hasła: „Partia kieruje, rząd rządzi, a my robimy SWOJE". Sytuacja obecna tworzy dla całej jawnej opozycji nowe pokusy i zagrożenia. „Solidarność" daje nowe, kapitalne możliwości współpracy społecznej. Począwszy od sierpniowych gwarancji bezpieczeństwa dla osób wspomagających strajk, NSZZ wymuszają uznanie *de facto* opozycji. Następstwem tego jest obecność Borusewicza wśród działaczy „Solidarności", z którymi robiła wywiad *Polityka,* i napastliwy, ale jednak merytoryczny komentarz do decyzji o uwięzieniu Moczulskiego. Wydarzenia te stawiają jednak jawną opozycję wobec wyboru: wyrzec się haseł niepodległościowych i antykomunistycznych w imię większego wpływu na bieżące wydarzenia, czy głosząc je nadal ekstremizować sytuację polityczną kraju bez żadnych szans na aż tak zasadnicze zmiany w obecnej sytuacji międzynarodowej. Jak to określił Szczypiorski odrzucając w wywiadzie dla *Głosu* postulat zniesienia cenzury prewencyjnej: nie chodzi o to, żeby nie siusiać do basenu, ale o to, żeby tego nie robić z trampoliny, bo to musi się zakończyć podobnie jak w Czechosłowacji w 68 roku.

Zagadnieniem, które wymaga zwrotu w myśleniu, jest podejście do naprawy gospodarczej. Dotychczas dominowało przekonanie, że bez zasadniczej, całościowej reformy wprowadzonej przez centralę, ekonomika kraju nie podniesie się z upadku, że reforma jest początkiem naprawy. Fetyszyzowano więc wiele uwarunkowań (płace, długi dewizowe itd.), uznanych za ścisłe ograniczenia, gdy tymczasem determinacja stoczniowców całkowicie je zrelatywizowała. Przez całe lata państwa „nie było stać" na posunięcia, do których sytuacja zmusiła je w parę dni lub miesięcy. Okazało się też w trakcie kolejnych dyskusji, że stopień dezinformacji jest tak wielki, że nawet ludzie najlepszej woli nie potrafią wielu spraw uściślić (jak tu zresztą mówić o precyzji, gdy złotówka ma kilka kursów?). W tej sytuacji naprawa struktur gospodarczych od dołu przy równoczesnym nacisku na generalną reformę gospodarczą, są kierunkami, które zyskują po obu stronach barykady coraz więcej zwolenników. Równoległe rozluźnianie gorsetu od szczebla przedsiębiorstw, i od szczebla centrali jest podwójnie korzystne: poprawiając pewne sytuacje od zaraz wymusza kolejne zmiany. Nie było w końcu przypadkowe, że wszystkie dotychczasowe próby reform niezależnie od intencji władzy centralnej utykały już na średnim szczeblu nomenklatury. Przesunięcie działalności z płaszczyzny politycznej na praktyczną pozbawia większość ciosów w monopol państwa ich „antysocjalistycznej" wymowy. Programem pozytywnym dla „Solidarności" może być, np. powrót do wielu punktów Manifestu Lipcowego. Wystarczy, by dziś zrealizować przyrzeczenia powojennego czasu kompromisów, by odrodziło się polskie rolnictwo. (Prawo posiadania gospodarstw do 50 ha w Polsce centralnej i wschodniej i do 100 ha na Ziemiach Zachodnich!). Odwołując się do przyrzeczeń Manifestu Lipcowego można odtworzyć na zasadach prywatnych znaczną część drobnego i średniego przemysłu, nie mówiąc już o czystej ideologicznie kwestii uspołecznienia gospodarki państwowej i spółdzielczej.

◆

Sprawą, którą warto, jak to mówił Piłsudski, przepracować w sobie jest zachowanie się wobec ewentualnej sowieckiej interwencji. Interwencja nie dlatego nam grozi, że „Solidarność" lub opozycja zagraża tzw. socjalizmowi w Polsce. Interwencja nie jest i nie była elementem wkalkulowanym w cenę przemian w naszym kraju. Jeżeli nastąpi sowiecka inwazja to tylko na skutek rozkładu władzy w Polsce, za który sama władza odpowiada i dziś jedynie sama może ten rozkład powstrzymać. Argumentem propagandowym, który miał pozbawić polskich komunistów pięta agenturalności była dotychczas „racja stanu". Teraz uzyskała ona nowy wymiar: komuniści muszą we własnym i społecznym interesie pilnować, by zagrożony erozją ustrój socjalistyczny zachował wystrój socjalistyczny. Tego bowiem niedwuznacznie chcemy wszyscy i dlatego nikt nie kwestionuje dwóch filarów sowietyzmu: kierowniczej roli partii i cenzury prewencyjnej. Ten *consensus* partii i „Solidarności" napawałby optymizmem, gdyby Politbiuro i KC Partii utrzymywały się faktycznie w kategorii GDR (Grupy Dość Rozsądnej, jak określił ją Wałęsa przemawiając po podpisaniu Porozumienia Gdańskiego) i zaprzestała prób konfrontacji z mitycznymi „siłami antysocjalistycznymi". 9 (słownie: dziewięć) milionów ludzi o ustalonej strukturze organizacyjnej, to jest armia, o której istnieniu przed sierpniem nie można było nawet marzyć. Armia ta jest faktem, którego wymazać ani rozmyć nie sposób. Partia musi przyjąć do wiadomości, że choćby Rosjanie w imię doktryny Breżniewa okazali braterską pomoc towarzyszom znad Wisły i zniszczyli wszystko co wywalczono, to za dziesięć lat sytuacja i tak się powtórzy.

Trudno tu radzić partii i cenzurze jak powinny się wzmocnić, by socjalizm w Polsce nie był zagrożony w rozumieniu doktryny Breżniewa. Byłoby to już zbyt przewrotne, więc powtórzmy tylko za Adamem Kruczkiem klasyczne hasło Ilfa i Pietrowa: „Ratunek tonących jest w rękach samych topielców".

Wielu sądzi, że braterska pomoc jest tym elementem obecnej sytuacji, którego z wielu względów nie należy obecnie rozważać. Jest to wywoływanie wilka z lasu, wręcz prowokowanie go. W takim ujęciu kryje się brak skromności. Sowieccy marszałkowie nie wydają decyzji po lekturach polskiej bibuły, lecz po analizie stanu zdrowia partii, co zależy od jej prowadzenia się. Istnieje też przekonanie, że rozważając różne aspekty inwazji Starszego Brata ulegamy nieświadomie szantażowi polskich komunistów, szczególnie, że spekulacje na ten temat zawierają więcej makabrycznych skojarzeń niż trzeźwej kalkulacji możliwego ryzyka. Skoro jednak (a tego sądu nikt nie kwestionuje), najważniejszą przyczyną, która wstrzymuje Rosjan przed inwazją jest ich historyczna wiedza o naszym przywiązaniu do imponderabiliów, ich pewność, że będziemy stawiać opór, to rozważanie dylematu czołgów ma charakter także doktryny odstraszania. Bowiem, prócz ekonomicznych konsekwencji inwazji, a w tym wzięcia na swoje utrzymanie 35-milionowego narodu, głównie my sami ich odstraszamy, a nie Carter, Reagan czy Madryt 80.

Kompleks polski Rosjan stanowi nie tylko pamięć o powstaniach, ale i lekcja afgańska, a więc przekonanie, że żołnierz sowiecki na pewno wjedzie do Polski, ale nie wiadomo, czy żywy

z niej wyjedzie. Lęk przed Polską ma charakter ambiwalentny. Tolerując „syndrom polski" stwarza się możliwość zarażenia wolnością Ukrainy, Litwy, Białorusi i republik bałtyckich. „Normalizując" Polskę zaraża się Rosję za pomocą samych pacyfikujących. Władcy sowieckiego imperium zdają sobie sprawę, że „pańska Polsza" może być początkiem końca ich kolonialnej ekspansji. Już dziś nic nie wróży spokoju w Wietnamie, Angoli i Afganistanie, więc tym gorzej dla Rosjan gdyby przybyła jeszcze jedna, tym razem biała, zbuntowana kolonia. Ta ostatnia grupa motywów może skłonić Moskwę do potraktowania Polski jako Jugosławii Układu Warszawskiego, jeśli tylko ten wariant pozwoli usunąć groźbę szerzenia się kolonialnych zmartwień. Sceptykom warto przypomnieć, że już od 48-go roku co najmniej w dwóch sprawach dalecy jesteśmy od ortodoksji: mamy niezależny Kościół i indywidualne rolnictwo. Możliwe więc, że w „syndromie polskim" zmieszczą się jeszcze „pańskie" związki zawodowe zamiast „rabskich".

Wypracowanie społecznej i organizacyjnej formuły na wypadek interwencji jest absolutnie niezbędne, by nie popaść w lekkomyślne bohaterstwo zamykające się w haśle: robimy co się da teraz, a jak wejdą Sowieci, to i tak postawią nas pod ścianę. Oznacza to bowiem myślenie tylko o przyszłości chcianej i zamykanie oczu na nie chcianą. Czy szansa interwencji wynosi 10 % czy 90 %, trudno nie zauważyć kordonu sanitarnego wokół Polski. Elementy scenariusza przyszłych wydarzeń jakie można odnaleźć w podświadomości wielu Polaków w kraju i za granicą są następujące. Wojsko Polskie podejmuje czynną walkę z agresorem. Na terenie miast trwają zacięte walki do których włącza się ludność cywilna. Milicja i Służba Bezpieczeństwa niszczy *dossier* wszystkich, którzy mogą być w pierwszej kolejności zagrożeni represjami Sowietów. W momencie interwencji PZPR rozwiązuje się. Do rozmów z okupantem przystępuje tylko rząd i administracja jako władza zajmująca się wyłącznie codzienną egzystencją. Komitet Narodowy wyłoniony przez ośrodki niezależne kieruje z konspiracji ruchem oporu, kontrolując i dając dyspozycje polityczne pozostającej na stanowiskach administracji. Ten zestaw przypuszczeń? marzeń? życzeń? nakazów narodowego sumienia? obecny w zbiorowej świadomości i podświadomości rzadko podlega powyższej konkretyzacji. Rzeczywistość bowiem jest i będzie kształtowana bardziej przez zmowę społeczną niż przez umowę społeczną, którą proponowałby rząd lub opozycja.

W świetle zmowy społecznej jest oczywiste, że postawa MO i SB będzie oceniana pod kątem tego, na ile policja błękitna okaże się granatową. Słowem: na ile milicjanci będą służyli Polsce a nie Rosji. Członkowie partii już dziś wiedzą, że przyszły

Husak-Quisling odpowie przed narodem za rolę, którą na siebie weźmie, bo dla każdego jest oczywiste, że niezależnie od względności naszej *quasi*-suwerenności, agresja rosyjska odbiera PRL-owi już najelementarniejszą odrębność w ramach systemu sowieckiego. Wobec znikomej szansy — po doświadczeniach węgierskich i czeskich — zastosowania przez Sowiety tradycyjnego terroru (rozstrzeliwanie, łagry, zsyłki na białe niedźwiedzie) przeciwstawienie molochowi sowieckiemu czegoś poza propagandą i biernym oporem byłoby nieodpowiedzialnym narażeniem społeczeństwa na wykrwawienie. Tym bardziej istotne jest, by wszyscy aktywni działacze polityczni uniknęli w pierwszym momencie aresztowań, co wymaga choćby znalezienia rezerwowej sieci lokali i ustalenia łączności między nimi. Demonstracja suwerenności i solidarności narodowej ponad podziałami politycznymi może być istotnym kapitałem wyniesionym z konfrontacji z doktryną Breżniewa. Z dniem inwazji winien rozpocząć się tygodniowy domowy strajk generalny w całym kraju. Pozwoli on na demonstrację ludności cywilnej w formie, która uniemożliwi konfrontację czołgów z tłumami. Niestety wiele wskazuje na to, że milczącej zmowie społecznej towarzyszyć będą wiernopoddańcze przemówienia polskiego Husaka. Istotniejsze jest jednak to, by ewentualna „normalizacja" spełzła na niczym, nie mogąc zatomizować społeczeństwa i zniszczyć jego narodowych więzi. Byśmy z czwartej już w naszej historii — po 1920, 1939 i 1944 roku konfrontacji z Armią Czerwoną wynieśli okrzepłą w nowych doświadczeniach zmowę społeczną. Najlepszą odpowiedzią na sowiecką normalizację byłoby MILCZENIE MORZA.

Maciej POLESKI

Spółka Scylla i Charybda

Jak wiadomo, wielogłowa i licznonoga Scylla porywała ludzi pojedynczo lub kilku na raz; jej sąsiadka Charybda stosowała metodę bardziej radykalną, wchłaniając całe statki razem z załogami. Z przekazów mitologicznych nie wynika, aby Scylla i Charybda współpracowały ze sobą. Wcale nie mityczne potwory, między którymi usiłuje się dziś przecisnąć społeczeństwo polskie, działają — jak na komunistyczne monstra przystało — zespołowo.

Mamy do czynienia ze spółką miejscowej partyjnej Scylli z ościenną imperialną Charybdą.

Partyjna propaganda trąbi o „elementach antysocjalistycznych", o destabilizacji, groźbie anarchii i chaosu. Trąbi tak donośnie i uporczywie, że uwierzyli w te slogany nawet niektórzy z zachodnich komentatorów. Wydarzenia ostatnich dni listopada i pierwszych grudnia powinny jednak były przekonać nawet najmniej bystrych obserwatorów, że destabilizacja zagraża nie ze strony „Solidarności" czy „opozycji" (której działania po obchodach 11 listopada trudno było zauważyć), ale ze strony podnieconego, na przemian spanikowanego i gniewnego aparatu partyjnego, a ogólniej — ze strony pogrążonej w chaosie dezorganizacji i walk personalnych władzy.

Najbardziej zaciekły opór wprowadzanym zmianom — administracyjnym, gospodarczym, politycznym — stawia średni aparat partyjny i związkowy. Większość tych ludzi nie potrafi robić niczego poza funkcjonowaniem w aparacie. Czerpali — w stosunku do umiejętności i wkładanej pracy — stosunkowo największe korzyści ze swoich stanowisk; utrata przywilejów i konieczność zabrania się do pracy jest dla nich perspektywą dosłownie przerażającą. Wielu będzie wolało nawet dobrosąsiedzką interwencję. Opór „odnowie" stawia też sama nieelastyczna struktura administracyjno-państwowa, niepodatna na zmiany, niezdolna do odbierania impulsów od dołu, chwiejąca się przy każdej próbie podporządkowania jej potrzebom i oczekiwaniom społeczeństwa. Ale system opiera się reformie nie tylko dlatego, że bronią go dawni funkcjonariusze i że jest rozpaczliwie sztywny; także dlatego, że partia nie rozporządza dostateczną liczbą ludzi, którym by ufała i którzy potrafiliby wprowadzać w życie liberalizację polityki społecznej i gospodarczej. Niemal przez całe ostatnie 36 lat zasady rekrutacji i awansu aparatu partyjno-państwowego były takie, że prawie wykluczały wybijanie się ludzi zdolnych, wykształconych i uczciwych. Stosowawszy przez tyle lat zasadę doboru negatywnego — partia pada teraz jego ofiarą. Niestety, nie tylko partia. Także cały naród — którym ona musi nadal rządzić.

Głowy Scylli — to wrogość wobec przemian; jej macki — to inercja. Obecne kierownictwo zdaje sobie sprawę ze słabości i niewydolności partii, i dlatego również nie można liczyć na jego lojalność w stosunku do nowych związków zawodowych. Przykładem braku lojalności jest niedopuszczenie do wiadomości publicznej antystrajkowego i uspokajającego oświadczenia Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarności" z dnia 26 listopada. Sumując: prawie cała odpowiedzialność za anarchię i brak stabilizacji spoczywa na partii, a partia prawie całą winę usiłuje zwalić na „Solidarność" i „elementy antysocjalistyczne".

Takie są najogólniej biorąc przyczyny wewnętrznego zagrożenia procesu liberalizacji w Polsce. Przyczyny zagrożenia zewnętrznego są prostsze. Po pierwsze, w Polsce już trzeci raz (1956, 1970, 1980) dochodzi do skutecznej, tj. trwałej zmiany ekipy rządzącej na skutek nacisku oddolnego. Żadna władza autokratyczna i samozwańcza — a takie są władze we wszystkich krajach bloku moskiewskiego — nie lubi takich widowisk, bo uważa je, i słusznie, za jaskrawe podanie w wątpliwość jej własnego legitymizmu. Po drugie, władze w NRD i Czechosłowacji obawiają się, że przykład robotników polskich oddziała na ich własnych obywateli (należałoby raczej mówić „poddanych") — i że jedynym sposobem zapobieżenia takiemu gorszącemu oddziaływaniu jest zdecydowane stłumienie tendencji demokratyzujących w Polsce. Po trzecie wreszcie — ZSSR, choć sam mniej zagrożony i złym przykładem, i zakwestionowaniem uprawnień władzy, musi wydarzenia polskie odbierać jako drastyczne odstępstwo tak od przyjętych norm politycznego *savoir vivre*'u, jak i od podstawowych zasad ideologii, głoszących konieczność podporządkowania wszelkich inicjatyw i ruchów społecznych bezpośredniej kontroli rządzącej partii. Rozpisuje się o tym zresztą, aż do przesady, prasa całego świata — która nawet cierpliwego wilka zdolna jest wywołać z lasu.

Trwający od kilku miesięcy rozkład i częściowy paraliż władzy w PRL sprawia, że wszelkie rozmowy i rokowania są ogromnie utrudnione. Spory rozstrzygane bywały często nie na drodze negocjacji, ale przez frontalny nacisk, przepychanie się i siłowanie w postaci strajków, odmów, zakazów i ultimatów. Kompromisy i ustępstwa osiągane były kosztem ogromnych napięć, w atmosferze konfrontacji i szantażu. I za to niemal cała odpowiedzialność spoczywa na władzach.

Jednocześnie trwa nacisk z zewnątrz, który w chwili, kiedy to piszę (9 grudnia) przybrał złowróżbną formę komunikatu TASS-a o nasilających się działaniach kontrrewolucji w Polsce. Jeszcze kilka dni temu, jeszcze w dniu powrotu delegacji partyjno-rządowej z niespodziewanych rozmów w Moskwie, można było się zastanawiać, czy ewentualna interwencja będzie przeprowadzona dla poparcia i na życzenie obecnej ekipy — czy przeciwko niej, na „wezwanie" jakiejś grupy „prawdziwych komunistów", np. z Werblanem, kandydatem na polskiego Bilaka, jako głównym ideologiem. Obecnie jest już prawie pewne, że interwencja byłaby podjęta przeciwko ekipie Kani i Moczara.

(Wygląda na to, że Moczar znów, jak i na VI plenum, uratował Kanię przed obaleniem. Wygłosił najrozsądniejsze chyba przemówienie VII plenum KC, wypowiadając się za „odnową", kom-

plementując i tłumacząc „Solidarność", wspominając w duchu pojednania (!) walki lat 1945-47 i — co może najistotniejsze — stwierdzając, że „wszelka konfrontacja niezależnie od okoliczności, jakie by jej towarzyszyły — w ostatecznym bilansie politycznym byłaby porażką dla wszystkich". Wyjaśnił, że przez konfrontację rozumie użycie siły przez władzę państwową. Nie wspominam tego, aby wybielać marcowego generała, ale aby zwrócić uwagę, że nie jest postacią jednowymiarową, po prostu i tylko krwiożerczym antysemitą — tak samo, jak Gomułka nie był tylko „człowiekiem w okularach w drucianej oprawie", który nie uląkł się Chruszczowa a socjalizm definiował jako „ustrój, w którym ludziom lepiej się żyje").

Przyjęcie przez ZSSR i naszych pozostałych sąsiadów, że za obecną sytuację w Polsce odpowiedzialne jest nowe kierownictwo PZPR, należy moim zdaniem uznać za fakt pomyślny. Interwencja na życzenie rządzącej ekipy byłaby praktycznie i technicznie łatwiejsza, pozwoliłaby też w jakimś stopniu złagodzić reakcję Zachodu (który po raz pierwszy zachowuje się w sposób istotnie zniechęcający do awantury) i międzynarodowej opinii. Interwencja mająca na celu także zmianę rządu przeciwstawi najeźdźcom, czynnie i biernie, całe niemal społeczeństwo łącznie z częścią aparatu władzy. Im szybciej, pełniej i ściślej obecny zespół kierowniczy potrafi sobie podporządkować całość mechanizmu partyjno-państwowego (a zwłaszcza administrację partyjną, wojsko i służbę bezpieczeństwa), im bardziej osłabnie siła krajowej partyjnej Scylli — tym lepsza szansa na to, że polski eksperyment „odnowy" uniknie także wchłonięcia przez moskiewską Charybdę.

Polskie środowiska niezależne mają na to wszystko wpływ niewielki. Nie należy im też przypisywać mocy wywołania albo powstrzymania interwencji sowieckiej. Nawet gdyby jakieś nieodpowiedzialne grupy dążyły do próby sił z władzą — nie zyskają dostatecznego poparcia w społeczeństwie. Generalną konfrontację mogą natomiast wywołać władze, i to zarówno celowo, jak i — znacznie łatwiej — na skutek bałaganu i głupoty. Najnowszym przejawem głupoty jest odwołanie premiery filmu „Robotnicy 80". Czyżby nie zdawano sobie sprawy, że lepiej pozwolić ludziom dać emocjonalny upust w kinie, niż gdzie indziej? I że pokazanie obrazu nawet bardzo krytycznego wobec rządu stwarza więź porozumienia między widzami a tymi, którzy na to pokazanie pozwolili?

◆

Świadomość małego wpływu na rozwój wydarzeń, a zwłaszcza na zaistnienie Najgorszego, nie może nas zwalniać od obowiązku

zastanowienia się nad tym, jakie popełniliśmy błędy i jakich błędów możemy uniknąć.

Sądzę, że nie zostały wykorzystane możliwości lepszego przygotowania się do powstałej sytuacji, w której społeczeństwo zyskało możność wpływania na kształt swojego życia zbiorowego i gospodarczego. Nie potrafiliśmy przygotować szerszych sfer społecznych, większej liczby ludzi i środowisk do otwartego działania, nie wprawiliśmy ich w pracę organizacyjną, choćby początkowo niejawną. To się teraz mści. Wewnętrzne przeszkody, z którymi borykają się nowopowstałe związki zawodowe i inne stowarzyszenia, wynikają przede wszystkim z braku infrastruktury: za mało jest osób i zespołów, które mogłyby stanowić oparcie organizacyjne, ułatwiać wzajemne porozumiewanie się, udzielać rad, uzgadniać i wiązać inicjatywy, itd. Wystarczy rozejrzeć się wokoło aby zobaczyć, jak nieliczni i straszliwie przeciążeni robotą są doradcy i rzecznicy tworzących się zrzeszeń, z jak nielicznych środowisk się wywodzą. Całe szczęście, za NSZZ-y znalazły pomoc u ugrupowań katolickich!

Drugim mszczącym się, i nadal popełnianym, błędem jest swoisty wszystkoizm (przypominam: był to charakterystyczny błąd literatury socrealistycznej, która w każdym utworze chciała zmieścić WSZYSTKO). Zamiast trzymać się logicznego i obiecującego większą skuteczność podziału pracy, w ramach którego jedni wykładają programy i teorie a inni działają praktycznie, wykorzystując wszelkie możliwości, otwierane przez obowiązujące prawodawstwo — łączy się często te role, ułatwiając kontrakcje władz. Jest bowiem istotnie niezręczne, kiedy działacz, doradca lub rzecznik „Solidarności" (a więc organizacji, działającej dobrowolnie w ramach obowiązującego w PRL prawa i istniejącego ustroju), albo ma w dorobku publiczne wypowiedzi, postulujące radykalne zmiany ustrojowe czy sojuszowe, albo nawet nadal takie wypowiedzi składa. Muszę wyznać, że nie wiem czemu (poza autorską ambicją) przynosi to pożytek. Wyznaję też, że nie rozumiem, dlaczego KSS „KOR" — instytucja o niepodważalnych i nieporównywalnych zasługach w zakresie obrony praw ludzkich i obywatelskich oraz rozbudzania niezależnych inicjatyw społecznych — wydaje oświadczenie o charakterze politycznym, odnoszące się w wielu punktach do roli i zadań „Solidarności" w sytuacji, kiedy propaganda partyjna poluje na „dowody" kierowania nowych związków zawodowych przez czynniki zewnętrzne. Wszystkie zgłoszone przez KSS „KOR" 30 listopada postulaty dadzą się skuteczniej przedstawiać przez odpowiednie reprezentacje społeczne, powołane do rozmów z władzami. KSS „KOR" zdobył sobie taką renomę i autorytet, że powinien poważniej traktować własny głos i nie szafować nim niepotrzebnie.

Trzeci błąd, to ciągłe spory i swary, głównie wywoływane podrażnionymi ambicjami, ale argumentowane i racjonalizowane brakiem zaufania, podejrzliwością co do *zasad* konkurenta. Podejrzliwość taka jest o tyle mało sensowna, że wmawiane różnice stanowisk nie mogą na ogół liczyć na znalezienie społecznego poparcia. Np. gdyby nawet rzeczywiście Jacek Kuroń chciał (jak mu wielokrotnie zarzucano) namówić Polaków do rezygnacji z niepodległości, to i tak nie miałby żadnych widoków powodzenia — po co więc wszczynać potępieńcze swary? Jeżeli ruchy wolnościowe w Polsce mają zachować szanse wpływania na społeczeństwo, działacze *muszą,* i to szybko, nauczyć się więcej wzajemnej lojalności i prostego zaufania.

◆

Na zakończenie — remanent dyskusyjny. Z Kisielem, którego niezmiennie podziwiam i szanuję, polemizować nie będę — bo to zajęcie beznadziejne. Nie dopuszcza on do siebie myśli, że mógłby się mylić, i „polemizuje" w ten prosty sposób, że osobie, która się z nim nie zgadza, przypisuje poglądy idiotyczne, nie zwracając uwagi na tekst wypowiedzi swojej ofiary. Ja np. napisałem (*Kultura,* czerwiec 1980), że nierozsądne jest założenie, że w naszej sytuacji politycznej nic się nie zmieni; Kisiel we wrześniowej *Kulturze* przypisuje mi pogląd, że zmieni się „wszystko". Napisałem, że Kisiel nie docenia faktu posiadania przez nas odrębnego państwa (jakże często myślimy o tym dziś, nadsłuchując, czy sowieckie czołgi już ruszyły...) — a on na to, że jestem „skłonny wybaczyć [temu państwu] wszystko, wraz z sowietyzacją duchową i plajtą materialną". Przeczytałem jego miażdżący mnie felieton „Szczekanie aż po Sekwanę" — i ręce mi opadły. Pozwalam sobie pozostać przy niezmienionym własnym zdaniu (w czym mnie energicznie wspierają najnowsze wydarzenia).

I — nie wdając się w dyskusję — chcę raz jeszcze stwierdzić z naciskiem, że pomysły o „dogadywaniu się z Kremlem z pominięciem czy ponad głowami partii i rządu uważam za niesłuszne i niebezpieczne. Każda taka próba musi się obrócić w licytację „kto da więcej" — oczywiście Moskwie, która jest silniejszym partnerem. Każda taka próba będzie dalszym rozbijaniem społeczeństwa, którego główną szansę stanowi solidarność (przez małe s) i którego główną siłą jednoczącą jest chęć maksymalnej odrębności od ZSSR. Rząd w Warszawie to jest nasza wobec Moskwy reprezentacja, nawet jeżeli wyłoniona w ramach narzuconej struktury politycznej; możemy się tej władzy opierać na wszystkich innych odcinkach — ale wobec Moskwy powinniśmy ją po-

pierać. Bo na rząd w Warszawie możemy wpływać bezpośrednio i bezkrwawo. Na rząd w Moskwie albo za pośrednictwem rządu PRL, albo za cenę śmiertelnego ryzyka, albo wcale.

Leopolicie (*Kultura,* październik 1980) pięknie dziękuję za dobre słowo. Zgadzam się, ja z kolei, z większością jego twierdzeń i korektur. Sądzę tylko, że temat „Ludowe Wojsko Polskie" nie powinien co prawda stanowić tabu, ale musi być poruszany z wielką ostrożnością, i to z powodów, przez Leopolitę nie wymienionych. Otóż nastroje i poglądy w LWP są bardzo rozmaite, i im więcej się na ten temat wie, tym bardziej chce się milczeć. Czasem ze wstydu, jak słusznie pisze Leopolita. Ale przeważnie — z dyskrecji. Można mówić ogólnie o poglądach i nastrojach np. pracowników PGR-ów, bo to sprawy dostępne, w ujawnieniu niegroźne. Informacje o wojsku są z konieczności wycinkowe. Ich ujawnianie pachnie donosem — chociaż można by opisać np. co mówią o wojskowym sprzęcie sowieckim i amerykańskim oficerowie LWP na szkoleniu z obrony cywilnej, albo co opowiadają żołnierze, wracający z manewrów na terenie ZSSR (jakie się systematycznie odbywają).

SOCJUSZ

PIEŚNI GNIEWU I NADZIEI

Czechosłowackie wydawnictwo emigracyjne w Szwecji „Safran" wydało płytę „Postulat 22" zawierającą piosenki powstałe w większości na Wybrzeżu w sierpniu 1980 roku.

Płytę „Postulat 22", podobnie, jak płytę „Słowo" (wiersze papieża, kazanie kardynała Wyszyńskiego i pieśni kościelne) oraz płyty z piosenkami K. Kryla zamawiać można:

SAFRAN
c/o Jiri Pallas
Aug. Södermansv. 61 752 49 Uppsala,
Sweden.

CENA: SKR 45; DM 20; $ 10, lub równowartość w innych walutach.

Archiwum polityczne

Amerykańskie refleksje powyborcze

Żeby lepiej zrozumieć przebieg i rezultat amerykańskich wyborów, wypada przyjrzeć się ewolucji stosunków międzyludzkich na tle przemian technologicznych ostatniego ćwierćwiecza w Ameryce i krajach uprzemysłowionego Zachodu.

W miarę jak technologia produkcji i usług w zaawansowanych krajach kapitalistycznych rozwijała się w tempie coraz szybszym, instytucje demokracji parlamentarnych okazywały się coraz bardziej przestarzałe i coraz gorzej przystosowane do nowo kształtującego się społeczeństwa, zmieniającego się niemal z każdym rokiem. Zjawisko to było szczególnie uderzające w Stanach Zjednoczonych, które, jak soczewka, ogniskowały najdotkliwsze schorzenia demokracji parlamentarnych. Oczywiście Stany, ze względu na swe demograficzne cechy i inne historyczne osobliwości, zachowały swoiste odrębności. Niestety, te właśnie odrębności zaostrzały jedynie problemy, wynikające z niekontrolowanego wzrostu, które przeżywał i przeżywa świat kapitalistyczny.

Nawet najbardziej skłóconych ze sobą polityków, działaczy i publicystów łączy tu jedna tradycyjna więź: afirmacja amerykańskiej konstytucji. Stanowi ona coś w rodzaju narodowego sanktuarium. Z charakterystyczną ciasnotą ludzi epoki schyłkowej, jej wyznawcy utrzymują, że skoro ten blisko dwieście lat liczący dokument, skomponowany dla społeczności kupców, rzemieślników, farmerów i myśliwych, potrafił zapewnić w pewnej epoce ich krajowi niebywałą potęgę, dowodzi to, że wytrzymał próbę życia. Zwłaszcza, że choć podzelowany tyloma poprawkami — funkcjonuje dalej.

Rzeczywiście funkcjonuje, ale jak? Demokracja amerykańska, a z nią inne — europejskie — nie przeżywają żadnego kryzysu,

ale najzwyklejszą agonię, na którą żadne tam święte oleje konserwatyzmu, czy jeszcze bardziej archaicznych recept socjalistycznych nie pomogą. Oczywiście agonie, które przechodzą demokracje kapitalistyczne, trzeba mierzyć w standardach historycznych czyli latami. Optymiści mogą wytargować dekadę lub półtora. Nie dłużej. Bo, na domiar złego, cały proces rozkładu nie odbywa się w próżni, ale przeciwnie — we wrogim otoczeniu. Proces ten od szeregu lat odbywa się na naszych oczach. Jeśli niektórzy z nas, żyjący na Zachodzie, tego nie dostrzegają, to chyba dlatego, że sami są cząstką tego wielkiego dogorywającego demokratycznego organizmu. Kto czuje się bardziej „obcym", ten widzi lepiej. O sowiecko lub sowiecko-podobnych systemach zwykliśmy twierdzić, że nie mają w sobie cech auto-regeneracyjnych, ponieważ każda rzeczywista próba reformy grozi podważeniem systemu i działa eskalacyjnie, rozsadzając strukturę władzy. O ustrojach demokracji kapitalistycznej powiedzieć tego żadną miarą nie można. Są to naczynia otwarte, w których odbywa się burzliwy i niekontrolowany ferment. Optymiści nazywają to wolnością, pesymiści — rozpasaniem i anarchią. Oczywiście te epitety niczego nie wyjaśniają. Charakteryzują tylko osobistą wysoce emocjonalną afirmację lub negację stanu, w którym znalazły się demokracje parlamentarne. Tak czy owak, tutejsze społeczeństwo posiada rozległe możliwości regeneracyjne i degeneracyjne. Wybór zależy od ludzi — ściślej od dominującej moralności, poczucia dyscypliny, więzi społecznej — a głównie od ideologii warstw oświeconych. Te, nieraz manifestacyjne lekceważone przez tak zwanych prostych ludzi, nadają jednak ton całemu społeczeństwu.

Jak dotąd regeneracji w Stanach Zjednoczonych nie widać. Odwrotnie — widać degenerację i choć coraz liczniejsi politycy z tak zwanej Nowej Prawicy biją na alarm, rzeczywistych zmian w postawach ludzkich nie ma. Oczywiście beczki z fermentującą zawartością nikt nie radzi zaklepywać. Zresztą niechby tylko ktoś spróbował! Najlepsze byłoby urządzenie termostatyczne albo inne sprzężenie zwrotne. Ale to, co można wbudować w lodówkę elektryczną lub w rezerwuar toaletowy, trudniej jest wmontować w społeczeństwo.

◆

Ponieważ od czasów dyktatur faszystowsko-hitlerowskich i szeregu innych łagodniejszych — bardziej efemerycznych — zrodzonych na glebie niedorozwiniętego kapitalizmu, nikt nie jest w stanie wypracować nowej umowy społecznej na gruncie prywatnego władania środkami produkcji, apologeci istniejącej na

Zachodzie demokracji parlamentarnej zwykli replikować krytykom: Czyż lepsza była alternatywa sowiecka? Oczywiście — nie. Trudność polega na nowym zjawisku, które nabiera zakresu globalnego. Ludzie są już zmęczeni, gdy każą im wybierać między złem a gorszym. Tego rodzaju nakaz wyboru ma w sobie cechy szantażu. W innej strefie alternatyw doświadczali tego na sobie Polacy w roku 1980, gdy władze PRL posługiwały się bezustannym szantażem interwencji sowieckiej — by wymusić posłuch. Nawet jeśli interwencja nie była wyłącznie straszakiem, ale całkiem realną możliwością, to nagle, z zaskakujących dla wszystkich powodów, szantaż nie chciał działać. Po prostu przestała funkcjonować nudna kalkulacyjna rozwaga. Świadczy to o tym, że na świecie coraz silniej odczuwa się jakieś nowe powiewy, z którymi mogą mieć poważne kłopoty ci, którzy troszczą się o równowagę i stabilizację świata.

◆

O tym, że każda w najrzetelniejszych celach stworzona instytucja lub organizacja społeczna przeżywa fazę dysfunkcji, wiemy już od dawna. To samo oczywiście musiało spotkać i amerykańską demokrację. Zdarzało się to już wielokrotnie w przeszłości, ale jakoś z tych prób wychodziła ona obronną ręką. Że obecnie rozpada się jako system, wiemy już od wielu piszących i nie piszących do *Kultury* — w tej liczbie od Sołżenicyna, Nixona i Kisielewskiego. Nixon w swej książce: „Prawdziwa wojna" konstatuje pożałowania godny stan swego narodu — jego tchórzostwo, wygodnictwo, brak rozeznania warunków międzynarodowych, w których żyje, by w konkluzji apelować do Amerykanów, by się ocknęli i spojrzeli w oczy niewesołej rzeczywistości. Czytając Nixona, odnosi się wrażenie, że dla ex-Prezydenta koniecznym i wystarczającym warunkiem przełomu jest amerykańska samowiedza o ich stanie. Postawa taka jest dla mnie zanadto ahistoryczna, bo przecież to, że naród amerykański, a z nim inne zachodnioeuropejskie wraz z japońskim stały się akurat takie i to teraz, musi mieć swoje głębsze przyczyny. Mało co jest darem lub przekleństwem niebios. Więcej tych spraw jest następstwem sposobu bytowania.

Myślę, że podobnej niefrasobliwości dopuścił się w swojej książce Stefan Kisielewski[1]. Napomykając o tym, że polityka w wielu zakątkach świata wymknęła się z rąk polityków, stając się domeną „proroków" — zastanawia się, co w tej sytuacji należy doradzić Ameryce i Zachodowi. Prorocy działają, ale na

1. *Walka o świat*, Warszawa 1980. Wydawnictwo im. Konstytucji 3-go Maja.

amerykańskich peryferiach, każdy mając niezbyt liczną grupę wyznawców. Wychowani pod innym niebem niż orientalne, nie zbiegną się wielomilionowym tłumem na Time Square, by pomaszerować z rozwiniętymi sztandarami na jakąś krucjatę. Za dużo w nich sceptycyzmu i za mało nienawiści, która jak dotąd — o czym Kisielewski dobrze wie, choć jako dobry chrześcijanin nie przypomina — była potężniejszym motorem, poruszającym masy niż miłość bliźniego. Ani prorocy, ani najbardziej irracjonalne czyli atrakcyjne ideologie nie porwą Amerykanów. O Anglikach, Niemcach czy Francuzach już nawet lepiej nie wspominać. Skoro Kisielewski trafnie uważa, że Amerykanów niczym nie można poruszyć, sądzi, że wobec tego należy ich porządnie przestraszyć. W ich własnym interesie, bo tylko strach może ich wyrwać z letargu. Złudne nadzieje. Amerykanie przestraszeni szukają kompromisu i rozmów. Dzwonią do Sekretarza ONZ Waldheima. Wysyłają delegacje, z którymi czasami się rozmawia, a czasem — nie. A gdy usłyszą od Breżniewa jedno poczciwe słowo, nabierają z miejsca otuchy i wraca im spokój. Tak reagują na małe strachy. A na duże? Kisielewski nie precyzuje odpowiedzi, ale nie jest to nawet potrzebne, bo i tak wiemy. Jeśli Amerykanie zlękną się czegoś zanadto — skapitulują. Kisielewski radzi Amerykanom (a wraz z nimi całemu Zachodowi), by uprzytomnili sobie wreszcie że toczą wojnę i ogłosili stan wyjątkowy — coś w rodzaju *national emergency*. Tymczasem nic bardziej nie przeraża Amerykanów od słowa „wojna". Nie ma zbyt wysokiej ceny, której nie byliby gotowi zapłacić, byle by jej uniknąć. Włączając w to sowiecką niewolę. Pewnie dlatego, że w ogóle nie są w stanie jej sobie wyobrazić. Mogą obejrzeć sto filmów o Gułagu i nic im to nie pomoże, ponieważ te historie zaliczą do *non science fiction*. Wyobrażalny jest dla nich tylko grzyb atomowy — ba, nawet niebezpieczne przecieki w elektrowniach atomowych, którymi straszą ich siedem razy w tygodniu zawodowi pacyfiści i obrońcy środowiska naturalnego. Ronald Reagan uzyskał tylko dlatego 9 milionów większości na 110 milionów głosujących, ponieważ w czasie publicznej debaty z Prezydentem podważył odmalowany przez Cartera obraz kandydata na prezydenta, który w razie wyboru doprowadzi kraj do wojny. Reagan dał amerykańskim wyborcom glejt gwarantowanego pokoju. Gdyby nie to, nie uzyskałby nigdy większości. Amerykanie, o których mowa teraz, to nie ci, którzy 35 lat temu do spółki z Anglikami zdradzili swych sojuszników, ale potrafili bić się jak prawdziwi żołnierze. Zdradzać potrafią dalej, ale bić — już nie. Tak wyglądają perspektywiczne realia. A aktualia — jak przedstawiają je Kisiel i Nixon? Gdyby książkę Kisielewskiego przetłumaczyć na angielski, byłaby *best-seller*'em, co by nie prze-

szkadzało, że pozostałaby „wołaniem na puszczy". Przecież Sołżenicyn zrobił to kilka lat temu jeszcze lepiej. Zdawało się, że słowa jego powinny były uderzyć jak obuchem. Rezultat — mur chłodnego milczenia. Odpowiedzieli mu co najwyżej, że nie rozumie duszy narodu amerykańskiego, chociaż tu nie o duszę chodziło, ale o zwykły prymitywny strach, który każe im unikać wszystkiego, co może poirytować przywódców na Kremlu. Amerykanie wychowani w wieloletniej szkole *appeasement*'u wiedzą, że nic bardziej nie gniewa Moskwy jak podejmowanie przez nich prób samoobrony. Dlatego w tej osobliwej logice, którą dyktuje jedyny czynnik — strach przed Moskwą — najbezpieczniej jest nie ratować się wcale. W tym stanie rzeczy już tam Kisielowi inny los niż Kassandry nie jest pisany. W każdym razie ani nad Renem ani nad Potomakiem.

◆

Jeśli wspominałem o wierze w możliwość amerykańskiego zrywu jako o zwodniczej nadziei Stefana Kisielewskiego, to mam na myśli jeszcze i to, że w próbach diagnozy amerykańskiego bezwładu wypada nam sięgnąć głębiej. Albowiem w tezie Marksa, orzekającej, że stosunki produkcyjne określają superstrukturę, jest sporo prawdy. Pewno dlatego „marksiści", którzy administrują jedną trzecią świata, nie stosują wobec siebie opartej na tej tezie analizy w obawie jej druzgocących skutków. Jest to metoda badawcza, która stosuje się tylko wobec wrogów i to też bardzo pragmatycznie. Ale my takich oporów nie mamy. Dlatego wypada nam zastanowić się pokrótce nad skutkami nowej rewolucyjnej technologii, która zmieniła i zmienia postawy ludzkie i wpływa na potęgującą się dysfunkcję parlamentarnej demokracji. W artykule George'a Willa w *Newsweek*'u z dn. 27 października 1980 roku pt.: „Nowa Partia Ludowa" znalazłem następujące zdanie: „Rząd USA stał się grupą interesów, a Partia Demokratyczna jest jego wyrazicielką". George Will — gorący zwolennik prezydenta Reagana i jeszcze bardziej zajadły przeciwnik Cartera, nie przywiązywał, zdaje się, nadmiernej wagi do swego spostrzeżenia. A przecież tu właśnie, a nie gdzie indziej wydaje się być pies pogrzebany. Wykrycie związków przyczynowych między przemianami obyczajowymi, nowymi prądami politycznymi i ich oddziaływaniem na instytucje demokracji kapitalistycznej — a nową technologią, która zrewolucjonizowała produkcję i usługi, powinno stanowić klucz do zrozumienia obecnego stanu Zachodu. Jednocześnie rzuci to nam dodatkowo światło na przebieg ostatnich wyborów prezydenckich w Ameryce.

W artykule pt.: „Przemiany społeczne epoki technotronicznej", opublikowanym w grudniowym numerze *Kultury* z 1977 roku pisałem, że rozwijająca się technologia ostatniego ćwierćwiecza eliminuje nie tylko pracę fizyczną, ale wszelką nietwórczą pracę umysłową. Doniosłość tych przemian trudno przecenić. Stworzyły one nowy nieznany dotychczas w historii problem. W miarę doskonalenia technologii, produkcji i usług powstały w gospodarce krajów zaawansowanych dwie nadwyżki: towaru i ludzi, którzy nie mogą wejść do produkcji. W efekcie zrodziły się idealne warunki do powstania państwa opiekuńczego. Państwo to uważało za swój obowiązek wkroczyć w sprawy rozdziału dóbr materialnych w taki sposób, by wyeliminowanych z produkcji i usług nakarmić odziać, zatroszczyć się o ich zdrowie, wreszcie zapewnić im rozrywki, ponieważ człowiek we współczesnym cywilizowanym społeczeństwie musi żyć pełnym jego nurtem. Racje, które nakazywały państwu przejąć te funkcje, nie były jednak podyktowane względami wyłącznie humanitarnymi. Nie wiemy co było racją nadrzędną, wiemy tylko, że musiały tu działać również motywy czysto ekonomiczne. Gdyby bowiem państwo nie rozdzielało z funduszów publicznych pomocy potrzebującym, stając się nabywcą — choć nie konsumentem — dostarczanych przez przemysł i infrastrukturę towarów i usług, producenci i finansujące ich banki stanęłyby u progu bankructwa, a życie gospodarcze uległoby zahamowaniu wraz ze wszystkimi skutkami kryzysu lat trzydziestych. Przy bezużytecznych zakładach pracy i rdzewiejących urządzeniach fabrycznych rozrastałaby się, w skali przekraczającej dotychczasowe normy, armia głodnych i niezatrudnionych, która oczywiście rychło zmiotłaby system. Dlatego redystrybucja dochodu narodowego w warunkach nowej rewolucyjnej technologii musiała być koniecznością nie podlegającą żadnym wątpliwościom. Z kolei kto w warunkach zasad praworządności i demokracji, zapewniającej wszystkim równość wobec prawa, mógł pełnić rolę koordynatora w redystrybucji dochodu narodowego? Oczywiście nikt inny nie mógł pretendować do tej roli, jak tylko Państwo. Państwo — to znaczy nie tylko centralna władza wykonawcza, ale poza nią ciała ustawodawcze, sądy i władze lokalne. Nie ma kwestii, że racje historyczne przemawiały za takim, a nie innym rozstrzygnięciem. Z drugiej strony — jak uczy historia, genealogia, nawet w najsprawiedliwszym celu powołanych do życia organów, nie jest w stanie zapobiec procesom ich żywiołowego i patologicznego rozrostu i zwyrodnienia. Organizacje powołane do życia, by służyć obywatelom, stają się z czasem racją bytu dla samych siebie. W Ameryce przemiany te następowały niezwykle szybko. Dzięki nim biurokracja federalna i stanowa stała się tym o czym wspomina wymieniony przeze mnie poprzednio G. Will — „własną grupą interesów". Agencje

rządowe rosły nie według żadnego tam „prawa Parkinsona", ale wedle dobrze znanych reguł, które działają we wszystkich wyosobnionych grupach społecznych. Celem ich jest pomnażanie wpływów, władzy i bogactwa. Nasuwa się tu oczywista analogia z biurokracją sowiecką. Tu jednak uderza nas z miejsca najważniejsza, a zarazem decydująca różnica. Podczas gdy biurokracja sowiecka jest jedynym kapitalistą w swym kraju, ani biurokracja stanowa ani federalna nie pretendują w najmniejszym stopniu, żeby przejąć we władanie środki produkcji, banki czy jakiekolwiek sektory gospodarcze. Nie miały i nie mają w tym kierunku żadnych aspiracji, ponieważ przestrogą dla nich jest karykaturalna niewydajność tak zwanej gospodarki socjalistycznej. Jest to jedna z *bardzo wielu przyczyn,* która uniemożliwia przejście w formie ewolucyjnej lub rewolucyjnej od obecnego stanu do tego, który by przypominał system sowiecki. Ale ta jedna racja jest więcej niż wystarczająca. Żeby krowę doić, nie można jej ani zamorzyć ani zarzynać. Jest to jasne dla każdego waszyngtońskiego biurokraty[2]. Rola, którą biurokracja amerykańska chciałaby sobie zapewnić, jest czysto posożytnicza. Oczywiście nie chodzi tu tylko o ciasne ambicje nabijania sobie worków i zdobywania bogactw. Ściśle biorąc, jest to bodziec również bardzo ważny, ale na pewnych hierarchicznych szczeblach przerasta w ambicje wyższego rzędu. Regulowanie gospodarki przez warstwę biurokratyczną, bez formalnego naruszania prawa własności, może uczynić biurokracje absolutnym władcą tego kraju. W ten sposób w warunkach „parlamentarnej biurokracji" stać się możemy świadkami nowego historycznego fenomenu. Oto naród amerykański, poprzez swoich wybranych w „demokratycznym procesie" mandatariuszy, stanie się namaszczonym gospodarzem bogactw tego ciągle jeszcze (mimo okulawienia energetycznego) najzamożniejszego państwa na świecie. Dlaczego jednak perspektywa ta ma nas przerażać, skoro właśnie w myśl naszych wywodów instytucja państwa opiekuńczego stała się naturalną koniecznością rewolucji technotronicznej? Złuda proszę Państwa! Rewolucja technotroniczna jest rzeczywistością, której nikt nie odmieni, ale funkcje nowej biurokracji z miejsca stały się dysfunkcjami. Poucza nas o tym krótka, ale bogata w wydarzenia przeszłość. To znaczy starajmy się być dokładni i sprawiedliwi. Ci potrzebujący, których nowoczesny przemysł i usługi nie są w stanie zatrudnić, dostają pomoc. Ile jednak na każdego dolara przeznaczanego na

2. Z tego powodu teoria konwergencji — socjoekonomiczna odmiana szerszej ewolucyjnej teorii, dopuszczająca zbliżenie dwóch systemów: sowieckiego i kapitalistycznego na gruncie erozji ideologii komunistycznej, nie ma widoków na przyszłość. Lansowanie tej teorii politolodzy sowieccy przypisywali niecałkiem słusznie prof. Z. Brzezińskiemu.

zasiłek, pochłania biurokracja? Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że klientami państwa opiekuńczego są przede wszystkim nie potrzebujący, ale społeczni rozdawcy pomocy, opiekuni, organizatorzy — przedstawiciele tysięcy agencji rządowych, stanowych i powiatowych. Oczywiście na samym szczycie patronuje i pomnaża potęgę *Welfare State,* władza centralna. Burmistrz Nowego Jorku, Edward Koch, użył kiedyś lapidarnego określenia agencji, specjalizujących się w rozdawnictwie funduszów wśród mniejszości portorykańskiej, która niejako statutowo należy do „biedoty". Owych „opiekunów", rozkradających znaczną część kwot przeznaczonych na rozdawnictwo, nazwał „sutenerami nędzy" *(poverty pimps).* Jeśli złagodzimy lapidarność burmistrzowego określenia i przełożymy jego treść na wyższe arkana polityki waszyngtońskiej, to dojdziemy do sedna sprawy. W całym bowiem problemie potężniejącego państwa opiekuńczego nie chodzi bynajmniej o to, ile miliardów dolarów ginie w kieszeniach, żerujących na ludzkiej nędzy, drobnych i średnich pasożytów. Korupcja była, jest i będzie odwieczną plagą wszelkich ustrojów i bogate Stany Zjednoczone nie załamałyby się pod jej ciężarem. Chodzi tu o coś znacznie bardziej poważniejszego, a zarazem groźniejszego nie tylko dla Ameryki, ale i dla świata. Chodzi o ideologię nowej warstwy. To, że Partia Demokratyczna stała się wyrazicielką interesów biurokracji, nie jest zupełnie ścisłe, ponieważ linia podziału jest płynna i na pewno nie przebiega przez granice dwóch partii. Niemniej faktem jest, że biurokracja, która rośnie i potężnieje w starej demokratycznej strukturze Ameryki, doskonale rozszyfrowała zarówno swą własną genealogię jak i swe historyczne możliwości. Dlatego musiała propagować takie spojrzenie na świat, taką filozofię myślenia, by usprawiedliwić swoje istnienie i uzasadnić swój niepohamowany wzrost. Rewolucja technotroniczna spełniła tu rolę podwójną. Ponieważ wraz z nią życie ludzkie przestało być „mięsem armatnim" na wojnie i „mięsem dla maszyn" w zakładach produkcyjnych, współczesny kapitalizm mógł nadać mu wysoką rangę. To, że życie ludzkie stało się szczególnie cenne, jak nigdy dotychczas, zawdzięczamy nowej technologii. Z drugiej strony, rozszerzające swoją potęgę biurokracje rozwiniętych państw kapitalistycznych były żywotnie zainteresowane tym, by „człowieczeństwu" nadać najwyższą rangę, ponieważ dzięki promowaniu ideałów humanitaryzmu zyskiwały popularność i wspinały się na drabinie władzy.

Czy taka ewolucja czy też selekcja najbardziej podchwytliwych ideałów implikuje rozwielmożniony cynizm, który każe wierzyć w to na czym politycznie zbija się kapitał? Sprawa nie jest prosta i nie da się rozstrzygnąć generalną regułą. Jeśli chodzi o miliony ludzi, którzy żyli w Anglii i Ameryce w pierwszej po-

łowie XIX stulecia, nie było z ich strony niczym cynicznym, że doszli do przekonania o nikczemności pracy niewolniczej właśnie w okresie rozwoju kapitalizmu, który wymagał wolnej pracy najemnej. Ludzie zmieniają swoje kryteria moralne, ale niekoniecznie muszą zdawać sobie sprawę jakie okoliczności dziejowe determinują ich psychiczne ewolucje. Tylko, że prawda ta dotyczy szerokiej publiczności i niektórych niezbyt licznych zaangażowanych ideologów. W znacznie mniejszym stopniu zastosować ją można do polityków, których zawodem i przeznaczeniem jest władza. Ci wiedzą doskonale kiedy i jakie wiatry zaczynają wiać i potrafią nakierować na nie swoje żagle.

Biurokracja sowiecka stała się spotworniałym produktem świata, wykoncypowanego w umysłach myślicieli. Biurokracja państw kapitalistycznych w ich obecnej fazie rozwoju jest produktem samoczynnego procesu, którego nikt teoretycznie nie zaprogramował. Ale żeby istnieć i potężnieć — a takie jest dążenie każdej warstwy lub wyosobnionej grupy interesów — musi podbudować swoje istnienie jakąś choćby najuboższą filozofią. Ponieważ jednak praktyka przebudowywania systemu parlamentarno-demokratycznego na biurokratyczną oligarchię nie jest żadnym otwarcie zadeklarowanym programem — jakim był na przykład w XIX wieku program socjaldemokracji — nowa kształtująca się rzeczywistość nie może pokusić się o formułowanie jakiejkolwiek doktryny, bo doktryna taka nie posiadałaby minimalnej siły atrakcyjnej. Z tego powodu torować sobie musi drogę przy pomocy popularnych haseł, uprawiając coś w rodzaju humanitarnego eklektyzmu, zaprawionego z lekka odpadami marksizmu. Taki światopogląd daje szanse zyskania zwolenników w najszerszym przekroju społecznym. W praktyce ten światopoląd na lokalnym gruncie amerykańskim streszczał się w mieszance najprostszych sloganów liberalnych, ze szczególnym podkreśleniem praw tzw. „biedoty" i kolorowych mniejszości etnicznych. Pozostawało to w harmonii z założeniami Państwa Opiekuńczego, którego głównym zadaniem miała być troska o społecznie upośledzonych. Sednem owego światopoglądu — jeśli pominąć ochronę środowiska naturalnego — były dwa cele: równość i walka o prawa obywatelskie. Jeśli się zważy, że z praw obywatelskich korzysta już w Stanach cała ludność i że zrównanie ludzi (poza prawem) jest celem najzupełniej nieosiągalnym, to w konsekwencji wypada zastanowić się jaki był praktyczny sens zastosowanej przez biurokrację carterowską strategii wyborczej. Wydaje się, że rozszyfrować ją nietrudno. Stawka władzy, której zakres przekraczał niepomiernie prerogatywy dawnych administracji, była tak wysoka, że uruchomiono cały arsenał demagogii, byle by tylko zaakcentować obronę „biednych" i „dyskryminowanych".

W podtekście zawsze chodziło o wyselekcjonowanie grup etnicznych. One to, wraz z częścią niewykruszonej jeszcze całkowicie elity intelektualnej, stanowić miały blok wyborczy nowej partii demokratycznej, reprezentującej po raz pierwszy w dziejach Ameryki interesy federalnej biurokracji. Jak wiemy, blok się załamał. Okazało się, że na razie jeszcze przy pomocy kolorowych mniejszości i tzw. „biedoty", którą neo-demokraci gotowi są zachować jako wieczysty rezerwat władzy, nie można sobie utorować drogi do Białego Domu. Niemniej przebieg całej kampanii wyborczej rzuca światło na agonalny stan amerykańskiej demokracji.

Arsenał polityczny biurokracji federalnej, reprezentowanej tym razem przez Partię Demokratyczną, miał być uzasadnieniem rosnących prerogatyw Państwa. W warunkach, w jakich znalazła się Ameryka, hasła, które miały ten cel usprawiedliwić, działały jednocześnie jako katalizator, przyśpieszający rozpad więzi narodowej i tradycyjnych wartości. W ten sposób, starając się zbić kapitał polityczny, który miał być racją jej istnienia i rosnącej potęgi, nowa Demokratyczna Partia Ameryki skutecznie rozsadzała i niszczyła Naród. Nie było to bynajmniej jej świadomie założonym celem. Było to następstwem jej światopoglądu, który miał utrzymać ją u władzy. W ostatecznym więc efekcie podcinała korzenie, z których sama wyrastała i czerpała soki żywotne. Najszybciej i najdrastyczniej zamanifestowało się to w osłabieniu obronności Państwa. Jak wiele historycznych fenomenów, amerykańska biurokracja i strzegąca jej interesów Partia Demokratyczna rozdarta jest wewnętrznym konfliktem.

O tym, w jaki sposób i w jakich warunkach biurokracja amerykańska szukała już nieraz bazy społecznej, pouczyć nas mogą pewne przykłady z przeszłości, gdy centralna administracja w Waszyngtonie na skutek wojny koncentrowała większą władzę niż w czasach pokoju. W tym wypadku sięgnę dalej niż do dziejów drugiej wojny światowej. Dla celów niniejszego artykułu pouczający jest pod tym względem okres po wojnie secesyjnej w Ameryce, który przeszedł do historii pod nazwą „Rekonstrukcji".

Gdy w roku 1865 nastał w USA pokój, a stany południowe znalazły się pod zbrojną władzą zwycięskiej Północy, tamtejsi radykalni politycy (rekrutujący się dla odmiany z Partii Republikańskiej) znaleźli bardzo wygodny instrument pognębienia byłych rebeliantów i sprawowania nad nimi drakońskich rządów. Polegało to na tym, że nieprzygotowanych zupełnie do życia publicznego byłych niewolników kreowano przy pomocy wszelkiego rodzaju gwałtów i nadużyć wyborczych na członków stanowych legislatur, gubernatorów i innych wysokich rangą urzędników

— do czego oczywiście nie mieli najmniejszych kwalifikacji, ani fachowych ani moralnych. Jedyną „kwalifikacją" była krzywda, której doznali jako niewolnicy. Jaka była reakcja białej ludności, z której zresztą tylko niewielki procent stanowili właściciele niewolników — wiemy. Niewolnictwo zakazane Konstytucją nie mogło być restytuowane i zresztą w nowo rozwijających się warunkach ekonomicznych wrócić nie mogło. Natomiast bezceremonialne uprzywilejowanie Czarnych wywołało wobec nich regresywną falę nienawiści i dyskryminacji rasowej, która trwała przez blisko następnych sto lat.

Gdy w pięćdziesiątych i wczesnych sześćdziesiątych latach Kongres położył kres dyskryminacji czarnej ludności, zdawało się, że Ameryka jest na właściwej i słusznej drodze. Tymczasem w późnych latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, opanowany całkowicie przez demokratów Kongres przeprowadził szereg ustaw, uzupełnionych „odpowiednią" interpretacją Sądu Najwyższego Stanów. Celem ich było nie tyle usunięcie dyskryminacji jakiejkolwiek grupy rasowej czy etnicznej w Stanach, ale „awans z nagrodą" tych, którzy w ubiegłych latach byli krzywdzeni. Rezultaty tej polityki, którą w szóstej dekadzie entuzjastycznie wspierały uniwersytety, *mass media* i w ogóle to, co się niezupełnie szczęśliwie nazywa elitą umysłową tego kraju — były tragiczne. Ponieważ ani rdzenna ludność Stanów z warstw średnich, ani inne grupy etniczne pochodzenia europejskiego lub azjatyckiego nie znajdowały żadnej moralnej racji, dla których priorytet na uczelniach i federalnych posadach musiał koniecznie przypadać Murzynom, Portorykanom lub przynajmniej takim, którzy mogli wylegitymować się hiszpańskimi nazwiskami, tzw. polityka integracji powodowała wzrost rasowych antagonizmów. Cały ten niesamowity sabbat głupców miał jednak swoją logikę, jeśli się zważy jaki kapitał polityczny można było zbić na hołubionych milionach mniejszości kolorowych, których coraz wyraźniej identyfikowano z „biedotą". Oczywiście poza Czarnymi, Portorykanami i sezonowo pracującymi w niektórych stanach Meksykanami, była jeszcze „biała biedota" — frazes ten dodawano tylko dla zaakcentowania klasowo społecznej walki, która jednoczy wszystkie rasy. Cała wieloletnia już praktyka promowania pewnych grup kolorowej ludności[3] przypominała nadal tak źle zapisane w historii Ameryki, wymienione przeze mnie czasy „Rekonstrukcji". Oczywiście sytuacji z ubiegłego stulecia nie da się powielić. Czarna ludność Stanów posiada przeciętnie

3. Podkreślam „pewnych grup", ponieważ w wyniku dziwnego zrządzenia losu lub też reakcyjnego działania genów, z przywileju minimalnych kwot nie mają ochoty ani potrzeby korzystać przedstawiciele rasy żółtej lub Hindusi.

dość wysoki cenzus wykształcenia i nie ma mowy, żeby na wysokich stanowiskach znaleźli się analfabeci, bezceremonialnie wysuwani przez białych polityków. A przecież mimo tych różnic niektóre analogie z dawno minioną przeszłością narzucają się nieodparcie. Nie będę się szeroko rozwodził nad faktami znanymi czytelnikom *Kultury* z doniesień prasowych. Wystarczy przypomnieć tylko tzw. *affirmative action* oraz dowożenie białych i czarnych dzieci, nieraz z odległych dzielnic, dla uzyskania równowagi rasowej w szkołach. *Affirmative action* — zwrot, który trudno jest przetłumaczyć na polski, oznacza dodatkowe punkty za pochodzenie albo po prostu kwoty minimalne dla czarnych lub portorykańskich mniejszości. Przez ich wprowadzenie obniża się wymagania stawiane kandydatom kolorowym przy egzaminach na uczelnie, przy rekrutacji na posady stanowe lub federalne, przy ofertach na prace i innych możliwościach nauki lub zatrudnienia, gdzie ilość miejsc jest ograniczona. Praktyka ta, która u podstaw zakłada, że wszyscy ludzie są równi, w istocie implikuje niższość umysłową czarnych i portorykańskich kandydatów, skoro właśnie ci, a nie inni wymagają taryfy ulgowej, żeby wytrzymać konkurencję pozostałych narodowości czy ras. Ale oficjalnie wysuwa się motywy odmienne. Tłumaczy się to tym, że warunki środowiskowe rodzin ubogich utrudniały prawidłowy rozwój umysłowy dzieci „biedoty". Obecnie — przy kandydowaniu na uczelnie — musi to być zrównoważone obniżeniem wymagań. Poza tym — jak argumentują liberalni ideolodzy — dyskryminacja ubiegłych lat (przypuszczalnie całego stulecia) powinna być wyrównana poprzez nasycenie kolorową ludnością tych dziedzin życia, z których czarni obywatele byli przez wiele lat eliminowani. Trudno rozstrzygnąć w jakim stopniu ta pseudo-argumentacja może rzeczywiście trafić do czyjegokolwiek rozsądku. Niewątpliwie znajduje emocjonalny rezonans u wielu Amerykanów, którzy noszą w sobie poczucie winy. Ci jednak najwyraźniej nie pojmują tego, że niezasłużony awans, udzielanie taryf ulgowych — prędzej czy później uderzy w nagrodzonych rykoszetem. Żeby dosadniej scharakteryzować krańcową absurdalność filozofii liberalnej, ucieleśnionej w praktyce przebudowywania Ameryki, wystarczy tu jeden przykład: jak wiadomo od szeregu lat sądy i organa federalne doszły do wniosku, że dzieci imigrantów, nie znające języka angielskiego, nie mogą być z tej racji dyskryminowane w szkołach. Z tego powodu przeznaczono kolosalne sumy (w skali całego kraju) na tzw. dwujęzyczny program nauczania. Według jego założeń we wszystkich skupiskach, gdzie była znaczna ilość dzieci przybyłych z krajów obcojęzycznych, wymagana była nauka przedmiotów w ich języku ojczystym, zaś nauka angielskiego — jako obcego — do czasu, gdy dzieci zapoznają się

dostatecznie z językiem ich nowej ojczyzny (zachowując przy tym język swego pochodzenia). Wyglądało to bardzo szlachetnie, humanitarnie i głupio, bo przecież w samym Nowym Jorku doliczono się 26 języków, które miały być objęte troskliwą opieką, skoro już raz uchwalono, że Ameryka nie jest „tyglem, w którym narodowości mają się stapiać". Wkrótce jednak okazało się, że tak naprawdę to nie chodzi o żadne inne języki, tylko o hiszpański. I to wcale nie dlatego, że dzieci hiszpańskich było najwięcej, choć oczywiście stanowią one największą etniczną mniejszość, ale dlatego, że one, a nie żadne inne miały największe trudności z nauką. Jeśli się ten ostatni ważny szczegół uwzględni, cała idea nie przedstawiała się już tak bardzo niemądrze, ponieważ twórcom dwujęzycznego programu chodziło najzwyczajniej w świecie o zhiszpanizowanie Ameryki. Podejrzenie nasze potwierdza fakt, że wyedukowanie dostatecznej liczby dwujęzycznych nauczycieli — było finansową i fizyczną niemożliwością. Sprawa znalazła swój kolejny etap w stanie New Jersey — gdzie miejscowe Stowarzyszenie Nauczycieli, zaangażowanych w dwujęzycznym programie nauczania, wystąpiło do Sądu ze skargą o to, że nakaz zaznajomienia się przez nich z angielskim jest aktem rasizmu. (*Newsweek,* 1 grudnia 1980. „Our language barriers"). Innymi słowy, w ich antyrasistowskiej interpretacji, nauczanie „dwujęzyczne" mogło się odbywać, ale tylko w jednym języku — hiszpańskim. Chociaż skarga Stowarzyszenia Nauczycieli w New Jersey (w którym jest liczne skupisko świeżo przybyłych uciekinierów z Kuby) zalatuje absurdem, wypada na nią patrzeć nie od strony absurdu, ale od strony pewnej charakterystycznej logiki wydarzeń. Wydaje się oczywiste, że owi nauczyciele wcale nie byli głupcami. W kontekście tego, czego jesteśmy świadkami w Ameryce, nie byli szczególnie bezczelni. Nawet, jeśli się przyjmie osobliwą tezę, że postulat nauki języka angielskiego przez nauczycieli, którzy wykładać mają w kraju, w którym język ten jest urzędowy — jest rasistowski, to nie wynika z tego, żeby ci nauczyciele chcieli w istocie walczyć z rasizmem. Skoro liczyli na to, że Sąd zwolni ich z obowiązku nauki angielskiego, oznaczało to, że inni będą musieli uczyć się hiszpańskiego. Innymi słowy nie chcieli wyeliminować „rasizmu" nawet tak jak oni go rozumieli — totalnie, ale odwrócić jego ostrze od siebie, by skierować przeciw innym. Przykład ten jest niezmiernie charakterystyczny. Daje on syntezę praktyki całego światopoglądu nowej warstwy, która rosła i potężniała na naszych oczach — i której nie spostrzegliśmy, bo ostrość naszego spojrzenia stępiała w warunkach demokracji i wolności słowa.

Obecnie, w konkluzji naszych wywodów, możemy wyliczyć długą listę liberalnych haseł, które w praktyce amerykańskiej,

a częściowo zachodnioeuropejskiej przechodzą — jakby powiedzieli marksiści — w swoje dialektyczne przeciwieństwa.

Wojna przeciw rasizmowi, która wychodziła z najbardziej szczytnych założeń, dzięki działalności Kongresu i Sądu Najwyższego przemieniła się w dyskryminację białej ludności — szczególnie warstwy średniej, której nie chronią przywileje bogactw. Przymusowa integracja ras, choć fizycznie je przemieszała, psychicznie oddzieliła od siebie czarnych i białych bardziej niż kiedykolwiek, wzniecając na nowo wzajemną nienawiść. Widoczne to jest coraz bardziej dobitnie wśród najmłodszego pokolenia.

Najwyższa wartość nadana życiu ludzkiemu w interpretacji sądów uczyniła z bandytów i morderców ofiary systemu, które przede wszystkim wymagają opieki. W efekcie zamieniło to, zwłaszcza wielkie miasta, w rezerwaty bezprawia, gdzie życie ludzkie może okazać się mniej warte od pięciodolarowego banknotu. W innym szerszym aspekcie — szacunek dla ludzkiego życia doprowadził do skrajnie pacyfistycznych nastrojów społeczeństwa. W przedłużającym się procesie oznaczało to fizyczne i psychiczne rozbrojenie Ameryki i całego Zachodu. Symptomem ostatecznego bezwładu i paraliżu Stanów była sprawa zakładników. W dotychczasowej praktyce Ameryka nigdy nie prowadziła rozmów z terrorystami. Obecnie terroryści nie chcą rozmawiać z Ameryką. Jak rozstrzygnąć sprawę zakładników — która wcale nie jest sprawą tylko zakładników, ale 220-milionowego narodu — nikt nie wie, bo nikt nie ośmieli się wypowiedzieć na głos opinii, że życie zakładników, gdy w grę wchodzi godność narodu, nie może być wolne od ryzyka.

Ameryka uznała, że równość jest naczelnym ideałem naszych czasów. Ponieważ w znaczeniu absolutnym jest to logicznym nonsensem, politycy liberalni posługują się tym hasłem[4] z całkowitą świadomością, że próba wprowadzenia go w życie oznacza nie tyle pomoc dla upośledzonych, ile faworyzowanie miernot. To z kolei doprowadza szkolnictwo do zupełnego upadku. Objawy tego widoczne są już od dawna. Publiczne szkoły średnie wypuszczają analfabetów, wobec czego następuje ucieczka do szkół prywatnych, co oznacza, że nauczanie nawet na niskim szczeblu staje się przywilejem zamożnych.

Nauka amerykańska coraz bardziej pozostaje w tyle za osiągnięciami Japończyków i Anglików. Prawdopodobnie zresztą poziomy się wkrótce wyrównają w dół, ponieważ Japonia i Anglia podlegają tym samym niszczącym procesom co Ameryka, tyle

4. Por. artykuł: „O amerykańskim neoegalitaryzmie", *Kultura* nr 1/340-2/341 z 1976 roku, str. 44, 45.

tylko, że w tempie wolniejszym. Listy liberalnych ideałów — które stały się w praktyce swoim własnym przeciwieństwiem, nie warto przedłużać, by nie nużyć czytelnika.

Jeśli teza moja o rosnącej roli państwa opiekuńczego na tle przemian stosunków produkcyjnych jest słuszna, to nasuwa się pytanie: w jaki sposób Partia Republikańska może ów proces zahamować? Nie ma mowy, żeby republikanie lub prezydent Reagan mogli wyeliminować funkcję państwa — tam, gdzie rola jego jest uzasadniona. Chodzi o co innego — o to, żeby prerogatywy władz wynikały ściśle z potrzeb redystrybucji dochodu narodowego i ochrony środowiska naturalnego, a nie odwrotnie — by stwarzać nieistniejące problemy lub wyolbrzymiać rzeczywiste w tym celu, by rozbudowywać biurokrację i mnożyć kadry urzędników lub powoływać nowe agencje. Jeśli takie stanowisko zajmie nowa administracja — a wydaje się, że taki jest punkt widzenia Reagana i jego doradców — cały balast ideologiczny Nowej Partii Demokratycznej — wraz ze wszystkimi jej sloganami, nie znajdzie żadnego poparcia wśród władz federalnych. Oczywiście stanowisko rządzącej Partii nie może decydować o dominujących kierunkach opinii publicznej. Tu mamy niestety powody do uzasadnionego sceptycyzmu.

Wiadomo, że w Ameryce w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy nastąpiło pewne umiarkowane otrzeźwienie. Nie należy go jednak przeceniać. Amerykanie stracili cierpliwość i uznali, że nie życzą sobie dalej w Waszyngtonie Partii Demokratycznej, a zwłaszcza tak kompromitującej postaci jaką był Carter. Z tego jednak, że ktoś wie czego nie chce, nie wynika, że wie czego chce. Amerykanom nie jest potrzebny żaden wielki przywódca. Potrzebny im jest zdrowy rozsądek i odwaga — a tych cnót nie wykrzesa z nich żadna partia ani żaden prezydent. Powinni sobie wtłoczyć do głów, że w obecnym świecie — jeśli chcą zachować pokój — nie mogą żyć bez ryzyka. To wszystko bardzo trudno im powiedzieć bo gdy tylko słyszą o niebezpieczeństwach, popadają w straszliwą panikę. Po niejakim czasie uspokajają się i zaczynają znów świat widzieć takim, jakim by chcieli, żeby był. Innymi słowy, żyją w świecie mitów. Oczywiście nie wszyscy. Mówię tu o przeciętnej większości. Nawet Ronald Reagan musiał w swej kampanii wyborczej być bardzo ostrożny, żeby ich nie przestraszyć, bo gdyby ich przestraszył, nigdy nie wybraliby go prezydentem.

Filozofia strachu i równie fałszywych jak i przeżutych na miałką papkę sloganów była codzienną strawą amerykańskich neo-demokratów. Możliwe, że ratunek przyszedł w ostatniej chwili. Możliwe, że nie przyszedł wcale. Jedno jest pewne. Amerykanie po swej równi pochyłej muszą się z powrotem wspinać sami. Nikt im na górze ręki nie poda, bo na górze nie ma już nikogo.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 5 grudnia 1980 r.

Widziane z Brukseli

DOKTRYNA LEWEGO BUTA

Humorysta francuski Alphonse Allais zaproponował kiedyś aby Francję otoczyć siecią kanałów. W ten sposób Francja także stanie się wyspą, i Anglików krew zaleje z zazdrości. Pomysł ten pozostał w sferze dowcipu, jak wiele innych na Zachodzie, natomiast przejęty został przez ZSSR i dość dokładnie urzeczywistniony — wokół Polski. Nie chodzi jednak o kanały a chodzi o czołgi. Według informacji pochodzących z dobrze poinformowanych źródeł CIA, Polska ma obecnie trzy granice z ZSSR: na wschodzie ze Związkiem Sowieckim, na południu z Czechosłowacją i na zachodzie z NRD.

W chwili pisania tych słów, w Brukseli ogłoszono, że wszystko jest gotowe do inwazji Polski. Według oświadczenia kanadyjskiego admirała Fallsa ze sztabu NATO „z wojskowego punktu widzenia gotowość Armii Czerwonej do podjęcia inwazji Polski nie jest kwestią tygodni, ani nawet dni, a po prostu godzin". Tzw. źródła różniły się w ocenie wielkości zjawiska: 65 czy 35 dywizji. Niektórzy twierdzili także, że chodzi o element wyłącznie sowiecki, i inni dodawali, iż jest również kilka dywizji czechosłowackich, rwących się do rewanżu za rok 1938 i 1968. Jeszcze inni zauważyli także szturmbataliony wschodnioniemieckie, co nawiązywałoby do pięknej tradycji sojuszu niemiecko-sowieckiego z września 1939 roku. Niektórzy wyrażali wątpliwość czy ten aspekt historyczny byłby pomocny w poszukiwaniu rozwiązania kryzysu polskiego, ale wszyscy byli zgodni, że alarm nosi numer „6", co według fachowców oznacza najwyższy stopień gotowości. Rozbieżności zaistniały znowu co do daty uderzenia. Niektórzy uważali np., że inwazja na Polskę podjęta w dniu 29 grudnia byłaby naprawdę godnym uczczeniem pierwszej rocznicy inwazji na Afganistan.

W pewnym momencie jednak kwestia polska przeszła z rąk humorystów w ręce polityków. Nabrała w grudniu 1980 takiego rozmachu, iż można by zadać sobie pytanie czym zajmowaliby

się przywódcy demokratycznego świata gdyby w sierpniu 1980 roku nie było strajku w stoczni gdańskiej. Polska stała się znowu przedmurzem chrześcijaństwa i Chrystusem narodów. W ciągu kilkunastu miesięcy dała światu Papieża, laureata nagrody literackiej Nobla i pewnego elektryka, który w ciągu kilkunastu sierpniowych dni stał się *l'homme de l'année* i *man of the year*, człowiekiem roku największych czasopism świata, którego wąsy biły z najbardziej kolorowych okładek.

Polska stanowiła też główny — jeżeli nie jedyny — temat grudniowej Rady Paktu Atlantyckiego w Brukseli i Rady szefów państw EWG w Luksemburgu, białych nocy w sztabach EWG i NATO, wszystko nie licząc szczytu Paktu Warszawskiego w Moskwie i niezliczonych konsultacji tzw. bilateralnych na Wschodzie i na Zachodzie.

Nie jest to wynik zły jak na jedno średniej wielkości państwo Europy środkowej. Po raz pierwszy od Jałty świat zachodni (patrz poprzednie „Widziane z Brukseli") zajął stanowisko wobec jakiegoś problemu Europy wschodniej nie w rozsypce, a razem, i nie *PO* fakcie a *PRZED* faktem, po raz pierwszy nie ogranicza się do wrzucenia wiązanki kwiatów (zboża lub wołowiny) do grobu nadziei, a stara się naprawdę wpłynąć na tzw. bieg historii. Po raz pierwszy także, zamiast krzyknąć „ciszej nad tą trumną", Atlantyk zaszumiał, tupnął nogą, otworzył oczy i nadstawił uszu. Polska przerzuciła most między obu brzegami oceanu.

Naukowo biorąc stanowisko Zachodu wobec kwestii polskiej można określić jako „Doktrynę Lewego Buta". Nic dziwnego, że to but właśnie. Od czasu słynnego wystąpienia Chruszczowa na forum ONZ obuwie męskie weszło do historii stosunków Wschód - Zachód. W tym przypadku teoria butowa została opracowana przez naszego oddalonego rodaka p. Edmunda Muskie, który w czasie grudniowych obrad Rady NATO był jeszcze sekretarzem stanu USA. „Doktrynę lewego buta" przedstawił p. Muskie w toku swej zaprawionej nostalgią ostatniej konferencji prasowej w NATO. Doktryna Muskiego, podobnie jak Doktryna Breżniewa o ograniczonej suwerenności państw socjalistycznych, polega na prostocie i łatwości jej zastosowania.

Na pytanie mianowicie jak świat zachodni zareaguje na inwazję Polski przez czołgi sowieckie lub na jakąkolwiek inną operację zmierzającą do zdławienia przemocą polskiej odnowy, p. Muskie zasłonił się „doktryną lewego buta". 500 obecnych na sali dziennikarzy było wyraźnie zaskoczonych, doktryna była raczej nieznana, a p. Muskie nie zdążył ujawnić jej szczegółów.

Na szczęście wśród obecnych znalazło się kilku osobników kosmopolitycznego pochodzenia, którzy znali *tesaurus* wschodnioeuropejskich szmoncesów i wyjaśnili kolegom, iż chodzi tu o stary dowcip żydowski (skąd on do p. Muskie, czyżby i on...?!) na temat mieszkańca hotelu, który nie może zasnąć w oczekiwaniu na odgłos upadku drugiego buta z nogi lokatora zajmującego pokój o piętro wyżej. Po rozszyfrowaniu doktryny okazuje się

więc, że nieznajomość szczegółów reakcji Zachodu na spalenie Polski powinna spowodować bezsenność wśród lokatorów Kremla i powstrzymać Breżniewa od wydania rozkazu najazdu.

Pierwsza faza spadania prawego buta: odgłos werbli

Powiedzmy, dla jasności obrazu, że pierwszy spadł but z prawej nogi. Otóż historycznie biorąc spadał on w dwóch tempach. Pierwszy pół-spadek wydał odgłos werbla. W Brukseli, między 6 a 12 grudnia, trwał polski tydzień, który miał pozwolić Polsce uniknąć ruskiego miesiąca. Nigdy jeszcze Rada NATO nie naradzała się w takiej tajemnicy. Po raz pierwszy w historii wpuszczono na salę tylko ministrów i ambasadorów, bez ekspertów itd., po dwie osoby, jak w Arce Noego.

Komunikat w części dotyczącej Polski jest arcydziełem opanowania i przezorności dyplomatycznej tak aby, jak mi to wyjaśnił jeden z jego autorów, „nikt w Moskwie nie mógł go interpretować jako prowokacji", co oczywiście nie zdało się na nic, bowiem zanim jeszcze atrament zdążył wyschnąć na komunikacie, a już minister spraw zagranicznych tzw. NRD określił go jako „monstrualną prowokację".

Co mówi ta prowokacja? „Sowieckie groźby wiszące nad Polską, głosi „monstrum", stanowią przedmiot głębokiej troski członków sojuszu i całej społeczności międzynarodowej. Prawdziwe odprężenie ma zasięg światowy i jest niepodzielne. ... Odprężenie nie przeżyłoby nowego sowieckiego aktu gwałtu na prawie państw do nienaruszalności terytorialnej i niezależności. Polska powinna mieć pełną swobodę decyzji na temat swej przyszłości. Sojusznicy (atlantyccy — dopisek L.U.) będą nadal szanować zasadę nieinterwencji i wzywają inne państwa do zajęcia takiego samego stanowiska. Jakakolwiek interwencja oznaczałaby zasadnicze pogorszenie sytuacji międzynarodowej. Sojusznicy (atlantyccy — dopisek L.U.) byliby zmuszeni do reakcji odpowiadającej powadze takiego rozwoju wydarzeń. W związku z tym Rada postanawia poddawać sytuację stałej i bacznej kontroli. Równocześnie sojusznicy (atlantyccy — dopisek L.U.) wyrażają gotowość podjęcia każdej inicjatywy ZSSR zmierzającej do przywrócenia klimatu niezbędnego dla procesu odprężenia...".

Szczegóły reakcji „odpowiadającej powadze..." nie są znane, schowane są, jako się rzekło, w drugim bucie doktryny p. Muskie, wiadomo natomiast, że kroki ujawnione w pierwszym tempie pierwszego buta mają charakter wyłącznie informacyjny. Sześć statków floty atlantyckiej pozostanie na Morzu Północnym zamiast wrócić na Boże Narodzenie do domu. To są uszy NATO — radary i inne urządzenia chwytają sygnały nadawane w łączności między jednostkami wojskowymi na granicy polsko-niemieckiej, na wodach terytorialnych Polski, NRD i na sowieckim Bałtyku...

Cztery AWACS'y, to znaczy Boeingi 707 wyposażone w fan-

tastyczną aparaturę elektronową z ogromnym radarowym grzybem zamontowanym na dachu kadłuba, latają wzdłuż linii dzielącej Europę. To są oczy NATO. AWACS'y widzą w promieniu 500 km tak dokładnie, że, jak mi to powiedział pewien fachowiec, można stwierdzić czy facet popijający whisky zakąsza fistaszkami czy orzeszkami. AWACS'y bardzo zdenerwowały Sowietów. „Szantaż" powiedziały *Nowosti*, „prowokacja zbrojna" dołożyła *Prawda*. Skąd ten krzyk? Przecież jeżeli Rosjanie nie mają niczego do ukrycia, to AWACS'y niczego nie wykryją i potwierdzą tylko, pokojowe jak zwykle, zamiary ZSSR.

Oczywiście, jest w tych decyzjach Waszyngtonu także nieco kina. Carter chce zejść ze sceny *en beauté*, pozostawić po sobie lepsze wspomnienie, chce zatrzeć fatalne wrażenie słabości tak mocno zakorzenione po wsypach w Afganistanie i w Iranie. Ale operacja propagandowo-AWACS'owa ma także zdrowy sens polityczny. Po pierwsze, Polacy znają całą prawdę, wojskowe informacje amerykańskie są bowiem tym razem absolutnie dokładne. Po drugie, Rosjanie wiedzą, że inni wiedzą. Po trzecie, Amerykanie zrywają z metodą „prewencyjnego milczenia", z zasadą „nie wywoływać wilka z lasu", którą cały świat tak bardzo miał im za złe przy inwazji Czechosłowacji i Afganistanu. Teraz już wiedzą, że milczenie niczemu nie zapobiega. Oczywiście, ostateczne decyzje na Kremlu zapadają niezależnie od komunikatów NATO czy artykułów w prasie zachodniej, ale świadomość, że każdy ruch czołgów sowieckich jest znany, że tak podstawowy dla Sowietów element taktyczny jak zaskoczenie przestaje się liczyć, na pewno stanowi element przy ważeniu za i przeciw w Moskwie.

P. Józef Luns, sekretarz generalny NATO, znany ze sztuki nic nie mówiących długich odpowiedzi, wydawał się jednak poważny kiedy na zakończenie Rady przestrzegł: „Inwazja może mieć nieobliczalne skutki".

Spotkałem w Brukseli republikańskiego senatora amerykańskiego Charlesa Percy, który wracał właśnie z Moskwy gdzie przyjęty został kolejno przez Breżniewa, Ustinowa i Gromykę, co nie wszystkim turystom się zdarza. Percy miał drzwi otwarte do Kremla, bo nie jest wykluczone, że jako człowiek Reagana zostanie przewodniczącym superpotężnej komisji spraw zagranicznych Senatu, ja miałem natomiast drzwi otwarte do Percy'ego, bo zjechałem z nim na nartach sporo tras w Alpach francuskich podczas kilku spotkań ongiś zabawnego Międzynarodowego Narciarskiego Klubu Dziennikarzy.

Krótko mówiąc w zaciszu ogromnego hallu dworca lotniczego Brukseli, pod strażą belgijskich i międzynarodowych tajniaków, Percy streścił mi to co on powiedział władcom Kremla (to co oni jemu powiedzieli wolał zachować dla Reagana). Otóż w sprawie inwazji na Polskę Percy, który nie zapomniał poinformować swych gospodarzy, że przed wyjazdem do Moskwy widział Reagana, Nixona, Forda i Kissingera, powiedział Breżniewowi, iż gwałt nad Wisłą zmieni oblicze świata i że nikt już z ludzi rozmawiających na Kremlu nie ogrzeje się za swego życia

przy słońcu *détente*. W wieku Breżniewa groźba ta nie jest okrutna, ale Percy jest młody. A dodał on jeszcze, że inwazja Polski spowodowałaby ogromne przyspieszenie wyścigu zbrojeń i że „jak Moskwie wiadomo z historii" musi ona każdy wyścig ze Stanami w tej dziedzinie przegrać. Nie był to język jaki Rosjanie lubią, ale jest to język, jaki oni szanują.

To samo dotyczy tzw. niekontrolowanych przecieków, dzięki którym Kreml orientuje się już w projektach retorsji jakie mogłyby ewentualnie zostać (w ramach lewego buta) podjęte przez Zachód gdyby... Chodzi tu np. o przerwanie wszystkich negocjacji Wschód-Zachód, zawieszenie konferencji w Madrycie i w Wiedniu, przerwanie kontaktów na wysokim politycznym szczeblu, wstrzymanie dostaw (tym razem szczelne) zboża i technologii, zerwanie prac nad realizacją największej umowy w historii Wschód-Zachód na temat gazu sowieckiego w zamian za kredyty, dostawy nieprodukowanych w ZSSR rur i urządzeń do zakładania rurociągu itd.

Druga faza spadania prawego buta: dźwięk złota

Równocześnie z odgłosem werbli, Zachód poruszył struny wydające dźwięk złota. Obok odstraszania agresora, podjęto kroki umacniające ewentualną ofiarę. Druga faza spadania prawego buta, to pomoc gospodarcza dla Polski. Rozumowaniu Zachodu warto się przyjrzeć. To co teraz streszczę nigdzie nie zostało oficjalnie i publicznie napisane i ogłoszone. Żaden dokument oficjalny i dostępny nie zawiera poważnej analizy wszystkich okoliczności polskiej małej i wielkiej apokalipsy. Ale, to jasne, studia takie dokonywane są w zaciszu sztabów wojskowych i politycznych. Część z nich wydostaje się na zewnątrz. Po odsianiu bredni, można dokonać powierzchownej syntezy tych analiz. Sprowadzają się one do czterech scenariuszy.

Wariackie papiery

Pierwszy, optymistyczny, wychodzi z założenia, że Polska zawsze miała na Kremlu wariackie papiery. Historycznie biorąc, jak się teraz dowiaduje zachodni czytelnik, Polska nigdy nie była dla Rosji i Sowietów krajem takim jak inni sąsiedzi. Polacy nie dali się rozmyć ani w ruso ani w prawosławiu. Ani w sowietyzmie. Pani minister Ekatierina Furcewa stwierdziła to jeszcze z końcem lat 50-tych podczas jednej ze swych wizyt w Warszawie. „Nagie kobiety na dansingach, powiedziała zausznica Chruszczowa, i pełne kościoły, i oni to nazywają socjalizmem". Jest to kraj czterech antykomunistycznych rebelii w czasie 35 lat władzy komunistycznej, kraj gdzie jeden z sekretarzy partii okresu stalinowskiego przeżył więzienie a drugi umarł śmiercią naturalną,

gdzie dziś równocześnie są przy życiu i w dobrobycie, w kulturalnych warunkach, trzej byli szefowie partii... Nie, to nie jest socjalizm.

Mniejsza o szczegóły wypisów z historii współczesnej, my to znamy. Dla Zachodu to ważne, jest to bowiem podstawa założenia, że tak jak Moskwa tolerowała w Polsce reprywatyzację rolnictwa i moralne przywództwo kościoła, elitę i inteligencję, której nie wyniszczył ani Katyń ani skazanie na śmierć Powstania Warszawskiego, Kreml mógłby teraz tolerować niezależne związki zawodowe i prawo do strajku. Zwolennicy tego scenariusza powołują się m.in. na dyplomatów zachodnich, którzy mieli ostatnio okazję do rozmów z przywódcami Polski i ZSSR. Uważają oni, że Rosjanie skłonni byliby tolerować w Polsce herezje ideologiczne gdzie indziej nie do pomyślenia, gdyby tylko mieli pewność, że ich interesy strategiczne nie będą kwestionowane.

Optymiści idą dalej jeszcze, lansując tezę o tzw. „laboratorium". Uważają oni mianowicie, że mądrzy Sowieci, a takich spotkali rzekomo, mogliby dać się nawet przekonać o zaletach istnienia niezależnych związków zawodowych. W dziedzinie polityki wewnętrznej taki niezależny związek to najlepszy tampon i amortyzator między władzą a obywatelem, to jedyny obserwator zdolny i mający odwagę wysłać sygnał o narastaniu konfliktów zanim nastąpi wybuch i partia znowu się totalnie rozłoży. W dziedzinie polityki zagranicznej argumentacja optymistów też nie jest pozbawiona wdzięku. Polska Gomułki czy Gierka, mówią oni, była stałym źródłem destabilizacji w Europie w ogóle i w imperium sowieckim w szczególności. Zapobiegając rewoltom, niezależny związek zawodowy staje się organizatorem stabilizacji i gwarantem poszanowania — nie pod groźbą a z rozumu — ładu geopolitycznego.

Polski Kadar

Autorzy drugiego scenariusza przedstawiają się jako realiści. Są to zwolennicy tezy o możliwości kadaryzacji Polski. Porównanie nieco kuleje, ale nie jest pozbawione atrakcji. Tak jak Kadar — choć na szczęście bez krwawej łaźni — Kania musi odbudowywać partię z gruzów, w których ona faktycznie legła po sierpniowym trzęsieniu ziemi. Tak jak Kadar po strasznym listopadzie, tak Kania musi szukać ugody ze społeczeństwem na wymyślonej zasadzie, że kto nie jest czynnie przeciwko dyktaturze, jest z nią. Tak jak na Węgrzech „po" tak i w Polsce „przed" wiadomo, że partia nie ma żadnego absolutnie mandatu do sprawowania władzy, ale że musi utrzymać się przy lejcach, bo taki jest wyrok geopolityki. Tak jak Kadar, Kania byłby więc skłonny powoli, poprzez ustępstwa i przekupstwo, doprowadzić do umocnienia aparatu, odbudowy dyktatury, zacząć penetrować, kontrolować, nadgryzać, a potem znormalizować „Solidarność" i zneutralizować, uśpić społeczeństwo.

Jasne, tak jak na Węgrzech po 56 roku, tak i w Polsce po 80, niektóre procesy są nieodwracalne. Ale, uwaga! powiadają zwolennicy idei kadaryzacyjnej, żadna partia komunistyczna nie może pod groźbą samobójstwa tolerować dwuwładzy, a do tego, cokolwiek by o tym oficjalnie mówiono, sprowadza się, z punktu widzenia tzw. marksizmu, zjawisko „Solidarność". Sytuacja musi więc wrócić do normy, to znaczy partia musi przejąć kontrolę nad reakcją łańcuchową po wybuchu „Solidarności". Wszystkie ustępstwa partii należy więc traktować jako taktyczne (historia o tym poucza), przejściowe, aż do chwili kiedy stosunek sił w Polsce pozwoli partii na cofnięcie koła historii. Skalpy jakie partia rzuciła narodowi też w tym kontekście nie mają większego znaczenia, karuzela zresztą się kręci, zawsze, na każdym zakręcie, był pewien odpad gnilny, korupcyjny czy koniunkturalny.

Na tym etapie Kreml skłonny jest wykazać bardzo daleko idącą cierpliwość. Okres takiego „kredytu zaufania" może trwać krócej lub dłużej, warunkiem jest jedynie zachowanie kontroli partii nad środkami produkcji, represji i propagandy. Wszelki poślizg jest dopuszczalny, pod warunkiem, że będzie to poślizg kontrolowany. W chwili kiedy w wyniku rzeczywistego lub sprowokowanego zniecierpliwienia bazy władza przestanie kontrolować poślizg, do głosu dojdzie przemoc.

Nomenklatura

Zwolennicy trzeciego scenariusza twierdzą, że na krótką metę niebezpieczna w Polsce jest nie interwencja sowiecka, a interwencja... polska. Wersja pesymistyczna zakłada mianowicie możliwość okupowania Polski nie przez wojska sowieckie a przez wojska polskie. Żadna klasa, czy kasta, jak uczy marksizm-leninizm, nie opuszcza sceny historii bez walki. Kasta właścicieli Polski ludowej też nie zamierza się poddać. W chwili kiedy polska nomenklatura poczuje się naprawdę zagrożona, dojdzie do strzelania.

Pojęcie „nomenklatura" zrobiło ostatnio na Zachodzie szaloną karierę, przede wszystkim dzięki ukazaniu się książki Michała Wozlenskiego pod tym właśnie tytułem. Dobry tytuł to magnes i opium. Tak jak słowo „gułag" tak i „nomenklatura" *(toutes proportions gardées* — Wozlenski to nie Sołżenicyn) weszło do codziennego języka polityków i dziennikarzy, którzy książki (tak jak to było z „Gułagiem") nawet do ręki nie wzięli.

Otóż, powiadają analiści, polska nomenklatura będzie się bronić. Policja polska, przypominają oni, choć krew z krwi i kość z kości, strzelała, biła i torturowała w 1956, 1968, 1970 i w 1976 roku. Jeżeli padnie rozkaz to będzie strzelać znowu. Jasne, sytuacja się zmieniła. Ale sytuacja zawsze się zmieniała, a policja strzelała. Inni mówią „mentalność dziś inna". Może...

Ważniejsze, że zmienili się robotnicy. Odkryli oni broń absolutną w walce z socjalistycznym właścicielem środków produk-

cji: strajk okupacyjny. Łatwo było strzelać do bezbronnych robotników manifestujących na ulicach Poznania czy Gdańska, ale atakować barykady u Lenina czy Cegielskiego, to coś zupełnie innego. Atak nomenklatury na „Solidarność" polską dosłownie i w przenośni, musiałby się skończyć na strajku generalnym i katastrofie narodowej. Ale, jak mi to starał się wyjaśnić ojciec teorii nomenklaturowej Wozlenski, to właśnie jest charakterystyczne dla nomenklatury, że jest ona gotowa poświęcić wszystko, tylko nie siebie, w obronie swych przywilejów i władzy.

„Imperium kontratakuje"

Dopiero kiedy okaże się, że polska nomenklatura jest za słaba, że będzie bezradna wobec jednolitego frontu polskiej solidarności, wtedy dopiero zostanie „z zadowoleniem przyjęte" zaproszenie do udzielenia Polsce bratniej pomocy. Niesłychane ostrzeżenie wystosowane przez KC poprzez Józefa Klasę, bezsensowny, pozornie dramatyczny, apel KC czy komunikat nadzwyczajnego szczytu Paktu Warszawskiego w Moskwie sprowadzają się właściwie do zalegalizowania *a priori* przez polską nomenklaturę przyszłej interwencji sowieckiej. Jest to scenariusz czwarty. Tak jak w Afganistanie Moskwa nie pozwoli na upadek państwa marksistowskiego w Polsce. Nieważne, co Polacy uważają za granice tolerancji, ważne co o tym powie Moskwa. Niemoc polskiej partii ściągnie gniew Kremla i kontratak imperium, nie na ekranie, a na terenie Polski.

Nie należy się łudzić. Moskwa i przed komunikatem NATO i przed wizytą Percy'ego znała ryzyko i cenę inwazji. Oto krótki ich inwentarz.

Zwartość i wiarygodność Paktu Warszawskiego zostały w Polsce niewątpliwie naruszone. Nikt w świecie nie wierzy, że można dziś bez ryzyka wysłać polskich żołnierzy na jakiś front zachodni, poza... NRD. Nikt nie mówi poważnie, że sojusz z Rosją zasadza się na braterstwie broni, każdy wie, że na przemocy. Bez inwazji czy innej próby gwałtu można jednak mieć nadzieję, że w pewnych układach społeczeństwo polskie, bez przymusu dojdzie do wniosku, że należy pewne interesy strategiczne Rosji świadomie szanować. Po interwencji Kreml nie będzie mógł zaufać już nie tylko żołnierzom czy porucznikom (dziś chyba już też nie może), ale nawet polskim generałom. Niektórzy pójdą z powrotem do lasu...

Inwazja nie rozwiąże żadnego z problemów gospodarczych, które wywołały przecież polskie lato. Odwrotnie. Moskwa, która żywi już Afganistan, Kubę, Wietnam itd., i nie jest w stanie wyżywić swego własnego społeczeństwa, musiałaby wziąć na garnuszek 35 milionów Polaków, z których niewielu będzie ochoczo uczestniczyć w socjalistycznym współzawodnictwie pracy pod okupacją sowiecką.

Détente, ukochane dziecko Breżniewa, zamrze na czas nieokreślony. Moskwa stara się w Madrycie przekonać zachodnią Europę, że *détente* jest podzielna, że Afganistan jest daleko i nie powinien przeszkadzać w *dolce far niente* na naszym wspólnym kontynencie od Atlantyku do Uralu. Azja to nie wasza sprawa, powiada Kreml do nas. Po najeździe Polski, Azja będzie naszą sprawą, będzie u nas, *détente* nie będzie podzielona, nie będzie jej wcale. Reagan, wobec którego Kreml zrobił już tyle pojednawczych umizgów, nie będzie zadowolony z takiego prezentu na inaugurację mandatu.

Będzie to także gwóźdź do trumny resztek wpływów Moskwy w zachodnim komunizmie. Belgijska partia komunistyczna pobiła znowu rekord bełkotu stwierdzając, iż sowiecka „dyslokacja wojskowa jest z *oczywistych* przyczyn zrozumiała" jako że ma „wyłącznie charakter prewencyjny i odstraszeniowy"... wobec, to jasne, spisku atlantyckiego. Partie hiszpańska czy włoska, mniej folklorystyczne, poważniejsze i liczbą i myślą, uprzedziły już, że inwazja na Polskę spowodowałaby po prostu zerwanie z Moskwą. P. Marchais, komunistyczny kandydat na prezydenta Francji, jedyny naprawdę oddany powiernik Moskwy, który poparł inwazję Afganistanu, odrzucił wręcz możliwość inwazji Polski. Nic dziwnego: nie dostałby nawet 10 % głosów, zamiast 20 % w wyborach parlamentarnych.

Jest jeszcze kilka innych ewentualności: mały kordonik wokół Kuby, dalsze zbliżenie z Chinami, wojskowa nareszcie pomoc dla partyzantów afgańskich, ale najważniejsze kryterium — jak zawsze dla Rosji — to rachunek szans powodzenia operacji. Pacjent może umrzeć, ale chirurg nie. Ale Polska to nie Czechosłowacja, to raczej Afganistan. Rosjanie — jak uczy historia — nie lubią szturmować polskich barykad. W Polsce nikt nie powiedział Breżniewowi jak Dubczek na kilka dni przed inwazją w 1968 roku: „Tutaj nikt nie będzie strzelał do żołnierzy Armii Czerwonej". W Polsce powiedziano chyba wprost przeciwnie. Przykładów z historii nie brak.

Od tyłu

Po przebadaniu tych czterech scenariuszy podanych tutaj w ich klinicznie czystej postaci, zachodni fachowcy doszli do wniosku, że ich zastosowanie w tej formie jest mało prawdopodobne. Dlatego — jak sądzą — Kreml prawdopodobnie w porozumieniu z kierownictwem polskiej partii (patrz Klasa i apel KC, tudzież pogróżki w TV i aluzje do rozbiorów) opracowuje wariant piąty, będący mieszaniną kilku scenariuszy. Pewne koła amerykańskie ujawniły np., że jest w przygotowaniu plan interwencji, przeprowadzonej pod przykrywką wspólnych manewrów polsko-sowieckich lub oficjalnego tranzytu kilku dywizji sowieckich poprzez terytorium Polski. Byłby to doskonały pretekst do dyslokacji kilkunastu dywizji sowieckich wokół najważniejszych węzłów strategicznych, podczas gdy ogłoszona byłaby militaryzacja gos-

podarki, rekwizycja pracowników, a wojsko i policja polska miałyby się zająć pacyfikacją społeczeństwa.

Nie wiadomo czy i w jakim stopniu wersja ta odpowiada prawdzie i czy znalazłby się w Polsce człowiek gotów do firmowania takiej operacji i wzięcia na siebie i na swoją partię takiej odpowiedzialności. Wiadomo tylko, i fachowcy zachodni kładą znamienny nacisk na ten aspekt sprawy, że tak przeprowadzona interwencja nie stanowiłaby interwencji zagranicznej w sensie prawa międzynarodowego. Byłaby to akcja zalegalizowana przez prawomocny rząd, uznany na całym świecie i w ONZ, rząd z którym i Kościół i „Solidarność" podpisały wspólne komunikaty i umowy, np. w Gdańsku.

Od A do F

Nikt nie życzy sobie takiej operacji. Kiedy na scenie teatru wisi w pierwszym akcie karabin, to w trzecim — mawiał zdaje się Słonimski — powinien on wystrzelić, inaczej sztuka jest niedobra. Dywizje sowieckie stoją wokół Polski, ale tu nie chodzi o teatr a o życie, i nie powinny one wystrzelić, nawet jeżeli sztuka na tym ucierpi.

Zachód jest skłonny uczestniczyć w akcji zapobiegawczej. Zachód sprzedał Polskę w Jałcie, odkupić jej nie może, skłonny jest więc pomóc jej w uniknięciu najgorszego. Zachód napisał więc swój własny scenariusz. Szósty. Oto on. A) Polak głodny jest zły. B) Polak zły się gniewa. C) Polak w gniewie wybucha. D) Polak Polaka uspokaja. E) Polakowi nie udaje się uspokoić Polaka. F) Polaka uspokaja Rosjanin. Niedobrze. Trzeba spróbować napisać to inaczej. Zachód pomaga Polakowi w punktach od A do D, po to aby uniknąć punktów E i F.

Szczyt EWG w Luksemburgu uznał zasadność tego rozumowania. Polecił komisji wykonawczej EWG w Brukseli zbadać możliwości w tej dziedzinie. Komisja doszła do wniosku, że może pomóc Polsce w zakupie określonych ilości produktów żywnościowych.

Ponieważ prasa polska skromnie milczy na ten temat, oto więc niektóre szczegóły europejskiej odsieczy. Pierwsza oficjalnie przedstawiona lista życzeń rządu warszawskiego jest skromniejsza od spodziewanej, zapowiedzianej np. przez belgijskiego ministra spraw zagranicznych, który był niedawno w Polsce. Obejmuje ona m.in.: 50.000 ton mięsa (w tym 25.000 wieprzowiny i 15.000 wołowiny), 30.000 ton masła, 100.000 ton żyta i 100.000 ton jęczmienia, 40.000 ton szmalcu i 50.000 ton cukru. Wszystko to znajduje się na składzie nadwyżek EWG, nagromadzonych w wyniku kapitalistycznego uwiądu zachodniego rolnictwa. Rola komisji EWG nie sprowadziła się jednak tylko do odblokowania nadwyżek (niektórych pozbywa się z ulgą, inne, np. cukier, może sprzedać dziś po każdej cenie). Komisja przeznaczyła również ok. 50 milionów dolarów z funduszu rolnego w budżecie EWG

na subwencjonowanie transakcji, tak aby Polska mogła te odblokowane nadwyżki zakupić po cenie o 10 % do 15 % niższej niż cena światowa. Dużo to czy mało?

Zależy. Fundusz rolny wspólnoty sięga 2 miliardów dolarów, wyglądałoby więc na to, że polski prezent to drobiazg. Powoli. *Primo*, 50 milionów kg mięsa starczy na jakiś czas, *secundo*, w skali europejskiej chodzi o bardzo ważny precedens.

Tak więc, po pierwsze, spotkałem sporo polityków z EWG, którzy nie są przekonani, że kapitalistyczne ugrupowanie powinno — bez warunków — pomagać komunistycznemu rządowi wyjść z tarapatów, w które zabrnął przez swoją własną głupotę. Najpierw — powiadają — trzeba pomóc własnym bezrobotnym i biedakom. Tu nawet nie chodzi o mięso. W tym roku np., właśnie z powodu trudności w funduszu rolnym Wspólnoty, po raz pierwszy nie wejdzie na rynek tzw. „masło świąteczne" po niskiej cenie.

Po drugie, jest to przypadek bez precedensu, EWG nigdy jeszcze nie wydała pieniędzy z budżetu rolnego Wspólnoty na bezzwrotną pomoc dla żadnego kraju spoza strefy EWG. Cała pomoc EWG dla zrujnowanego południa Włoch wyniosła ok. 60 milionów dolarów, a przecież Włochy to kraj członkowski, którego obywatele płacą podatki do budżetu Wspólnoty.

Po trzecie budżet rolny to najbardziej delikatna sprawa w EWG. To właśnie z powodu wydatków z tego budżetu Wielka Brytania robi awantury i grozi rozwodem z Europą. Gdyby chcieć określić „wartość" tegorocznego zatargu z Anglią, to sięgnęłaby ona właśnie ok. 50 milionów dolarów.

Po czwarte, operacja polska gwałci statut EWG. Nic nie upoważnia komisji EWG do udzielania krajom spoza wspólnoty pomocy z budżetu rolnego. Kiedy pomoc jest udzielana przez EWG, to tylko ze specjalnego „humanitarnego" i skromnego funduszu i to krajom naprawdę biednym w przypadku katastrof naturalnych, jak trzęsienie ziemi w Algierze lub posucha w Sahelu. A przecież Polska to nie Sahel, nie jest krajem niedorozwiniętym, to potęga przemysłowa, starająca się odgrywać poważną rolę w świecie. Polska nie ogłosiła stanu upadłości finansowej, nie poprosiła o moratorium kredytowe. Odwrotnie. Polska zaciąga ciągle nowe kredyty, polski eksport rośnie, np. stali i to nawet do EWG.

No i w końcu nie należy zapominać, że z jednej strony chodzi tu o pierwszą tylko listę polskich potrzeb i nikt nie ukrywa, że nadejdą nowe, i z drugiej strony, że naprawdę wielkich operacji kredytowych dokonują państwa członkowskie EWG nie poprzez Brukselę a na drodze bilateralnej, bezpośrednio z Warszawą.

Bez wzruszenia

Nie rozczulajmy się. Europa zrobiła pewien gest i dobrze aby Polacy o tym wiedzieli. Ale oczywiście EWG to nie jest insty-

tucja filantropijna. Pomoc EWG dla Polski to operacja z dziedziny politycznej prewencji, uwzględniająca, i jest to zjawisko prawidłowe, przede wszystkim interes Zachodu. Moskwa rzekomo pożyczyła Polsce ponad miliard dolarów. Też w swoim własnym interesie. Rozumowanie Zachodu jest proste.

Zachód chce zwrotu i to z normalnym zyskiem swych kapitałów wysłanych na Wschód, jest tego ok. 60 miliardów dolarów z czego 23 mld. w Polsce. Zachód chce więc pomóc w takim funkcjonowaniu gospodarki polskiej aby zaczęła ona produkować i procentować. Zachód chce nadal pożyczać Polsce i innym na Wschodzie dolary, bo to mógłby być dobry interes i dać pracę milionom zachodnich bezrobotnych.

Inaczej mówiąc Zachód chce i potrzebuje *détente*. Koegzystować jednak może nie z tym z kim by chciał, a z tym z kim musi. A musi z ZSSR i z Polską. Otóż łatwiej jest i przyjemniej koegzystować z ZSSR, który toleruje zjawisko pt. Wałęsa i „Solidarność" i z Polską, gdzie takie zjawiska się narodziły niż np. z Czechosłowacją Husaka lub z ZSSR „po" inwazji Polski.

Jest to paradoks, ale historia lubi paradoksy: zjawisko typu Wałęsa jest możliwe wyłącznie w Polsce typu Kania. Inwestowanie w Polskę typu Kania jest więc dobrym gospodarowaniem kapitałami. Oczywiście, zachodzi tu pewne ryzyko, że Polska lub Kania się zmienią, ale tak jest w każdym interesie. Zachód nie chce umierać za Gdańsk (nikt go zresztą o to nie prosi), Zachód nie może w Polsce zaprowadzić demokracji typu brytyjskiego, ale Zachód może w Polsce, w swoim interesie, pomóc uratować co się da z sierpniowej rewolucji.

Polskie lato stanowi bardzo ważny epizod w historii Europy. W Polsce zmienił się model socjalistycznej dyktatury i zmienił się model stosunków satelitarnych i międzynarodowych. Polska odnowa poszła już znacznie dalej niż wszystkie inne wiosny i jesienie.

Zjednoczony, mądry, spokojny i nie sklepikarski Zachód może postarać się pomóc Polakom przesunąć jeszcze dalej próg sowieckiej tolerancji, a w najgorszym razie utrzymać go na obecnej linii. Nie należy wcale — jak się tego niektórzy obawiają — gwałcić w tym celu ducha ani litery świętej Jałty. Ale nie jest też misją Zachodu straszenie Polaków ani nawoływanie ich do nadmiernej ostrożności i poniechania prób rozszerzenia strefy wolności społecznej. Świat nie skończył się na Jałcie. Zamiast uspokajających pogadanek dla Polaków, Zachód powinien powiedzieć Moskwie (a nie zrobił tego w Brukseli, choć była to cudowna okazja), że wszelka pośrednia czy bezpośrednia próba terroru wobec Polaków spowoduje automatycznie nie tylko blokadę wymiany, ale także jednostronne wypowiedzenie aktu końcowego z Helsinek, jedynego dokumentu, który w nieobecności traktatu pokojowego zawiera zgodę Zachodu na linię przecinającą dziś Europę.

Spengler znowu w modzie

P. Luns powiedział niedawno przed członkami Zgromadzenia Atlantyckiego, że „sojusz zachodni nie został utworzony w celu ochrony Polski przed jej sojusznikami". Jest to formułka zabawna, ale głupia. Zachód w Polsce nie broni Polski przed jej sojusznikami. Zachód w Polsce broni siebie przed swymi przeciwnikami. Zanim Zachód zrzuci but z lewej nogi i wywoła duży „bum", niech przeczyta te słowa.

„Marksizm jest martwy. Jego ostatnim zwycięstwem był narodowy socjalizm... Powinienem był przeto znacznie mocniej podkreślić niebezpieczeństwo rosyjskie. To bowiem w strefie między Wisłą a Amurem rozegra się prawdopodobnie los przyszłych pokoleń...".

Słowa te zaczerpnięte są z dzieła pt. „Zmierzch Zachodu" Oswalda Spenglera, filozofa niemieckiego z lat trzydziestych, powoli obecnie wracającego do mody.

Szkoda, że tak późno...

Leopold UNGER

Pisane 17 grudnia 1980.

Korespondencja z Rzymu

Kto kłamie? Smutny obraz aliansu tronu i ołtarza

Latem br. duże wrażenie wywołała tu specjalna publikacja wydana również po włosku przez znaną charytatywną organizację *L'Eglise en détresse (Kirche in Not*, centrala w Königstein w RFN), na czele której stoi Ojciec Werenfried van Straaten. Publikacja ta zawiera sprawozdanie za rok ubiegły i — obok tabel liczbowych dotyczących pomocy dla Kościołów „prześladowanych, zagrożonych i potrzebujących" (w Europie wschodniej, Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji) — poświęca tekst „wiadomościom o dogorywającym Kościele na Węgrzech". Na udokumentowane zarzuty podporządkowania Kościoła dyrektywom władz państwowych (przypominam czytelnikom moją korespondencję z 1977 roku na temat „Kościoła manipulowanego") zareagował kard. Lekai w wywiadzie udzielonym „postępowemu", katolickiemu czasopismu *Il Regno*, ukazującemu się w Bolonii (20 listopada 1980). O. Werenfried charakteryzuje Prymasa węgierskiego jako „osobowość słabą, niezdolną do podejmowania

odważnych decyzji i niedostatecznie niezależną od reżymu ateistycznego" i stwierdza, że władze starają się „przy pomocy szantażów i złudnych obietnic zastraszyć kapłanów, zwłaszcza chwiejnych, dążąc do przekształcenia ich w bezwolne narzędzia". Nieubłagany proces starzenia się, obumierania tego Kościoła, obrazują m.in. liczby: seminarzyści w r. 1949 — 1.779, w r. 1979 — 312; kapłani w r. 1945 — 5.534, w r. 1978 — 3.095 (w tym tylko 23 % poniżej 40 lat).

Zdaniem węgierskiego Prymasa publikacja O. Werenfrieda to „stek kłamstw". Dlaczego? Lekai jest człowiekiem praktycznym, odpowiada: „dla wyciśnięcia od ludzi pieniędzy". Zdumiewająca teza. Przecież wie doskonale ile darów napłynęło na Węgry i choćby na Litwę (którą odwiedził rok temu), ile kościołów odremontowano, ile sprzętu i ksiąg liturgicznych, pomocy katechetycznej i innych środków otrzymali kapłani dzięki wysiłkom organizacji powołanej do życia i kierowanej przez O. Werenfrieda. Atakując go w tak obraźliwy sposób, kard. Lekai zdaje się zapominać o darach i przywilejach jakie on sam i biskupi otrzymują od władzy, która tym samym stara się zjednać sobie ich ugodowość i potulność. Są i wyjątki: bp Laszlo Kadar *(nomen omen:* nie Janos, jak I sekretarz) odmówił podarunku w postaci Mercedesa, woląc nadal jeździć rozklekotaną maszyną.

Na zarzut dotyczący działalności tzw. „wspólnot podstawowych" (spontanicznie powstających i działających grup świeckich), które kontestują i odnoszą się z nieufnością do biskupów i wielu kapłanów, krytykując ich za brak odwagi i dystansu od partii, kard. Lekai replikuje, że podtrzymują one rzeczy niedopuszczalne jak np. „katechizację dorosłych, zwłaszcza rodziców, i dążą do Kościoła katakumb, przeciwstawiając się dialogowi hierarchii z komunistami". Prymas Węgier broni kapłanów zaangażowanych w ruchu pokoju, którym wyżej wymieniona publikacja zarzuca, że „otwarcie współpracują z prześladowcami komunistycznymi". Według niego „kapłani pokoju" to porządni ludzie, harują i cieszą się wielkim prestiżem. „W ruchu tym działa również kilku biskupów, reprezentujących episkopat i utrzymujących stosunki z kapłanami" (sic!).

Kardynał Lekai nie ogranicza się w wywiadzie dla włoskiego pisma katolickiego do odpierania zarzutów — co czyni *nota bene* w sposób deklaratywny i nieprzekonywujący. Występuje ponadto w roli orędownika władz państwowych. „Muszę przyznać — stwierdza — że encyklikę *Quadragesimo Anno* Piusa XI zrealizował nie Kościół, lecz marksizm". I wyjaśnia to zdumiewające odkrycie: „chłopom dobrze się powodzi, pomoc lekarska jest bezpłatna również dla kapłanów, otrzymujemy emeryturę". Przypomina się słynne powiedzenie Mrożka po dojściu Gierka do władzy: „naczelnik więzienia kazał dać więźniom gęstszą zupę". Kardynał Lekai uważa snać, że wystarczy dać niewolnikom pewne świadczenia lekarskie, wczasy i emeryturę, by reżym zasłużył na kościelne namaszczenie.

Na pytanie czy jest prawdą, że kardynał Wyszyński ostro go skrytykował w czasie generalnej kongregacji przed ostatnim *conclave,* Lekai zaprzecza i twierdzi, że Prymas Polski zbliżył się do niego i powiedział: „W imię przyjaźni polsko-węgierskiej pomóżcie nowemu papieżowi". Lekai twierdzi, że to mu przyrzekł. Sęk jednak w tym, że O. Werenfried powołuje się na *conclave* poprzednie, z 26 sierpnia (które wybrało kardynała Lucianiego) oraz na przemówienie Ks. Prymasa w Rzymie 10 listopada 1977 roku (do rektorów misji duszpasterskich na emigracji), kiedy oświadczył, że układy pomiędzy krajami komunistycznymi a Stolicą Apostolską (na Węgrzech w roku 1964) nie polepszyły położenia Kościoła, a nominacja biskupów stanowi iluzję, ponieważ nie mają faktycznych uprawnień, „państwo bowiem decyduje również o sprawach wewnętrznych Kościoła i dlatego oponujemy przeciwko tego rodzaju normalizacji".

Na pytanie dotyczące „modelu węgierskiego" stosunków Kościół-Państwo, kardynał Lekai odpowiada, że „jest to droga małych kroków i układów". Przyznaje jednak, że nie jest to „droga jedyna i wzorzec dla innych krajów Europy Wschodniej". Chwali swoje osiągnięcia, tzn. „małe kroki", jak np. kursy korespondencyjne (również dla świeckich) w Akademii Teologicznej w Budapeszcie. Według O. Werenfrieda, z 600 kandydatów większość wycofała się, ponieważ Rada d/s kościelnych postawiła jako warunek uczestnictwa zgodę pracodawcy, co praktycznie było równoznaczne z ryzykiem utraty pracy. Tak wygląda podszewka i innych, analogicznych „osiągnięć" węgierskiego Prymasa. Papież wezwał biskupów węgierskich — jak słusznie podkreśla O. Werenfried — „do wzmożenia apostolatu i równoczesnego zredukowania politycznego zaangażowania socjalistycznego". Kard. Lekai uważa jednak, że listy papieskie nie zawierały wymówek, choć nawoływały do poprawy.

Na początku października Ojciec Święty dokonał poświęcenia kaplicy węgierskiej w podziemiach bazyliki watykańskiej. Zjechało się na tę uroczystość około tysiąca pielgrzymów z Węgier i z emigracji. Przybyła również delegacja rządowa z przewodniczącym Rady d/s kościelnych min. Miklosem na czele. Na konferencji dla dziennikarzy akredytowanych przy Watykanie Miklos chwalił postawę episkopatu, uznał, że stosunki z Watykanem mogą nadal dobrze się rozwijać, co nie wymaga bynajmniej nawiązania stosunków dyplomatycznych (podobno uważa, że pierwszeństwo należy się Polsce), a zresztą „warunki jeszcze nie dojrzały". O Janie Pawle Drugim: „Ten wybór nie wywołał żadnych kwestii, narodowość papieża jest nam obojętna, nie było i nie ma konfliktów". Szef urzędu d/s kościelnych negował ingerencję państwa w nauczanie religii („sprawa życia i śmierci dla Kościoła na Węgrzech" według O. Werenfrieda, którą episkopat zaniedbuje). „Do katechezy nie wtrącamy się — mówił — biskupi i kler korzystają z pełnej swobody". Na pytania dotyczące przypadków dyskryminacji wierzących w życiu publicznym, restrykcji w nauczaniu religii, przeszkód w studiach wyższych

dla wychowanków ośmiu istniejących szkół katolickich, braku legalizacji kilku zakonów, ograniczeń wydawniczych — odpowiadał z uśmiechem: „Jest postęp, choć są jeszcze różne braki, wszystko jest jednak do załatwienia w atmosferze współpracy i dialogu, otwierają się możliwości rozwojowe". Zadanie miał ułatwione: przecież poza O. Werenfriedem i dziennikarzami zachodnimi ani Prymas ani żaden z biskupów dotąd nie protestował. Kiedy mowa była o niedomaganiach Kościoła, Miklos wyjaśniał zdarzające się konflikty między biskupami i tzw. wspólnotami podstawowymi: „To nie nasza sprawa, ale wewnętrzna sprawa Kościoła, niech sam rozprawi się z własnymi dysydentami". Nauczanie w seminariach? Trudności Kościoła? „Czy to nasza wina, że seminaria nie osiągają liczby miejsc wolnych, że klasztory się wyludniają, że występują te czy inne braki?".

Sedno rzeczy, prawdziwy dramat polega na tym, że Miklos ma rację, spełnia jedynie powierzone mu zadania. Kardynał Lekai zaś, zamiast wypowiedzieć walkę tym brakom, chwali Kadara i wspólnie z ministrem Miklosem w propagandowej broszurze rozdawanej dziennikarzom (przypominają się stalinowskie czasy współpracy PAX-u z Księżmi-patriotami i Urzędem d/s Wyznań) reklamuje „węgierską drogę małych kroków". Obie strony — tron i ołtarz — są zadowolone. A wierni? Nie oglądając się na swych biskupów tworzą spontaniczne grupy odnowy i „wspólnoty podstawowe", znajdując oparcie i pomoc w nielicznych, odważnych kapłanach. Pewien działacz katolicki przybyły z Węgier w pielgrzymce na otwarcie kaplicy w Watykanie z goryczą i smutkiem opowiadał w małym gronie o oportunistycznej, tchórzliwej postawie członków hierarchii i kleru (przytaczając jednak coraz liczniejsze wyjątki „od rozpoczęcia nowego pontyfikatu"). I z westchnieniem w głosie: „Szkoda, że nie mogą pojechać na przeszkolenie do waszego kraju".

Synod ukraiński

Papież dotrzymuje danego słowa. W czasie nadzwyczajnego synodu ukraińskiego w marcu 1980 roku przyrzekł hierarchii unickiej udzielenie zgody na zwołanie synodu zwyczajnego dla rozpatrzenia bieżących spraw liturgicznych i pasterskich. W czasie pontyfikatu Pawła VI synody biskupów ukraińskich odbywały się wprawdzie w Rzymie, ale bez zgody Watykanu. Nie miały więc kanonicznej ważności i były swego rodzaju wyzwaniem pod adresem Kurii Rzymskiej. Jan Paweł II, zezwalając na synod zwyczajny, usankcjonował tym samym autonomię katolickiego Kościoła Ukraińskiego zgodnie z tradycjami Kościołów Wschodnich i z duchem orzeczeń Drugiego Soboru Watykańskiego. Synod obradował w Watykanie od 25 listopada do 2 grudnia ub.r. przy udziale 15 biskupów (dwóch nie przyjechało z powodu obłożnej choroby) pod przewodnictwem kardynała Slipyja i w obecności kardynała Rubina, prefekta Kongregacji dla Kościołów Wschodnich. Synod zatwierdził program przygotowań do jubileuszu Tysiąclecia Chrztu na Rusi-Ukrainie, omówił program działalności ekumenicznej i współpracy z Ukraińską Cerkwią Prawosławną na obczyźnie (na Ukrainie — jak wiadomo — autokefaliczna Cerkiew została zlikwidowana i podporządkowana jako metropolia patriarsze Moskwy i Całej Rosji). Dokonano wyboru kandydatów do nominacji na wakujące stanowiska ordynariuszy w Filadelfii i Chicago oraz trzech biskupów pomocniczych, przedkładając Papieżowi tzw. ternę, czyli listę trzech kandydatów na każde stanowisko *vacat*. Wśród licznych spraw bieżących nie poruszono kontrowersyjnej sprawy ciągnącego się od kilku lat konfliktu w Wielkiej Brytanii pomiędzy bp. Horniakiem a miejscową wspólnotą ukraińskich duchownych i świeckich. Chociaż bp Horniak pragnął podobno tę sprawę postawić na porządku dziennym, abp Lubacziwskyj, koadiutor kardynała Slipyja, który w danej chwili przewodniczył, uznał, że lepiej tę drażliwą kwestię odłożyć na przyszłość.

Najważniejszą decyzją powziętą przez synod stanowi na pewno uroczysta deklaracja stwierdzająca kanoniczną nieważność samozwańczego synodu we Lwowie w 1946 roku, zwołanego pod przymusem z inicjatywy kilku unickich kapłanów i świeckich, a który proklamował zniesienie Unii i przystąpienie Kościoła Ukraińskiego obrządku grecko-katolickiego do patriarchatu moskiewskiego. Deklaracja stwierdza, że ten tzw. synod „nie był prawowity, ponieważ nie uczestniczył w nim żaden biskup (wszyscy byli już wówczas uwięzieni lub deportowani), a większość kapłanów była do tego zmuszona przez nieprzyjaciół naszego Kościoła i naszego ludu". I precyzuje że poprzez encyklikę *Orientales Omnes* z 1946 roku i uroczystą deklarację Piusa XII z 15 grudnia 1952 roku, jak również dokumenty Jana Pawła II z 19 marca 1979 roku (pismo do kardynała Slipyja) i 5 lutego 1980 roku (zwołanie nadzwyczajnego synodu), Stolica Apostolska potwierdziła, że Katolicki Kościół Ukraiński „istnieje prawnie i faktycznie, a więc potępiła akt przemocy popełniony w stosunku do kapłanów ukraińskich, i tym samym uznała za niebyły i nieważny tzw. *Sobor Lwiwśkyj* z 1946 roku, piętnując go jako oszustwo historyczne".

W czasie audiencji udzielonej najpierw biskupom, a potem kolonii ukraińskiej do papieża zwrócił się kardynał Slipyj, kładąc nacisk na „stałą walkę w diasporze o utrzymanie jedności, obrządku, praw i tożsamości, a wśród braci na Ukrainie o prawo do istnienia". Dziennik *L'Osservatore Romano* zamieścił tekst tej wypowiedzi, jak również obu przemówień papieskich w oryginale, tj. po ukraińsku. Jan Paweł II przypomniał Unię Brzeską z 1596 roku „przypieczętowaną krwią męczeńską św. Jozafata, apostoła unii", którego relikwie spoczywają od 17 lat w bazylice watykańskiej i którego 400-lecie urodzin we Włodzimierzu zbiega się z odbywającym się właśnie synodem.

Synod stanowił niewątpliwie ważny krok naprzód nie tylko na drodze do konsolidacji Kościoła i pełnej normalizacji stosun-

ków ze Stolicą Apostolską (niezmiernie życzliwe nastawienie kardynała Rubina). Po raz pierwszy od 34 lat synod jako zwierzchni organ wystąpił jako jednolity ośrodek kierowniczy Kościoła na Ukrainie i w diasporze. Po raz pierwszy przedyskutowano gruntownie sytuację Kościoła i wiernych na Ukrainie na podstawie referatu przygotowanego przez współpracowników kardynała Slipyja i przez niego autoryzowanego. Postanowiono wystosować wkrótce list pasterski do wiernych w ojczyźnie i deportowanych do innych rejonów ZSSR. Do tego listu przywiązuje się w odpowiedzialnych środowiskach ukraińskich duże znaczenie, szczególnie ze względu na rozwój wydarzeń w Polsce.

Nowe szyldy — stare grzechy

5 listopada 1980 komunikat PAP oznajmił, że wkrótce ukaże się nowy dwutygodnik katolicki pt. *Ład*, wydawany przez Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych (reprezentowany w Sejmie przez pięciu posłów występujących nadal pod przywłaszczonym szyldem „Znaku"). Nazwa nowego pisma nawiązuje do *Ładu Bożego*, pisma wydawanego ongiś we Włocławku przez księdza Stefana Wyszyńskiego. Jeszcze jedna zatem próba umizgiwania się do sędziwego Prymasa Polski ze strony posła Zabłockiego i jego nielicznych zwolenników. Do tej pory nie wiadomo czy miesięcznik *Więź* i *Tygodnik Powszechny* otrzymają zezwolenie na podniesienie nakładu („T.P." z 40 do 100 tysięcy egzemplarzy). Tymczasem rozłamowa grupa „neo-Znaku" otrzymuje licencję i odpowiedni przydział papieru (władze zasłaniają się brakiem papieru kiedy chodzi o Kościół i autentyczne środowiska katolickie) na wydawanie nowego pisma obok istniejącego organu tej grupy pt. *Chrześcijanin w świecie.*

13 listopada ub.r. Jerzy Ozdowski, członek Rady Państwa, był przyjęty przez Jana Pawła II. Komunikat oficjalny nie określił go jako „katolika", pominął jego przynależność do ODISS-u i katolickiego klubu poselskiego. Tuż po Ozdowskim był przyjęty minister Kazimierz Szablewski, kierownik delegacji rządu PRL do stałych kontaktów roboczych ze Stolicą Apostolską. Przed nimi, tego samego dnia, papież przyjął m.in. biskupa Dąbrowskiego, sekretarza Episkopatu. Audiencje te nastąpiły nazajutrz po bardzo ważnej wypowiedzi papieża do pielgrzymów polskich w czasie audiencji generalnej, kiedy określił porozumienie władz państwowych z „Solidarnością" jako „rozumne i dojrzałe", chwaląc „dojrzałość postępowania zarówno społeczeństwa, w szczególności świata pracy, jak i władz". Informując 23 listopada o nominacji Ozdowskiego na wicepremiera, *L'Osservatore Romano* nie podało, że jest on członkiem jednego z trzech katolickich klubów poselskich. Innymi słowy, podobnie jak fakt udzielenia audiencji przez papieża, potraktowano tę nominację jak każdą inną, ignorując fakt przynależności Ozdowskiego do społeczności katolickiej. Oba fakty uznano więc w Watykanie za przejawy polskiej rzeczywistości politycznej. Według miarodajnych źródeł watykańskich przyjęcie Ozdowskiego przez papieża i jego nominacja na wicepremiera „nie mają w naszych oczach nic wspólnego z prawdziwymi interesami Kościoła i katolickiego społeczeństwa w Polsce". Przyjęcie go stanowi wyłącznie akt kurtuazji, normalny serwitut, wynikający z poczucia realizmu. Starał się o tę audiencję usilnie od wielu miesięcy, skorzystał z okazji pobytu Prymasa Polski w Rzymie, nie spodziewał się jednak, że Watykan zignoruje kompletnie jego katolickie atrybuty i wyznaczy audiencję tuż przed Szablewskim. W Watykanie dobrze wiadomo, że Ozdowski reprezentuje grupkę rozłamową, pozbawioną zaplecza społecznego. Mało tego, nawet własne środowisko, tzn. Klub Inteligencji Katolickiej w Poznaniu, zdezawuowało Ozdowskiego, pozbawiając go w sierpniu prezesury. Tym samym utracił stanowisko piastowane przez 15 lat. Członkowie KIK-u poznańskiego, odbierając mu mandat na występowanie w ich imieniu, podjęli decyzję powrotu na łono macierzy (po rozłamie z 1976 roku) czyli do prawdziwego ruchu „Znak". W tym samym czasie kiedy Ozdowski otrzymał votum niefności ze strony społeczeństwa, powstały cztery (obecnie może już więcej) nowe kluby inteligencji katolickiej: w Katowicach, Gdańsku, Olsztynie i Nowym Sączu. W Olsztynie miejscowy ordynariusz bp Glemp odprawił mszę św. dla grona założycieli. Zabłocki i Ozdowski zgłosili wniosek o rejestrację Polskiego Związku Katolicko-Społecznego (PZKS) jako stowarzyszenia działającego na terenie całego kraju które ma propagować katolicką naukę społeczną i służyć Kościołowi jako „ramię świeckie". Na czele tego nowego tworu ma podobno stanąć prof. Cz. Strzeszewski, prezes rady naukowej ODISS-u. Tę inicjatywę, pomyślaną jako namiastka przyszłego stronnictwa chadeckiego, kontestują działacze b. Stronnictwa Pracy (zlikwidowanego przez reżym w 1947 roku) jak np. dr Kazimierz Studentowicz, adwokat Władysław Siła-Nowicki i Zbigniew Madeyski, uważając, że jeśli powstaną warunki, to jedynie oni mają historyczne prawo do reaktywowania tego stronnictwa.

Wszystkie te pomysły — nowe pismo *Ład*, nominacja Ozdowskiego, PZKS — świadczą o tym, że Zabłocki i Ozdowski nie zrezygnowali z siania zamętu w społeczności katolickiej, choć nabrali nagle odwagi w krytykowaniu dotychczasowej polityki partii, starając się przejąć tematykę (obrona kultury chrześcijańskiej, tożsamości narodowej, obrona interesów drobnej własności chłopskiej), stanowiącą od czterech z górą lat *leitmotiv* działalności niezależnej opozycji demokratycznej. Uzurpatorzy z „neo-Znaku" próbują dziś „odzyskać utracone dziewictwo polityczne" — jak to określił pewien wysłannik prasy włoskiej. Nowe szyldy służą do zamaskowania starych grzechów. Pewne czynniki partyjne nie wyrzekły się posługiwania się instrumentami dywersji, które na nowym etapie mają wzmacniać elementy ultra-nacjonalistyczne w katolicyzmie polskim (niestety ich nie brak), uła-

twić partii kontrolowanie nastrojów i odcinanie od Kościoła autentycznych, opozycyjnych nurtów społecznych i politycznych.

Ozdowski w wywiadzie dla *Humanité*, organu francuskiej partii komunistycznej, powołuje się na „aprobatę Episkopatu" i „zaufanie Prymasa Polski", którego, jak twierdzi, konsultował przed przyjęciem nominacji. Podobny argument — błogosławieństwo Prymasa — wysuwa Zabłocki jeśli chodzi o PZKS. Ile w tym prawdy? Zdaniem czynników duchownych i świeckich „żadna z działających oficjalnie grup katolików świeckich nie ma prawa powoływać się na mandat Kościoła i aprobatę Ks. Prymasa". Najlepszy dowód, że wśród doradców i ekspertów wyznaczonych przez Prymasa Polski dla utrzymywania łączności z „Solidarnością" i rządem PRL nie ma nikogo, kto należał kiedykolwiek do tej czy innej grupy świeckiej („Znak", ODISS, PAX, CHSS). „Nigdy jeszcze od chwili powstania PRL — pisze w korespondencji z Warszawy wysłannik pisma *Stuttgarter Zeitung* — żaden członek politycznego ugrupowania katolickiego w kraju nie otrzymał tak wysokiej funkcji rządowej. Niemniej już dzisiaj powątpiewa się w mądrość i dalekowzroczność tego posunięcia, jak i innych ostro krytykowanych decyzji personalnych nowego kierownictwa... Dla szerokich mas polskich katolików nowy wicepremier nie może uchodzić za wiarygodnego rzecznika ich interesów. Ozdowski reprezentuje bowiem grupę, która odpadła od katolickiego środowiska intelektualnego „Znak", w dalszym ciągu działającego jako całość i cieszącego się wielkim uznaniem zarówno kardynała Wyszyńskiego, jak i samego Papieża". Większość obserwatorów dopatruje się jednak w nominacji Ozdowskiego ważnego gestu pod adresem Kościoła i podkreśla, że „hierarchia katolicka zdaje się aprobować tę decyzję", choć rzecz jasna nie traktuje Ozdowskiego jako reprezentanta Kościoła czy katolickiej społeczności. Jak jest naprawdę?

Jeśli rzeczywiście Zabłocki i Ozdowski nadużywają zaufania Ks. Prymasa, podszywając swe inicjatywy polityczne pod autorytet Kościoła, to dlaczego Sekretariat Episkopatu wyraźnie tego nie stwierdzi? Kościół polski stoi przecież ponad zmiennymi układami politycznymi, jak słusznie mówi Ks. Prymas i co ostatnio potwierdził w rozmowie z przedstawicielem *Figaro Magazine*. Dlaczego więc Episkopat nie reagował dotąd na niedozwolone chwyty i posunięcia grupy ODISS, na operacje fasadowe takie jak PZKS, mające na celu dywersję, bałamucenie opinii publicznej zarówno w kraju jak i za granicą? Czyż nie orientuje się, że poprzez nadmierną tolerancję usprawiedliwia głosy twierdzące, że w obecnej sytuacji powszechnego rozbudzenia społecznego Kościół wymaga jakoby „buforu" w postaci katolickiego ugrupowania politycznego, by uniknąć bezpośredniego zaangażowania i uwikłania się w rozgrywki polityczne?

Dominik MORAWSKI

Pisane 12 grudnia 1980 r.

Sąsiedzi

Historyczne doświadczenia

Choć nie mam zbyt wielkiego zaufania do historii jako nauczycielki narodów, to jednak ciągle wracam w swych rozważaniach do przeszłości, tej niedawnej i tej odleglejszej, aby na podstawie tych doświadczeń móc oceniać obecną sytuację wewnętrzną w mym kraju, w Europie i w ogóle na świecie.

Dla nas Czechów i Słowaków najgłębszym przeżyciem, doświadczeniem ostatnich lat stał się rok 1968. Znaczenie tego roku polega nie tyle na samym procesie demokratyzacji, co przede wszystkim na jego zakończeniu, na brutalnym zahamowaniu całego rozwoju. Finał tych wydarzeń wycisnął niezatarte piętno na świadomości wszystkich warstw społecznych, zmuszając ludzi do rewizji dotychczasowych poglądów i nastawień.

Sierpień 1968, to znaczy sowiecka inwazja, zmienił przede wszystkim radykalnie nastawienie absolutnej większości naszego społeczeństwa do Rosjan i do całego Związku Sowieckiego. Do tego momentu nasz stosunek do ZSSR był najpozytywniejszy w całej Europie wschodniej. Czeska inteligencja już w czasach odrodzenia narodowego na początku XIX stulecia zwracała się z nadzieją ku wielkiemu mocarstwu, ku wielkiej, niezmierzonej ziemi. Po pierwszej wojnie światowej z korzeni tych zrodził się wśród naszej inteligencji podziw dla rewolucji październikowej i całego Związku Sowieckiego. Zdecydowana większość naszej inteligencji była komunistyczna, albo przynajmniej prosowiecka. Nie będę teraz zajmował się analizą tego stosunku, jest to bowiem problem bardzo skomplikowany, a przy naszych rozważaniach musi na razie wystarczyć stwierdzenie, że najbardziej znane i cenione osobistości czeskiej i słowackiej inteligencji obracały wzrok pełen podziwu i nadziei w kierunku Moskwy. To sprawiło, że po drugiej wojnie światowej zdecydowana większość naszej inteligencji wstąpiła do partii komunistycznej. Przypomnijmy choćby niektóre nazwiska z dziedziny kultury: František Halas, Vitězslav Nezval, Maria Majerová, Jan Drda, Milan Kun-

dera, Pavel Kohout, Jan Kadar, Otomar Krejča, Vincenc Makovsky i wielu, wielu innych. Przeważająca część frontu kulturalnego była po prostu komunistyczna.

Lata 50-te i 60-te były ciężkimi latami nowego poznania, nowych ciężkich doświadczeń. Rosło uczucie zawodu, które wywoływał nowy system polityczny zaprowadzony w kraju. To prawda, że znikły dawne przejawy niesprawiedliwości społecznej, ale na ich miejsce powstały nowe, pod wieloma względami jeszcze drastyczniejsze i bardziej wołające o pomstę do nieba. Nowy ład zaprowadzony po przewrocie lutowym zburzył podstawy przedwojennej republiki demokratycznej, a w następstwie tego zapisał na swoim koncie półtorej setki skazanych na śmierć i straconych z politycznych powodów. Zaczynało się dziać coś, co było w absolutnej sprzeczności z odczuciami społeczeństwa i z wszystkimi tradycjami naszego narodu. Nowy porządek zrodził nową uprzywilejowaną warstwę, utrzymującą pozostałe grupy obywatelstwa w poczuciu stałego zagrożenia, w poczuciu strachu o egzystencję, o rodzinę, a nawet o życie.

Lata 60-te to powolne budzenie się społeczeństwa z letargicznego, niezwykle męczącego snu. Przebudzenie najbardziej było wyraźne wśród publicystów i artystów, a tylko częściowe wśród niektórych polityków.

A ponieważ rządowi komunistycznemu nie udało się rozwiązać ani jednego z podstawowych problemów, w tym i skomplikowanego problemu wzajemnych stosunków między Czechami i Słowakami, nastał głęboki kryzys całego systemu, przejawiający się przede wszystkim w dziedzinie ekonomicznej oraz narodowościowej. Na tej bazie zrodziły się żądania reform, zwłaszcza ekonomicznych. Ekipa rządząca na czele z Antoninem Novotnym, zdając sobie sprawę, że reformy, choćby tylko w dziedzinie gospodarczej, muszą wywrzeć wpływ również na sprawy polityczne, a to oznaczałoby zagrożenie — choćby tylko częściowe — całego systemu opartego na kierowniczej roli partii, ostro zaprotestowała przeciwko jakimkolwiek reformom gospodarczym.

Na tym tle doszło w kierownictwie partii do starć, które znalazły nietypowe jak na nasze stosunki rozwiązanie. Konflikt zakończył się odwołaniem pierwszego sekretarza Antonina Novotnego, a ściślej mówiąc zmuszeniem go do dymisji. W tym momencie zaczyna się proces nazywany potem odrodzeniowym albo Styczniem 1968.

Od tej chwili zaczęła się walka o przeobrażenie systemu, walka o demokratyzację, przy zachowaniu kierowniczej roli partii.

Nie mam zamiaru analizować etapów rozwojowych roku 1968. Wystarczy podkreślić jedno: nowe kierownictwo partii, po odsunięciu Novotnego, nigdy, na żadnym swym posiedzeniu, od początku roku do 20 sierpnia, nie dyskutowało o zagadnieniu możliwej inwazji, nie zastanawiało się nad krokami jakie należałoby podjąć w razie sowieckiego najazdu, czyli tzw. bratniej pomocy. Wydaje mi się, że jest to charakterystyczny rys naszej

polityki, naszego charakteru: zachowywanie się jak gdyby nie istniało żadne niebezpieczeństwo, jak gdyby nie wisiał nad nami miecz Damoklesa. A kiedy groźby staną się więcej niż realne, złożenie broni i cierpliwe przyglądanie się, jak mocarze decydują o naszym losie. W takim podejściu do wydarzeń tkwi istota roku 1938, roku 1948 i wreszcie roku 1968, tych wszystkich węzłowych momentów naszej historii w ostatnim trzydziestoleciu. Na marginesie tych uwag chciałbym dodać, że ten rys polityki oraz nasz sposób zachowania często wywołuje za granicą uczucie pogardy, a to zarówno na wschodzie jak i na zachodzie Europy. Należy przy tym zwrócić uwagę na fakt, że w tych tragicznych momentach naszej historii, szczególnie w roku 1938 i w roku 1968, grupa rządząca znalazła się w konflikcie z najszerszymi masami społeczeństwa, z ich pragnieniami i dążeniami. Podpisując w roku 1938 kapitulację, prezydent Beneš wcale nie reprezentował nastrojów całego narodu, nie był rzecznikiem większości społeczeństwa. Tak samo jak Dubček w sierpniu 1968 roku nie reprezentował pragnień i dążeń szerokich warstw obywateli. W obu historycznych momentach Czechosłowacy chcieli zbrojnie stawić czoła niebezpieczeństwu, nie myśleli o kapitulacji.

Fakt, że w roku 1938 i w roku 68 mieliśmy na czele państwa ludzi, którzy zawiedli naród, w pewnym sensie zdradzili, którzy nie wypełnili swego historycznego zadania, pozostawił głębokie ślady w świadomości naszych narodów. Takie doświadczenia są nokautem dla szerokich warstw, ludzie tracą perspektywy życiowe, nabierają przekonania, że nie są panami swego losu, że o ich przyszłości i tak nie decyduje się w Pradze, ale zawsze gdzieś poza granicami kraju. Wierzą, że stali się tylko pionkami w grze mocnych. Tego typu ciężkie doświadczenia na długo pozostawiają ślady w świadomości narodu.

Trzeba naturalnie przyznać, że uczucie zawodu nie od razu opanowało całkowicie duszę społeczeństwa. W dniach sierpniowych ludzie sami, z własnej inicjatywy stawiali swoisty bezkrwawy opór okupantom. Przez pewien czas, niestety zbyt krótki, mieli poczucie, że sami decydują o tym jak i co będzie dalej. Ale było to tylko pozorne zwycięstwo. Sowiecka siła zręcznie cofnęła się na z góry upatrzone pozycje. Nie uzyskawszy od razu po wkroczeniu tego co chciała, zaczęła skrycie przygotowywać likwidację jakichkolwiek ognisk oporu. Cel swój osiągnęła, z pewnym opóźnieniem rozkładając partię komunistyczną od wewnątrz, a także przy pomocy gróźb, które doprowadziły do upadku Dubčeka i wprowadzenia na jego miejsce Husáka. To był sens sierpnia 1968, koniec procesu demokratyzacji, koniec prób zreformowania systemu totalitarnego.

Nadszedł okres twardej restalinizacji, w którym ukonstytuował się reżym, który pod względem zasięgu i możliwości represji przeciwko swym politycznym przeciwnikom zajmuje dziś jedno z pierwszych miejsc w Europie wschodniej. I nie tylko zasięgiem, ale i czasem trwania tych represji.

21 sierpnia 1968 oraz jego następstwa, jego wpływ na wewnętrzne życie polityczne Czechosłowacji oznacza głębokie załamanie w psychice naszego społeczeństwa, zmiany w poglądach. Przede wszystkim należy podkreślić wspomnianą już głęboką i trwałą zmianę naszego stosunku do Związku Sowieckiego, do Rosjan. Przyjaźń zamieniła się w nienawiść. Jest to historyczna przemiana w świadomości naszych narodów, którą musi brać pod uwagę każda ekipa rządząca dziś i jutro.

A jeśli nawet tu i ówdzie porównuje się rok 1945 z rokiem 1968 i chociaż niektórzy ciągle jeszcze uważają armię sowiecką z roku 1944-45 za oswobodzicielkę, oficjalnej propagandzie nie udało się zinterpretować przekonywująco sierpniowego wkroczenia jako internacjonalistycznej pomocy a nawet aktu obrony przed kontrrewolucją. Tym razem Związek Sowiecki był i został okupantem, który nie tylko zdeformował nasze wewnętrzne życie polityczne, ale jednocześnie pozbawił nas resztek niezawisłości państwowej. Nikt z ludzi rozsądnych nie uważa władzy Husáka za praworządną; jest to w oczach ogółu władza przydzielona z mocy Kremla. Z historycznej perspektywy postać Husáka — z wymienionych wyżej powodów — znajduje się bardzo blisko żałosnej postaci słabeusza Emila Hachy. Tak zwany prezydent protektoratu również był pełen złudzeń co do siebie jako zbawcy narodu, który uchronił swój lud przed najgorszym. Podobne złudzenia żywi również Husák, który jest przekonany, że wyprowadził nasz kraj z tragicznej ciemności na drogę światła. Kiedy ludzie słabego charakteru decydują o losach narodu, często tworzą mity na użytek nie tylko innych, ale i swój własny, aby byli zdolni rządzić, aby w ogóle byli zdolni do jakiegokolwiek działania.

Spośród wielu zmian w świadomości naszego społeczeństwa należy odnotować jeszcze jedną, choć jest ona mniej wyraźna niż ta, która zaszła w stosunku do ZSSR. Do roku 1968 wielu ludzi sądziło, że system totalitarny wprowadzony po przewrocie lutowym w roku 1948 może ulec przemianie, może zostać zreformowany, zhumanizowany. Sierpień 1968 z sowiecką inwazją ukazał, że nie istnieje żadna reforma mogąca zmienić system totalitarny w demokratyczny. Nie wszyscy zdają sobie w pełni z tego sprawę, ale istnieje pokaźna liczba osób, które całkowicie straciły jakiekolwiek iluzje co do możliwości zreformowania tego co się u nas dzieje. Dopóki istnieje sowiecki system, dopóki ma tyle sił aby mógł się wtrącać do spraw środkowej i wschodniej Europy i decydować o losach krajów znajdujących się w sferze jego wpływów, dopóty nie można myśleć o żadnej poważniejszej reformie. Takie są nasze doświadczenia. Ale nie tylko nasze.

◆

Analizując przemiany w opinii publicznej w naszym społeczeństwie, nie mogę zapomnieć o jeszcze jednym fakcie, jeszcze jednej zmianie, o zmianie naszego stosunku do Niemców, tych

żyjących w zachodnich Niemczech oczywiście. Stosunek ten nareszcie stracił propagandowy charakter, albowiem według znanych komunistycznych teorii zachodni Niemcy są imperialistami i odwetowcami, bezustannie przygotowującymi się do wkroczenia i odebrania nam pogranicznych terenów. Dziś Czechosłowacy patrzą na zachodnich Niemców realistycznie, jako na obywateli kraju, który należy do najlepiej prosperujących w zachodnim świecie, który jest ustabilizowany gospodarczo i politycznie, i już dawno pozbył się jakichkolwiek ekspansywnych dążeń.

Nasz stosunek do wschodnich Niemców jest obojętno-pogardliwy. I tak każdy zdaje sobie sprawę, że nie są, tak jak i my, panami na swej ziemi. I że zarówno oni jak i my mamy wspólnego patrona, znienawidzony Związek Sowiecki. I to jest istotna zmiana w poglądach, zmiana o historycznym znaczeniu, wymazująca trwającą przez długie stulecia wrogość.

Jest jeszcze jedna zmiana, o jeszcze większym znaczeniu, znaczeniu perspektywicznym, zmiana naszego stosunku do Polaków.

Lata 70-te można śmiało nazwać przełomowymi w tej dziedzinie. Zmienił się nasz stosunek do Polaków, ale jednocześnie — a to też należy podkreślić — Polaków do nas. Ostatnie dziesięciolecie oczyściło wzajemne stosunki między nami ze wszystkich naleciałości historycznych, z napięć i nawet wrogości. Oba narody zdają sobie sprawę z tego, że wszystko co nas dotychczas dzieliło należy bezpowrotnie do przeszłości. Należy podkreślić, że nawet udział Polaków w sowieckiej inwazji nie wywołał jakichś poważniejszych zadrażnień, nie pozostawił głębokich śladów w świadomości czechosłowackich obywateli. Tu i ówdzie, jeszcze nieśmiało, uświadamiamy sobie, jak wiele mamy wspólnych zainteresowań i że nasza współpraca może odegrać wielką rolę w walce o wspólną przyszłość. Rok 1968 przekonał Polaków, że można na nas liczyć jako na partnerów w walce o lepsze jutro, a lata 70-te przekonały naszych obywateli, że Polacy są najbardziej wytrwałymi i konsekwentnymi bojownikami przeciwko reżymowi totalitarnemu, oraz że żaden naród wschodnioeuropejski nie ma tyle doświadczeń w tej walce co Polacy.

Dlatego nasze społeczeństwo śledzi z wielkimi sympatiami polski rok 1980, z podziwem i nadzieją, bo przecież zmiana wzajemnego stosunku jest wielką szansą na przyszłość. Nie jest to oczywiście szansa wyłącznie dla tych dwóch narodów, w perspektywie jest to szansa dla całej wschodniej Europy. Współpraca między Polakami i Czechosłowakami może w przyszłości stać się czynnikiem wywierającym wpływ na wydarzenia na całym kontynencie.

W latach 70-tych toczył się w Warszawie proces tzw. „taterników", oskarżonych o współpracę, o której przed chwilą mówiłem. Oczywiście nie zamierzam wyolbrzymiać tego wydarzenia, ale jednocześnie nie mogę o nim zapominać, albo nie umieścić go w historycznym kontekście. Przecież chodziło tu o pewnego rodzaju współpracę skierowaną przeciwko totalitarnemu systemowi. A jednocześnie nie doszło do żadnych konkretnych

akcji politycznych, szło jedynie o rozpowszechnianie i przekazywanie sobie wzajemnie czasopism i książek. Ale to jest właśnie bardzo ważny aspekt całej sprawy, otwierający ludziom oczy, zaostrzający spojrzenie na rzeczywistość, na wszystko co ich otacza. Aby ludzie mogli w ogóle pomyśleć o jakichkolwiek zmianach, muszą znać rzeczywistość, prawdziwy stan rzeczy, a w tym przychodzi im z pomocą literatura, zakazane książki i czasopisma. Na tym więc polegało znaczenie pracy osób wplecionych w proces „taterników".

W latach późniejszych została nawiązana współpraca o znacznie większym znaczeniu, bardziej świadoma i przemyślana, współpraca między czechosłowacką Kartą 77 i polskim KOR-em, współdziałanie grup obywateli obu krajów reprezentujących ruch obrony praw człowieka. Karta 77 i KOR skupiają wokół siebie ludzi, których działalność nie narusza ustalonego porządku prawnego w swoich krajach, którzy walczą jedynie o to, aby grupy rządzące respektowały istniejące normy prawne, których same zobowiązały się dotrzymywać. Totalitarne reżymy na całym świecie mają normy prawne formalnie demokratyczne, ale tylko formalnie. W rzeczywistości nie chcą ani nie mogą ich dotrzymywać, godziłoby to w ich własne, totalitarne interesy. Poza tym w istniejących normach prawnych naszych krajów znajduje się cały szereg paradoksów sprawiających, że praworządność jest postawiona na głowie. Totalitarne reżymy z wielką ochotą, niemal entuzjastycznie podpisują się pod różnymi deklaracjami i paktami o prawach człowieka, podpisały Końcowy Akt w Helsinkach, ale nigdy nie mają zamiaru traktować poważnie swych podpisów. Dlatego to warstwy rządzące są tak zaszokowane powstawaniem różnych grup domagających się dotrzymywania przyjętych zobowiązań. Przypomnijmy dla przykładu szok jakiego doznały praskie koła rządzące po ogłoszeniu Karty 77. Przez wiele miesięcy po tym fakcie rząd i partia prowadziły we wszystkich środkach masowego przekazu ostrą kampanię przeciwko czemuś co nigdy nie zostało oficjalnie opublikowane; nawet na zebraniach partyjnych nigdy nie odczytano tekstu Karty 77, wystarczyło, że został przez najwyższe czynniki partyjno-rządowe określony jako pamflet antysocjalistyczny.

Tym bardziej więc były zaskoczone i zaniepokojone Praga i Warszawa, kiedy obie grupy walczące o prawa człowieka zaczęły nawiązywać między sobą kontakty. Policja po obu stronach interweniowała we wszystkich okolicznościach wyglądających podejrzanie, prześladowała tych, którzy wzięli udział we wspólnych spotkaniach, wszędzie dopatrywała się znamion międzynarodowego spisku. Naturalnie policja czechosłowacka, jak zresztą w ostatnich czasach zawsze — była bardziej pomysłowa i brutalna w swoich poczynaniach.

Nie należy jednak zapominać, że tego typu współpraca nie miała charakteru wyłącznie dwustronnego. Wszyscy ci, którzy we wschodniej Europie walczą o prawa człowieka szukają dróg wzajemnego porozumienia. Dziś nie jest już dla nikogo tajemnicą, że bez takiej współpracy nic poważnego się nie osiągnie. Doświadczenie nauczyło ludzi, że cokolwiek złego dzieje się w jednym kraju, dotyczy bezpośrednio wszystkich znajdujących się w danej strefie politycznej.

Związek Sowiecki jako zręczny imperialista stara się różnymi sposobami skłócić narody żyjące w strefie jego wpływów. Tylko, że te dążenia nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Sowiecka propaganda jest tak mało pomysłowa i skuteczna, że wywołuje raczej śmiech niż pozytywne poparcie.

◆

Chciałbym przynajmniej pobieżnie dokonać bilansu lat 70-tych. We wschodniej Europie nasiliły się przejawy niezadowolenia. Bezpośrednio po naszym roku 68 nadszedł polski rok 1970, po nim znów polski rok 1976, a na koniec polski rok 1980. Te wybuchy niezadowolenia nie ograniczają się do jednego kraju, nie dotyczą tylko jednego państwa — chociaż wydarzenia rozgrywają się w jednym państwie.

Europa wschodnia nigdy nie była miejscem szczególnie spokojnym. Ale wydarzenia z końca lat 60-tych (Czechosłowacja) oraz lat 70-tych (Polska) mają ze względu na swój zasięg o wiele większe znaczenie niż wydarzenia w latach pięćdziesiątych (ČSR, NRD, Polska, Węgry). Szczególnie polskie wydarzenia przyćmiewają wszystko co się dotychczas stało we wschodniej Europie po drugiej wojnie światowej. A to dlatego, że polskie wydarzenia demaskują z niesłychaną konsekwencją mechanizm systemu totalitarnego typu sowieckiego. Zdzierają szaty z króla, a raczej cara. Są to bowiem wydarzenia, których motorem jest klasa robotnicza, ta klasa, którą wszystkie programowe proklamacje partii komunistycznych określają jako fundament systemu socjalistycznego. I właśnie ta klasa zaczyna się wyzwalać spod systemu totalitarnego, tworzy własne, niezawisłe organizacje, nie podlegające partii komunistycznej. Krótko mówiąc, dyktatura proletariatu zmieniła się w nic nie znaczące puste hasło, bez jakiejkolwiek treści. Totalitarna moc została demonstracyjnie i całkowicie pozbawiona jakiejkolwiek bazy socjalnej. Zawisła w powietrzu, podtrzymywana jedynie siłą represji policyjnych, a głównie siłą stojących zawsze w pogotowiu sowieckich czołgów.

Z tych wszystkich powodów polski rok 1980 stał się największą nadzieją całej Europy wschodniej. A ponieważ oznacza ruch, zmianę nie tylko w Polsce, ale i na mapie Europy, polskie wydarzenia niepokoją wszystkich konserwatywnych polityków w całej Europie. Obawiają się ich nie tylko na wschodzie, ale i na zachodzie. Tylko, że strach zachodnich polityków jest strachem samobójców, niesie zagładę przygotowywaną własnymi rękami. Niechaj o tym nie zapominają, kiedy deliberują nad losem Polski.

Jiří LEDERER

Grudzień 1980

Rozmowa z Bukowskim w Madrycie

Barbara Toruńczyk: — Ocena faktycznych relacji pomiędzy Wschodem i Zachodem stanowi tu, w Madrycie, główny temat rozmów. Jakie jest Pańskie stanowisko w tej sprawie?

Władimir Bukowski: — Détente jest pojęciem w które każdy wkłada co chce (Anglicy mają na to określenie *red hering).* Jeżeli polityka *détente* byłaby czymś realnym, to znaczy rzeczywiście polegałaby na pogłębieniu kontaktów międzyludzkich czy ideowych, nie mielibyśmy nic przeciwko niej. Z tym, że nic z tego wszystkiego nie wyszło.

B.T.: — Czy rzeczywiście nic nie wyszło? To znaczy: jeśli rozpatrywać wyłącznie sytuację rosyjską, to Rosjanie, zwłaszcza dysydenci, na tej polityce raczej stracili. Imperializm czy też agresywność Rosji wzmogła się, środowiska opozycyjne w Rosji zostały w gruncie rzeczy rozbite. Natomiast już punkt widzenia Polaków jest inny. Polacy na koniunkturze politycznej lat 70-tych raczej zyskali. Czy nie zmienia to Pańskiej oceny rezultatów polityki Wschód-Zachód w tym czasie?

W.B.: — To jest sporna sprawa, czy rzeczywiście *détente* miała korzystny wpływ na sytuację w Polsce. Jest to raczej sprawa wewnętrznej logiki rozwoju ruchu demokratycznego w Polsce i *détente* nie miała na to specjalnego wpływu.

Takie ruchy, podobne sytuacje powstawały przecież i wcześniej, bez żadnej *détente,* na Węgrzech w 1956, w Czechosłowacji w 1968, kilka razy w Polsce.

B.T.: — Ale ogromne pobudzenie życia publicznego w Polsce, powstanie ruchów opozycyjnych, ich swoistą „bezkarność" zawdzięczała Polska jednak w jakiejś mierze i temu, że PRL miała określone stosunki z Zachodem, których nie chciała zerwać. Polityka PRL była nazbyt uzależniona od reakcji opinii publicznej Zachodu, by móc sobie pozwolić na zbyt twardą linię w polityce wewnętrznej. Można więc mówić o pewnym wpływie polityki détente *sprzyjającym rozwojowi polskiej opozycji i pobudzeniu opinii publicznej, która ożywiła się dzięki tej swoistej bezkarności.*

W.B.: — Nie zgadzam się, że był to wpływ *détente.* Głównym filarem rozwoju i siły opozycji polskiej był Kościół katolicki, który istniał i zdobył swoją pozycję i znaczenie niezależnie od *détente* i bez jej pomocy.

B.T.: — Ale Kościół nie wystarczyłby na stworzenie tej swoistej sytuacji „bezkarności" dla polskich opozycjonistów, nie wystarczyłby, żeby nie wsadzać ludzi do więzienia z wieloletnimi wyrokami.

W.B.: — Również z tym się nie zgadzam. Nawet pomijając rolę Kościoła, która była ogromna, trzeba pamiętać o latach 1970 i 1976, kiedy powstania robotników zostały bardzo brutalnie stłumione a Zachód jakoś wcale nie pomógł, chociaż były wtedy nawet ofiary w ludziach. To znaczy, że *détente* nie wpłynęła pozytywnie na złagodzenie brutalności rządu w tej sprawie. Ruch demokratyczny, jego powstanie, to była odpowiedź na te krwawe wypadki, była to więc wewnętrzna logika rozwoju ruchu demokratycznego, KOR właśnie wtedy przecież powstał.

Co się tyczy problemu zależności finansowej PRL od Zachodu, to nie jest to sprawa na serio, gdyż Zachód nigdy nie umiał stawiać warunków przy dawaniu kredytów i pożyczek. I nigdy ich nie stawia. A ponieważ nie stawia warunków, to nie można mówić o uzależnieniu od Zachodu. Właściwie jest zupełnie odwrotnie, to Zachód zaczyna zależeć od krajów Wschodu, gdyż kredyty i pomoc ekonomiczna rozwiązują po części problem bezrobocia i kryzys, który przeżywa Zachód, w wyniku którego to Zachód staje się zależny od Wschodu a nie odwrotnie. Mam na to dobry przykład: ostatnio wraz z innymi dysydentami zwróciliśmy się do rządów zachodnich, żeby wprowadziły klauzulę w umowach gospodarczych i w sprawie kredytów ze Wschodem, że jeżeli w Polsce nastąpi interwencja, umowy zostaną zerwane[1]. Żaden z rządów zachodnich nie zgodził się na to i klauzuli takiej nie będzie.

B.T.: — Pańska ocena polityki Wschód-Zachód lat 70-tych jest bardzo surowa. Czy posunąłby się Pan do twierdzenia, że zatem lepsza jest ze strony Zachodu polityka pozbawiona hipokryzji — a więc zupełne zerwanie détente *i KBWE — niż utrzymanie relacji z ostatniej dekady, nawet w takiej ich, niedoskonałej, postaci? Czy widzi Pan taką alternatywę: obecna* détente *albo żadna?*

W.B.: — Zachodni politycy są marnymi politykami, mówią, że nie ma alternatywy dla *détente,* ale w praktyce oznacza to, że Rosja może robić co chce. Jest to zatem polityka kapitulacji. Jeśli natomiast tłumaczy się im, że jest to stanowisko szkodliwe, mówią, że nie widzą dla *détente* innej alternatywy niż zimna wojna.

B.T.: — A jaką Pan widzi alternatywę? Przecież wiadomo, że Zachód niejednokrotnie jednak stawiał jakieś warunki. Swego

1. Oświadczenie o tej treści sformułowane w Bonn 28 października 1980 podpisali m.in.: W. Bukowski, E. Kuzniecow, W. Maksimow, P. Tigrid, P. Goma, G. Herling-Grudziński (przypisek B.T.).

czasu, gdy ZSSR ubiegał się o klauzulę najwyższego uprzywilejowania, senator Jackson zaproponował uzależnienie tej klauzuli od zgody Rosji na emigrację Żydów. Rosja zerwała wtedy rokowania. Tak więc gdy Zachód zdecydował się na politykę idącą po Pana myśli, Rosja okazała się nieustępliwa. Czy zatem polityka dyktowania warunków jest polityką realistyczną?

W.B.: — Odpowiedź jest prosta: o *détente* należy się bić, trzeba zmusić ZSSR do przyjęcia warunków. Alternatywą nie jest zimna wojna, lecz inna postać *détente*.

B.T.: — A jak konkretnie modyfikować détente? *Jakie stawiać warunki, mając w pamięci, że Rosja jest podatna na te warunki tylko do pewnych granic?*

W.B.: — Zacznijmy od pytania, kto jest zainteresowany w korzyściach ekonomicznych, Zachód czy ZSSR? Jest oczywiste, że zależy na nich ZSSR i Wschodniej Europie. To Wschód potrzebuje kredytów, technologii, pieniędzy etc. Trzeba więc to wykorzystać, a tymczasem Zachód biega za Rosją i błaga, żeby wzięła te rzeczy od niego. Oczywiście, poprawka Jacksona była dla nas mimo wszystko korzystna (choć mówiąc ściśle nie był to sukces, gdyż tyczyła nie całego kompleksu spraw związanych z prawami człowieka a wyłącznie problemu emigracji — jedynej sprawy, którą Amerykanie zdołali pojąć i to tylko dlatego, że są narodem emigrantów). Poprawka ta była mimo wszystko plusem, lecz tylko dlatego, że jednak po jakimś czasie coś załatwiono.

Modyfikować *détente* można też przez stawianie warunków przy współpracy naukowej. Zachód nie może zmusić ZSSR żeby wypuszczał określonych ludzi; dostaje więc szpiegów albo bonzów partyjnych, ale nigdy prawdziwych uczonych. Nawet w podpisanych umowach nigdzie nie jest zaznaczone, że Zachód ma prawo zapraszać konkretnych ludzi. Dlatego umowy dotyczące wymiany i współpracy naukowej nie mają większej wartości. Wychodzi z tego parodia. Poza tym ważne jest jeszcze jedno: chodzi o prestiż uczonych. Polityka Zachodu powoduje, że tym prestiżem cieszą się nie prawdziwi uczeni, tylko hochsztaplerzy. Innymi słowy: chodzi o to, ilu będzie Sacharowów. Gdyby nie błędna polityka Zachodu, byłoby ich znacznie więcej. Weźmy na przykład psychiatrię: ZSSR posyła na Zachód przede wszystkim po prostu kryminalistów, jak Snieżewski. Gdyby Zachód zmusił ZSSR do wysyłania za granicę prawdziwych psychiatrów, to mielibyśmy Sacharowów wśród psychiatrów. Podobnych przykładów mogę podać więcej.

B.T.: — Czy obecnie, po zmianie na stanowisku prezydenta USA nie uważa Pan, że polityka USA może się zmienić i pójść bardziej po Pana myśli?

W.B.: — Nie wiem. Niestety chodzi o to, że w zachodnim *spectrum* politycznym zarówno na lewicy jak na prawicy są głupcy. Lewicowi są prosowieccy w sensie politycznym, prawicowi w sensie ekonomicznym. Dobrym przykładem był Nixon, który był prawicowym republikaninem a w rezultacie doprowadził do *détente*. To był wielki dureń, absolutny głupiec. Większego głupca niż Nixon nie było w historii USA, nawet Carter jest troszeczkę lepszy od niego. Na przykład: w 1973 roku Nixon pojechał do Pekinu i zrobiono mu zdjęcie z Mao Tse-tungiem *tête-à-tête*. Sam pamiętam, siedziałem wtedy w więzieniu, ale kiedy tylko zobaczyłem wiadomość o tym w prasie, zrozumiałem z jej tonu, jak bardzo rząd rosyjski się boi — był przerażony, absolutnie przerażony — i zależało mu jak na życiu, żeby też ściągnąć do siebie Nixona i sfotografować go z Breżniewem. Nixon mógł wtedy zażądać wszystkiego: zwolnienia więźniów politycznych (i zwolniono by ich), złagodzenia klimatu politycznego, choćby tylko w krajach nadbałtyckich. Lecz ci idioci przyjechali do Moskwy i mimo, że mogli otrzymać za to jedno zdjęcie wszystko co chcieli, nie postawili ani jednego warunku. Nixon po prostu przyjechał do Moskwy i zrobił sobie zdjęcie z Breżniewem.

B.T.: — Załóżmy jednak na chwilę, że polityka USA za Reagana zmieni się i pójdzie bardziej po Pańskiej myśli. Można o tym wnioskować raz z deklaracji przedwyborczych a dwa z wczorajszego oświadczenia Reagana — słyszał Pan chyba — że jeśli Rosja będzie interweniować w Polsce, to USA nie będą czekać z opuszczonymi rękoma. Gdyby zatem Amerykanie okazali nieustępliwość w sprawie Polski (co by nas, Polaków, oczywiście satysfakcjonowało), to czy nie można się z drugiej strony obawiać, że byłoby to jednak w pewnym sensie sprzeczne z obecnymi interesami polskiego ruchu demokratycznego, w tym sensie mianowicie, że zwiększałoby ryzyko konfrontacji politycznej?

W.B.: — Trzeba rozumieć, dlaczego Reagan wystąpił z takim oświadczeniem. Znam sztab polityczny Reagana, znam tych ludzi, mogę to wytłumaczyć. Linia Reagana, zwłaszcza wyborcza, ustalana była w opozycji do polityki Cartera, który zawsze mówił, kiedy tylko coś się zaczynało dziać w jakimś kraju, że USA nie będą się do tego mieszać (było tak na przykład w sprawie Jugosławii). Oznaczało to po prostu, że Rosja może robić co chce.

B.T.: — Powtarzam jednak swoje pytanie. Czy nie obawia się Pan, że nieustępliwość USA, wszystko jedno czym spowodowana — względami psychologicznymi, wyborczymi czy politycznymi — spowoduje wzrost nieustępliwości ze strony rosyjskiej i że polem „bitwy" stanie się Polska?

W.B.: — Jest to zagadnienie bardzo złożone. Uważam jednak, że w żadnych okolicznościach nie można zdawać się na łaskę ZSSR. Od nich trzeba żądać, trzeba ich zmuszać do ustępstw, trzeba zawsze być w ofensywie. Tylko wtedy mamy jakieś szanse. A inaczej co? Teraz macie w Polsce wolność, ale co z tego, jutro możecie mieć tam sowieckie czołgi.

B.T.: — Ale obecnie w ofensywie jest polski ruch demokratyczny. I można założyć, że za Reagana ze strony USA będą padały różne bojowe stwierdzenia i „nieustępliwe" oświadczenia. Reagan może w swojej propagandzie ostrzej niż Carter atakować Rosję, usztywniać swoje wobec niej stanowisko. Ale w gruncie rzeczy nie będzie to oznaczało, że jest on gotów interweniować militarnie po stronie Polski. Jest to mało — wręcz wcale — realne. Zmiana stanowiska może więc polegać tylko na tym, że jego ekipa będzie się cieszyła, kiedy coś będzie „ropieć" w obozie komunistycznym, to znaczy kiedy będzie jątrzący się, przewlekły kryzys czy to w Polsce, czy na Węgrzech, czy w NRD. A więc chodzi tu o to, że politykę taką w gruncie rzeczy zadowala stan, w którym narody bloku socjalistycznego są pogrążone w permanentnym kryzysie i chaosie, tylko dlatego, że to wycieńcza Rosję. Czy nie uważa Pan, że Pańskie stanowisko w tej sprawie jest analogiczne, a w każdym razie, że można je podobnie rozumieć? Polski oczywiście nie może zadowalać takie stanowisko, gdyż w tej chwili może ona na tym stracić. Czy nie widzi Pan wobec tego ewentualnej kolizji interesów?

W.B.: — Rzecz w tym, że Rosjanie się z niczym nie liczą, jeśli im czegoś trzeba; z atmosferą *détente* też nie.

B.T.: — Ale czy nie rysuje się tu konflikt interesów pomiędzy Polską a długofalowymi interesami ruchu demokratycznego we wschodniej Europie i Rosji?

W.B.: — To zależy od tego, jak polski ruch demokratyczny pojmuje swoje interesy.

B.T.: — Tak, ale czy nie obawia się Pan, że namawiać w chwili obecnej Zachód do usztywnienia jego polityki jest podjęciem ryzyka konfrontacji? I że w konsekwencji stanowi to być może ryzyko dla szansy na demokratyzację Polski?

W.B.: — Ależ przecież los Polski rozgrywa się w Moskwie, tylko w Moskwie! Jeśli polityka nasza będzie pasywna a nie aktywna, jeśli nie będziemy w permanentnej ofensywie, to szanse, że polski ruch demokratyczny zostanie zdławiony znacznie wzrosną. Weźmy przykład Afganistanu. Dopóki istnieje *détente* w jej obecnej postaci, USA nie dają im nawet broni. Gdyby natomiast nie było *détente*, Afgańczycy dostaliby przynajmniej broń od USA, co już byłoby lepiej.

Wasz problem jest taki: czy chcecie, żeby, kiedy Polska zostanie okupowana, cały świat umył ręce i nadal dawał Polsce kredyty a nie dawał broni, czy też żeby świat się wzburzył i posłał wam chociaż broń?

B.T.: — W tej alternatywie okupacja Polski jest konieczna. Czy nie widzi Pan istotnie żadnego innego rozwiązania, jak tylko interwencję?

W.B.: — Tak, uważam, że interwencja jest w 85 % prawdopodobna.

B.T.: — Czy może Pan powiedzieć dlaczego Pan tak sądzi?

W.B.: — To jest temat na długą rozmowę. Przede wszystkim Rosja nie może tolerować istnienia władzy alternatywnej, drugiego rządu w Polsce. Ta sytuacja musi wcześniej czy później doprowadzić do niezawisłości Polski; wcześniej czy później dojdzie do tego, że Polska wystąpi i z bloku komunistycznego, i z Układu Warszawskiego. Jest to zupełnie oczywiste. Naturalnie, stanie się to nie jutro, lecz w ciągu 5-10 lat. Rosjanie są tego w pełni świadomi.

Druga przyczyna jest taka, że jeśli polski eksperyment nie zostanie zdławiony w zarodku, jutro za przykładem Polski pójdą Czesi, Węgrzy, Niemcy i kraje nadbałtyckie. Dlatego Rosjanie nie mogą na to pozwolić.

B.T.: — Jest Pan więc przekonany, że będzie interwencja?

W.B.: — Tak.

B.T.: — Pana zdaniem wszystko się jakby stale powtarza, tymczasem doświadczenie polskie wskazuje, że za każdym razem dzieją się mimo wszystko rzeczy trochę inne, sytuacja się zmienia.

W.B. (ironicznie): — Od kiedy to? Stu, dwustu lat?

B.T.: — Ostatnich dziesięciu. Ruch który obecnie obserwujemy w Polsce jest czymś zupełnie nowym, otwiera nieznane możliwości, stwarza nową, dotychczas nieprzewidywalną sytuację. Mamy do czynienia z próbą prowadzenia przez całe społeczeństwo nowej polityki i to polityki roztropnej i rozsądnej, przy której staramy się uniknąć tej alternatywy, o której Pan mówi. Podczas gdy Pan zdaje się nie widzieć żadnej możliwości wyjścia z tego zaklętego kręgu.

W.B.: — Ta poprawa sytuacji o której Pani mówi, czy też tylko jej zmiana, to są rzeczy bardzo tymczasowe. Absolutnie nie można jeszcze na tej podstawie mówić o jakimś trendzie. To już na przykład było w Czechosłowacji i trwało tylko parę miesięcy. Jeżeli myślicie, że polskie interesy są odmienne od interesów pozostałych krajów socjalistycznych i że wasze problemy mogą zostać rozwiązane w oderwaniu od całego wschodnioeuropejskiego kontekstu (w tym sowieckiego), to się mylicie.

B.T.: — Nikt tak nie myśli, przeciwnie, bardzo się liczymy z uwarunkowaniami geopolitycznymi i również z wspólnymi interesami naszymi i demokracji rosyjskiej. Tyle tylko, że chcemy znaleźć z tego jakieś wyjście, zwłaszcza że dla nas przelew krwi jest końcem i to końcem wszystkiego. Musimy myśleć nie teoretycznie, lecz praktycznie, tego wymaga od nas sytuacja.

W.B.: — Skoro już mowa o szukaniu wyjścia, to przede wszystkim polski ruch demokratyczny musi wykazać teraz maksymalną ostrożność. Scenariusz rosyjski jest bardzo prosty. Rosjanie postarają się przede wszystkim doprowadzić do konfliktu między wolnymi związkami i władzą, sprowokować strajk generalny w Polsce, który doprowadzi do krańcowego chaosu i anarchii. Wtedy poślą czołgi.

Po drugie, trzeba żeby polski ruch demokratyczny natychmiast rozpoczął szeroko zakrojoną akcję propagandową w wojsku. Jest to sprawa o zasadniczej wadze, bo jeżeli polska armia opowie się po stronie społeczeństwa, to zarysuje się poważna szansa, że Rosjanie nie ośmielą się interweniować zbrojnie.

Po trzecie: (to co wszyscy staramy się robić) należy za wszelką cenę starać się synchronizować kryzys, tak, żeby on wybuchał nie tylko w Polsce, albo nie tylko w CSRS, ale i w krajach nadbałtyckich i na Kubie, tu i tam, i ówdzie, tak, żeby ZSSR był zmuszony walczyć na dziesięciu frontach na raz.

B.T.: — Jest to stanowisko teoretyczne, z którym trudno się nie zgodzić. Natomiast my w Polsce mamy sytuację konkretną, praktyczną. Kryzys u nas już jest. Czy widzi Pan jakąkolwiek możliwość, żeby nie doszło do interwencji? Dotąd podawał Pan tylko argumenty za interwencją. Czy Pana zdaniem jest coś, co przemawia za tym, że jej nie będzie? Te 15%, które zostało z Pańskiego rachunku — co się na nie składa?

W.B.: — Powiedziałem już, że te 15 % zależy od tego, jaką ostrożnością wykażą się niezależne związki zawodowe i od postawy wojska.

B.T.: — A czy Zachód może mieć wpływ na tę sytuację?

W.B.: — Oczywiście, Zachód może pomóc, przede wszystkim domagając się uznania niezależnych związków zamiast starych i, po drugie, przez wprowadzenie klauzuli w sprawie udzielania kredytów, uzależniając je od tego, czy w Polsce nie będzie interwencji rosyjskiej. Po trzecie, pomagając tym rejonom, gdzie już jest kryzys, to znaczy na przykład Afganistanowi, tak, żeby odciągać uwagę ZSSR na inny front.

Na wszystkich frontach można atakować. Ja na przykład od trzech lat staram się przekonać Zachód, że powinien postawić problem narodowy w ZSSR na forum ONZ. Jeśli Rosjanie odmówią udziału w rozmowach, nie szkodzi, należy mówić dalej, upierać się. Najważniejsze to zmusić ZSSR do defensywy — to podstawowe zadanie dla Zachodu.

Największy błąd Zachodu polega na tym, że politycy zachodni są dżentelmenami, którym wydaje się, że trzeba zawsze zachowywać się racjonalnie, również w stosunku do Rosji. Tymczasem z Rosją należy zawsze postępować irracjonalnie i dopiero taka postawa może być skuteczna. To jest mój główny zarzut wobec rządowej polityki Zachodu w stosunku do Rosji.

B.T.: — Mam jeszcze jedno pytanie. Czy uważa Pan, że droga polska, ta, która została ostatnio u nas zastosowana, może być wzorem dla innych krajów socjalistycznych, a zwłaszcza dla ZSSR?

W.B.: — Byłoby wspaniale, gdyby tak się stało. Niestety, pozostajemy daleko w tyle za Polakami. Trzeba zrozumieć, że Rosja to ogromny kraj, dziesięć razy większy od Polski, ponadto liczy 130 różnych narodowości, nie może być więc mowy o tym, aby ukształtował się tam ten wspólny duch, który stanowi o polskiej sile obecnie.

B.T.: — Czyli widzi Pan raczej inne źródła dynamiki sytuacji politycznej w Rosji? Polska nie może być więc dla Rosji modelem?

W.B.: — Nie, Polska nie może być modelem, przynajmniej nie w pełni. Polskie doświadczenia będą miały na pewno duży, nawet bardzo duży wpływ, zwłaszcza, że istnieje pewne podobieństwo w sytuacji Rosji i Polski. W Rosji również nie ma produktów, wciąż w różnych częściach kraju wybuchają strajki itp. Znaczy to, że Polska dostarczy w jakiejś mierze modelu zachowania, lecz głównym źródłem dynamiki sytuacji politycznej w Rosji pozostaje w moim przekonaniu kwestia narodowa i ona będzie miała największy wpływ na naszą sytuację w przyszłości. Ona też stanie się główną przyczyną ewentualnego kryzysu politycznego w Rosji.

Barbara TORUŃCZYK

W sowieckiej prasie

Kiedy w dalekim dzieciństwie czytałem „Tajfun" Conrada, najbardziej wstrząsnęło mną to, że w samym oku tajfunu przez jakiś czas panuje absolutna cisza. Niniejszy przegląd piszę 12 grudnia 1980 roku; tego dnia Polska wydaje się najspokojszym miejscem w Europie. Tymczasem zachodnioeuropejska i amerykańska prasa pełne są trwożnych komunikatów o sowieckich dywizjach, szykujących się do skoku na Polskę, a sowiecka prasa coraz krzykliwiej demaskuje „zagrożenie socjalistycznej Polski", którą chcą zniszczyć „imperialistyczni drapieżcy".

Kiedy napisałem we wrześniowym przeglądzie, że po podpisaniu 21 punktów należy zacząć „liczyć czas" i spodziewać się, że imperium przejdzie do kontrataku, redakcja *Kultury* uznała to w swym „Obserwatorium" za mało prawdopodobne. W grudniu 1980 roku i Wschód i Zachód zgodnie uważają, że sowiecka

interwencja w Polsce jest nie tylko prawdopodobna, ale wręcz — przy określonym zbiegu okoliczności — nieuchronna*.

4 grudnia kierownik wydziału prasowego KC PZPR oznajmił zagranicznym dziennikarzom, że polscy komuniści mają obowiązek użyć wszelkich środków dla ratowania kraju od tragedii, w tym i pomocy najbliższych przyjaciół i sąsiadów. Tego samego dnia angielski dziennikarz Wiktor Zorza opublikował w *International Herald Tribune* artykuł, w którym oświadczył, że 2 grudnia Biuro Polityczne KPZS podjęło zasadniczą decyzję o wtargnięciu do Polski — ustalenie daty interwencji odłożono na później. Angielski dziennikarz nie podaje źródła tej informacji, do jego słów należy jednak przywiązywać specjalną wagę: w sierpniu 1968 roku był on jedynym zachodnim dziennikarzem, który zapowiadał inwazję Czechosłowacji. O nasileniu przygotowań wojennych na granicach Polski donoszą wszystkie zachodnie media, opierając się nie na doniesieniach dziennikarskich, a na danych pochodzących od satelitów wywiadowczych, nasłuchów radiowych itp.

Począwszy od 10 grudnia cztery amerykańskie samoloty naładowane aparaturą elektroniczną, pozwalającą słyszeć wszystko co się dzieje na przestrzeni kilkuset kilometrów, zaczęły obserwować polsko-sowiecką granicę. Po raz pierwszy Związek Sowiecki stracił przywilej ataku przez zaskoczenie. W roku 1956 na Węgrzech, w 1968 w Czechosłowacji, w 1979 w Afganistanie (nie mówiąc już o Angoli, Etiopii i innych punktach naszej planety) sowieckie wojska stawiały świat przed faktem dokonanym. Inwazja Polski — jeśli do niej dojdzie — dokona się na oczach całego świata. Postępy czołgów sowieckich i opór, jaki Polacy im będą stawiać będziemy mogli oglądać na ekranach telewizorów.

Jest to nowy czynnik, który kierownictwo sowieckie musi przyjąć do wiadomości i przetrawić. Przygotowania do ostatecznej decyzji toczą się pod osłoną prasy sowieckiej. Czołgi i samoloty nie wkroczyły jeszcze do boju, ale wojna psychologiczna jest w pełnym toku. Od sierpnia Polska to pojawia się na łamach sowieckiej prasy (w ostrzeżeniach „A. Pietrowa" i cytatach z polskiej prasy), to znika, jakby ją starto z mapy Europy. Od końca listopada obecna jest bezustannie, ale artykuły i komunikaty o niej to straszą, to uspokajają, sowieccy mistrzowie od dezinformacji to natężają strach, to folgują, starając się wprowadzić w zamęt przeciwnika, czyli Zachód. Pod koniec listopada Kreml przetrawił informację o wydarzeniach w Polsce i zdecydował, że pora przejść do następnego etapu.

63 lata sowieckiej historii pozwalają twierdzić, że istnieje model postępowania kierownictwa moskiewskiego. Każda akcja wywołuje reakcję, która to reakcja ma trzy stadia, niejako trzy etapy. Etap pierwszy — szok wywołuje ból, który długo wędruje od miejsca porażenia do ośrodków nerwowych. Drugi etap następuje po uświadomieniu sobie sensu wydarzeń czyli przyczyny szoku, i polega na określeniu wroga. Wielkim Mistrzem drugiego etapu był Stalin: najpierw definiował wroga w kategoriach ogólnych; kiedy już Wróg był, powoli, bez pośpiechu dobierał konkretne imiona, a do nich konkretne przestępstwa. Wrogów swych Stalin oskarżał według uznania: raz o związki z Gestapo albo z wywiadem japońskim, raz o to, że wrzucają gwoździe i tłuczone szkło do masła. Pod koniec listopada uczniowie Stalina zaczęli oskarżać przywódców „Solidarności" o związki z amerykańskimi imperialistami i niemieckimi neonazistami. 25 listopada sowieckie gazety opublikowały komunikat TASS-a z Warszawy pod tytułem „O wydarzeniach w Polsce", w którym donosi o dziwacznym żądaniu „Solidarności", domagającej się jakoby, aby ją uznano za jedyny związek zawodowy. Nietrudno sobie wyobrazić, jaka zgroza musiała paść na sowieckich czytelników, którzy wiedzą, że „jedynym związkiem zawodowym" może być tylko związek sterowany przez „jedyną partię" — KPZS.

Po zdefiniowaniu, przygotowaniu, zdemaskowaniu i opluciu wroga następuje trzeci etap — jego likwidacja.

Egipski prezydent Naser sporządził specjalny „Poradnik" na użytek kontaktów z przywódcami sowieckimi, składający się z 14 wskazań „co robić" i 7 wskazań „czego nie robić" w działaniu z nimi. Wśród 14 punktów „co robić" jest i taki: „Pamiętać, że myślą oni w innych kategoriach czasowych". „Poradnik postępowania z przywódcami sowieckimi" Nasera opublikował w książce „Sfinks i komisarz" znany dziennikarz egipski i bliski przyjaciel Nasera Mohamed Chejkal. Egipski dziennikarz, który niejednokrotnie spotykał się z Chruszczowem, Gromyką, Kosyginem i Breżniewem, nieźle poznał psychikę przywódców sowieckich. Zwraca on w szczególności uwagę na zjawisko, którego zachodni działacze państwowi nie są w stanie pojąć. Na Zachodzie dużo się dziś mówi o pragmatyzmie sowieckiego kierownictwa, o tym, że „nie wierzy" ono w marksizm-komunizm. Mohamed Chejkal błyskotliwie dowodzi, że rozważania o „wierze" i „niewierze" nie mają żadnego sensu: przywódcy moskiewscy rozpatrują życie tylko w kategoriach marksistowskich — innych nie znają. Znają tylko te słowa i pojęcia, których ich nauczono na „zajęciach z *Krótkiego Kursu WKP(b)*". Chejkal przypomina, że Chruszczow i Gromyko, Breżniew i Kosygin (nazwisko jest tu bez znaczenia, istotna jest funkcja) wielokrotnie powtarzali Naserowi i Sadatowi: pamiętajcie o Brześciu Litewskim! Chodziło im o układ, który Lenin podpisał z Niemcami w marcu 1918 roku w Brześciu Litewskim. „Brześć Litewski" stał się dla przywódców kremlowskich pojęciem, wskazówką, że można iść nawet na bardzo poważne ustępstwa (jak to zrobił Lenin) w oczekiwaniu, że przeciwnik osłabnie, a samemu tymczasem zbierze się siły niezbędne dla jego likwidacji.

Listopadowa ostra zmiana tonu prasy sowieckiej wobec „wy-

* *Kultura* nadal podtrzymuje swoją opinię. — *Redakcja.*

darzeń w Polsce" wskazuje, że etap „Brześcia Litewskiego" się skończył.

Hasło dał opublikowany 23 listopada w *Izwiestiach* jubileuszowy artykuł poświęcony 250-leciu urodzin Suworowa. Największy dowódca rosyjski, o którym jeszcze w 1930 roku „Mała Encyklopedia Sowiecka" donosiła, że „w 1794 szturmem wziął praskie przedmieścia Warszawy i przejawił najwyższe okrucieństwo", w 1980 roku fetowany jest jako ten, który „poglądami swymi związany był właśnie z przodującą częścią szlachty, dzieląc wiele humanistycznych idej okresu Oświecenia". Artykuł zasługuje na uwagę z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że rocznica urodzin feldmarszałka przypadała 13 listopada, dziesięć dni przed ukazaniem się artykułu (z publikacją czekano na właściwy moment); po drugie artykuł podpisał główny marszałek sowieckich wojsk pancernych P. Rotmistrow. Jego tekst kończy się niedwuznacznym ostrzeżeniem: „Spadkobiercy wojennej sławy naszych dziadów i pradziadów, ojców i starszych braci niezawodnie bronić będą, kiedy trzeba będzie, świętych granic sowieckiej ojczyzny".

A kiedy będzie trzeba? I gdzie leżą „święte granice"? Odpowiedzi udziela *Rude Pravo*, za którym najpierw *Prawda* (30 listopada) a potem *Literaturnaja Gazeta* (3 grudnia) przedrukowują artykuł pt. „Historyczna walka w nowych warunkach". Po raz pierwszy postawiono w nim znak równania między Polską 1980 i Czechosłowacją 1968 roku i powiedziano jasno, że „historyczne doświadczenie naszej (tj. czechosłowackiej — A.K.) partii i narodu w walce z reakcją i kontrrewolucją" należy wykorzystać w Polsce, bo „destabilizacja socjalizmu" zawsze jest skierowana „przeciwko interesom całej ludzkości".

W artykule, nad którym niewątpliwie długo pracowały liczne wydziały KC KPCz i który potem przerabiały i przyprawiały rozmaite wydziały KC KPZS jest wszystko, co trzeba: wzburzenie „polityką blokady ekonomicznej" wobec krajów socjalistycznych, którą „od dziesiątków lat prowadzą kraje imperialistyczne" i tym, że PRL dostawała pożyczki od Zachodu (George Orwell mógłby do swoich słynnych przykładów „dwumowy" (niewola — to wolność, wojna — to pokój) dodać jeszcze: 20 miliardów dolarów kredytów — to blokada); są imiona wrogów: KOR, „ludzie pokroju Kuronia i Michnika", którzy „bezczelnie nazwali swoje grupki partiami politycznymi" i „otwarcie przystąpili do walki przeciw wiodącej roli PZPR, przeciw przymierzu z ZSSR, przeciw zasadom socjalizmu". Autor artykułu nie zadowala się fałszywymi oskarżeniami i dorzuca: „Podobną rolę odgrywały u nas w 1968 roku takie organizacje jak 'KAN', 'Klub 231' i inne". Sowieckie gazety do słówka „KAN" dają odnośnik: „Tak zwany 'Klub Zaangażowanych Bezpartyjnych' ". Słowo „bezpartyjni" jest w cudzysłowie — jak wiadomo, w socjalistycznych krajach wszyscy są partyjni, nawet ci, którzy nie należą do partii. Przy „Klubie 231", który skupiał wszystkich ludzi skazanych z artykułu 231, tzn. wszystkich więźniów politycznych, odnośnika nie ma.

I wreszcie artykuł ostrzega, że „wszelkie przejawy pobłażliwości ze strony instytucji socjalistycznych", „każdy krok na prawo czy na lewo od pozycji marksizmu-leninizmu" jest przestępstwem.

Miliony obywateli sowieckich którzy przeszli przez łagry dobrze pamiętają słynną formułę, którą konwojenci na etapach powtarzali jak modlitwę: „Krok w prawo, krok w lewo będzie uważany za próbę ucieczki — konwój strzela bez ostrzeżenia".

Rude Pravo i prasa sowiecka ogłaszają, że „każde odstępstwo od zasad marksizmu-leninizmu" jest ucieczką i grożą normalizacją „na sposób czechosłowacki".

W pierwszej dekadzie grudnia prasa sowiecka nie przestawała zagęszczać atmosfery. *Krasnaja Zwiezda*, centralny organ armii sowieckiej, opublikowała artykuł pełen cytatów z zeznań dwóch dezerterów z armii zachodnioniemieckiej, którzy „wybrali wolność" w 1960 roku (!!!) i twierdzą, że NATO szykuje się do napaści na kraje socjalistyczne: przez Berlin - Pragę - Warszawę (!) na Moskwę. W ten sposób wytyczone już mamy „święte granice", których mają bronić potomkowie Suworowa. 9 listopada TASS doniósł z Polski, że „grupy kontrrewolucjonistów, działających pod przykrywką lokalnych komitetów „Solidarności", przeszły do otwartego starcia z lokalnymi organizacjami PZPR i dyrekcjami poszczególnych przedsiębiorstw". Przytoczono też przykłady działań „prowokatorów" w Kielcach. W 1968 roku w Czechosłowacji wykryto nawet, ku zadowoleniu sowieckich dziennikarzy, „składy broni", ukrytej przez kontrrewolucjonistów. Potem się okazało, że wykryli „broń" ci sami, którzy ją ukryli — funkcjonariusze KGB. Oficjalne protesty w Polsce spowodowały, że sowieccy dezinformatorzy musieli zrezygnować z publikacji oświadczenia TASS-a, które tylko szeroko rozpowszechniło radio.

11 grudnia *Prawda* ogłosiła artykuł, w którym powtórzyła „doktrynę Breżniewa", sformułowaną po raz pierwszy w przeddzień najazdu na Czechosłowację: wszystkie kraje socjalistyczne mają obowiązek wspólnie bronić socjalizmu w każdym poszczególnym państwie, w którym mu zagraża imperializm. W artykule powyższym ani razu nie pada imię Polski: zawiera on li tylko analizę kryzysu czechosłowackiego z 1968 roku, ale sens jej jest jasny dla wszystkich. Wnioski *Prawdy* są jednoznaczne: w państwie socjalistycznym kierownicza rola winna przypadać „awangardzie klasy robotniczej" — partii komunistycznej.

„Spotkanie działaczy partyjnych i państwowych krajów członków Paktu Warszawskiego" z 5 grudnia prasa sowiecka komentuje pod hasłem „Umacniać jedność". Komunikat TASS-a zapewnia naród polski, że „może liczyć na bratnią solidarność i poparcie krajów Paktu Warszawskiego". Tym wszystkim, którzy pomni są zdarzeń z przeszłości, moskiewskie spotkanie z 5 grudnia 1980 roku kojarzy się ze spotkaniem w Bratysławie 3 sierp-

nia 1968 roku, uwieńczonym podobnym sławiącym jedność komunikatem. Inwazja miała miejsce w siedemnaście dni później. Moskiewskie spotkanie różniło się od bratysławskiego tym, że przybył na nie towarzysz Ceausescu, który zignorował spotkanie w Bratysławie. Widać polityka Dubczeka wydawała się rumuńskiemu przywódcy znacznie mniejszym złem aniżeli istnienie niezależnych związków zawodowych w Polsce. Istnienie „Solidarności", które cały świat komunistyczny uważa za zagrożenie dla „kierowniczej roli partii" w społeczeństwie i państwie, skłania „nacjonalistę" Ceausescu do popierania „jedności krajów socjalistycznych". Także chińska kompartia odzywa się o wydarzeniach w Polsce nader ostrożnie, mimo że w Moskwie oskarża się „chińską propagandę" o „praktyczne okazywanie poparcia antysocjalistycznym elementom w Posce".

W pierwszej dekadzie grudnia propaganda sowiecka po raz pierwszy użyła słowa „dwuwładza", którego sens nie pozostawia żadnych wątpliwości. Należy ono do tego samego słownika sowieckiego co „Brześć Litewski". „Dwuwładza" to śmiertelne zagrożenie dla jedynowładztwa partii komunistycznej. Jedyny sposób na przywrócenie jedynowładztwa to zmiażdżenie wroga, pretendującego do cząsteczki władzy.

Równocześnie ze stężaniem atmosfery w sowieckiej propagandzie 30 czy 35 dywizji rozmieszczonych wzdłuż polskich granic usilnie przygotowywało się do działań wojennych. Przygotowania czyniono otwarcie, niekiedy wręcz demonstracyjnie. Miało się wrażenie, że Moskwa chce zmusić Zachód do odpowiedzi, jak zareaguje na jawną, bezpardonową interwencję typu czechosłowackiego.

I Zachód odpowiedział. Przede wszystkim Generalny Sekretarz NATO dr Joseph Luns oświadczył, że w razie wtargnięcia sowieckich wojsk do Polski kraje NATO nie będą stawiać oporu zbrojnego. Potem, 11 grudnia, ministrowie spraw zagranicznych krajów NATO zebrani w Brukseli zdecydowali, że sowiecka interwencja w Polsce „pociągnie za sobą bardzo poważne skutki". Sporządzili nawet katalog sankcji krajów NATO w odpowiedzi na interwencję w Polsce: zerwanie kontaktów dyplomatycznych, ekonomicznych i kulturalnych, zamknięcie portów dla sowieckich okrętów itd.

Pozostaje pytanie, na ile jest prawdopodobne, że Francja, obecna w Brukseli, przyłączy się do takich posunięć NATO.

NRD, najbardziej zażarta zwolenniczka interwencji, sprawdziwszy już, jakie są możliwości oporu RFN, na komunikat brukselski natychmiast odpowiedziała pogróżką blokady Berlina Zachodniego i innych sankcji. „Mamy nadzieję — oświadczył minister spraw zagranicznych NRD — że w Bonn nie będą przelewać łez nad krachem polityki współpracy między Wschodem i Zachodem, którą od dziesięciu lat prowadzą". W dniach kiedy Związek Sowiecki prowadził swe przygotowania wojenne dowiedziano się, że zakończono pertraktacje dotyczące dostaw sowieckiego gazu ziemnego dla Europy Zachodniej. W roku 1990 ok. 50 % niezbędnego Europie Zachodniej gazu będzie pochodzić ze Związku Sowieckiego. Francuskie banki zdecydowały udzielić na budowę rurociągu gazowego kredytu w wysokości 15 miliardów franków, banki zachodnioniemieckie — 10 miliardów marek itd. 11 grudnia pewna francuska firma podpisała gigantyczną umowę na ponad 30 miliardów franków na dostawy nawozów i fabryk chemicznych do ZSSR.

Można sformułować następujące pytanie: jak zareaguje Zachód, jeśli interwencja sowiecka przyjmie inną postać, nie „czechosłowacką", do której propaganda sowiecka uparcie przygotowuje świat? W 1968 roku zadanie polegało na zmianie kierownictwa partii. W 1981 roku chodzi o to, żeby kierownictwu partii pomóc zlikwidować „wrogów" socjalizmu. 11 listopada ub.r. pojawiła się w *Izwiestiach* mała wzmianka o „wspólnych ćwiczeniach polskich i sowieckich żołnierzy". Mowa w niej o „mających miejsce ćwiczeniach pododdziałów Wojska Polskiego i Północnej Grupy wojsk Armii Sowieckiej na jednym z poligonów". A jeśli „wspólne ćwiczenia" zostaną rozszerzone i wezmą w nich udział „dodatkowe oddziały Armii Sowieckiej"?

Zachodowi zaproponuje się wtedy, aby realizację zaplanowanych sankcji odłożył do następnego „naruszenia przez Związek Sowiecki polityki *détente*".

Na tle kłamliwej, dezinformującej sowieckiej propagandy, na tle chwiejnej postawy Zachodu, nie potrafiącego się zdecydować — ani w dziedzinie politycznej, ani w innych — na jasne wyrażenie swego stosunku do polityki ZSSR, wybija się krótkie i nie pozostawiające wątpliwości oświadczenie Aleksandra Sołżenicyna: „Krwawi następcy Lenina nadal prą do swego nieziszczalnego marzenia, żeby powalić świat na kolana, nie licząc się z tym, ilu ludzi, Rosjan i nie-Rosjan, zostanie przemielonych i pohańbionych w tej jatce. W tych dniach serce zniewolonego narodu rosyjskiego bije wraz z sercem Polaków".

Adam KRUCZEK

13 grudnia 1980 r.

Mechanizmy integracji krajów socjalistycznych

Kierownictwo oraz ideologowie partii sowieckiej powtarzają całkiem otwarcie, że obecna wspólnota krajów socjalistycznych jest jedynie historyczną *wspólnotą przejściową*. Wskutek stale wzrastającej integracji — głównie w obrębie Rady Wzajemnej

Pomocy Gospodarczej — przekształca się ona coraz bardziej w socjalistyczną wspólnotę narodów „wyższego stopnia". W Związku Sowieckim istnieje obszerna literatura na temat celów, do jakich dąży Moskwa w swojej współpracy z krajami socjalistycznymi; opisane zostały dokładnie również rozmaite mechanizmy integracji. Temat ten został, niestety, zaniedbany w literaturze zachodniej.

Najważniejsze kategorie przekształceń noszą nazwę: „jedności" *(jedinstwo)* i „zbliżenia" *(sbliżenie)*. Moskwa zapewnia wprawdzie, że stosunki pomiędzy tymi krajami oparte są i rozwijane na zasadzie dobrowolnej koordynacji i na bazie umów, na podstawie marksizmu-leninizmu oraz organicznie z nią związanych zasadach — socjalistycznego internacjonalizmu, przestrzegania suwerenności państwowej, niezależności oraz interesów narodowych, niemieszania się w sprawy wewnętrzne, całkowitego równouprawnienia, wzajemnej korzyści oraz wzajemnego koleżeństwa i pomocy (wszystko cytowane niemal dosłownie z pewnego artykułu w „Teoretycznym organie partyjnym KPZS *Kommunist*"). Jednocześnie stwierdzić trzeba, iż dzisiaj coraz bardziej urzeczywistnia się stałe zbliżenie krajów socjalistycznych w dziedzinie gospodarki, polityki, ideologii i kultury.

Stworzenie wspólnoty wyższego stopnia, „międzynarodowego przymierza nowego typu", posiada — zdaniem sowieckich ideologów partyjnych — charakter obiektywny i historyczny, a co najważniejsze, ów proces przekształceń społeczno-politycznych musi zostać uznany przez wszystkie kraje socjalistyczne.

Dwóch ekspertów sowieckich, B. Ladygin i Ju. Pekszew, pisze w swym artykule:

„Tak zatem stopniowe zbliżenie zakłada istnienie uprzedniego, zsynchronizowanego procesu nasilenia wzajemnych stosunków we wszelkich dziedzinach — w polityce, gospodarce, ideologii. Obecne jego formy wymagają pewnego określonego stopnia dojrzałości we wszystkich głównych sferach wzajemnych stosunków pomiędzy narodami suwerennych państw. I nie jest przypadkiem, że właśnie lata siedemdziesiąte stały się etapami rozwoju tego procesu. Zajmą one niewątpliwie ważne miejsce w historii światowego socjalizmu ze względu na powstanie jakościowo nowych, wyższych form w gospodarce, jak również w innych dziedzinach życia społecznego". *(Kommunist*, 5/1977).

Moskwa uważa światowy ustrój socjalistyczny za najważniejszą podstawę zbudowania komunizmu na całym świecie. W jednej z pracy Akademii Nauk ZSSR czytamy dosłownie:

„W światowym ustroju socjalistycznym skoncentrowane są najpotężniejsze siły postępu społecznego, jak również najliczniejsze i największe wpływy partii komunistycznych i robotniczych, dlatego też od siły jedności krajów owego ustroju, od zsynchronizowania ich działalności zależy w znacznym stopniu nie tylko pomyślne rozwiązanie wewnętrznych zadań świata socjalistycznego, lecz również charakter rozwoju całej sytuacji międzynarodowej, najbliższych i odległych perspektyw całego ruchu rewolucyjnego".

Kierownictwo partii sowieckiej oraz ideologowie wiedzą doskonale, dlaczego muszą bardzo ostrożnie realizować swoją „strategię zbliżenia". Stale przy tym należy pamiętać o dawnym zerwaniu z Jugosławią, o krwawej fali terroru przede wszystkim w Czechosłowacji i na Węgrzech, o czołgach, zwróconych przeciw komunistom czechosłowackim z Dubczekiem na czele i wielu innych sprawach. Sowieccy przywódcy partyjni jeszcze do niedawna utrzymywali, że błędem było określanie krajów socjalistycznych „ze Związkiem Sowieckim na czele": mówiono o partnerstwie równouprawnionym. Obecnie jednak znowu nastaje moda określania Związku Sowieckiego jako „wiodącej siły światowego ustroju socjalistycznego". Dwa te pojęcia „jedności" i „zbliżenia" oznaczają wzmocnienie współpracy krajów socjalistycznych ze Związkiem Sowieckim, stałe dostosowywanie do niego politycznych i gospodarczych struktur owych krajów. „Jedność" wyraża rozwój współpracy socjo-ekonomicznej i socjo-politycznej, oraz specjalizację i kooperację w dziedzinie gospodarki. Umożliwić ma to „wyższe formy" współpracy i zjednoczenia różnych krajów socjalistycznych, a w dalszej przyszłości wszelkich barier państwowo-narodowych.

Współpraca pomiędzy poszczególnymi partiami uważana jest za niezmiernie doniosły czynnik w dziedzinie zarówno „jedności" jak i „zbliżenia". KPZS jęła rozwijać rozmaite formy owej współpracy, jak np. spotkania przywódców partii dwóch lub więcej krajów, do czego zaliczane są również dwustronne lub też liczniejsze spotkania na Krymie. Nad sprawą bieżących kontaktów pomiędzy komunistycznymi partiami robotniczymi krajów socjalistycznych czuwa wydział KC do spraw łączności z partiami socjalistycznymi (kierownik K. W. Rusakow). Kierownictwo partii sowieckiej już dzisiaj zainteresowane jest tym, by kraje socjalistyczne przejmowały pewne partyjne oraz państwowe struktury sowieckie.

Najważniejszym punktem jest tu struktura partii: partyjne kierowanie całym społeczeństwem przez odpowiednie aparaty partyjne. Kadry partyjne szkolone są przeważnie w Związku Sowieckim. Odbywają się — częstokroć na najwyższym szczeblu — międzynarodowe seminaria i konferencje, których tematem jest doskonalenie partii w poszczególnych państwach.

Następnym, istotnym punktem, który zwłaszcza obecnie wysuwa się na pierwszy plan, jest *dziedzina ideologii*. Stale odbywają się międzynarodowe konferencje, sympozja i wymiana myśli pod innymi jeszcze postaciami, celem ścisłego ujednolicenia sfery ideologii.

Silnemu naciskowi poddane są aparaty państwowe w krajach socjalistycznych. Sowiecka, biurokratyczna struktura władzy nie wszędzie daje się w pełni zastosować, Związek Sowiecki domaga się jednak z naciskiem, by wszędzie stosowane były podstawowe zasady konstrukcji państwa. Stałą instytucją stały się turnusowe narady sekretarzy Komitetów Centralnych, których głównym

tematem — jak wynika z rozmaitych materiałów — jest opracowanie jednolitych wytycznych w dziedzinie polityki zagranicznej. Ogólnie stwierdzić należy, iż obie te kategorie „jedności" i „zbliżenia" najłatwiej jeszcze dają się realizować w formie współpracy partii komunistycznych, lecz i tu zdarzają się nie zawsze miłe niespodzianki. Nacisk Moskwy na partie w krajach socjalistycznych jest stale udoskonalany, KPZS posiada tu monopol w sferze nauki o „partii leninowskiej" i domaga się bezwarunkowego uznania owej nauki od wszystkich swych sprzymierzeńców.

Integrująca funkcja Politycznego Komitetu Porozumiewawczego Paktu Warszawskiego

Istnieją dwa organa kolektywne, odgrywające w przyspieszaniu „jedności" oraz „zbliżenia" szczególnie doniosłą rolę: Polityczny Komitet Porozumiewawczy Paktu Warszawskiego oraz Rada Wzajemnej Pomocy Gospodarczej.

Pakt Warszawski podpisany został 14 maja 1955 roku w Warszawie, a celem jego jest „obrona zdobyczy socjalizmu i zabezpieczenie pokoju w Europie".

Polityczny Komitet Porozumiewawczy odgrywa, zwłaszcza od początku 1960 roku, coraz donioślejszą rolę jako ośrodek *koordynacji działalności w dziedzinie polityki zagranicznej krajów socjalistycznych.* Zadania owego organu są uregulowane umową, obrady odbywają się regularnie na najwyższym szczeblu partyjnym i państwowym. Opracowuje się tam wiele ważnych projektów z dziedziny spraw polityki europejskiej i światowej. Obok owego Komitetu Porozumiewawczego istnieją także różne wyłącznie wojskowe organizacje Paktu Warszawskiego, kompetentne jedynie w sprawach współpracy militarnej. W Komitecie Porozumiewawczym istnieje od 1976 roku Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych oraz Zjednoczony Sekretariat. Istnieje tendencja do stałej, dalszej rozbudowy owego kolektywnego mechanizmu do spraw koordynacji i planowania polityki zagranicznej.

Najważniejszy instrument „zbliżenia" — integracja gospodarcza

Wzajemne powiązania gospodarcze pomiędzy Związkiem Sowieckim a jego partnerami z RWPG traktowane są — zwłaszcza przez ekspertów sowieckich — jako ważny instrument „zbliżenia" się krajów socjalistycznych. Przywódcy sowieccy opracowali dla tej dziedziny strategię, przemyślaną na wskroś realistycznie. Najważniejsze w niej jest stałe, stopniowe rozszerzanie najniższych form współpracy, takich jak handel i przechodzenie z kolei do bardziej skomplikowanych, w których integracja gospodarcza dobitniej się już uwydatnia.

Stały przedstawiciel ZSSR w RWPG to urodzony w 1927 roku

Konstanty Fiedorowicz Katuszew. Jest on jednocześnie przewodniczącym Komitetu Wykonawczego RWPG oraz zastępcą przewodniczącego Rady Ministrów ZSSR. Gdy w maju 1977 roku ze stanowiska sekretarza KC KPZS przeszedł do realizacji tych nowych zadań, wielu „astrologów kremlowskich" uznało to za „degradację", w rzeczywistości jednak było odwrotnie, Katuszewowi powierzono bowiem jedno ze szczególnie ważnych zadań z punktu widzenia interesów sowieckich i, o ile wiadomo, odnosi on najwyraźniej sukcesy w tej dziedzinie. Po usunięciu ogólnych a dość znacznych różnic rozwoju pomiędzy poszczególnymi partnerami RWPG w nader krótkim czasie, zaczęto dążyć do udoskonalania mechanizmów integracyjnych. Obroty w handlu między partnerami RWPG zwiększały się szybko, zaś następny stopień polegał na skoordynowaniu planów pięcioletnich, co nie było bynajmniej łatwym zadaniem. Dziś koordynacja planów pięcioletnich polega na następujących etapach: Najpierw ministerstwa i odpowiednie władze przygotowują swe propozycje, dotyczące rozwoju współpracy w pewnych wybranych dziedzinach. Propozycje te sprawdzane są z kolei przez centralne organy planowania, po czym usiłuje się doprowadzić do odpowiednich porozumień lub umów z zainteresowanymi resortami przemysłu. Propozycje włącza się wówczas do planów pięcioletnich. W końcowej fazie odbywa się ostateczne głosowanie pomiędzy krajami RWPG.

Cała ta koordynacja oparta jest na dwustronnych protokołach pomiędzy organami planowania poszczególnych krajów RWPG, w których obie strony dokładnie ustalają zakres przyjętych przez nie obowiązków. Realizacja tych zobowiązań oparta jest o umowy z dziedziny handlu zagranicznego pomiędzy partnerami na cały okres planu pięcioletniego.

Następnym, „wyższym stopniem" jest koordynacja planów pięcioletnich na lata 1976-1980. Znacznie silniej niż dotąd podkreślono tu sprawy kooperacji i specjalizacji. Zaczęto też zajmować się znacznie poważniej prognozami. Opracowano niektóre prognozy — np. dotyczące zapotrzebowania na paliwa i energię — aż do 1990 i 2000 roku.

Nową formą owej udoskonalonej działalności planistycznej jest tak zwany *„Skoordynowany plan wielostronnych posunięć integracyjnych"*, (rosyjska nazwa: *sogłasowannyj plan mnogostoronnich integracionnych meroprijatij).* Jeden plan opracowuje się więc każdorazowo na okres pięciu lat, a zobowiązania każdego z uczestniczących w nim krajów są szczegółowo określone.

Najwyższą obecnie formą przyspieszonej integracji są tak zwane *„wieloletnie kierunkowe programy współpracy"* (po rosyjsku: *dołgosrocznyje celewyje programmy sotrudniczestwa).* W obecnym, trwającym aż do 1980 roku planie pięcioletnim uznano ową formę współpracy za jeden z najważniejszych kroków w kierunku przyspieszonej integracji krajów socjalistycznych, przede wszystkim ze Związkiem Sowieckim.

W bieżącym planie pięcioletnim (do 1980 roku) uchwalono, niezależnie od tego, tak zwane projekty integracyjne o szczególnym znaczeniu gospodarczym. Nowością jest tu fakt, iż partnerzy RWPG zainteresowani dostawami sowieckich paliw lub ropy muszą je opłacać z góry. Osiem, najważniejszych spośród nich, realizować się będzie w Związku Sowieckim. Chodzi tu o następujące projekty: gazociąg z Orenburga do granicy zachodniej, długości 2.750 km, kombinat celulozy w Ust'Ilimsku, kombinat azbestowy w Kijembai, zakłady produktów metalowych i stopów, zakłady produkcji drożdży paszowych z czystych parafin, budowa sieci elektrycznej 750 V na linii Winnica (Ukraina sowiecka) — Albertirsa (Węgry); trzeci stopień rozbudowy gazowni w Orenburgu; międzynarodowy ośrodek szkolenia technicznego i obsługowego personelu lotnictwa cywilnego w Uljanowsku.

Ogólne koszty tych ośmiu obiektów przemysłowych wynoszą 8 miliardów rubli transferowych, z czego połowa przypada na Związek Sowiecki, druga zaś połowa na te spośród krajów RWPG, które zainteresowane są późniejszym zwiększeniem dostaw sowieckich. Dostawy te obejmować mają nie tylko najbardziej współczesną technologię i maszyny, lecz również zapewnić siły robocze. Wszystkie te świadczenia Związek Sowiecki zamierza po zakończeniu projektów w ciągu dwunastu lat spłacać dostawami surowców i paliw. Co ma nastąpić później nie zostało jeszcze ściśle ustalone, a największym użytkownikiem owych projektów jest sam Związek Sowiecki, do którego już od chwili uruchomienia należy 50 % całej produkcji. Są jednak jeszcze inne, ważne obiekty integracyjne.

Powracamy jeszcze na chwilę do długoterminowych kierunkowych programów współpracy. W roku 1978 uchwalono trzy takie programy w dziedzinie energetyki, paliw i surowców; rolnictwa i przemysłu spożywczego; budowy maszyn; ponadto dwa programy w dziedzinie produkcji artykułów użytku codziennego oraz transportu. Dla zainteresowanych stron oznacza to przede wszystkim uznanie absolutnego priorytetu owych projektów w ich planowaniu krajowym. Inwestycje kapitału wzrastają gwałtownie i równie szybko rośnie ilość zawieranych umów dwu- i wielostronnych. Owe wieloletnie kierunkowe programy współpracy pozwalają — jak się to oficjalnie określa — każdemu partnerowi RWPG na ustalenie najważniejszych parametrów swego długoterminowego rozwoju, przy jednoczesnym organicznym powiązaniu ich z perspektywami współpracy gospodarczej. Ów mechanizm integracyjny jest jednak zbyt jeszcze nowy, by doprowadzać do konkretnych wniosków na temat zdolności jego funkcjonowania.

Znaczenie Polski dla integracji socjalistycznej

Ostatnie, burzliwe wydarzenia w Polsce analizowane były głównie z politycznego punktu widzenia i podobnie interpretowane, ale przeważnie pomijano sowiecką politykę integracyjną. A od „normalizacji" wewnętrznej sytuacji w Polsce zależy niezmiernie wiele spraw, gwarantujących w ogóle sukces integracji socjalistycznej. Polska nie tylko uczestniczy we wszelkich wieloletnich programach współpracy, lecz związana jest również *setkami dwu- i wielostronnych umów ze Związkiem Sowieckim, a zwłaszcza z jego sąsiadami.* Od realizacji owych umów zależy los obecnej strategii RWPG. Polska jest dzisiaj drugim, po Związku Sowieckim, krajem pod względem zarówno sił społecznych, jak i gospodarczych. Ze względu na liczbę ludności i bogactw naturalnych zajmuje drugie, z uwagi na liczbę ludności trzecie miejsce. Według oficjalnych danych dochód narodowy na głowę ludności jest niższy niż w NRD i w Czechosłowacji, lecz nader zbliżony do Związku Sowieckiego i Węgier. Polska produkcja przemysłowa zajmuje wśród państw członków RWPG drugie miejsce wraz z NRD. W produkcji rolnej Polska zajmuje — po Bułgarii i Związku Sowieckim — trzecie miejsce. Polska bierze udział we wszystkich wieloletnich kierunkowych programach współpracy. Na terytorium Polski znajduje się jeden z najważniejszych wspólnych zakładów krajów RWPG, mianowicie polsko-nrdowski kombinat „Zawiercie".

Sprawy kooperacji i specjalizacji przyczyniły się niezmiernie do silniejszego związania krajów socjalistycznych ze Związkiem Sowieckim. Choć główne części rozmaitych wyrobów przemysłowych, zwłaszcza w dziedzinie energii nuklearnej konstruowane są w Związku Sowieckim, pozostałe konstruowane są — w ramach specjalizacji — w krajach socjalistycznych. Na podstawie posiadanej dokumentacji stwierdzić można, że najważniejszą rolę w kooperacji oraz specjalizacji odgrywają NRD i Polska. Raz jeszcze: Polska powiązana jest setkami dwu- oraz wielostronnych umów — w ramach kooperacji i specjalizacji — z partnerami RWPG. Dokładnej ich ilości nie udało się ustalić, lecz np. dane, dotyczące Węgier uwydatniają wielkość i znaczenie owego mechanizmu: w roku 1978 Węgry związane były ponad dwustu takimi umowami z krajami RWPG. Na podstawie owych umów zrealizować miano w latach 1976-1980 jedną trzecią dostaw węgierskich z dziedziny produkcji, oraz 1/5 produktów importowanych z krajów RWPG!

Inne zagadnienie, zawsze niemal powstające przy próbie oceny prawdziwej sytuacji — nie tylko w sferze gospodarki — związane jest ze sprawą należytego funkcjonowania owych procesów, zarówno w Związku Sowieckim, jak i innych krajach socjalistycznych.

Stwierdzić należy, iż wszystkie te procesy integracyjne przebiegają znacznie wolniej, niżby sobie Związek Sowiecki tego życzył. Na dwudziestym czwartym posiedzeniu Sesji Rady RWPG w czerwcu 1980 roku w Pradze słychać było głosy poważnej przestrogi na temat rozmaitych niedociągnięć właśnie przy realizacji owych długoterminowych projektów. I tak stwierdzono na przykład, że tempo dostaw maszyn i ich wyposażenia uległo —

w obrębie krajów RWPG — znacznemu zwolnieniu. Koordynacja planów również następuje zbyt wolno, a wiele ważnych zagadnień znajduje się ciągle jeszcze w stadium przygotowawczym. Przewodniczący Komitetu RWPG do spraw współpracy w dziedzinie planowania, wiceprzewodniczący Rady Ministrów ZSSR i przewodniczący Planu Państwowego ZSSR, N. K. Bajbakow, oświadczył, że plany z dziedziny kooperacji i specjalizacji są „opóźnione w stosunku do obecnych wymogów i zadań" ustalonych przez bratnie partie. Wiele branż produkcyjnych nie może jeszcze dostarczać produktów najwyższej jakości. Bajbakow uskarżał się również na panujący ciągle „paralelizm", czyli stan, który ma zostać usunięty przez kooperację i specjalizację. (Zainteresowanych odsyłamy do Biuletynu RWPG „Ekonomiczeskoje sotrudniczestwo stran-czlenow SEW" nr 4/1980).

Wspomniano wprawdzie również o zakłóceniach, wywoływanych przez Związek Sowiecki. Strona sowiecka przyznała, iż sytuacja w jej przemyśle paliwowym i surowcowym jest „bardzo napięta", a utrzymanie eksportów do krajów RWPG w dotychczasowych ilościach jest prawie niemożliwe.

„Rozszerzanie i udoskonalanie" języka rosyjskiego w krajach RWPG: podstawowa część integracji socjalistycznej

W sowieckich publikacjach specjalistycznych odnotowano z dumą, że rosyjski jest językiem urzędowym dwóch najważniejszych organizacji integracyjnych — Paktu Warszawskiego i RWPG.

W jednej z prac Sowieckiej Akademii Nauk zwrócono uwagę na fakt, że politycy i eksperci dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęli zajmować się kwestią rozszerzania nauki języka rosyjskiego. W większości krajów socjalistycznych 10-15 % ludności uczy się rosyjskiego, z tym, że przeważa tu młodzież. Uczniowie w szkołach krajów socjalistycznych rozpoczynają naukę rosyjskiego w wieku 10-11 lat, w czwartym lub piątym roku nauczania. W szkołach specjalnych uczą rosyjskiego już w pierwszej klasie. Dzieci często też zapoznają się z tym językiem już w przedszkolu. Tak np. założono w Bułgarii 1.149 grup, celem nauczania rosyjskiego w przedszkolu: obejmowały one ok. 37.000 dzieci. W Polsce postanowiono, że każde dziecko polskie, chodzące do dziesięciolatki, rozpocznie naukę języka rosyjskiego od piątej klasy („Ruskij jazyk: jego rol' w razwitii sowietskogo obszczestwa i meżdunarodnogo sotrudniczestwa" Moskwa 1974-77).

Interesujące są argumenty przy pomocy których eksperci sowieccy domagają się rozszerzania i ulepszania języka rosyjskiego w szkołach krajów socjalistycznych: „Nauka ta rozwija intelekt uczniów (...), wzbogaca ich wiedzę (...), wpływa dodatnio na ich rozwój kulturalny, moralny i estetyczny (...), otwiera drogę do uczenia się historii i poznania współczesnego życia w Związku Sowieckim, a przez tłumaczenia — do najdonioślejszych wydarzeń w dziejach całej ludzkości, co z kolei korzystnie wpływa

na kształtowanie poglądów i pojmowanie świata". Te same źródła przytaczają cytat z programu nauczania języka rosyjskiego, wydanego w Bułgarii, w którym nie tylko opisuje się „kształtującą osobowość rolę" tego języka, lecz podkreśla się również jego wpływ na „wychowanie w duchu miłości, oddania i szacunku względem wielkiego kraju sowieckiego" *(op. cit.*, str. 175).

Integracja gospodarcza wymaga poszerzenia znajomości rosyjskiego w kontaktach partnerów RWPG ze Związkiem Sowieckim. Cała korespondencja z 860 instytutami, oraz biurami projektów i konstrukcji krajów socjalistycznych, współpracujących z 700 podobnymi instytucjami sowieckimi, prowadzona jest po rosyjsku. Istnieje stała wymiana doświadczeń pomiędzy 70 ministerstwami ZSSR a 96 ministerstwami i urzędami innych krajów socjalistycznych. Szczególnie ważna jest znajomość rosyjskiego dla specjalistów z różnych dziedzin, jak również dla naukowców i techników. „Język rosyjski to droga do skarbca wiedzy i informacji naukowych krajów RWPG". Według danych UNESCO w Związku Sowieckim ukazuje się dziewięćkroć więcej przekładów niż w Stanach Zjednoczonych. Szczególne znaczenie ma tu stwierdzenie następujące: „język rosyjski przejmuje obecnie rolę języka starosłowiańskiego", który „spełniał funkcję pierwszego, ogólnego języka w dziedzinie polityki i kultury".

W owych staraniach o rozszerzanie i doskonalenie języka rosyjskiego w krajach socjalistycznych można wyraźnie dostrzec pewną akcję, skierowaną na narody słowiańskie. Z posiadanych materiałów wynika bowiem, iż Związek Sowiecki spodziewa się tu najlepszych rezultatów w Bułgarii, Czechosłowacji i Polsce. Trzy te republiki słowiańskie mają jednego, jeszcze nie-słowiańskiego „sprzymierzeńca" — NRD. We wszystkich tych krajach założono *specjalne* instytuty języka rosyjskiego, których zadanie polega na „zaspakajaniu rosnącego, specyficznego zapotrzebowania różnych grup społecznych i zawodowych, a także ludności na uczenie się języka rosyjskiego i posługiwanie się nim" *(op. cit.*, str. 181).

Otwarcie przyznaje się też, że dążenia te spotkały się z oporami w Czechosłowacji, gdzie języki obce są bardziej rozpowszechnione i dopiero pod naciskiem Związku Sowieckiego utorowała sobie drogę tendencja do skrócenia programów nauczania języków zachodnioeuropejskich. Na Węgrzech już od szeregu lat używa się niemieckiego, jako języka naukowego, Rumuni zaś najwidoczniej wzbraniają się przed rozszerzaniem programów nauki rosyjskiego. Tu daje się zaobserwować tendencja, podobna do tej, jaka istnieje w Związku Sowieckim, mianowicie nacisk rusyfikacyjny ujawnia się najsilniej wśród narodów słowiańskich — Ukraińców i Białorusinów. Rolę NRD porównać można do rozwoju, jaki przechodzą obecnie dwie republiki — Mołdawia i Łotwa. Lecz nawet i to porównanie jest nieco przesadzone, ponieważ w tych republikach sowieckich istnieje jednak, choć nikły, opór przeciwko rusyfikacji, natomiast w NRD bez żadnego nacisku ze strony Sowietów, wszystko zmierza w owym kierun-

ku, choć trudno doprawdy wyobrazić sobie, że w kraju tym zrezygnuje się z niemieckiego, jako języka naukowego, mimo iż należy on do czterech języków międzynarodowych. Z drugiej jednak strony Sowieci zwracają uwagę kompetentnych czynników w NRD na fakt, że powinni się dostosować do ogólnej sytuacji w RWPG, oraz że dla ich ekspertów i wyższych funkcjonariuszy korzystniejsze będzie opanowanie języka rosyjskiego, ponieważ jest to język całej RWPG, Paktu Warszawskiego a także wielu innych, niezliczonych kontaktów pomiędzy urzędami, przedsiębiorstwami itp. obu krajów.

◆

Raz jeszcze należy tu zwrócić uwagę na fakt, że zaniedbywanie aspektów ekonomicznych w związku z „integracją socjalistyczną" — szczególnie w wypadku Polski — może bardzo łatwo doprowadzić do fałszywych wniosków. Polska związana jest ze Związkiem Sowieckim i innymi partnerami RWPG setkami rozmaitych umów na różnych poziomach. Nie musi koniecznie dochodzić do zerwania ze Związkiem Sowieckim: już trudności wewnętrzno-polityczne i gospodarcze, stawiające pod znakiem zapytania możliwość wypełnienia zobowiązań ekonomicznych stanowią zagrożenie całej integracji socjalistycznej i wiodą do nierealizowania wielu projektów, by nie rzec: do załamania się całej sytuacji gospodarczej w RWPG. Już choćby z tego tylko względu Moskwa uczyni wszystko, łącznie z koncesjami politycznymi, aby tej katastrofy uniknąć. Bagatelizowanie elementów „słowianofilskich" w sowieckiej polityce wewnętrznej i zewnętrznej równałoby się oszukiwaniu samych siebie. Z pewnością opór przeciw rusyfikacji jest w Polsce nieporównanie silniejszy, niż np. w Bułgarii czy w Czechosłowacji, lecz nawet już zebrane, skromne informacje potwierdzają, że tysiące funkcjonariuszy partyjnych i państwowych na czołowych stanowiskach, jak również wojskowych, dyrektorów w przemyśle lub naukowców nie zdoła dzisiaj zrobić kariery bez znajomości języka rosyjskiego.

Borys LEWYCKYJ

(Tłumaczył m.k.)

Kronika niemiecka

Ordynariusz warmiński ks. bp Glemp skierował do wiernych swej diecezji odezwę w sprawie wykupu świątyń ewangelickich: „Kościół ewangelicki na całym terenie polskich ziem północnych doznał ogromnego zmniejszenia liczby wiernych. (...) Gminy opustoszały, ludność bowiem protestanc-

ka w ogromnej większości wyjechała do RFN, a więc opustoszałe świątynie przeszły pod zarząd *Konsystorza Ewangelickiego* w Warszawie. (...) Mamy w diecezji warmińskiej kilkadziesiąt świątyń ewangelickich, z których większość od lat zupełnie opuszczona, żałośnie niszczeje z każdym rokiem. (...) Kilka świątyń zostało przekazanych państwu na użytek świecki, nawet gospodarczy. (...) W latach 1977/78 diecezja warmińska wykupiła cztery świątynie. Obecnie odbywają się rozmowy o kupno dalszych ośmiu kościołów". Dodajmy od siebie, że pertraktacje są bardzo utrudnione tradycyjnie niechętną postawą polskiej hierarchii kościelnej wobec rodzimych ewangelików i często wrogą postawą do pozostałych. Coraz częstsze są wypadki samowolnego rekwirowania kościołów ewangelickich. Czy *exodus* polskich Mazurów do RFN był spowodowany wyłącznie przyczynami ekonomicznymi i politycznymi? ■ W bibliotece *Uniwersytetu Jagiellońskiego* w Krakowie natrafiono na znaczne ilości cennych rękopisów i wczesnych druków muzycznych, m.in. twórczość Jana Sebastiana Bacha reprezentują liczne kantaty, a Josefa Haydna rękopisy dwóch jego popularnych *symfonii londyńskich (Es-dur* i *D-dur)*. Bogate jest również piśmiennictwo Ludwiga van Beethovena, Schuberta, Mendelssohna, Brahmsa, Telemanna i Hoffmanna. ■ Konsorcjum złożone z 20 zachodnioniemieckich banków jest gotowe sfinansować za pomocą dziesięcioletniego kredytu w wysokości 10 mld marek (5,3 mld dolarów) wielką transakcję z Sowietami, która zapewni Niemcom Zachodnim przez 20 lat, poczynając od 1984 roku, dostawy po 4 mld metrów sześciennych gazu ziemnego rocznie. *CDU/CSU* — opozycja w *Bundestagu*, tak mocno związana z wielkimi bankami i przemysłem, zapatruje się krytycznie na ten projekt. RFN ma dostarczyć Sowietom rury o wielkich przekrojach dla budowy magistrali gazowej z Syberii, liczącej ok. 5 tys. km oraz stacje pomp i inne urządzenia. ■ Fachowa prasa zachodnioniemiecka informuje, iż tegoroczny plan wydobycia węgla kamiennego w Polsce nie będzie wykonany. Do realizacji planu zabraknie ok. 15-17 mln ton. Zbiory ziemniaków w tym roku będą stanowiły jedynie 40 % oczekiwanych. ■ Nakładem krakowskiego *Społecznego Instytutu Wydawniczego ZNAK* ukazała się książka Stanisława Stommy *Czy fatalizm wrogości? (Refleksje o stosunkach polsko-niemieckich 1871-1933)*: „Niezależnie od układów międzynarodowych narody sąsiadujące z Niemcami chciałyby widzieć także i gwarancję wewnętrzną, to jest wynikającą z zupełnie pewnej sytuacji psychicznej i ideowo-politycznej społeczeństwa niemieckiego. Właśnie chodzi o taką gwarancję zupełną i ostateczną". P. St. Stomma swój słuszny apel powinien skierować również pod adresem niektórych przedstawicieli duchowieństwa. ■ W Berlinie Wschodnim podpisano protokół do umowy międzyrządowej o czasowym zatrudnieniu w 1981 roku polskich pracowników w przedsiębiorstwach na terenie NRD. W myśl podpisanego protokołu, we wschodnioniemieckich przedsiębiorstwach — dotyczy to głównie chemii, przemysłu obrabiarkowego, częściowo przemysłu spożywczego i innych dziedzin gospodarki — zatrudnionych będzie przeszło 5 tys. polskich pracowników. W poprzednich latach liczba Polaków zatrudnionych w NRD była sześciokrotnie wyższa. ■ W RFN zużywa się przy produkcji papieru 60 % makulatury a w Polsce zaledwie 3 %. ■ W *Misji Wojskowej PRL* w Berlinie Zachodnim (bezprawnie wykonującej czynności konsularne!) odznaczono następnych działaczy polonijnych; *Srebrną Odznakę Orderu Zasługi PRL* wręczono honorowemu przewodniczącemu oddziału berlińskiego proreżymowego *Związku Polaków w Niemczech* — Józefowi Kuli, zaś *Złoty Krzyż* wręczono Janinie Adam, prezesce stowarzyszenia kulturalnego *Polonia*. ■ Inż. Erich Borchardt z Hanoweru, który od 6 lat działa społecznie na rzecz *Centrum Zdrowia Dziecka* przekazał kolejny dar w postaci nowoczesnej aparatury produkcji USA dla oddziału kardiochirurgii dziecięcej CZD. Dar o wartości 20 tys. marek służyć będzie przy skomplikowanych operacjach

serca. Kiedy doczekamy się uczciwego sprawozdania i kontroli Centrum? ■ Egon Bahr, sekretarz generalny *SPD*, oświadczył w wywiadzie udzielonym *Südwestfunk*, że Polska powinna wykazać lojalność wobec Związku Sowieckiego i Paktu Warszawskiego... ■ Wydawnictwo *Brockhausa* z siedzibą w Lipsku obchodziło 175-lecie; wydało ponad 20 mln egzemplarzy różnych leksykonów, encyklopedii, przewodników, albumów i dzieł literatury klasycznej. Brockhaus wydawał też książki polskie, m.in. serię *Biblioteka Pisarzy Polskich* (81 tomów w latach 1860-1894) i miesięcznik *Bibliografia Polska* (1861-1865). Spadkobiercy Friedricha A. Brockhausa prowadzą też firmę wydawniczą *Brockhaus* w Wiesbaden i Stuttgarcie (RFN). ■ Liczący 10 tys. członków *Związek Polaków „ZGODA"* obchodził w Bochum 30-lecie istnienia. Jubileusz jest wyraźnie naciągnięty; *„ZGODA"* została założona (z inspiracji *Misji Wojskowej PRL* w Berlinie Zachodnim) w sierpniu 1952 roku. Wpis do rejestru stowarzyszeń w Hamburgu nastąpił dopiero w 1954 roku. Członkowie „ZGODY" korzystają z wielu ułatwień przy wyjazdach do Polski. Od kilku lat reżymowa dyplomacja zabiega o połączenie *„ZGODY"* z założonym w roku 1922 *Związkiem Polaków w Niemczech* (dokładna liczba członków *ZPwN* nie jest znana; szacuje się ich na ok. 6 tys.). Polskie organizacje niepodległościowe w RFN, poza *Polską Partią Socjalistyczną* (7 kół) i *Polską Radą Narodową* (siedziba w Monachium) nie przejawiają prawie żadnej działalności, istnieją jedynie na papierze, bądź w wyobraźni wiecznych prezesów. ■ 26-stronicowy *Komunikat* (nr 2/1980) wydawany przez *Polską Radę Narodową* w RFN, poświęcony wyłącznie tematyce polsko-niemieckiej ukazał się również w języku niemieckim. ■ Teatry NRD zaprezentowały dwa przedstawienia sztuk Tadeusza Różewicza; teatr z Poczdamu przywiózł do Berlina Wschodniego inscenizację *Odejścia głodomora*, zaś *Teatr Miejski* z Lipska pokazał swoją wersję sztuki *Wyszedł z domu*. Sztuki Różewicza znajdują się obecnie także w repertuarze innych teatrów, np. teatr we Frankfurcie nad Odrą gra *Pogrzeb po polsku*. W tym samym teatrze wystawiono *Czarowną noc* Sławomira Mrożka, natomiast w Weimarze odbyła się premiera *Nocy listopadowej* w inscenizacji Andrzeja Wajdy. ■ W ramach cyklu koncertów pod nazwą *Forum młodych pianistów* odbył się w sali *Kennedy-Haus* w Darmsztacie występ gościnny Krzysztofa Słowińskiego z Polski. W programie koncertu figurowały m.in. utwory Chopina, Liszta i Bartoka. ■ 30 polskich i zachodnioniemieckich wagonów pocztowych, które zawierały głównie paczki świąteczne, wysłane z RFN do Polski, zatrzymano w NRD przez okres dwóch tygodni. Dopiero po ostrej interwencji dyrekcji *PKP* stojące na bocznicach wagony doczepiono do pociągów kursujących do Polski. ■ Tegoroczna *Nagroda Miasta Essen* (15 tys. marek) w dziedzinie plakatu została przyznana Janowi Lenicy. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* opublikowała w tłumaczeniu Gottholda Rhode esej Stefana Kisielewskiego pt. *Pan chce naprawić błędy systemu?! (Kultura* nr 11/1980). Esej Kisielewskiego został ponadto nadany przez kolońską rozgłośnię Deutsche Welle w programie rosyjskim. ■ *Geschichte Polens (Historia Polski)* Gottholda Rhode doczekała się trzeciego wydania *(Wissenschaftliche Buchgesellschaft*, Darmstadt 1980, str. 543). Cały nakład rozszedł się błyskawicznie. ■ Przyznawana w Hamburgu *Nagroda im. Aby M. Warburga* (20 tys. marek) przypadła w tym roku polskiemu historykowi sztuki, Janowi Białostockiemu, za osiągnięcia w dziedzinie badań kultury europejskiej. ■ Firmy zachodnioniemieckie sprowadzają ostatnio (listopad-grudzień 1980) gęsi świąteczne nie jak dotychczas z Polski, lecz z Kanady. ■ Pod redakcją Armina Th. Drossa ukazała się praca zbiorowa — *Polen. Freie Gewerkschaften im Kommunismus? (Polska: wolne związki zawodowe w systemie komunistycznym?)*. Książka została wydana przez *Rowohlt Verlag* (Reinbek 1980, str. 170). ■ *Związek Zawodowy Pracowników Szkolnictwa i Nauki*

(GEW) z siedzibą w Essen wyraził solidarność z polskimi związkowcami, którzy „wywalczyli prawo do strajku". *GEW* wezwał jednocześnie centralę *Niemieckich Związków Zawodowych (DGB)* do nawiązania kontaktów z *NSZZ Solidarność*. Apel nie pozostał bez echa; Oskar Vetter, przewodniczący *DGB* upoważnił szwedzkie związki zawodowe do pośredniczenia w udzieleniu polskim związkowcom daleko idącej pomocy materialnej oraz w sprawach organizacyjnych. ■ *Frankfurter Allgemeine Zeitung* opublikowała obszerny artykuł Marcela Reicha-Ranickiego — *Barmherziger Satiriker (Satyryk o dobrym sercu)*, poświęcony twórczości Tadeusza Nowakowskiego z okazji jego 60-lecia urodzin. ■ Hamburski tygodnik *Der Spiegel* kontynuuje druk bogato ilustrowanej serii artykułów, poświęconej współczesnej historii Polski. ■ 39-letni Andrzej Perka sterroryzował załogę *Polskich Linii Lotniczych LOT* na trasie Zielona Góra-Warszawa; podobno strasząc atrapą granatu zmusił pilota do lądowania na amerykańskim lotnisku Tempelhof w Zachodnim Berlinie. Perka osadzony został w areszcie; będzie odpowiadał przed sądem, grozi mu wyrok do 2 lat więzienia. ■ W Brunszwiku odbyło się kolejne posiedzenie prezydiów wspólnej komisji PRL-RFN do spraw rewizji podręczników szkolnych. Omówiono program XIV sesji wspólnej komisji, która obradować ma w Polsce w czerwcu przyszłego roku. Sesja ta poświęcona będzie roli Śląska i Pomorza w stosunkach polsko-niemieckich w okresie od XVI do XVIII wieku. ■ Angela Nacken w glosie zamieszczonej na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* zarzuca władzom, instytucjom i organizacjom zachodnioniemieckim brak rozeznania w sprawach polskich. Np. na niemiecko-polskie konferencje zapraszani są stale ci sami ludzie (Rakowski, Wojna itd.); przed 10 laty został podpisany układ RFN - PRL, odszedł Gomułka i Gierek, ale nie nastąpiły żadne zmiany w polskiej ekipie „niemieckich ekspertów". Angela Nacken domaga się od niemieckich gospodarzy, żeby zapraszano z Polski osoby, które „stoją bliżej społeczeństwa i wyrażają jego autentyczne poglądy i opinie". ■ Hans-Peter Heinrichs, dziennikarz i członek *Komitetu Obrony Niezależnych Związków Zawodowych w Polsce* z siedzibą w Dortmundzie został aresztowany w Szczecinie (po tygodniu zwolniony) i oskarżony o „działalność na szkodę PRL". W Dortmundzie oświadczono, że Heinrichs udał się do Polski z pewną sumą pieniędzy, zebraną przez niemieckich robotników i przeznaczoną na pomoc dla szczecińskiego *NSZZ Solidarność*. ■ W popularnej audycji telewizyjnej *ZDF-Magazin* nadano wywiad przeprowadzony w Madrycie z Barbarą Toruńczyk, z okazji otwartej tam wystawy wschodnioeuropejskich wydawnictw ukazujących się poza zasięgiem cenzury. Barbara Toruńczyk mówiła o polskiej opozycji demokratycznej i niezależnym ruchu wydawniczym. W audycji pokazano ważniejsze pozycje NOW-ej. ■ Po trzyletnim *Berufsverbot* przebywał z krótką wizytą w RFN Andrzej Szczypiorski, znany pisarz *(Msza za miasto Arras)*, obecnie przewodniczący *Komisji d/s Cenzury Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych* (prezes: prof. Klemens Szaniawski). *Rozgłośnia Deutschlandfunk* nadała wywiady ze Szczypiorskim w programie polskim i niemieckim (przejęte później przez agencję *Reutera)*; dziennik *Die Welt* opublikował obszerne wypowiedzi polskiego pisarza na temat przygotowywanej obecnie ustawy o cenzurze. Ponadto tygodnik *Rheinischer Merkur* ogłosił rozmowę ze Szczypiorskim na temat aktualnej sytuacji w Polsce. ■ *PKP* zawiesiły do odwołania kursowanie pociągu osobowego Kraków - Berlin Wschodni, Berlin Wschodni - Kraków. Powodem brak pasażerów. ■ Hans Maier, prezes *Centralnego Komitetu Katolików*, bawarski minister oświaty, oświadczył że jego organizacja nie uznaje ostatecznego charakteru polskiej granicy zachodniej, której przebieg powinien być wynegocjowany przez zjednoczone Niemcy i potwierdzony traktatem pokojowym. ■ 6 grudnia ub. roku w galerii *Krakowianka* w Berlinie Zachodnim otwarta została wystawa gra-

fiki Hildy Fieguth, m.in. cyklu inspirowanego poezją Norwida. Wobec licznie zgromadzonej niemiecko-polskiej publiczności Zbigniew Herbert czytał liryki Norwida, niemieckie zaś tłumaczenia poezji norwidowskiej (tłumacz: Rolf Fieguth) czytała Monika Steiner. Wieczór przygotowała Danuta Zagajewska.

Andrzej J. CHILECKI

Kronika litewska

20 aktywistów z krajów bałtyckich, głównie Litwinów, przekazało za pośrednictwem amerykańskiego korespondenta w Moskwie gratulacje przywódcy strajków w Polsce, Lechowi Wałęsie i wszystkim Polakom z racji zapoczątkowania demokratycznych reform, tak ważnych dla wszystkich krajów socjalistycznych.

◆

Na plenum KC litewskiej partii komunistycznej dn. 26. 8. 1980 drugi sekretarz Dybienko (szara eminencja, Rosjanin) zaatakował litewskie związki zawodowe, zaznaczając, że ulegają administracji i zaniedbują obrony interesów robotników. Tłumaczone to jest jako zabieg poprawienia opinii oficjalnych związków zawodowych, po ich kompromitacji w Polsce.

◆

Mieszkańcy Litwy sowieckiej dowiadywali się o strajkach w Polsce z opóźnieniem i w odpowiednim naświetleniu. Przemilczana była całkowicie rola Kościoła, nie tylko modły i krzyże w zakładach imienia Lenina, ale również przemówienie prymasa nawołującego do powrotu do pracy. Przemilczano brak w Polsce produktów spożywczych, zwłaszcza mięsa.

◆

Fala prześladowań na Litwie nie ustaje. Wymienia się znowu kilkanaście nazwisk nowych ofiar, przeważnie związanych z wydawnictwem prasy podziemnej. Dnia 20. 9. 1980 odbył się w Wilnie sąd nad A. Teleckasem i J. Sasnauskasem; skazano ich na więzienie i zsyłkę. A. Staškevičiusa skierowano do zakładu psychiatrycznego na przymusowe leczenie, jak również V. Karaliunasa. Karaliunas próbował tworzyć wolny związek zawodowy i dwukrotnie usiłował przejść polską granicę.

◆

W litewskim kościele zaszły w ciągu ostatniego dziesięciolecia istotne zmiany. Kler i wierni sterroryzowani za rządów Stalina i Chruszczowa przyjęli postawę zrezygnowaną i bierną. Dopiero wpływ rosyjskich dysydentów i przykład Polski spowodowały, że na Litwie uświadomiono sobie to, co później sprecyzował papież Jan Paweł II: wierni będą mieli tylko tyle praw ile sami sobie wywalczą. Okazało się to słuszne, bo bilans ostatniego

dziesięciolecia przedstawia się następująco: ilość przyjmowanych rocznie kleryków wzrosła czterokrotnie (z 5 na 20 kandydatów). Po 40 latach ukazało się pierwsze wydanie katechizmu. Pomimo oficjalnego zakazu, w większości parafii odbywa się nauczanie dzieci katechizmu, uczniowie biorą udział w procesjach, służą do mszy itp. Rząd poczynił te ustępstwa nie z racji dyplomatycznych zabiegów księży-kolaborantów, lecz dlatego że wierzący lud i kapłanie z narażeniem forsują swe żądania. Na Łotwie, gdzie nie ma takiego oporu, doszło do tego, że do tamtejszego seminarium duchownego, obsługującego cały Związek Sowiecki (prócz Litwy), od trzech lat nie przyjmuje się kandydatów noszących łotewskie nazwiska. Na Litwie wielką pomocą są „rady kapłanów", utworzone zgodnie z zaleceniem Watykanu, gdyż dają one oparcie biskupom, na których jest wywierany największy nacisk władz.

◆

EMIGRACJA. Miesięcznik *Akiračiai* zamieścił obszerny wywiad z redaktorem *Kultury* J. Giedroyciem. Litewska emigracja przygotowała na konferencję w Madrycie memoriał i obszerną dokumentację. Litewski dysydent Šakalys, który niedawno przez Finlandię przedarł się do Ameryki, za sprawą kongresmana Derwińskiego przybył do Madrytu by dać świadectwo prawdzie.

Prasa moskiewska atakuje rząd amerykański z racji utrzymywania stosunków z poselstwami dawnych rządów trzech republik bałtyckich.

E. ŻAGIELL

ROSYJSCY BOJOWNICY O PRAWA CZŁOWIEKA DO POLSKICH ROBOTNIKÓW

Do Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego

Drodzy polscy przyjaciele!

Z przejęciem śledzimy Waszą odważną walkę o obywatelskie i ekonomiczne prawa w Waszym kraju. Wasz upór i spokój, Wasza poczucie solidarności i Wasza zwartość świadczą o sile i pozwalają mieć nadzieję, że walkę Waszą ukoronuje zwycięstwo. Waszym pryncypialnym trzymaniem się bezkrwawych metod stwarzacie jedyną możliwą podstawę dla przyszłego demokratycznego rozwoju Polski.

Wasza walka przywraca honor klasie robotniczej i może być przykładem jedności między robotnikami i inteligencją.

Jesteśmy z Wami, Bracia!

Andriej SACHAROW, Raissa LERT, Larissa BOGORAZ, Iwan KOWALIOW, Anatolij MARCZENKO, Elena BONNER, Feliks SEREBROW, Sonia SOROKINA, Wiktor SOROKIN, Maris PETRENKO-PODIAPOLSKAJA.

30. 8. 1980

Kronika kulturalna

Nagrody "Kultury"

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA „KULTURY" IM. JULIUSZA MIEROSZEWSKIEGO:

WIKTOR SUKIENNICKI

Czytelnicy *Kultury* znają dobrze Wiktora Sukiennickiego, zarówno z jego artykułów, recenzji i krótkich not, jak i z jego dwóch książek wydanych w Bibliotece *Kultury*. Mimo że obie wydane zostały dość dawno — *Kolumbowy błąd* w roku 1959, *Legenda i rzeczywistość* w roku 1967 — cieszą się wciąż dużym zainteresowaniem, zwłaszcza wśród czytelników w kraju. Jako „sowietolog" (żeby użyć tego modnego dziś określenia, choć on sam wolałby zapewne być nazywany badaczem historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu", zgodnie z podtytułem *Kolumbowego błędu)* Sukiennicki łączy wielką erudycję ze świetną znajomością rzeczywistości sowieckiej „od podszewki". Pozwala mu to pisać w sposób, budzący natychmiast zaufanie czytelnika: spokojny, rzeczowy, zawsze doskonale udokumentowany lecz równocześnie czerpiący podskórnie z własnych doświadczeń, z zachowaniem obiektywizmu mimo że miałby sporo powodów by nie trzymać tak rygorystycznie na uwięzi swych uczuć. Nuty bardziej osobiste odzywają się jedynie w *Legendzie i rzeczywistości,* książce o „miłym mieście" Wilnie, o komunistach wileńskich i USB, gdzie w roku 1929 habilitował się rozprawą o *Podstawach obowiązywania Prawa Narodów,* po uzyskaniu na Sorbonie w roku 1926 stopnia doktora praw i nauk politycznych i ekonomicznych na podstawie pracy o zmierzchu epoki państw suwerennych.

Nagroda publicystyczna *Kultury* przyznawana jest naturalnie

za całokształt działalności pisarskiej, ale niech nam wolno będzie wspomnieć przy okazji o działalności odczytowej Sukiennickiego. Od roku 1976, nie zważając na wiek i stan zdrowia, Sukiennicki jeździ z odczytami po ośrodkach polskich w całej Europie zachodniej, stawiając się (jak sam powiada) „wszędzie tam gdzie są chętni do słuchania", traktując tę akcję (też według własnych słów) „jako równoległą do akcji TKN w kraju". Nie można o tym myśleć bez podziwu i wzruszenia.

NAGRODA LITERACKA „KULTURY" IM. ZYGMUNTA HERTZA:

JÓZEF MACKIEWICZ

Powieściopisarz, nowelista, publicysta. Odsuńmy na bok publicystykę, którą eufemistycznie określić można jako popis niepoczytalności przystrajającej się w piórka „czystego i niezłomnego antykomunizmu", ale Mackiewicz wybitny powieściopisarz i nowelista ma na emigracji pozycję dość osobliwą. Z jednej strony plebiscyty wśród czytelników wysuwają go na jedno z pierwszych miejsc w literaturze emigracyjnej. Z drugiej strony nie znajduje go się nigdy na listach laureatów licznych nagród emigracyjnych, a i krytycy literaccy (z rzadkimi wyjątkami, np. Wita Tarnawskiego i śp. Michała Chmielowca) omijali raczej i wciąż omijają jego bogatą twórczość.

Prozaik o wielkim talencie narracyjnym (choć nierówny), wyborny pejzażysta kresowy, znakomity odtwórca atmosfery i ludzi na litewskich i białoruskich ziemiach utraconych po ostatniej wojnie, pisarz w najlepszym tego słowa znaczeniu ludowy, tzn. obdarzony wrażliwym słuchem i wyostrzonym wzrokiem w obliczu „dołów społecznych" (zjawisko niezbyt częste w Polsce oleodrukowych *Chłopów,* nie zawsze fortunnych prób Żeromskiego, dość mizernej literatury chłopsko-robotniczej w dwudziestoleciu niepodległości); a równocześnie kontynuator wygasającej tradycji realizmu kontrowersyjnego, powieści które dzielą czytelników na obozy, pobudzają do zajadłych sporów lub przynajmniej do dyskusji. Wystarczy tu wspomnieć znaczenie takich książek jak *Lewa wolna* i *Nie trzeba głośno mówić.* Osobne miejsce w twórczości Mackiewicza zajmuje *Droga donikąd,* najlepszy być może w naszej literaturze obraz szarzyzny, nudy, degradacji w „podsowieckim" życiu. Pochwała laureata musi też, rzecz jasna, uwzględnić przejmującą *Kontrę* i — poza już wszelką, połowiczną choćby, fikcją literacką — pracę o zbrodni katyńskiej.

Mackiewicz, jak słusznie zauważono, jest mistrzem „małej

formy". Żadna księga zbiorowa o eksterminacji Żydów, o całopaleniu, nie będzie mogła pominąć jego krótkiej relacji *Ponary-Baza*. Żadna antologia noweli polskiej nie obędzie się bez jego pięknego opowiadania *Przyjaciel Flor*.

NAGRODY PRZYJAŹNI I WSPÓŁPRACY

Dla przeciętnego Czytelnika pismo kojarzy się z jego ścisłą redakcją, głównymi nazwiskami pisarzy i publicystów, którzy z nim współpracują. Natomiast mało się wie zazwyczaj, że dla pisma równie istotni są oddani przyjaciele, którzy ofiarnie i bezinteresownie pomagają mu w różny sposób. I nie tylko ich pomoc jest cenna ale również to, że stwarzają niezbędną w każdej pracy atmosferę przyjaźni. Z okazji 400-go numeru *Kultury* chcemy wyróżnić dwóch naszych wiernych przyjaciół: Benedykta Heydenkorna i Norberta Żabę. Ich współpraca i przyjaźń z redaktorem *Kultury* sięga czasów przedwojennych, okresu wydawania *Buntu Młodych* a następnie *Polityki*. Benedykt Heydenkorn był przed wojną ruchliwym członkiem Klubu Sprawozdawców Sejmowych, doskonale zorientowanym w życiu politycznym Polski okresu międzywojennego, Norbert Żaba wcześnie wszedł do służby zagranicznej i pracował na odcinku prasowym w Niemczech i w szeregu krajów skandynawskich, gdzie zastała go wojna.

Z Benedyktem Heydenkornem redaktor *Kultury* spotkał się ponownie w 2-gim Korpusie na Środkowym Wschodzie; nawiązany na nowo kontakt przekształcił się w ścisłą współpracę gdy w roku 1948 B. Heydenkorn osiedlił się w Kanadzie, gdzie wkrótce został redaktorem torontońskiego *Związkowca*, który za jego redaktorstwa stał się jednym z najlepszych pism polonijnych. B. Heydenkorn opracowuje dla *Kultury* Kronikę kanadyjską a jednocześnie zajmuje się problematyką ukraińską, w której to dziedzinie stał się jednym z nielicznych polskich specjalistów, cenionym za znajomość przedmiotu i obiektywizm. Po wyjściu z redakcji *Związkowca* zajął się problematyką etniczną i wielokulturowością Kanady publikując szereg książek z „Pamiętnikami emigrantów" na czele. Trzeba jeszcze dodać, że Benedykt Heydenkorn jest rekordowym recenzentem wydawnictw emigracyjnych i nie było chyba ani jednej książki „Biblioteki *Kultury*", której by nie omówił z wielkim obiektywizmem.

Norbert Żaba po utworzeniu *Kultury* został jej przedstawicielem na Szwecję i kraje skandynawskie i niezależnie od strony informacyjnej z ogromną energią zajął się propagowaniem *Kultury* i wydawnictw Instytutu Literackiego osiągając naprawdę wyjątkowe wyniki. Jednocześnie Norbert Żaba — doskonale wprowadzony w polityczne sfery szwedzkie i skandynawskie — bierze czynny udział w społecznym życiu polonii szwedzkiej oddając m.in. ogromne usługi nowym emigrantom.

Nagrody Kultury *wynoszą F. 5.000,00 każda.*

Dorobek wydawniczy

„O ile ktoś nie jest człowiekiem krzywych ścieżek, kiedy chce poświęcać swe książki prawdziwemu dobru ojczyzny, nie powinien pisać ich na jej łonie".

J. J. Rousseau, „Wyznania".

Znakomita większość czytelników *Kultury* nie bardzo się orientuje w dorobku wydawniczym Instytutu Literackiego. Dlatego podajemy pełny wykaz książek i wydawnictw specjalnych od początku naszej działalności.

KSIĄŻKI WYDANE W LATACH 1946-1952
(wykaz alfabetyczny) (wyczerpane)

BIELATOWICZ Jan: *Brygada Karpacka.*
BIELATOWICZ Jan: *Passeggiata.*
BLUM Leon: *Na miarę człowieka.*
BURNHAM James: *Walka o świat.*
CHAŁASIŃSKI Józef — ULATOWSKI Jan: *Przeszłość i przyszłość inteligencji polskiej.*
CZAPSKI Józef. *Na nieludzkiej ziemi.*
FELSZTYN Tadeusz, dr.: *Energia atomowa.*
GRYZIEWICZ Stanisław: *Środki polityki gospodarczej.*
HORT Weronika: *Tułacze dzieci.*
HOSTOWIEC Paweł: *Il Calvario continua..*
HOSTOWIEC Paweł: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec.*
Informator o Imperium Brytyjskim i krajach Ameryki Płn. i Płd.
JANTA (POŁCZYŃSKI) Aleksander: *Wracam z Polski 1948.*
KADEN-BANDROWSKI Juliusz: *La citta di mia madre.*
KADEN-BANDROWSKI Juliusz: *Miasto mojej matki.*

KOESTLER Arthur: *Krucjata bez krzyża.*
KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii powojennych Niemiec (1945-1953).*
KUKIEL Marian: *Książę Adam* (Czartoryski).
KUSZELEWSKA Stanisława: *Kobiety.*
MICIŃSKI Bolesław: *Portret Kanta i trzy essaye o wojnie.*
MICKIEWICZ Adam: *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego.* — (Pierwsza książka wydana przez Instytut Literacki).
MIRZWIŃSKI Henryk: *Etiudy.*
PIASECKI Sergiusz: *Jabłuszko.*
PIASECKI Sergiusz: *Nikt nie da nam zbawienia...*
PIASECKI Sergiusz: *Spojrzę ja w okno...*
PISKOR Aleksander: *Siedem ekscelencji i jedna dama.*
REYMONT Władysław St.: *Rok 1794 — trylogia (Ostatni Sejm Rzeczpospolitej, Nil desperandum, Insurekcja).*
SIENKIEWICZ Henryk: *Legiony.*
SIEROSZEWSKI Wacław: *Beniowski.*
STRUG Andrzej: *Dzieje jednego pocisku.*
STRUG Andrzej: *Mogiła nieznanego żołnierza.*
SZPOTAŃSKI Stanisław: *Prometeusze.*
WAŃKOWICZ Melchior: *Klub trzeciego miejsca.*
W oczach pisarzy. Antologia noweli wojennej (1939-1945).

BIBLIOTEKA „KULTURY"

(Wykaz chronologiczny)

Pozycje wyczerpane oznaczone są literą (w)

1. GOMBROWICZ Witold: *Trans-Atlantyk i Ślub.* (w)
2. ORWELL George: *1984.* (w)
3. MIŁOSZ Czesław: *Zniewolony umysł.* (w)
4. BURNHAM James: *Bierny opór czy wyzwolenie?* (w)
5. MIŁOSZ Czesław: *Światło dzienne* (Poezje). (w)
6. STRASZEWICZ Czesław: *Turyści z bocianich gniazd.* (w)
7. KORBOŃSKI Stefan: *W imieniu Rzeczpospolitej.* (w)
8. ŁOBODOWSKI Józef: *Złota hramota.*
9. MIŁOSZ Czesław: *Zdobycie władzy.* (w)
10. MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy.* (w)
11. PANKOWSKI Marian: *Smagła swoboda.*
12. PARNICKI Teodor: *Koniec „Zgody narodów"* (2 tomy). (w)
13. KORBOŃSKI Stefan: *W imieniu Kremla...* (w)
14. ARON Raymond: *Koniec wieku ideologii.* (w)
15. GREENE Graham: *Moc i chwała.* (w)
16. LIPSKI Leon: *Dzień i noc* (Opowiadania). (w)
17. CHCIUK Andrzej: *Smutny uśmiech* (Opowiadania). (w)
18. HERSCH Jeanne: *Polityka i rzeczywistość.* (w)
19. MIŁOSZ Czesław: *Traktat poetycki.* (w)
20. MACKIEWICZ Józef: *Kontra.*
21. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (1953-1956).* (w)
22. BOBKOWSKI Andrzej: *Szkice piórkiem* (Francja 1940-1944), (2 tomy). (w)
23. ZAREMBA Paweł: *Historia Stanów Zjednoczonych.* (w)
24. HERTZ Aleksander: *Amerykańskie stronnictwa polityczne* (Mechanizm demokracji).
25. BELL Daniel: *Praca i jej gorycze* (Kult wydajności w Ameryce). (w)
26. WINCZAKIEWICZ Jan: *Izrael w poezji polskiej* (Antologia).
27. DŻILAS Milovan: *Nowa klasa wyzyskiwaczy.* (w)

28. HŁASKO Marek: *Cmentarze. Następny do raju.* (w)
29. MIŁOSZ Czesław: *Kontynenty.* (w)
30. KOWALIK Jan: *Polska w bibliografii niemieckiej 1954-1956.* (w)
31. REMBEK Stanisław: *W polu.*
32. FAST Howard: *Król jest nagi.* (w)
33. WEIL Simone: *Wybór pism.*
34. CAMUS Albert: *Człowiek zbuntowany.* (w)
35. BURNHAM James: *Rewolucja manadżerska.*
36. KATELBACH Tadeusz: *Rok złych wróżb* (1943).
37. ŁAWRYNENKO Jurij: *Rozstriliane widrodżennia (Antologia).* (w)
38. ŁOBODOWSKI Józef: *Pieśń o Ukrainie* z tłumaczeniem na ukraiński Sw. Hordyńskiego. (w)
39. NOWAKOWSKI Tadeusz: *Syn zadżumionych.* (w)
40. *Program Związku Komunistów Jugosławii* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 5-ty). (w)
41. (Opracował MIŁOSZ Czesław): *Kultura Masowa* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 6-ty). (w)
42. HŁASKO Marek: *Hrbitowy.* (w)
43. KOWALIK Jan: *„Kultura" 1947-1957.* Bibliografia „Kultury".
44. PASTERNAK Borys: *Doktor Żiwago* (trzy wydania). (w)
45. LEDNICKI Wacław: *Glossy Krasińskiego do apologetyki rosyjskiej* (w)
46. TERC Abram: *Sąd idzie. Co to jest realizm socjalistyczny?* (w)
47. DÉRY Tibor: *Niki.* (w)
48. SUKIENNICKI Wiktor: *Kolumbowy Błąd* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 7-my). (w)
49. IWANIUK Wacław: *Milczenia 1949-1959* (Poezje). (w)
50. MIŁOSZ Czesław: *Rodzinna Europa.* (w)
51. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Skrzydła ołtarza.*
52. GUILLEY-CHMIELOWSKA Halszka: *Spotkania na galerii.*
53. CZAPSKI Józef: *O k o.*
54. GOMBROWICZ Witold: *Pornografia.* (w)
55. LIPSKI Leo: *Piotruś.*
56. HUXLEY Aldous: *Nowy wspaniały świat poprawiony.*
57. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Tkanka ziemi.* (w)
58. KOT Stanisław: *Jerzy Niemirycz — inicjator Ugody Hadziackiej.* (w)
59. (Opracował MIŁOSZ Czesław): *Węgry* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 8-my). (w)
60. SWINARSKI Artur Marya: *Sasza i bogowie.* (w)
61. CHCIUK Andrzej: *Rejs do Smithton — Stary ocean.* (w)
62. CIOŁKOSZ Adam: *Róża Luksemburg a Rewolucja Rosyjska.* Róża Luksemburg: *Rewolucja Rosyjska* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 9-ty). (w)
63. CZAYKOWSKI Bogdan i SULIK Bolesław: *Polacy w Wielkiej Brytanii.*
64. MOSTWIN Danuta: *Ameryko! Ameryko!*
65. HOSTOWIEC Paweł: *Eseje dla Kassandry.*
66. HERTZ Aleksander: *Żydzi w kulturze polskiej.* (w)
67. STAWAR Andrzej: *Pisma ostatnie* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 10-ty). (w)
68. TERC Abram: *Opowieści fantastyczne.* (w)
69. IWANOW I.: *Czy istnieje życie na Marsie?*
70. TERC Abram: *Fantasticzeskije powiesti.* (w)
71. IWANOW I.: *Jest' li żiźń na Marsie?*
72. ZAREMBA Paweł: *Historia Polski. Cz. I.* (w)
73. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy).
74. CZERNIAWSKI Adam: *Topografia wnętrza* (Poezje). (w)
75. BRONIEWSKI Władysław: *Wiersze.* (w)

76. CZAPSKI Józef: *Na nieludzkiej ziemi.* (w)
77. MIŁOSZ Czesław: *Człowiek wśród skorpionów.*
78. SINGER Bernard: *Od Witosa do Sławka.*
79. MIŁOSZ Czesław: *Król Popiel i inne wiersze.* (w)
80. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi). (w)
81. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik. Tom II (1957-1961).* (w)
82. DŻILAS Milovan: *Rozmowy ze Stalinem.* (w)
83. MOND Jerzy: *6 lat temu...* (Kulisy Polskiego Października) (Seria „Dokumenty", Zeszyt 11-ty). (w)
84. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 3-ci). (w)
85. WITTLIN Józef: *Orfeusz w piekle XX wieku.*
86. HAUPT Zygmunt: *Pierścień z papieru.*
87. HŁASKO Marek: *Opowiadania.* (w)
88. CZAPSKA Maria: *Polacy w ZSSR* (1939-1942) Antologia. (w)
89. JEDLICKI Witold: *Klub Krzywego Koła* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 12-ty).
90. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 4-ty). (w)
91. TERC Abram: *Lubimow.* (w)
92. *We własnych oczach.* Antologia współczesnej literatury sowieckiej.
93. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Drugie przyjście* oraz inne opowiadania i szkice.
94. KOWALIK Jan: *Materiały do historii prasy polskiej na obczyźnie 1939-1962.*
95. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 5-ty). (w)
96. HŁASKO Marek: *Brudne czyny. Wszyscy byli odwróceni.* (w)
97. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Kufer na plecach* (Poezje). (w)
98. CZAYKOWSKI Bogdan: *Spór z granicami* (Poezje). (w)
99. WITOS Wincenty: *Moje Wspomnienia.* (Trzy tomy).
100. KRYWICKI Walter G.: *Byłem agentem Stalina* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
101. BIELATOWICZ Jan: *Gaude Mater Polonia.* (w)
102. MACKIEWICZ Stanisław: *Polityka Becka.* (w)
103. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 6-ty). (w)
104. SILONE Ignazio: *Wybór towarzyszy* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
105. SUKIENNICKI Wiktor: *Biała Księga* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 13-ty). (w)
106. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Ewolucjonizm.* (w)
107. TERC Abram: *Myśli niespodziewane.* (w)
108. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 7-my). (w)
109. IWANIUK Wacław: *Wybór wierszy.*
110. PAWLIKOWSKI Michał K.: *Wojna i sezon.*
111. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Inny świat.*
112. GOMBROWICZ Witold: *Kosmos.* (Wyd. I). (w)
113. LEWICKYJ Borys: *Terror i rewolucja* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
114. VINCENZ Stanisław: *Po stronie pamięci.*
115. MOSTWIN Danuta: *Olivia.*
116. MIŁOSZ Czesław: *Gucio zaczarowany* (Poezje). (w)
117. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 8-my).
118. PIETRKIEWICZ Jerzy: *Poematy londyńskie i wiersze przedwojenne.*
119. GRZĘDZIŃSKI January: *Maj 1926* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 14-ty). (w)
120. ARŻAK Mikołaj: *Odkupienie i inne opowiadania.*
121. KOESTLER Arthur: *Fragmenty wspomnień* (Seria „Archiwu Rewolucji").

122. GARDER Michel: *Agonia reżymu w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
123. GUZY Piotr: *Krótki żywot bohatera pozytywnego.* (w)
124. *Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 15-ty). (w)
125. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 9-ty).
126. TOPORSKA Barbara: *Siostry.*
127. *Sąd idzie! Stenogram z procesu A. Siniawskiego i J. Daniela* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 16-ty). (w)
128. HŁASKO Marek: *Piękni, dwudziestoletni.* (w)
129. LEWYĆKYJ Borys: *Polityka narodowościowa w ZSSR* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
130. MIHAJLOV Mihajlo: *Tematy rosyjskie* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
131. FLEMMING, George J.: *Polska mało znana.* (w)
132. KUROŃ J. i MODZELEWSKI K.: *List otwarty* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 17-ty). (w)
133. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 10-ty).
134. LEDNICKI Wacław: *Rosyjsko-polska entente cordiale 1903-1905.*
135. CZERNIAWSKI Adam: *Sen — Cytadela — Gaj* (Poezje). (w)
136. *Schizmy* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 18-ty). (w)
137. FLEMMING George J.: *Czy to się je?* (w)
138. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik III. Operetka.* (w)
139. HERTZ Aleksander: *Refleksje amerykańskie.*
140. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 11-ty). (w)
141. SCHERER Olga: *W czas morowy.*
142. ZAWADZKA-WETZ Alicja: *Refleksje pewnego życia* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 19-ty).
143. MIĄZEK Bonifacy: *Ziemia otwarta* (Poezje). (w)
144. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Polityczne neurozy.* (w)
146. HERTZ Aleksander: *Szkice o ideologiach.*
147. SUKIENNICKI Wiktor: *Legenda i rzeczywistość* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 20-ty).
148. STALIŃSKI Tomasz: *Widziane z góry.* (w)
149. SIERIEBRIAKOWA Galina: *Huragan* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
150. ALLILUJEWA Swietlana: *Dwadzieścia listów do przyjaciela* (Seria „Archiwum Rewolucji").
151. WEISSBERG-CYBULSKI Aleksander: *Wielka Czystka* (Seria „Archiwum Rewolucji"). (w)
152. TYRMAND Leopold: *Życie towarzyskie i uczuciowe.* (w)
153. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 13-ty). (w)
154. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Czarny Polonez* (Poezje). (w)
155. DOBEK Czesław: *Drugi rzut i inne opowiadania.*
156. IWANIUK Wacław: *Ciemny czas* (Poezje).
157. MITKIEWICZ Leon: *Z generałem Sikorskim na obczyźnie* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 21-szy). (w)
158. IWAŃSKA Alicja: *Świat przetłumaczony.*
159. GUZY Piotr: *Stan wyjątkowy.*
160. KULSKI Julian: *Stefan Starzyński w mojej pamięci* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 22-gi). (w)
161. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 14-ty).
162. SACHAROW Andriej: *Rozmyślania* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 23-ci). (w)
163. ANDRZEJEWSKI Jerzy: *Apelacja.* (w)

164. REALE Eugenio: *Raporty. Polska 1945-1946* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 24-ty).
165. WYGODZKI Stanisław: *Zatrzymany do wyjaśnienia.*
166. GRYNBERG Henryk: *Zwycięstwo.*
167. *Wydarzenia marcowe 1968* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 25-ty). (w)
168. DE ROUX Dominique: *Rozmowy z Gombrowiczem.*
169. KOSZELIWEĆ Iwan: *Ukraina 1956-1968* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 26-ty).
170. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 15-ty). (w)
171. WIERZYŃSKI Kazimierz: *Sen mara* (Poezje).
172. *Polskie Przedwiośnie.* Dokumentów marcowych T. II — Czechosłowacja (Seria „Dokumenty", Zeszyt 27-my). (w)
173. MACKIEWICZ Józef: *Nie trzeba głośno mówić* (Powieść). (w)
174. BUSZA Andrzej: *Znaki wodne* (Poezje).
175. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Upiory rewolucji* (Eseje).
176. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 16-ty).
177. MIŁOSZ Czesław: *Widzenia nad zatoką San Francisco.* (w)
178. MIŁOSZ Czesław: *Miasto bez imienia* (Poezje). (w)
179. PREISS Paulina: *Biurokracja totalna.* (w)
180. *Komunizm z ludzką twarzą* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 28-my). (w)
181. GOMBROWICZ Witold: *Ferdydurke* (T. I. „Dzieł Zebranych"). (w)
182. KALINOWSKI Franciszek: *Lotnictwo Polskie w Wielkiej Brytanii* (1940-1945).
183. BIEŃKOWSKI Władysław: *Motory i hamulce socjalizmu* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 29-ty). (w)
184. *Znasz-li ten kraj?* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 30-ty).
185. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 17-ty).
186. GOMBROWICZ Witold: *Trans-Atlantyk* (Tom II. „Dzieł Zebranych"). (w)
187. SOŁŻENICYN Aleksander: *Krąg pierwszy* (Dwa tomy). (w)
188. MROŻEK Sławomir: *Dwa listy i inne opowiadania.* (w)
189. GOMBROWICZ Witold: *Pornografia* (T. III. „Dzieł Zebranych"). (w)
190. AMALRIK Andriej: *Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984?* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 31-szy). (w)
191. GOMBROWICZ Witold: *Kosmos* (T. IV. „Dzieł Zebranych"). (w)
192. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 18-ty).
193. BIEŃKOWSKI Władysław: *Kryzys rolnictwa czy kryzys polityki rolnej?* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 32-gi). (w)
194. BOBKOWSKI Andrzej: *Coco de Oro.* Szkice i opowiadania.
195. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Modele i praktyka.*
196. NOWAKOWSKI Tadeusz: *Happy-End.*
197. *Głosy stamtąd* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 33-ci). (w)
198. BURBA-KOCHAŃSKI O. N.: *List do emigranta* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 34-ty). (w)
199. STALIŃSKI Tomasz: *Cienie w pieczarze.* (w)
200. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 19-ty).
201. CZAYKOWSKI Bogdan: *Point-no-point* (Poezje).
202. *Poznań 1956 - Grudzień 1970* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 35-ty). (w)
203. SOŁŻENICYN Aleksander: *Oddział chorych na raka.* (w)
204. GOMBROWICZ Witold: *Teatr* (T. V. „Dzieł Zebranych"). (w)
205. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (I) 1953-1956* (T. VI. „Dzieł Zebranych").
206. BIEŃKOWSKI Władysław: *Drogi wyjścia* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 36-ty).
207. BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Pieśń suchego języka* (Poezje).

208. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 20-ty). (w)
209. BIEŃKOWSKI Władysław: *Socjologia klęski* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 37-my). (w)
210. STEMPOWSKI Jerzy (HOSTOWIEC Paweł): *Od Berdyczowa do Rzymu.*
211. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (II) 1957-1961* (T. VII. „Dzieł Zebranych").
212. SZPOTAŃSKI Janusz: *Satyra podziemna.* (w)
213. GOMBROWICZ Witold: *Dziennik (III) 1961-1966* (T. VIII. „Dzieł Zebranych").
214. (Opracowała WACOWSKA Ewa): *Rewolta szczecińska i jej znaczenie* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 38-my). (w)
215. MIŁOSZ Czesław: *Prywatne obowiązki.* (w)
216. MOSTWIN Danuta: *Ja za wodą, ty za wodą...*
217. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 21-szy).
218. GOMBROWICZ Witold: *Opowiadania* (T. IX. „Dzieł Zebranych").
219. CHCIUK Andrzej: *Wizyta w Izraelu.*
220. *Sąd orzekł...* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 39-ty). (w)
221. STALIŃSKI Tomasz: *Romans zimowy.* (w)
222. SOŁŻENICYN Aleksander: *Krąg pierwszy* (Dwa tomy). (Wydanie 2-gie). (w)
223. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 22-gi).
224. KOŁAKOWSKI Leszek: *Obecność mitu.* (w)
225. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 23-ci).
226. KRZYŻANOWSKI Adam: *Dzieje Polski.* (w)
227. ORŁOŚ Kazimierz: *Cudowna melina.*
228. SOŁŻENICYN Aleksander: *Oddział chorych na raka.* (Wyd. 2-gie). (w)
229. *Wymiar sprawiedliwości w PRL* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 40-ty). (w)
230. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 24-ty).
231. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą.* (w)
232. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 25-ty).
233. ŻELEŃSKI Władysław: *Zabójstwo ministra Pierackiego.* (w)
234. HIRSZOWICZ Maria: *Komunistyczny Lewiatan.* (w)
235. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 26-ty).
236. *Przeciw niewolnictwu. Głos wolnej Rosji.* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 41-szy).
237. HŁASKO Marek: *Cmentarze. Następny do raju.* (Wyd. 2-gie). (w)
238. HŁASKO Marek: *Opowiadania* (Wyd. 2-gie). (w)
239. GOMBROWICZ Witold. *Varia* (T. X. „Dzieł Zebranych").
240. ODOJEWSKI Włodzimierz: *Zasypie wszystko, zawieje...*
241. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 27-my).
242. MADEJ Bogdan: *Piękne kalalie albo dojrzewanie miłości.*
243. STALIŃSKI Tomasz: *Śledztwo.*
244. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 28-my).
245. MIŁOSZ Czesław: *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada.* (w)
246. *Powszechna Deklaracja Praw Człowieka* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 42-gi).
247. SOŁŻENICYN Aleksander: *Archipelag GUŁag,* tom I. (w)
248. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 29-ty).
249. BIEREZIN Jacek: *Wam* (Poezje).
250. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 30-ty).

251. HELLER Michał: *Świat obozów koncentracyjnych a literatura sowiecka.* (w)
252. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 31-szy).
253. KORBOŃSKI Stefan: *Polskie Państwo Podziemne.* (w)
254. TARNIEWSKI Marek: *Ewolucja czy rewolucja.* (w)
255. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 32-gi).
256. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 33-ci).
257. DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Bibliografia (Kultura* 1958-1973; *Zeszyty Historyczne* 1962-1973; działalność wydawnicza 1959-1973).
258. SOŁŻENICYN Aleksnader: *Archipelag GUŁag,* tom II.
259. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 34-ty).
260. SACHAROW Andriej: *Mój kraj i świat.* (w)
261. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 35-ty).
262. KOŁAKOWSKI Leszek: *Główne nurty marksizmu,* tom I. (w)
263. STALIŃSKI Tomasz: *Ludzie w akwarium.*
264. SUŁKOWSKI Witold: *Szkoła zdobywców.*
265. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 36-ty).
266. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 37-my).
267. SWIANIEWICZ Stanisław: *W cieniu Katynia* (trzy wydania). (w)
268. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 38-my).
269. MIEROSZEWSKI Juliusz: *Materiały do refleksji i zadumy.*
270. SOLSKI Wacław: *Moje wspomnienia.*
271. MADEJ Bogdan: *Maść na szczury* (Seria „Bez cenzury").
272. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 39-ty).
273. STEINSBERGOWA Aniela: *Widziane z ławy obrończej.* (w)
274. TARNIEWSKI Marek: *Krótkie spięcie (Marzec 1968)* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 43-ci). (w)
275. BARAŃCZAK Stanisław: *Ja wiem, że to niesłuszne* (Seria „Bez cenzury"). (w)
276. *Ruch oporu. Polska: Czerwiec 1976; Czechosłowacja: Karta 77* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 44-ty).
277. MICHNIK Adam: *Kościół, lewica, dialog* (Seria „Bez cenzury"). (w)
278. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 40-ty). (w)
279. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 41-szy). (w)
280. MIŁOSZ Czesław: *Ziemia Ulro* (w)
281. WOROSZYLSKI Wiktor: *Literatura.*
282. KOŁAKOWSKI Leszek: *Główne nurty marksizmu,* tom II.
283. GOMBROWICZ Witold: *Wspomnienia polskie. Wędrówki po Argentynie* (T. XI. „Dzieł Zebranych").
284. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 42-gi).
285. BRANDYS Kazimierz: *Nierzeczywistość* (Seria „Bez cenzury"). (w)
286. GNOMACKI Władysław: *Towarzysz Szmaciak.*
287. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 43-ci).
288. SOŁŻENICYN Aleksander: *Archipelag GUŁag,* tom III.
289. DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Szkice o literaturze emigracyjnej*
290. CZAPSKA Maria: *Czas odmieniony.*
291. BIEŃKOWSKI Władysław: *Socjalizm po 60 latach.* (w)
292. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 44-ty).
293. KRYNICKI Ryszard: *Nasze życie rośnie* (Wiersze). (Seria „Bez cenzury").
294. *PPN — Polskie Porozumienie Niepodległościowe* (Seria „Bez cenzury").

295. KURON Jacek: *Zasady ideowe* (Seria „Bez cenzury"). (w)
296. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 45-ty).
297. WOŁOSZYNOWSKI Julian: *Było tak.*
298. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 46-ty). (w)
299. KOŁAKOWSKI Leszek: *Główne nurty marksizmu,* tom III.
300. DANILEWICZ ZIELIŃSKA Maria: *Wspomnienia o Bibliotece Narodowej w Warszawie.*
301. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 47-my). (w)
302. BARTECKI Jerzy: *Gospodarka na manowcach.*
303. BARAŃCZAK Stanisław: *Etyka i poetyka* (Seria „Bez cenzury").
304. KRZYŻANOWSKI Bronisław: *Wileński matecznik.*
305. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 48-my).
306. MIŁOSZ Czesław: *Ogród nauk.*
307. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 49-ty). (w)
308. ORWELL George: *1 9 8 4.*
309. MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy.* (w)
310. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 50-ty; gen. Stachiewicz — *Pisma,* t. II).
311. TARNIEWSKI Marek: *Porcja wolności* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 45-ty).
312. ORŁOŚ Kazimierz: *Trzecie kłamstwo.*
313. *Raport o stanie narodu i PRL* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 46-ty).
314. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 51-szy).
315. *G Ł O S* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 47-my).
316. REKULSKI Antoni T.: *Czy drugi Katyń?*
317. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 52-gi).
318. HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Dziennik pisany nocą (1973-1979).*
319. *Jak z tego wyjść?* (Seria „Dokumenty", Zeszyt 48-my).
320. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 53-ci).
321. KOWALSKA Janina: *Pogranicze.*
322. ROMANOWICZOWA Zofia: *Skrytki.*
323. *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 54-ty).
324. GRYNBERG Henryk: *Życie codzienne i artystyczne.*
325. MIŁOSZ Czesław: *Zniewolony umysł* („Dzieła zbiorowe", tom III).
326. MIŁOSZ Czesław: *Zdobycie władzy* („Dzieła zbiorowe", tom IV).
327. MIŁOSZ Czesław: *Rodzinna Europa* („Dzieła zbiorowe", tom VI).
328. MIŁOSZ Czesław: *Prywatne obowiązki* („Dzieła zbiorowe", tom VII).
329. MIŁOSZ Czesław: *Ziemia Ulro* („Dzieła zbiorowe", tom VIII).
330. MIŁOSZ Czesław: *Dolina Issy* („Dzieła zbiorowe", tom V).
331. MIŁOSZ Czesław: *Widzenia nad zatoką San Francisco* („Dzieła zbiorowe", tom IX).

NUMERY SPECJALNE „KULTURY"

w języku polskim

(wyczerpane)

1. *Numer Krajowy,* 1952: Instytucje polityczne. — Wymiar sprawiedliwości. — Rodzina. — Szkolnictwo i nauka. — Ruch wydawniczy. — Życie gospodarcze i zawodowe. (Str. 404). (w)
2. *Numer Krajowy,* 1952: Nowa konstytucja. — Partia i stronnictwa. — Armia. — Reglamentacja twórczości artystycznej. — Państwowy i prywatny przemysł i handel. — Rzemiosło. (Str. 240).
3. *Numer Krajowy,* 1952: Nowe wytyczne filozofii. — Teoria i historia

literatury. — Nauki społeczno-ekonomiczne. — Biologia. — Literatura piękna. (Str. 400).

4. *Numer Krajowy*, 1953: Energetyka i surowce. — Rolnictwo. — Hutnictwo. — Przemysły: chemiczny, elektroniczny, włókienniczy, metalowo-przetwórczy. — Transport. — Handel zagraniczny. (Str. 400).

5. *Numer Krajowy*, 1953: Położenie Kościoła w Polsce. — Organizacja młodzieży. — Podręczniki szkolne dla dzieci i młodzieży. (Str. 160).

Kultura nr 253, 1968. — Zeszyt specjalny, poświęcony wydarzeniom w Czechosłowacji.

w języku rosyjskim
poświęcone stosunkom polsko-rosyjskim

Kultura nr 1, 1960 (str. 160). (w)
Kultura nr 2, 1971 (str. 240). (w)

w językach czeskim i słowackim

Kultura, 1969. — Numer specjalny, wydany w związku z okupacją Czechosłowacji przez wojska Paktu Warszawskiego. (w)

KRYTYKA 4

KWARTALNIK POLITYCZNY
wydawany poza cenzurą w Polsce

E. LIPIŃSKI: *O niepodległość Polski.*
Z DZIEJÓW NAJNOWSZYCH POLSKIEGO SOCJALIZMU: T. Aleksandrowicz — A. Ciołkosz — J. Hochweld — W. Pański — Z. Żuławski; Stanowisko redakcji (J. Kuroń — S. Starczewski).
S. BARAŃCZAK: *Mąż opatrznościowy;* A. BONIECKI: *Być księdzem w Polsce;* H. BUCZYŃSKA: *O upadku filozofii;* V. HAVEL: *Mój areszt domowy;* A. MICHNIK: *Uwięzienie V. Havela.*
S. KISIELEWSKI: *Wspomnienia polityczne.*
NAD KSIĄŻKAMI — POLEMIKI — LISTY.

Nr 4 — str. 200 — cena £ 2, US $ 5.

Dostępne są poprzednie numery w cenie:
Nr 1-2 (podwójny) — £ 4, US $ 10. *Nr 3* — £ 2, US $ 5.

ZAMÓWIENIA wraz z wpłatą (czeki proszę wystawiać na *ANEKS)* należy przesyłać na adres:

ANEKS
61 DORSET RD., LONDON W5 4HX, ENGLAND.

Wołanie na puszczy

Sztokholm, 15 grudnia 1980.

Strachy wschodnie na Zachodzie

Ni stąd ni zowąd siedzę w Sztokholmie, po długim znów czasie nieobecności na Zachodzie — zasługa to Czesława Miłosza, który zaprosił nas wyklętych (Woźniakowski, Barańczak, Chojecki — cóż to za towarzystwo!) na wręczenie nagrody Nobla. Wręczenie uroczyste, mowa Czesława bardzo piękna, wielu dawno niewidzianych przyjaciół szczerzy zęby — a tu ja trzęsę się ze strachu. Dygoczę, zęby mi szczękają, najgorsze myśli przychodzą do głowy — wszystko przy czytaniu tutejszej prasy, słuchaniu radia, oglądaniu telewizji. Straszą inwazją sowiecką na Polskę, opisują najbardziej szczegółowo, ile to setek tysięcy Ruskich stoi na naszych granicach, jak się odgraża Honecker i Husak, jak dygoce ze strachu cały zachodni świat polityczny. Dziennikarze prześcigają się w pomysłach, *der Spiegel* dał na okładce podobiznę czerwonego czołgu, tratującego białego orła: masochiści, prowokatorzy, powariowali ! Zaiste, w tej powodzi jęku i krzyku Warszawa, Gdańsk czy Kraków wydają się oazami spokoju! A przecież to po nas właśnie przejechać mają owe czołgi, nie po owych Zachodniakach, grzęznących tu w dosycie jarzących się świąteczną, choinkową galą ulic i magazynów. Podobno Szwedzi zarządzili już jakieś wojenne wręcz pogotowie, przygotowują też statki do przewożenia polskich uchodźców (?!), odkurzają skalne schrony atomowe! Cała zachodnia Europa, ta, która zarozumiale lubi nazywać się po prostu Europą, bez przymiotnika — dla nich historia zaczyna się od nich i dzisiaj — trzęsie się ze strachu i podniecenia, w końcu i mnie się to udzieliło, choć w Warszawie żyło się tak spokojnie, wśród gorących i serdecznych emocji Odnowy. Polska odzyskała język i tożsamość, prawda znów stała się prawdą a kłamstwo napiętnowano, Polacy mimo kłopotów z napełnianiem brzucha żyją w euforii, jak w pięknym śnie, a tutaj taka trwoga, że po tygodniu już i mnie się udzieliła, wciąż tylko marzę o powrocie do Warszawy. Ki diabeł, jakaż tych dziwów przyczyna?!

Dwa światy rozeszły się drogami już dawno, my za łaskawym Jałtańskim zrządzeniem żyjemy sobie wszakże z Ruskimi i ich ustrojem pełne 35 lat, przywykliśmy, oswoiliśmy się, a ci tutaj najwyraźniej o wszystkim zapomnieli, o naszym wieloletnim przymusowym pobycie w wariackiej alienacji również. Syty głodnego nie rozumie, oni odpisali sobie nas na straty (zresztą już od Kongresu Wiedeńskiego los Europy wschodniej przesądzono negatywnie, aby uzyskać te marne sto lat spokoju), po drugiej wojnie znów zostaliśmy się za koziołki ofiarne, spętane bezwolnie i umieszczone na stosie Porozumienia z Wielkim, Białym Niedźwiedziem, a tu nagle jeden z koziołków wyrwał się i bryka! Oczywiście będzie schwytany i krwawo ukarany, co do tego nikt tutaj nie ma wątpliwości, znowu rzecz zaksięgowali i zaklepali, wręcz doczekać się nie mogą owej „interwencji", choć jeszcze przedwczoraj zachwycali się błogością *détente*, nie zakłóconą nawet przez daleką sprawę dalekiego Afganistanu. A tu masz diable kaftan! Przy okazji pan Schlesinger i pan Luns pospieszyli się z idiotycznymi zapewnieniami, że cokolwiek się stanie, Zachód się nie ruszy. Kiedyś prezydent Carter pośpieszył się z oświadczeniem, że jeśli po śmierci Tito Rosjanie coś tam zechcą zrobić w Jugosławii, to Ameryka ani mrugnie. Zwariowali ci ludzie, zaiste — czyż oni nie znają elementarnych zasad psychologii, czyż nigdy nie grali w pokera — grę polegającą na odstraszaniu?! Zaiste, warto by założyć w Warszawie niewielką szkółkę polityczną dla zachodnich ministrów i prezydentów, aby nie musieli uczyć się Wschodu z filmów James Bonda. Wszak to my właśnie, w Warszawie, Krakowie, Gdańsku jesteśmy najprawdziwszymi ekspertami od komunizmu, Wschodu, Rosjan. Znamy bluffy i prawdziwe niebezpieczeństwa, kompleksy i myślowe zrosty, cały klimat, bez którego nie sposób określać i przewidywać polityki rosyjskiej. Wiemy też to, czego nie wiemy, co jest irracjonalizmem i rzeczywiście przepastną groźbą. Wiemy, ale nikt nas nie pyta, chcemy mówić — nikt nas nie słucha. Ano cóż — radźcie sobie sami. Zaś niepohamowana w proroctwach i histerii zachodnia prasa nie wie wcale, że nieświadomie uczestniczy w politycznej reakcji, że niebacznie sprowokować może lawinę. Nowoczesny fizyk obserwując kwantowe przemieszczanie się cząsteczek materii przez samo swe obserwowanie wpływa już na odmienny przebieg procesu. Ale on o tym wie, natomiast zachodni dziennikarz nie wie, że jest uważnie ze Wschodu obserwowany i że jego alarmy nie przechodzą bez echa. Kto się boi, ten skapituluje, wniosek prosty i jasny: dobrze wiedział o tym Hitler, obserwujący pilnie francuską prasę przed atakiem 1940. Dobrze chociaż, że wybrano Reagana: ten przynajmniej nie jest jeszcze rozszyfrowany i nikt nie wie, jak i czego się boi.

Tak więc trzęsę się w tym Sztokholmie z zachodniego strachu, pocieszając się jednak wspomnieniem francuskiego filmu „Przed potopem", który widziałem w Krakowie kiedyś w roku 1950. Publiczność polska zarykiwała się na tym filmie ze śmiechu, patrząc jak paryska młodzież wije się ze strachu przed atomową

zagładą. Czyżby Polacy byli bezmyślnymi lekkoduchami i nihilistami? Nie — po prostu wierzą w swoje doświadczenia, wierzą w Opatrzność i mają ideały. Barani spokój i dyktatura nudy były ich udziałem dostatecznie długo, teraz już więcej nudzić się nie chcą — żyje się wszakże raz. A poza tym komunizm, zwłaszcza ten z epoki Gierka, cokolwiek by się o nim powiedziało, dokonał jednego: rozbudził apetyty i aspiracje cywilizacyjne, a za nimi przyszedł apetyt polityczny. Rozbudzona politycznie polska młodzież już nie uśnie — trudno i darmo.

Wszyscy jednak wierzą, że wyjście się znajdzie — mianowicie wyjście polityczne. Jakie? Ano właśnie takie, jakie głoszę od szeregu lat. Przekonać Sąsiada czyli Wielkiego Brata, że dążąc do reform, do demokratyzacji i samorządności, do nowego modelu, nie dążymy do ZMIANY SYTUACJI GEOPOLITYCZNEJ. Geopolitykę uważamy dziś za niezmienną, choć chcemy wewnętrznej samodzielności i duchowej odrębności — oto aksjomat, który teraz nawet Socjusze uznają, a chyba też redaktor Giedroyc rozumie — widziałem to po jego oczach w Sztokholmie — łaskawsze były dla niżej podpisanego, nie patrząc nań jak na ugodową gadzinę. Nie chcemy wyłamać się z Bloku, chcemy tylko w Bloku być sobą i u siebie. W październiku 1956 w Belwederze (patrz relacja Romana Zambrowskiego w nrze 6 krajowej *Krytyki*), mimo furii Chruszczowa i zbliżających się do Warszawy rzeczywistych czołgów, Gomułka zdołał jednak przekonać Rosjan, że naród jest zjednoczony (wokół Partii), że chce reform i podmiotowości, ale nie zerwania. Udało mu się i uniknęliśmy losu Węgier. Tego samego musi dokonać Kania — i wie o tym. Tyle, że w sytuacji obecnej znacznie jest to trudniejsze, brak atutów i popularności, jakie miał Gomułka, partia skompromitowana. Ale Kania się stara i działa — logicznie.

Tu, w morskim, szarym, rozfalowanym i rozdeszczonym Sztokholmie usiłuję odtworzyć sobie film wydarzeń i działań politycznych w Kraju — niełatwa to rzecz, zaraz gdy się wyjedzie człowiek traci busolę i spokojną ocenę „wśród Europy hałasów". Ale odnalazłem nić Ariadny, logikę działań Kani, pragnącego zjednoczyć na nowej zasadzie partię i wymyślić sposób na złączenie jej z aspiracjami oraz działaniami przebudzonego narodu, które to działania w tym momencie nie mogą rozgrywać się w politycznej próżni i w anarchicznej dowolności. Cóż więc robi Kania? Posłuchajmy: *a)* Stara się z jednej strony zrehabilitować partię, z drugiej nie dopuścić do jej podziału na jakieś dwa skrzydła, co mogłoby Sąsiadowi dać asumpt do przyjścia z pomocą jednemu z nich (tak było w Czechosłowacji w 1968). Temu celowi służy akcja kompromitowania ludzi z poprzedniej ekipy, usuwanie ich z KC, likwidowanie Gierkowskich sekretarzy wojewódzkich: chodzi o to, aby na Zjeździe w marcu czy kwietniu partia wystąpiła jako nowy monolit, co uspokoi Sąsiada, a swą nową treścią (tu problem) zadowoli społeczeństwo. *b)* Kania wie, że dążenia maksymalistycznych elementów reformistycznych wśród młodzieży i robotników pójdą w kierunku pluralizmu po-

litycznego, którego pierwszym elementem mógłby być nowy, rzeczywiście wybrany Sejm. Chcąc odciągnąć tę sprawę w czasie Kania (Olszowski, Moczar etc.) starają się maksymalnie uaktywnić i „uopozycyjnić" Sejm obecny, aby zaspokoić nastroje bez nowych wyborów, które znów mogłyby wzbudzić czujność Sąsiada. *c)* Kania chce maksymalnie wciągnąć Wałęsę i „Solidarność" do współodpowiedzialności gospodarczej i współpracy ustawodawczej, aby zatrzeć antagonistyczny charakter nowych związków, aby uniknąć wrażenia, że odnoszą się one do władzy tak, jak robotnicy wobec pracodawców w kapitalizmie. To bowiem poczytane by być mogło za herezję zgoła już niebezpieczną, a w naszym Czerwonym Wschodnim Kościele herezje są symbolem ważnych psychologicznych i politycznych rozdwojeń, czego jednak nigdy chyba nie pojmie jednostronna prasa Zachodu.

Tak więc Kania nam się stara i, choć nie nad wszystkim panuje, w zamyśle gra zręcznie. A i Wałęsa grę pojął: początkowo odrzekał się od polityki i odpowiedzialności gospodarczej, teraz mówi już inaczej — zagrał partnerowi „w trefle". Niestety, słabsze uzdolnienia brydżowe wykazuje polski Episkopat, a mało sensowne powołanie wicepremiera Ozdowskiego zupełnie zdeprecjonowało możliwość wprowadzenia w grę nowej karty katolickiej. A szkoda — do tego wszakże Rosjanie są u nas przyzwyczajeni, to ich nie szokuje. Zaś nieodpowiedzialne, prymitywne i jątrzące wypowiedzi księdza Orszulika, zwłaszcza gdy czyta się je w oświetleniu prasy zachodniej, to po prostu nieszczęście. Nieodpowiedni człowiek na nieodpowiednim stanowisku w takim momencie — istny to pech narodowy.

Tak więc gra polityczno-psychologiczna z Wielkim Bratem toczy się: uspokaja mnie to wśród sztokholmskich strachów, bo wierzę w politykę, w kombinacje szachowe, w wagę psychologii, a nie wierzę w czołgi: choćby nawet i weszły, to niczego politycznie nie załatwią i problem „gry" wyłoni się na nowo. Jest to oczywiście w pewnym stopniu gra pozorów i tajnych posunięć, toteż ktoś może spytać czy dobrze jest zdradzać rzecz, definiując ją na tym miejscu. Na swoje usprawiedliwienie mam, że ten numer *Kultury* ukaże się nieprędko, gdy wiedzieć już będziecie może wszystko, a w każdym razie więcej niż ja w tej chwili. Mimo zachodnich strachów nie martwię się — dość będzie czasu na martwienie się po ewentualnym fakcie takim czy innym — po cóż martwić się dwa razy: przed i po. Ale może i nie będzie czego, może wschodni optymizm zatriumfuje? A jedno jest pewne: odnowy duchowo-moralnej w Polsce nikt i nic nam nie odbierze, 35 lat fałszu, zakłamania, nacisku obróciło się wniwecz. To potężny dorobek i na wskroś realny — jam wszakże nie materialista, także aspirując do realizmu!

KISIEL

Książki

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWa

„NOW-a" — Niezależna Oficyna Wydawnicza, najstarsza i najpoważniejsza z polskich nieoficjalnych firm wydawniczych jest zjawiskiem wyjątkowym w skali całego bloku wschodniego. Od samizdatu dzieli ją odległość o jaką polskie społeczeństwo wyprzedziło pozostałe kraje Europy środkowo-wschodniej pod względem obywatelskiej samodzielności wobec władzy. W posierpniowej nowej fazie stosunków między społeczeństwem a władzą, status „NOW-ej" uległ już, i ulega w dalszym ciągu, przemianom. Sytuacja jest jeszcze jednak zbyt płynna, aby można było określić jaką funkcję będzie spełniała Niezależna Oficyna Wydawnicza, gdy nowy układ sił się ustabilizuje. Dlatego też uwagi przedstawione poniżej dotyczą dotychczasowej, trzyletniej działalności wydawnictwa. Są one siłą rzeczy fragmentaryczne i skrótowe, nie oddają ani skomplikowanej socjologii zjawiska ani też atmosfery stosunków międzyludzkich, bez której trudno jest dać wyobrażenie o niezależnym wydawnictwie. Początki „NOW-ej" datują się w jesieni 1977 roku. Chwila była szczególna. Po raz pierwszy w powojennych dziejach Polski (i bloku wschodniego) udało się dysydentom zmusić władze do cofnięcia się (w tym momencie dysydenci stali się opozycją). Nie dość, że bronieni przez „KOR" robotnicy — ofiary represji policyjnej — zostali wypuszczeni na wolność, ale i próba przywrócenia monopolu partii na forum publicznym przez uwięzienie najbardziej eksponowanych spośród ich obrońców nie wypaliła. Tym samym więc powstało ograniczone pole działania dla niezależnych od władz inicjatyw społecznych, pole zagrożone ustawicznym dążeniem Partii do odzyskania straconego terenu, ale zarazem ciągle poszerzane udanymi przedsięwzięciami opozycji.

W praktyce oznaczało to po prostu, że za przechowywanie wydawnictw nielegalnych, udzielanie własnej piwnicy na drukarnię czy też powielanie myśli niemiłych władzy groziły już tylko szy-

kany, dokuczliwe szykany — odebranie paszportu, wyrzucenie z pracy, zatrzymanie do wyjaśnienia na komendzie milicji przez 48 godzin, nawet sankcje prokuratorskie, ale nie wieloletnie wyroki. Pierwszym więc warunkiem powstania „NOW-ej" był malejący strach części polskiej inteligencji przed Służbą Bezpieczeństwa.

Warunków koniecznych po to, aby powstało niezależne wydawnictwo było jednak znacznie więcej. Dotychczas samizdatowa książka krążyła w kilku egzemplarzach, najczęściej w formie maszynopisu, w kręgu przyjaciół o zbliżonych poglądach. Tak było i jest w większości krajów rządzonych przez komunistów. My mieliśmy ambicję powołania do życia *quasi*-normalnego wydawnictwa, funkcjonującego w oparciu o rynek czytelniczy, w którym ukazywałyby się regularnie książki i czasopisma w liczących się nakładach (od 2 do 10 tys. egzemplarzy). Inaczej mówiąc zamyśliliśmy stworzyć instytucję równoległą do istniejących oficjalnie — nie dysponując przy tym żadnym ze środków i możliwości, na jakich opiera się działalność oficjalnego wydawnictwa, nie mając praktycznie rzecz biorąc dostępu do sprzętu i materiałów, w bezustannej konfrontacji z rozbudowanym aparatem policyjnym. Jedynym kapitałem zakładowym „NOW-ej" były kontakty ze skonsolidowanym i rozpropagowanym po rocznej działalności „KOR-u" środowiskiem opozycyjnym oraz zaradność i pracowitość organizatorów. Toteż pomysł ten kwalifikował się w sposób ewidentny do mrzonek.

„NOW-a" jednak powstała. Została ona zorganizowana dzięki połączeniu i skoordynowaniu możliwości materialnych, umiejętności i kontaktów setek osób prywatnych. Baza materialna wydawnictwa została zbudowana z pojedynczych cegiełek. Jedni stawiali do dyspozycji wydawnictwa swoje mieszkanie, piwnicę, samochód czy maszynę do pisania, drudzy reprezentowali znajomości, dojścia i informacje pozwalające załatwić „na lewo" niedostępne materiały i surowce, inni znowu wspomagali „NOW-ą" swoją wiedzą zawodową i umiejętnościami, ci którym jeszcze nie odebrano paszportu mogli służyć Oficynie przemycając do kraju sprzęt i książki. A zasobami i siłami prywatnymi zastąpić trzeba było niemal wszystko. Państwowy monopol słowa pisanego jest bowiem w systemie socjalistycznym rzeczą bardzo konkretną i znajduje wyraz w całym systemie prawnym, który służy jego obronie. Nie tylko więc dostęp do powielaczy i kserografów jest ściśle kontrolowany, ale i nie ma w wolnej sprzedaży części do maszyn drukarskich, matryc czy farb. Natychmiastową podejrzliwość wzbudziłoby zakupienie przez osobę prywatną większej ilości papieru maszynowego w sklepie papierniczym (w którym pojawia się on zresztą sporadycznie na skutek poważnego kryzysu papierniczego), a co dopiero 5-ciu ton, czyli tylu ile wynosi przeciętny miesięczny przerób „NOW-ej"! Jeśli dodać, że w sklepach brak jest nawet produktów niezwiązanych z techniką drukarską a służących „NOW-ej" do fabrykowania substytutów niedostępnych surowców będziemy mieli wyobrażenie o skali trudności z jakimi musieli się uporać organizatorzy niezależnego wydawnictwa. Zastąpienie brakujących maszyn i materiałów wymagało więc ogromnej pomysłowości, rozwiązania zaś wchodziły do aresenału zdobyczy demokratycznej opozycji polskiej na równi z deklaracjami o prawach człowieka. Całe to obchodzenie monopolu państwowego było dziełem amatorów, pokonujących problemy metodą prób i błędów. Zaczynaliśmy właściwie od zera gdyż znajomość prostych technik drukarskich została w powojennym społeczeństwie skutecznie wytępiona i trzeba je było odtwarzać na nowo.

Utworzenie nieoficjalnej instytucji wydawniczej na tak szeroką skalę było możliwe, jedynie w specyficznych warunkach politycznych Polski gierkowskiej. Niechętnie, ale jednak tolerowana przez osłabiony kryzysem reżym, opozycja była w stanie nawiązać i utrzymać kontakt ze znaczącym odłamem opinii publicznej, a przede wszystkim z intelektualistami. Działalność środowiska „korowskiego" miała i ma nadal charakter półjawny. Wreszcie warunkiem działania opozycji jest obniżony próg strachu obywateli przed Służbą Bezpieczeństwa. Te współwarunkujące się i wzmacniające nawzajem zjawiska charakteryzują również i działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

Rynek czytelniczy „NOW-ej" wykraczał znacznie poza ramy środowiska opozycyjnego. Po to aby mogły się rozejść wielotysięczne nakłady trzeba było aby osoba nieskompromitowana politycznie w oczach władzy odważyła się ujawnić przed nią jako nabywca i posiadacz nielegalnych książek. Przypomnijmy, że w roku 1962 odbył się w Warszawie proces Hanny Rewskiej, oskarżonej o kolportaż wydawnictw emigracyjnego Instytutu Literackiego *Kultury*. Została ona skazana na kilka lat. Anonimowy czytelnik musiał więc mieć pewność swojej bezkarności, która z czasem doszła nawet u niektórych do niejakiej ostentacji, swoistego snobizmu na prohibity. Jednocześnie musiał on mieć dojście do osoby prowadzącej podziemny punkt kolportażu, jedną z księgarni „NOW-ej". Do książki wydanej przez Niezależną Oficynę Wydawniczą prowadziła sieć rodzinnych i towarzyskich powiązań rozbudowanego i zespolonego wokół KSS „KOR-u" środowiska opozycyjnego.

Wprowadzenie w obieg krajowego czytelnictwa dziesiątków tysięcy publikacji wydanych poza zasięgiem cenzury stanowiło samo w sobie ważne zjawisko kulturowe. Jego reperkusje stały się z czasem coraz widoczniejsze i to zarówno na płaszczyźnie świadomości czytelników i autorów, jak i w sferze instytucjonalnej życia kulturalnego w Polsce. Stwarzając pisarzom, poetom, publicystom, naukowcom realną możliwość swobodnej wypowiedzi i zdobycia sobie zadawalającego odbioru, „NOW-a" przyczyniła się walnie do instytucjonalizacji nieoficjalnego nurtu kultury. Postawiła twórców krajowych przed wyborem, który kazał rewidować i zaostrzać dotychczas obowiązujące piszących kryteria moralne.

Granica między czytelnikami „NOW-ej" a jej współpracownikami jest nader płynna. Wydawnictwo, którego budżet nie przekracza deficytu przeciętnie prosperującej krajowej spółdzielni szewskiej, opiera swoją działalność na kontrybucji setek osób. „NOW-a" jest oficyną w ciągłym ruchu. W założeniu zmieniają się co książka piwnice-drukarnie, mieszkania w których książki są zszywane, składy, samochody. Praktyka stara się jak najbliżej trzymać tej zasady, gdyż jest ona podstawową gwarancją bezpieczeństwa książek i ludzi. W myleniu tropu Służbie Bezpieczeństwa pomaga i pewien stopień dezorganizacji, nieunikniony wobec faktu, ciągłych zmian miejsc pracy i pracowników. Ludzie wspomagający Niezależną Oficynę Wydawniczą pracują, na współpracę z wydawnictwem przeznaczają godziny po pracy. „NOW-a" wykorzystuje od-do samochód, w czasie wyznaczonym przez potrzeby jego właściciela, praca przy drukowaniu i zszywaniu książek przeplata się z życiem rodzinnym i zawodowym ludzi włączonych w proces produkcji książek, często w sposób dla nich krępujący. W małych zatłoczonych mieszkaniach, w szafie między skarpetkami a koszulami lądują paki o przenikliwym zapachu piwnicy i farby drukarskiej, praca nad doprowadzeniem zadrukowanego papieru do postaci książki odbywa się między dzwonkiem do drzwi niepewnych sąsiadów, wizytą rodziny a podsłuchem telefonicznym. W późnych godzinach wieczornych małym fiatem wypchanym bibułą do granic ryzykanctwa rozwożone są gotowe książki do składów a następnie do „księgarni". Na styku legalnego z zakazanym powstają często najrozmaitsze *qui pro quo*, charakterystyczne dla codzienności wydawnictwa.

Po to aby mozaika telefonów i adresów, danych zawodowych i rodzinnych, stanów posiadania i rozkładów dnia — które stanowią kapitał „NOW-ej" złożyła się na całość zwaną wydawnictwem potrzebni są organizatorzy. Ich rola nie ma nic wspólnego poza nazwą z funkcją oficjalnego wydawcy, do którego pilnie strzeżonego biurka prowadzą drzwi przez pokój wiernej sekretarki. Organizator „NOW-ej" spędza czas w sposób urozmaicony — czasem w piwnicy drukując, wieczorem w pożyczonym samochodzie ze świeżym transportem wydawnictw, na rozmowach w setkach mieszkań prywatnych i najdziwniejszych godzinach dnia i nocy, często na gubieniu pościgu tajniaków, czasem na Komendzie, czasem w areszcie. Jego zakres kompetencji obejmuje zarówno naprawianie maszyn drukarskich co znajomość kodeksów prawnych, psychologii ludzkiej i w pewnym stopniu oczywiście literatury. W praktyce przykłada rękę do roboty na każdym szczeblu produkcji i kolportażu chociaż jego właściwym zadaniem jest wyszukiwanie właściwych ludzi i kontaktowanie ich ze sobą, organizowanie im surowca oraz pracy, reprezentowanie wydawnictwa na zewnątrz oraz ostateczny wybór książek do druku. Przedstawicieli jawnych wydawnictwa jest 5-ciu — Konrad Bieliński, Grzegorz Boguta, Mirosław Chojecki, Ewa Milewicz i Adam Michnik. Czterech spośród nich jest członkami KSS „KOR-u". Ich funkcje nie ograniczają się więc wcale do

pracy w wydawnictwie. Kumulacja funkcji jest zresztą zjawiskiem częstym na wszystkich szczeblach „NOW-ej". I tak np. pisarze i publicyści publikujący w prasie podziemnej spędzają część swego czasu w piwnicach drukując dzieła innych zakazanych, czasem i własne utwory.

Własnych, stałych pracowników ma „NOW-a" niewielu. Natomiast duża część opozycji angażuje się mniej lub bardziej dorywczo we współpracę z „NOW-ą". Na stałe związani są z „NOW-ą" przede wszystkim drukarze. Rekrutują się z kategorii najgorzej widzianej w systemie socjalistycznym tzw. „ludzi luźnych" czyli bez etatu. W ich gronie wykształciła się specyficzna etyka zawodowa, swoiste poczucie humoru i poczucie przynależności, które pomaga im wytrzymać na ogół fatalne warunki pracy (wilgotne piwnice, często nieogrzewane w zimie, zakaz wychodzenia na światło dzienne, parę godzin snu na dobę pracy) i drukować w iście stachanowskim tempie.

By przedstawić w skrócie na czym polega działalność „NOW-ej" trzeba przypomnieć, że jest to skrót pod którym kryje się największa baza poligraficzna polskiej opozycji, najsprawniejsza i najszersza sieć kolportażu, najlepsze zaopatrzenie „na lewo" w papier i farby drukarskie i że tą całością kierują członkowie KSS „KOR-u". Działalność Niezależnej Oficyny Wydawniczej rozwija się więc dwoma nurtami. Wydawnictwo pracuje po części na własne konto wydając książki i czasopisma literackie, z drugiej strony jest bazą drukarską opozycji. W czasie strajku Konrad Bieliński wydawał w Stoczni Gdańskiej „Strajkowy Biuletyn Informacyjny 'Solidarność'" zaś po „Sierpniu 80" pracownicy „NOW-ej" współorganizowali poligrafię związkową. Ponadto, będąc największą i najbardziej doświadczoną drukarsko poligrafią niezależną służy radą i pomocą wszelkim przedsięwzięciom krajowym, inicjowanym w obronie praw człowieka. Właściwe jednak powołanie widzi „NOW-a" w wydawaniu książek a funkcję pogotowia drukarskiego ogranicza chętnie w miarę usamodzielniania się poligrafii rozmaitych redakcji i instytucji opozycyjnych oraz związkowych.

W ciągu trzyletniej działalności wydawniczej „NOW-a" opublikowała ponad 100 pozycji (licząc kolejne numery miesięczników i kwartalników literackich *Zapisu, Pulsu, Krytyki*). O tym co zostanie wydane decyduje redakcja „NOW-ej" — czyli jawni i nieujawniani (jest ich 4-6 osób) organizatorzy wydawnictwa. Każdy wybór jest szeroko konsultowany a propozycje odzwierciedlają odczucie stanu potrzeb kulturalnych społeczeństwa. Kryteria wyboru są różnorodne. Najłatwiej wymienić najbardziej prozaiczny spośród nich, ten, który w sposób arbitralny decyduje o odrzuceniu wielu wspaniałych dzieł, a mianowicie ograniczone możliwości techniczne „NOW-ej". Za cały program wydawniczy mogłoby starczyć Niezależnej Oficynie wypełnianie luk powstałych w kulturze narodowej na skutek działalności cenzury. W spisie książek dozwolonych czytelnikowi krajowemu brakuje

fundamentalnych dla kultury polskiej dzieł emigracyjnych i krajowych. Oficyna ma w swoim dorobku wydawniczym wielkie nazwiska polskie: Gombrowicza, Miłosza, Wierzyńskiego. „NOW-a" opublikowała również wiersze Barańczaka, „Nierzeczywistość" i „Miesiące" Brandysa, „Miazgę" Andrzejewskiego. Z wielkich nazwisk literatury obcojęzycznej — Günthera Grassa, Orwella, Sołżenicyna. Można by również podzielić literaturę wydawaną przez „NOW-ą" na przedruki, których źródłem jest na ogół Instytut Literacki „Kultury" w Paryżu i książki opublikowane po raz pierwszy w „NOW-ej", niektóre z nich pisane z myślą o Niezależnej Oficynie.

Równie dramatyczne jak zubożanie literatury narodowej jest ocenzurowanie świadomości społeczeństwa. I znowu „NOW-a" stara się dostarczać jak najsilniejsze antidotum publikując eseje polityczne i ekonomiczne, programy ideowe i dokumenty historyczne. Do niej trafiają sporadyczne przecieki z aparatu władzy jak np. opublikowane w 1977 „Zapisy cenzorskie". „NOW-a" stara się uzupełnić luki w świadomości historycznej społeczeństwa okrojonej o takie tematy-tabu jak Katyń czy pakt Ribbentrop-Mołotow. Demaskuje za pomocą konkretnych informacji hasła, którymi propaganda oficjalna terroryzuje społeczeństwo.

Strajk na Wybrzeżu, który zrewolucjonizował sytuację w Polsce, pozwolił przy okazji zorientować się co do zasięgu i wpływów niezależnych publikacji. Wśród postulatów wysuwanych przez strajkujących znalazło się i żądanie zaprzestania represji wobec publikacji nieocenzurowanych i ograniczenia cenzury. Gdy 10 listopada przedstawiciel „Solidarności" Bogdan Lis odczytywał w Dzienniku Telewizyjnym oświadczenie Związku, wydane po ostatecznej rejestracji, eksponował on na całą Polskę przypiętą do piersi plakietkę Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

Robotnicy uzyskali w Porozumieniu Gdańskim zgodę na wypracowanie nowej ustawy o cenzurze. Będzie ona zapewne znacznie liberalniejsza od swej poprzedniczki. Niezależnie od norm prawnych znaczny zakres wolności gwarantuje nowy układ sił. Czy wobec ograniczenia cenzury „NOW-a" przestaje być potrzebna? Wydaje się, że nie. Cenzura została bowiem zredukowana nierównomiernie i z jednym wyjątkiem Miłosza żadna z publikacji „NOW-ej", wydanych do Sierpnia 80, nie ma w dalszym ciągu szansy ukazania się w całości oficjalnie. Dopóki będzie choć jedna pozycja literatury narodowej, która nie będzie mogła być wydana oficjalnie dopóty funkcjonowanie „NOW-ej" jest niezbędne. Jej istnienie może również ułatwić sytuację wydawnictw oficjalnych tworząc awangardę walki o pełny dostęp do kultury narodowej.

Mirosław CHOJECKI

Fragmenty powyższego tekstu zostały wygłoszone podczas spotkań (z Polakami) w Sztokholmie i Londynie w grudniu 1980 r.

Myśli o "Pograniczu" Janiny Kowalskiej

Autorka „Pogranicza"* występująca pod pseudonimem Janiny Kowalskiej nie jest debiutantką. Autobiograficzne „Moje uniwersytety" (Londyn 1971, Polska Fundacja Kulturalna) ujawniają, że urodziła się w Polsce „B" w roku 1932 i u progu nauki szkolnej była w zimie 1940 wraz z rodzicami wywieziona do ZSSR i „wskutek okoliczności losowych" kontynuowała edukację w *posiołku* Oktiabrskim w złotodajnych rejonach Syberii. Po dramatycznej wędrówce, urozmaiconej tyfusem i rozlicznymi innymi chorobami tudzież postojem w kołchozie „Prawda" w Uzgenie autorka dotarła do Jerozolimy — i szkoły polskiej. Na Bliskim Wschodzie, dziesięcioletnia, z namowy matki-polonistki pisać zaczęła „pamiętnik z domu niewoli". Rozwinięciem jego i dalszym ciągiem są „Moje uniwersytety", omówione w nrze 295 *Kultury* przez Janinę Katz Hewetson, która właściwie oceniła „przerażającą rzeczowość" owego dziecinnego pamiętniczka.

Druga wojna światowa skończyła się formalnie w roku 1945. Na powrót „do siebie" czekali najufniej szarzy wygnańcy z ziem kresowych, którzy po odzyskaniu wolności i praktycznych lekcjach geografii ówczesnej Persji, Iraku, Palestyny i Egiptu ugrzęźli na długie lata w enklawach rozsianych po Wyspach Brytyjskich, w terminologii biurokratycznej określanych jako obozy, hostele i osiedla mieszkaniowe *(housing estates)*. Oprócz dachu nad głową dawały one możność przystosowania się do warunków życia w nowym środowisku *(resettlement)* i w przeciwieństwie do gett nie broniły kontaktów z tubylcami. Swobodę ruchów tamowała raczej nieznajomość angielskiego i więcej niż skromne zasoby finansowe. W okresie największego napływu uchodźców różnych kategorii w ok. 500 hostelach i obozach przeważali polscy zesłańcy z Rosji i *displaced persons* z Niemiec. Autorka „Pogranicza", jak wynika ze słowa wstępnego, „spędziła dwanaście lat w hostelach i obozach w różnych częściach Wyspy i dotąd czuje w kościach ich klimat" jako „jedynego w swoim rodzaju zjawiska w emigracyjnej socjologii".

„Pogranicze" jest syntezą obserwacji i doświadczeń autorki z wielu tych osobliwych miejsc postoju. Cykl opowiadań, ujętych w ramy czterech pór roku, daje w sumie nie tyle znany z powieści Reymonta czy Łyska obyczajowy „rok polski", ile wymyślnie zbeletryzowaną monografię socjologiczną, nasuwającą analogie do XIX-wiecznych „fizjologii" Balzaca i licznych jego naśla-

* Janina Kowalska (pseud.), *Pogranicze*. Instytut Literacki, Paryż 1980, 8°, str. 282 („Biblioteka *Kultury*", tom 321).

dowców. Z tzw. „literaturą piękną" łączy książkę Kowalskiej swoisty, gatunkowo bardzo wysoki rodzaj narracji, operowanie fikcyjnymi nazwami topograficznymi, syntetyczność postaci, wreszcie znakomite opisy zjawisk przyrody i krajobrazów, wytrzymujące porównanie z Miłoszem i Józefem Mackiewiczem. Na szczególną pochwałę zasługuje kompozycja i satyryczny ton całości, w którym — mimo nienagannej polszczyzny — wyczuwa się wpływy angielskie. Autorka na chłodno rejestruje sposoby zachowania występujących na kartach „Pogranicza" postaci, daje próbki kilkunastu odmian mówionej polszczyzny potocznej, od patetycznej prozy kazań do czułych „Stasjuczków" i nazw części obozu „U Żywopłotu", „U Pałacu" itp.). „Polak jaki jest" ukazuje się tu w wielu zastanawiających odmianach i bardzo daleko jesteśmy od przyjętych w opisach emigrantów stereotypów.

Miejscem akcji jest osiedle polskie w Crowley w pobliżu Longfordu (Herefordu?), stolicy jednej z Marchii na *pograniczu* Anglii i Walii. Stąd pierwsza warstwa znaczeń tytułu. Ziemia tamtejsza deptana była przez Celtów, Normanów, Anglów. Zaludniają ją ich potomkowie, mieszanina typów antropologicznych. Druga wojna światowa dorzuciła naprzód postoje wojsk różnych nacji, a następnie ujętą w tryby biurokracji inwazję Słowian. Obóz przyjął 124 bezdomne rodziny. Wyszły z niego po kilkunastu latach do domów magistrackich albo indywidualnie w świat, różnicując się w miarę czasu bez zatraty typowych cech narodowych. Botanicy znają zjawisko powrotu sztucznie hodowanych odmian do pierwotnej odwiecznej odmiany róż czy łubinów. Mieszkańcy obozu, w większości przymusowi „turyści" wojenni, w nowych warunkach i nowym otoczeniu wracają do starych nawyków, przekazując je dalszym generacjom. Jeśli obecnie wśród młodzieży aż po czterdziestolatków emigracyjnych nie brak zrozumienia sensu tradycji polskich, jest to zasługą atmosfery takich jak crowleyski obozów. Przytoczę przykład, który najbardziej mnie zastanowił. Babka Gąsowska, spod Łańcuta, uwiozła ze sobą do Sowietów i dowiozła do Walii strój ludowy, w którym chciała być pochowana. Raz jeden włożyła go na siebie z okazji uroczystości koronacyjnych królowej Elżbiety II w roku 1952. Godnie wkroczyła na miejsce zarezerwowane dla notablów Longfordu, „ma swój honor gospodarski i nic jej nie imponuje". Jest w tym obca od niezręczności i daleka od pychy pewność, że postępuje słusznie, kierując się instynktem.

Obóz w Crowley był konglomeratem częściowo ex-wojskowych baraków, dość nowocześnie wyekwipowanych oraz przytykających do zdziczałego parku pałacowego prymitywnych baraczków. Mieszkańcy stanowili niemal laboratoryjnie zestawione dla socjologa środowisko ludzi różnych przedwojennych „klas" i zawodów, zbratanych w obozie crowleyskim wspólnotą losów i pracy. Władze angielskie czuwały dyskretnie, dbając o ład, opiekę lekarską, szkolne autobusy dowożące „młody las" na angielską edukację. Inne autobusy odwoziły mężczyzn do pracy u

„Sajdera" (w wytwórni jabłecznika, cidru) a jeszcze inne kobiety („panie") do „Glorii Longfordu", produkującej jarzyny i przetwory owocowe w puszkach. W jesieni cały Crowley rzucał się na prace sezonowe przy zbieraniu czyli „darciu" chmielu. W zimie przychodziła pora na zaciskanie pasa, bo, jak w polskich cukrowniach, kończyła się praca u „Sajdera" i owoce na konserwy, i Crowley zaludniał się bezrobotnymi. Kontakty z walijskim otoczeniem są więc bliskie i naturalne, co nie wyklucza jednak wyraźnego konfliktu kultur.

Autorka rozwija cały wachlarz odrębności zwyczajów i reakcji na wydarzenia. Najdrastyczniejsze przykłady dotyczą nielicznych spraw sądowych. Rodacy stanęli więc np. rycersko w obronie młodej Królowej, gdy właściwi jej poddani obrazili Jej Majestat urągliwymi uwagami. W wynikłej na tym tle bijatyce zagrała krew Sarmatów, stających w obronie czci niewieściej. Ciekawe. Inna rozprawa dotyczyła czysto obozowej pyskówki, w toku której pani Antoszkowa nazwała panią Szydłową „Uzbeczką". Sędzia angielski przy pomocy tłumacza i lokalnego bibliotekarza uzbrojonego w encyklopedie na próżno starał się uchwycić pointę obrazy, w pełni zrozumiałą dla obu „pań", mających za sobą wojenne przeżycia ze zsyłki do Uzbekistanu. Pierwsza z nich, Antoszkowa, niekoronowana „królowa Crowleyu", i tym się także wsławiła, że tuczyła małego synka jajecznicą z wędzonką, pierogami z kapustą i zbieranymi w pobliżu grzybami. *Can't be true!* — załamywał ręce lekarz walijski, dr Lloyd, dziwiąc się, że dziecko żyje. Nosił się ponoć z zamiarem pisania o tej diecie do *Lancetu*.

Mieszkańcy Longfordu przyzwyczaili się z czasem do słowiańskich odrębności i, widząc że ludek jest pracowity i uczciwy, udzielać zaczęli mieszkańcom obozu kredytu na zakup mebli, firanek, dywanów (!) itp. Rodacy obrastali w pierze i po latach opuszczali obóz zasobnie zaopatrzeni w graty i łachy, albo z dumą opowiadając o szkolnych sukcesach dzieci, których edukacja kosztowała ich tyle, że rezygnować musieli z miłych sercom większości dóbr doczesnych. Autorka „Pogranicza" wyznacza wyraźnie w drugiej warstwie odbioru tytułu książki granice i zazębianie się kultur. Mieszkańcy obozu przejmują niejedno od zasiedziałej dokoła ludności. Nie wydaje się, by wpływy były dwukierunkowe, a nieudane małżeństwa mieszane hipotezę tę potwierdzają. *Resettlement* angielski był jednak eksperymentem udanym. Przybysze nie stali się ciężarem i nie zapełniali kronik sądowych swymi nazwiskami.

Jest znakiem zapytania, w jakim stopniu było to zasługą Kościoła. Crowley roił się od polityków i działaczy kombatanckich, jednak właściwą władzą był ksiądz, strzegący czystości sumień i wierności sprawie narodowej, otoczony „Żywymi Różami", staroświecki i niejedno budzący zastrzeżenie, a przecież w ostatecznym rachunku ukazany jako postać pozytywna. Mieszkańcy Crowleyu stawiali go wobec trudnych sytuacji! Święcić mu np. wypadało na Wielkanoc ucharakteryzowaną na dzika głowę wie-

przową dostarczoną do kaplicy w dziecinnym wózku. Tych wózków było zresztą w Crowleyu bez liku, bo jak wiadomo statystyki urodzin skoczyły po wojnie gwałtownie w górę nie tylko w środowiskach uchodźczych. Ksiądz błogosławił młode pary i z rozczuleniem patrzył na wkraczające parami na msze ósemki z wielodzietnych rodzin.

Przed przybyciem Polaków rozsypywały się baraki obozu. Z niczego przy skromnej pomocy władz angielskich powstało w Walii „Soplicowo" (trafny termin Czajkowskiego i Sulika) i na oczach okrzepło i zamknęło się w kręgu spraw sąsiedzkich, jak w przedwojennych miasteczkach kresowych, z których rzadko udawało się wyruszać w „świat". A przecież mieszkańców obozu nie opuszczało poczucie tymczasowości i pragnienie, by obecny etap ich egzystencji był odskocznią do lepszej (to znaczy dostatniejszej) przyszłości. Dlatego, jak podchwyciła autorka „Pogranicza", nie sadzili w swych ogródkach drzew ale kwiaty, „równie nietrwałe jak całe życie Słowian, o którym każdy czuje, że tak czy owak jest *pograniczem* między wojenną wędrówką a osiedleniem, zapuszczeniem korzeni i stabilizacją" (str. 188). Ta cytata wyjaśnia chyba najlepiej sens tytułu książki. Chodzi tu o *„pomiędzy"*. Ale to właśnie, że obóz w Crowley był zjawiskiem przejściowym, tymczasowym, sprawia, że obraz jest zaokrąglony, zamknięty w wyraźne ramy. U początku tajemnicze ziele z legend walijskich obrasta drzewa zdziczałego parku, u kresu, gdy autorka po latach przyjeżdża do Crowleyu, na gruzach rozwalonych baraków plenią się „zabiedzone byliny i samosiejki: rumiany, floksy i malwy, lwie paszcze i złote kule. Sterczą z zielska młode kępy narcyzów, wśród gruzu pięknie rozkwitł bukiet śnieżyczek. Co roku robią swoje, coraz bujniej i piękniej, kicz albo symbol — co kto woli". Ten obraz zamyka księgi Crowleyu — czyli Wroniego Gaju. Pierwszy, polski rozdział życiorysu autorki, opisany w „Moich uniwersytetach", zamykał się podobną pielgrzymką do starej siedziby w kresowych lasach. Tam jednak nie znalazła nawet *garden escapes* z dawnego ogrodu przy leśniczówce.

W „Pograniczu" uderza bogactwo obserwacji i pozornie krytyczny stosunek do opisywanych ludzi i zdarzeń. Mający wszystkim wszystko za złe znajdą sposobność do zgorszenia, jak ongiś czytelnicy „Trans-Atlantyku". Dawnym mieszkańcom obozów wydawać się będzie, że książka jest lustrem, w którym odbijają się ich własne oblicza, bo ten czy ta kupowali także od Hindusa makatki z tygrysami i portrety Papieża w ramkach z muszelkami na aksamitnym tle. Uważniejszy czytelnik uzna jednak, że autorka „sercem gryzie" i głębiej zastanowi się nad mieszanką błahych i cennych cech narodowych, z których składa się „Polak jaki jest".

Jan Błoński doszukiwał się w szkicu pt. „Polak jakim go widzą, jakim siebie marzy" stereotypów wyobrażeń o społecznościach narodowych. Szukał go w literaturze. U Borowskiego, Różewicza, Białoszewskiego dopatrzył się „nobilitacji żywiołu po-

średniego, anonimowego, nijakiego kulturalnie", a przecież jak w Crowleyu urabiającego zamkniętą (w tym wypadku) społeczność w zjednoczoną gromadę.

Warto podkreślić, że stereotyp Polaka wyłaniający się z „Pogranicza" różni się zasadniczo od gombrowiczowskiego. Zgodzić się można, że Polak crowleyski także „nie szuka sobie miejsca w społeczeństwie, które go przyjęło" i zajmuje pozycję widza. Odnosi się to w pełni do pokolenia rodziców. Drugie, dziatwa i młodzież, asymilują się na potęgę, ale raczej bezboleśnie. Zasadnicza różnica polega na tym, że Polak crowleyski nie jest ani zastraszony, ani płaszczący się przed Anglikami czy Walijczykami. W pracy jest jednym z nich. Nie waha się przed polonizowaniem Włoszki i żon lub mężów walijskich, nawet gdy w grę wchodzi osoba dziedzica, Mr. Lacy'ego, który poślubił piękną Pelę Dyderko.

Warto także podkreślić, że Polacy crowleyscy z zadziwiającą dyskrecją powstrzymują się od przypominania osobistych tragedii z okresu wojennego. Tylko czasem, wśród kurników Crowleyu, sąsiadki będą porównywać udręczenia sowieckie z obozami hitlerowskimi i licytować się, która pozostawiła na nieludzkiej ziemi więcej dziecięcych mogiłek. Niejeden crowleyski „Stasjuczek" pełni rolę następcy czy zastępcy zmarłego w Sowietach dziecka, a państwo Ciupkowie czy Śmidowiczowie fabrykują tabuny potomków na zapas. To raczej kombatanci pławią się we wspomnieniach i na znak gotowości bojowej paradują w mundurach, a nawet na świeżo uszyte przenoszą naszywki z „Polandami".

„Pogranicze" może i powinno być odczytywane na różne sposoby: jako mała, w wyraźne ramy ujęta opowieść epicka, jako obraz konfliktów kultur, jako analiza okresu „pomiędzy" — przejścia od egzystencji w Polsce „B" do współżycia z tubylcami, czy wreszcie jako konfrontacja dobrze znanej autorce-historyczce przeszłości Walii ze współczesnością. Ziemia nagromadziła tu prochy wielu pokoleń buntowników, w nierozkopanych grodziskach kryją się tajemnice fascynujące archeologów, w zakamarkach starych dzwonnic butwieją stare pergaminy. Niewielu ludziom miejscowym bliska jest przeszłość Longfordu. Dlatego Wielebny Powell przyjaznym acz zdziwionym okiem patrzy na studiujących dzieje jego ziemi dwoje Polaków.

Parokrotnie udało mi się, jak kabalarce Macioszkowej z „Pogranicza", wywróżyć autorowi emigracyjnemu trwały sukces i miejsce w historii literatury. Tu stoimy, w moim głębokim przekonaniu, wobec podwójnego sukcesu: osobistego autorki i literatury emigracyjnej. Jeśli nazwałam ją „literaturą nadziei", to dlatego, że wbrew pesymistom pokolenie wychowane na obczyźnie zdobywa się na twórczość o trwałych walorach, potwierdzając ciągłość i żywotność wolnego piśmiennictwa polskiego.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Feijó, 10 grudnia 1980.

"Dziennik nie dziennik..."

Jeśliby zacząć wyliczać, co czytelnikowi Tyrmand w swej nowej książce* ukazuje — lista powstałaby z tego niezmiernie długa. Obraz życia w Polsce w rok po śmierci Stalina, a dwa lata przed „Październikiem". W określeniu czasu jej akcji bardziej wielomówne są te dwie właśnie, graniczne daty, niż tytułowy „rok pięćdziesiąty czwarty". I jeśli nawet to „w Polsce" opatrzy się zastrzeżeniem że, oczywiście, w Polsce, jeśli idzie o miejsce akcji, nie szerokość obrazu, bo w Warszawie, i to tylko na osiach kilku ulic, z jednym czy dwoma wypadami poza stolicę do Zakopanego i do Krakowa, to przecież nie zmienia to faktu. Bo czegóż tam nie ma! Tyrmand opisał zamknięcie przez władze *Tygodnika Powszechnego* i przejęcie pisma przez PAX, pogrom niezależnych grup katolickich, karierę niektórych pism, jak *Przekrój*, zwłaszcza zaś *Dookoła Świata*, przedstawienia w ówczesnych teatrach warszawskich, kabarety, dwa nurty filmu — oficjalny, ten prezentowany w kinie, nieoficjalny — na pokazach zamkniętych na Foksal... A do tego — i handel ciuchami z zagranicy, i stołówkę literatów na Krakowskim Przedmieściu, i jak tam się je, i jak ten i ów je, i kto z kim je... Poza tym milicję i UB, inwigilację, i kto komu „dokopuje", i kto komu jakie buty szyje. No i, oczywiście, jest tam do tego cała bogata galeria autentycznych postaci, jednych pod nazwiskami, innych zaszyfrowanych pod literkami, gdzie domyślamy się kogo ukrywają, lub nie domyślamy się, lecz to nieważne, każda bowiem postać stanowi świetnie zarysowany typ, jakąś postawę, jakieś stanowisko, z którym autor toczy zażartą dyskusję-szermierkę na słowa i myśli, polemikę światopoglądową. Jest tam Herbert, Koźniewski, Broszkiewicz, Kałużyński, Gołubiew, Stomma, Woźniakowski, Jasienica, Szczepański, Turowicz, Słonimski, Kisielewski — wybieram tylko niektóre głośne nazwiska. Postać Kisielewskiego przewija się zresztą przez całą książkę, bardzo ludzka, ale tak daleka od „brązu", że nie wiadomo, czy w tym rysunku przypadnie do gustu prototypowi. Są także postacie ludzi mniej znanych, lub zupełnie nieznanych, zawsze jednak coś sobą reprezentujących, nieważne czy w sensie negatywnym, czy pozytywnym, ważne że charakteryzujących się jakąś swoistą postawą, pobudzającą polemiczną pasję autora; są i ludzie ówczesnego marginesu: kupcy pomniejszeni przez reżym do rozmiarów właścicieli straganu, kapitalny krawiec o paryskim szyku, nicujący kołnierzyki przy koszulach, jacyś ludzie z półświatka, więksi i mniejsi aferzyści. Jest nędza, zapomnienie, przeróżne naciski ekonomiczne na grupy i jednostki, które nie zdecydowały się na

* Leopold Tyrmand, *Dziennik — 1954*, Londyn, „Polonia Book Fund".

współpracę z reżymem, są kariery tych, którzy na tę współpracę się zdecydowali, którzy w czas potrafili dostosować się do proklamowanego oficjalnie nurtu.

Fale aresztowań, „rozwałka" AK, przepadanie ludzi na ulicy w biały dzień, aresztowanie prymasa, to wszystko jest jak gdyby poza tekstem, zaledwie wspomniane, bo tak powszechne w świadomości ludzi pięćdziesiątego czwartego roku, że niewarte szerszego rozwodzenia się; to było, a jeżeli jeszcze się zdarza, to w nie tak ostrej formie. Stalin nie żyje już rok, a do „Października" muszą jeszcze upłynąć dwa lata (zresztą powiedziałem to już wcześniej...), więc jakkolwiek ciosy „ludowej sprawiedliwości" nie spadają już na społeczeństwo z taką mocą, trudno jeszcze mówić o początku odwilży; może zaledwie o początku „początku". I książka Tyrmanda właśnie ten stan ukazuje: między porażeniem tamtymi ciosami, a rozbudzeniem się pierwszych nadziei na zmianę, na odnowę. Ci, którzy tkwią już w błocie, wciągają w nie innych nie dlatego, żeby być w większym towarzystwie, ale niemal z dobrego serca, bo — skoro nic się nie może zmienić — dlaczego drugi człowiek ma się tak bardzo męczyć na marginesie publicznego życia i do tego jeszcze w biedzie? — oto ich rozumowanie. Jest to stan, w którym atmosfera beznadziejności i bezsiły zniewala w wielu wypadkach umysły najbardziej nawet światłe.

Trzeba przyznać, że Tyrmand nie mógł znaleźć lepszego czasu dla swego dziennika, niż właśnie czasu między — między... Świnienie się ludzi doszło do dna, tonący jednak nie zdążyli się jeszcze od niego odbić, by podjąć próbę wypłynięcia na powierzchnię, czy też nie przyszło im jeszcze do głowy, że w ogóle wypłynąć można. Bo i najprzyzwoitsi byli pełni wątpliwości, człowiek zaś nieprzejednany, nie idący z reżymem na kompromis, próbujący zachować czyste ręce, wydawał się nieraz tym pierwszym nie bohaterem wcale, lecz zabytkiem z innej epoki, jeżeli nie po prostu durniem.

Świat początku pięćdziesiątego czwartego roku oglądany oczami Tyrmanda nie jest już światem, gdzie wionie grozą. Magma, bagno — oto lepsze porównanie. I to bagno dość osiadłe, ustałe, zakisłe. Żadnej fali większych porywów rewolucji, to tylko sam autor świat ów przesyca autentycznym zaangażowaniem politycznym przez swoją obsesję polemiczną, przez swoje wyważanie wszystkiego w kategoriach moralnych, przez ciągłą potrzebę poszukiwania czystych racji; przypierając swoich rozmówców plecami do muru, zmuszając ich do obnażenia ich własnych racji, spierając się z nimi dalej w myślach. W ten sposób rodzi się opowieść z obserwacji na gorąco, nie ustępująca ostrością osławionym czterem miłoszowskim esejom o zniewalaniu inteligenckich umysłów. Opowieść przejmująca, tragicznie prawdziwa, która w swej ponurej tonacji byłaby nieraz nie do zniesienia, gdyby w wielu miejscach ukazujących największą podłość, małość i moralne skorumpowanie nie potrafił jej autor zdobyć się na rozładowującą woltę humoru, na dowcip, kpinę. I dla-

tego uśmiechamy się nie tylko wówczas, kiedy pokazuje nam na przykład Dymszę, Olszę, Górską, Zarubę i Dziewońskiego, jak męczą się w programie kabaretowym o bumelantach, jak przedrzeźniają Adenauera, londyńską emigrację i opowiadają o zrzucanej przez Amerykanów ziemniaczanej stonce, wybuchami nienawiści usiłując wywołać wybuch śmiechu, a ludzie wychodzą z teatru smutni i znużeni. Uśmiechamy się także oglądając całą galerię dzisiejszych pomnikowych postaci, ukazanych, kiedy pomnikowymi jeszcze nie były, i to nieraz w bardzo kusych porciętach, albo w ogóle bez. No i jeszcze do tego panie, wiele pań, zawsze zmysłowo pociągających! Bo Tyrmand jest doskonałym narratorem i wie, że utwór o charakterze polemiki ideologicznej, utwór moralizatorski i demaskacyjny, musi mieć dobrze zakomponowaną tonację — od gniewu do śmiechu, umiejętnie rozłożone pointy myślowe i różne inne rodzynki w rodzaju „środowiskowych" plotek, jadowitych ukłuć *ad personam*, lub mikropamfletów, no i właśnie pań, aby utwór ten mógł być po latach czytany, jak powieść.

Tu dochodzimy do zagadnienia formy. Bo kłopot z książkami, które wymykają się prostym formułom — dziennik, pamiętnik, a może powieść? Tyrmand słowo dziennik umieścił nawet w tytule, więc sprawa niby oczywista. A jednak autora tych uwag nawiedzają wątpliwości. Bo już dawno nikt nie pisze dziennika, w którym notowałby wszystko, jak „leci". Dziennik dziś jest coraz bardziej konstrukcją ciągu zdarzeń wypreparowanych ze zdarzeń rzeczywistych, koncepcją świata, kreacją siebie i postaci wokół siebie. Dziennik Tyrmanda wydaje mi się kreacją daleko posuniętą (nie, żebym chciał twierdzeniem tym podważać prawdziwość zawartych tam spraw, to nie!), po prostu jest rezultatem dużej obróbki artystycznej materiału. I to zbliża go do powieści. Zwłaszcza, że czytamy go ćwierć wieku po opisywanych wydarzeniach, że dorosłe jest już nie tylko pokolenie, które wówczas było dziećmi, ale i to, które urodziło się nieco później. I pokolenie to (zresztą poprzednie również) nie inaczej, ale właśnie jak powieść, książkę Tyrmanda będzie czytało. Jak powieść pasjonującą. W zderzeniu z dzisiejszym doświadczeniem czytającego ukazującą tamte czasy z przerażającą ostrością, jak w soczewce mikroskopu. I, co najciekawsze: aktualność tej książki nie jest dziś mniejsza, niż wtedy kiedy była pisana. Ludzie przedstawieni na jej kartach posiwieli, niejedni już nie żyją, problemy jednak, z którymi się wówczas parali, sprawy, z którymi się borykali, pytania, które sobie zadawali — wciąż pozostają otwarte: zniewolenie, czy wolność, upodlenie, czy honor, demokracja, czy totalitaryzm, i tak dalej, i tak dalej... Zresztą nie tylko z tych względów będzie to w najbliższym czasie jedna z najpilniej chyba czytanych książek w Polsce. Kiedy tam, oczywiście, dotrze. Nie lubię się bawić w proroctwa, ale tak właśnie myślę...

Włodzimierz ODOJEWSKI

Biblioteka romantyczna

Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydaje pod redakcją Marii Janion cykl tomów pod wspólnym tytułem „Biblioteka romantyczna". Każdy z tych tomików składa się z eseju wprowadzającego i antologii tekstów polskich romantyków poświęconych danemu tematowi. W kolejnych wydanych już lub przygotowywanych tomach pojawiają się takie tematy — będące zarazem tytułami zbiorów — jak „Reduta", „Ogrody romantyków", „Ciemne drogi szaleństwa", „Ja, głupi Słowianin", „Śmierć romantyczna", „Paryż romantyków" czy „Miłość romantyczna". Jak widać, podnoszone są tu węzłowe problemy tej literatury a także zagadnienia mniej wówczas istotne, lecz dziś stanowiące dla badacza ważny trop interpretacyjny. Nim jednak zajmę się bliżej poszczególnymi zbiorami, chcę zwrócić uwagę na to, że w ostatnim dziesięcioleciu badania nad romantyzmem polskim szczególnie się nasiliły. Przy czym, co jest zjawiskiem dość wymownym, wciąż nie możemy się doczekać współczesnego, akademickiego opracowania tego okresu: dotychczasowe podręczniki albo poświęcone są wybranym zagadnieniom, albo nie wykraczają poza poziom szkół średnich. Przykładem pierwszego rodzaju opracowań może być cykl wykładów Kawyna, poświęcony romantycznej twórczości powstającej w kraju; podręczników drugiego rodzaju jest kilkanaście i są one na ogół bardzo powierzchowne. Ciągle natomiast brak systematycznego wykładu na temat dorobku całości literatury romantycznej — być może spełni te nadzieje seria historyczno-literacka opracowywana przez zespół Instytutu Badań Literackich PAN, w której ukazały się dotychczas tomy poświęcone renesansowi, barokowi, oświeceniu i pozytywizmowi. Ale już tu uderza jakby „przeskoczenie" tej kluczowej dla naszej tradycji literackiej epoki. Kluczowej między innymi dlatego, że wówczas powstawały do dziś obowiązujące wzory postaw społecznych, utrwalone i upowszechnione w literaturze. Dlatego, że wykrystalizował się wówczas swoisty *ethos* walki, tak przecież nośny i dla narodu istotny. To on przecież, by pozostać przy jednym tylko przykładzie, stanowił o kształtowaniu postaw młodzieży w okresie ostatniej wojny. Przy czym nie bez znaczenia jest tu sprawa zakorzenienia polskiego romantyzmu w tradycji kultury szlacheckiej, ze wszystkimi jej wadami i zaletami. Dość powiedzieć tutaj, że z tej właśnie tradycji wywodzi się skupienie myśli społecznej i politycznej wokół centralnej kategorii wolności. Swoistość polskiego romantyzmu ufundowana była przecież na dotychczasowych doświadczeniach historycznych narodu, który wytworzył przed zaborami unikalny do dziś typ państwowości. Prawo krępowało tendencje absolu-

tystyczne, uniknięto też wytworzenia struktur urzędniczych policyjnych czy militarnych. Tradycje te cały czas są obecne w polskiej kulturze politycznej i stanowią, jak to zauważył Janusz Tazbir, „podbudowę wszelkich antytotalitarnych wystąpień". I tylko wtedy, gdy uświadomimy sobie rolę kultury szlacheckiej w dobie romantyzmu, stanie się jasne, że oskarżanie Polaków o polityczny idealizm nie brało pod uwagę realnych doświadczeń narodu, żywych w zbiorowej pamięci. Zrozumiemy też, że radykalizm społeczny romantyzmu polskiego wynikał bardziej z tradycyjnej koncepcji praw obywatelskich niż z ulegania wpływom ruchów socjalistycznych w XIX stuleciu. To przecież Konstytucja 3-go Maja, a nie Manifest Komunistyczny, stanowiła punkt odniesienia dla romantycznej myśli społecznej. Stąd też tak silny kult wolności, będący jednocześnie, o czym nie zawsze się u nas pamięta, kultem praw. Dopiero w tym ujęciu warto interpretować romantyczne zrywy powstańcze. I można w tej chwili zauważyć, że najnowsze badania tego okresu dość wyraźnie zmierzają w tym właśnie kierunku. Te właśnie tendencje widać zarówno w fundamentalnej monografii Marii Janion i Marii Żmigrodzkiej „Romantyzm i historia" jak i w eseistycznej pracy Tomasza Łubieńskiego „Bić się czy nie bić?". Ale jednocześnie, o czym też trzeba pamiętać, okres romantyzmu jest momentem, w którym kultura polska, nie zarzucając swej odrębności, silniej niż dotąd łączy się z Europą. Jest to oczywiste, jeśli zauważyć, że właśnie wtedy na Zachodzie kształtować się zaczynają zręby nowoczesnego społeczeństwa. demokratycznego, przełamującego ograniczenia i nadużycia absolutyzmu. Tutaj przecież osiadła główna fala wychodźstwa politycznego. Lecz w tym związku z Europą romantyzm polski nadal pozostawał sobą. Więcej — jak pisze w ostatnio wydanym tomie „Biblioteki romantycznej" Alina Witkowska — romantycy upatrywali przyszłość Europy w odrodzeniu przez słowiańszczyznę: „Stary i chory świat Zachodu — pisze w szkicu „Ja, głupi Słowianin" — przesycony cywilizacją i skarlały duchowo (nie intelektualnie) otrzymałby coś w rodzaju transfuzji młodej krwi słowiańskiej i naprowadzony zostałby na szlaki wielkiego wewnętrznego odrodzenia". Eksponowano tu oczywiście rolę Polski — odkupicielki narodów. Ten romantyczny mistycyzm, omówiony częściowo w eseju Aliny Kowalczykowej, otwierającym tom „Ciemne drogi szaleństwa" — ma widać jakieś racjonalne jądro, skoro po latach odezwie się w koncepcjach grupy skupionej wokół *Buntu Młodych*, młodzieży podnoszącej w okresie międzywojennym atrakcyjność polskiej kultury dla Europy. Charakterystyczne są tu zwłaszcza słowa Kazimierza Studentowicza: „W tym położeniu geograficznym co Polska może istnieć tylko naród wielki, mocarstwowy, o własnej odrębnej kulturze, promieniującej potężnie na zewnątrz i zdolnej do stworzenia wału ochronnego przeciw naporowi idącemu jednocześnie ze Wschodu i Zachodu". Jeśli wziąć pod uwagę, że taki termin jak „mocarstwowość" nie oznaczał tu dążeń imperialnych, a po prostu siłę wewnętrzną, moc duchową, zdolność samoobrony, to trafność tej formuły w dobie narastającego zagrożenia faszystowskim i komunistycznym totalitaryzmem wydaje się niepodważalna. Nacisk położony tu na odrębność i siłę kultury polskiej to kolejna wersja propozycji odnowy moralnej cywilizacji zachodniej. A i dzisiaj przecież dość często zarzucamy Zachodowi brak tego specyficznego doświadczenia, które stało się naszym udziałem i które uchroniło nas przed ubezwłasnowolnieniem kulturowym, ocaliło naszą tożsamość w konfrontacji z miażdżącym struktury duchowe systemem antykultury. Z tego punktu widzenia warto chyba raz jeszcze podjąć trud odczytania roli katolicyzmu w naszej kulturze romantycznej, jego wpływu na wszelkie odmiany ówczesnego mistycyzmu. Nie bez znaczenia są tu takie fakty, jak choćby udział Mickiewicza w założeniu zakonu braci Zmartwychwstańców. Jest zatem oczywiste, że dzisiaj, w okresie widocznego zrywu intelektualnego, badania kultury romantycznej stają się szczególnie ważne. Przez długi czas mieliśmy do czynienia z interpretacjami uproszczonymi, a nadto oderwanymi od szerszego kontekstu historycznego. Tymczasem — co widać choćby w dotychczasowym wysiłku badawczym ostatnich lat — romantyzm polski stał się specyficznym wehikułem przenoszącym do współczesności najlepsze osiągnięcia kultury szlacheckiej. W dobie szczególnie ciężkich doświadczeń historycznych ten nurt kultury oczyszczony został z głównych wad nagromadzonych w okresie przedrozbiorowym. Otrzymujemy ekstrakt oddziałujący niezwykle silnie — świadczy o tym powodzenie rewelacyjnej wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie „Polaków portret własny". Romantyzm byłby więc w Polsce rozwinięciem wzorca kultury szlacheckiej, uszlachetnionej cierpieniem i przez cierpienie oczyszczonej. Zrozumienie tych wszystkich zależności i przekształceń, oto sens tak dynamicznych badań nad tą epoką.

Krzysztof ZAWRAT

Nadesłane nowości wydawnicze

Universitas (kwartalnik Towarzystwa Przyjaciół Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie); nr 2, str. 19, Zurych, lipiec-wrzesień 1980).

Kalendarz 1981. (w niezależnym obiegu wydawniczym wyd. Niezależna Agencja Fotograficzna).

KARPIŃSKI (Wojciech). *Szkice o wolności.* Str. 95 i 1 nlb. (Wyd. Polonia Book Store and Publishers, Chicago 1980).

LITWIN (Aleksander). *I bogowie błądzili.* Str. 84 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

Antologia poezji żydowskiej (1868-1968). Wybór, przekład i opracowanie Zewa Szepsa. Str. 368. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

IWAŃSKA (Alicja). *Karnawały.* Str. 112 i 4 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

Krytyka (kwartalnik polityczny) nr 4. Str. 201 i 1 nlb. (Wyd. Aneks jako przedruk z wydania krajowego, Warszawa 1980).

BOROWICZ (Tadeusz). *Polacy wobec Moskwy. Wybór publicystyki.* Str. 158 i 2 nlb. (Wyd. nakładem autora, Lens, Francja 1980).

MANTEL (Feliks). *Wachlarz wspomnień.* Str. 254 i 2 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, Paryż 1980).

ŻUŁAWSKI (Marek). *Studium do autoportretu.* Str. 215 i 1 nlb. 16 reprodukcji barwnych. (Wyd. Czytelnik, Warszawa 1980, cena zł 75).

Ewangelia Jezusa. Str. 407. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż 1980).

BORWICZ (Michał) [„Zygmunt"]. *Spod szubienicy w teren.* Str. 183. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu, 1980).

CEGIEŁKA (Franciszek Antoni, ks. dr). *Siostra Faustyna, szafarka miłosierdzia Bożego.* Wydanie II, str. 334 i 2 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1980).

SKORUSA (Jan). *Bywaj dziewczę zdrowe.* Str. 251 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1980).

SPOTKANIA — Niezależne Pismo Młodych Katolików, nr 5-6. (Przedruk z nieoficjalnego wydania lubelskiego, wyd. przez „*Spotkania* Editions", 1980).

BONIECKI (Adam, ks.) *Budowa kościołów w diecezji przemyskiej. Reportaże napisane w latach 1976-1978.* Str. 147. (Wyd. „*Spotkania Editions*" w serii „Biblioteka *Spotkań*", 1980).

KRZYŻANOWSKI (Marian). *Anatomia rzeczywistości.* Str. 69 i 3 nlb. (Wyd. OPiM, Londyn 1980).

JUREWICZ (Lesław). *Zbrodnia czy początek wojny domowej.* Str. 149 i 3 nlb. (Wyd. w Londynie, 1980).

GRAN (Wiera). *Sztafeta oszczerców. Autobiografia śpiewaczki.* Str. 253 i 2 nlb. (Wyd. nakładem Autorki, 1980).

WOJTYŁA (Karol, ks. biskup-metropolita-kardynał). *Kazania 1962-1978.* Str. 527 i 3 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 160).

„Karmię Was tym, czym sam żyję" — Ojcowie żywi, 3. Ojcowie Kościoła komentują ewangelie niedzielne roku C. Opracował ks. Marek Starowieyski. Str. 433 i 5 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 80).

SCZANIECKI (Paweł, OSB). *Tyniec.* Str. 238 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 76).

MIŁOSZ (Czesław). *Światło dzienne.* Przedruk niektórych wierszy z wydania Instytutu Literackiego z 1955 r. Str. 79. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a, Warszawa 1980).

MIŁOSZ (Czesław). *Traktat poetycki - Traktat moralny.* Str. 51 i 2 nlb. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza NOW-a).

MIŁOSZ (Czesław). *Wiersze.* Str. 108 i 4 nlb. (W nieoficjalnym obiegu wydawniczym wydała Oficyna Poetów).

BUDREWICZ (Leszek). *Jak minął dzień?* Wiersze. Str. 33 i 2 nlb. (W nieoficjalnym obiegu wydawniczym wydała Biblioteka „Agory", Wrocław 1979).

SERCZYK (Władysław A.). *Związek Radziecki w latach 1921-1925.* Str. 46. (skrypt uczelniany nr 366, wyd. Uniwersytet Jagielloński, Instytut Historii, cena zł 4).

MIŁOSZ (Czesław). *Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada i inne wiersze.* Str. 143. (Wyd. Znak, Kraków 1980, cena zł 80).

BRANDYS (Kazimierz). *Miesiące.* Str. 174 i 2 nlb. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1980).

KAMIŃSKI (Aleksander), WASILEWSKI (Antoni). *Józef Grzesiak „Czarny".* Str. 58 i 2 nlb. (w niezależnym obiegu wydawniczym wydała Biblioteka *Spotkań*, Lublin 1980).

GOMBROWICZ (Witold). *Pornografia.* Str. 155. (w niezależnym obiegu wydawniczym wyd. Oficyna Narodowa, Pułtusk, maj 1980, przedruk z wyd. Instytutu Literackiego).

BARAŃCZAK (Stanisław). *Knebel i słowo.* Str. 43. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza w ramach zeszytów TKN, Warszawa 1980).

ŁAPIŃSKI (Zdzisław). *Między polityką a metafizyką (o poezji Czesława Miłosza).* Str. 43 i 1 nlb. (Wyd. Niezależna Oficyna Wydawnicza w ramach zeszytów TKN, Warszawa 1980).

KARPIŃSKI (Wojciech). *W Central Parku (fragment). Str. 30.* (w niezależnym obiegu wydawniczym wyd. Klin V).

DREWNOWSKI (Jan). *Problematyka opozycji demokratycznej w Polsce.* Str. 14. (Odczyt wygłoszony w Instytucie Badania Zagadnień Krajowych w Londynie 28 grudnia 1979, wyd. przez Wydawnictwo „Uzupełnienia" w Oslo jako przedruk z *Jutra Polski* z 26 października 1980).

GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1961-1963.* Str. 102. (przedruk I części tomu III „Dziennika" wydanego przez Instytut Literacki; w niezależnym obiegu wydawniczym wyd. Klin, 1980).

MERTENS (Victor, S.J.). *La nouvelle vitalité de l'Islam en Afrique Noire et ses implications pastorales.* Str. 48. (Wyd. Aide à l'Eglise en détresse, Königstein, RFN, 1980).

CRICK (Bernard). *George Orwell — a Life.* Str. 473 i 3 nlb. (Wyd. Secker and Warburg, Londyn 1980).

KURCZABA (Alex). *Gombrowicz and Frisch. Aspects of the Literary Diary.* Str. 197 i 3 nlb. (Wyd. Bouvier Verlag Herbert Grundmann, Bonn 1980).

In Defence of Poland's Freedom — 1980. Str 11. (Wyd. Polish Government in Exile, Londyn 1980).

JENA (Kai, von). *Polnische Ostpolitik nach dem Ersten Weltkrieg. Das Problem der Beziehungen zu Sowjetrussland nach dem Rigaer Frieden von 1921.* Str. 243 i 1 nlb. (Wyd. Deutsche Verlags-Anstalt jako 40-ty nr Schriftenreihe der Vierteljahrshefte für Zeitgeschichte, Stuttgart 1980).

Annali della Fondazione Luigi Einaudi, vol. XIII — 1979 Str. 460 i 8 nlb. (Wyd. Fondazione Luigi Einaudi, Turyn 1980).

Kamp för demokrati. Wybór artykułów i dokumentów polskiej opozycji demokratycznej pod redakcją M. Borowskiej, J. Święcickiego. Str. 221 i 3 nlb. (Wyd. Tindens Förlag, Sztokholm 1980).

MIŁOSZ (Czesław). *Fyra dikter.* Str. 16 nlb. Wydanie dwujęzyczne, polsko-szwedzkie. (Wyd. Bromberg Brombergs, Stockholm 1980).

HERBERT (Zbignjev). *Zašto klasici. (Izbor iz poezije).* Str. 165 i 3 nlb. (Wyd. IRO „Veselin Masleša", OO Izdavačka Djelatnost, Sarajewo 1980).

JANOUCH (František). *Neretušovani Pohlednice z Číny.* Str. 132 i 4 nlb. (Wyd. INDEX, Společnost pro československou literaturu v zahraničí, Kolonia 1980).

Lica. Casopis mladih za društvena pitanja kulturu i umjetnost, nr 6/80, Sarajewo 1980.

KOUS (Swiatasłau). *Rusalczyna Ballada. Lagendy, apawiadanii, wybranyja referaty.* Str. 162 i 2 nlb. (Wyd. nakładem autora, 1980).

OGRODZIŃSKI (Władysław). *Nad jeziorem.* Str. 273 i 3 nlb. (Wyd. Pojezierze, Olsztyn - Białystok 1980, cena zł 40).

SZEJNERT (Małgorzata). *i niespokojnie, tu i tam.* Str. 228 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, 1980, cena zł 43).

PANAS (Henryk). *Rozstania. Szkic autobiograficzny.* Str. 175. (Wyd. Pojezierze, 1980, cena zł 35).

SOBOTKO „ROSOMAK" (Mieczysław). *Między Turią a Bugiem.* Str. 182 i 2 nlb. (Wyd. Pojezierze, 1980, cena zł 30).

GRABOWSKI (Jan). *Kochany zwierzyniec.* Str. 116 i 4 nlb. (Wyd. Pojezierze, 1980, cena zł 45).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

11-10-80
Rada Polityczna Konfederacji Polski Niepodległej wybrała Romualda Szeremietiewa na stanowisko p.o. przewodniczącego K.P.N. na okres aresztowania Leszka Moczulskiego. P. Szeremietiew zawiesił działalność KPN w związku z sytuacją w kraju.

28-10-80
W 1980 roku PRL zakupiła 7 mln ton zboża konsumpcyjnego i paszowego, 1,5 mln ton pasz pochodzenia roślinnego. Ponadto sprowadzono 113 tys. ton olejów jadalnych, głównie przeznaczonych do przerobu na margarynę. W Związku Sowieckim zakupiono pół mln. ton pszenicy, poza ilością przewidzianą planem. Zboże sowieckie kosztuje $ 172,00 za tonę, amerykańska pszenica loco porty polskie $ 229,00 za tonę, a francuska $ 201,00.

3-11-80
W studenckim klubie „Riviera-remont" w Warszawie odbyła się dyskusja o Polsce dr. Wojciecha Lamentowicza z Wyższej Szkoły Nauk Społecznych, członka PZPR i Adama Michnika z KSS „KOR".

5-11-80
Radio warszawskie przeprowadziło wywiad z redakcją *Przyjaźń*, pismem poświęconym współpracy polsko-sowieckiej. Redaktor pisma, Józef Potęga, stwierdza, że nakład pisma wynosi 120.000 egzemplarzy z czego 30.000 rozprowadza się na terenie Związku Sowieckiego. Do tych 30.000 dodawana jest wkładka w języku rosyjskim, w tym m.in. lekcje języka polskiego.

11-11-80
Zmarł w Warszawie Eugeniusz Szrojt, znany dziennikarz z okresu międzywojennego.

13-11-80
Rada Najwyższa ZSSR przyznała Order Przyjaźni Narodów Jerzemu Putramentowi „za aktywną działalność społeczno-literacką, zmierzającą do rozwoju polsko-radzieckiej przyjaźni i współpracy".

14-11-80
Prezesem Polskiego PEN-Clubu został Juliusz Żuławski, wiceprezesami — Jerzy Zagórski i Artur Międzyrzecki, sekretarzem — Władysław Bartoszewski, skarbnikiem — Andrzej Szczypiorski. Do zarządu weszli Lech Bądkowski, Marian Brandys, Andrzej Braun, Władysław Czapliński, Karol Estreicher, Jerzy Ficowski, Paweł Hertz, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Egon Naganowski, Seweryn Pollak, Leszek Prorok, Jan Józef Szczepański.

16-11-80
Największy producent słodyczy w Polsce, Zakłady im. 22 Lipca (dawny E. Wedel) wstrzymał produkcję cukierków — zabrakło surowca. ■
W Muzeum Narodowym w Warszawie odbyła się aukcja dzieł sztuki, zorganizowana przez Związek Polskich Artystów Plastyków na rzecz „Solidarności". Na aukcję zgłosiło swoje prace — ogółem 1.100 — około 900 artystów. Milion sto tysięcy złotych uzyskanych ze sprzedaży tych prac przekazano związkowi „Solidarność" regionu warszawskiego. Wobec dużego zainteresowania następna aukcja ma się odbyć w niedługim czasie.

23-11-80
W Żninie zmarła w wieku 88 lat Wanda Dobaczewska, znana powieściopisarka, przede wszystkim z okresu międzywojennego. Związana z Wilnem.

29-11-80
Doroczne nagrody im. Wł. Pietrzaka, przyznawane przez Stowarzyszenie „PAX" otrzymali: prof. dr J. Groszkowski, prof. dr J. Prończuk, J. Dobraczyński, Z. Milewski, J. Szczypka, prof. B. Chromy, M. Biel (Brzeziński). Nagrodę specjalną otrzymał miesięcznik *Życie i Myśl*.

30-11-80
Nagrodę im. Andrzeja Struga, ufundowaną przez wdowę po pisarzu, przyznano w tym roku Tadeuszowi Mazowieckiemu, publicyście, redaktorowi naczelnemu miesięcznika *W i ę ź*.

3-12-80
Ostatnie Plenum KC PZPR przyjęło uchwałę w sprawie odpowiedzialności personalnej Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza. Oto tekst tej uchwały: „W związku z odpowiedzialnością za błędy polityczne, społeczno-gospodarcze i ideologiczne a także za niesłuszne decyzje, które stały się przyczynami obecnej kryzysowej sytuacji oraz wskazaniem VI plenum KC PZPR, że odpowiedzialność ta umiejscawia się przede wszystkim w centralnych ogniwach partii władzy, VII plenum KC partii uznaje za niezbędne określić odpowiedzialność partyjną towarzysza Edwarda Gierka i tow. Piotra Jaroszewicza. Sprawa tow. Edwarda Gierka nie mogła być rozpatrzona przez VI plenum KC z powodu jego choroby. Tow. Edward Gierek — również w obecnym plenum — mimo zaproszenia — nie uczestniczy. — KC PZPR stwierdza, że jest niemożliwe dalsze odkładanie rozpatrzenia odpowiedzialności tow. Edwarda Gierka. Był on w ciągu ponad 9 lat I sekretarzem KC. Wiele słusznych akceptowanych społecznie decyzji oraz przedsięwzięć politycznych, społecznych i gospodarczych w latach 70-tych dokonało się z jego inicjatywy i przy jego współudziale. Dotyczy to w szczególności wyjścia z kryzysu grudniowego, podjęcia i zaawansowania szeregu programów gosgospodarczych i socjalnych. Jednocześnie na tow. E. Gierku ciąży poważna osobista odpowiedzialność za samowolę w polityce ekonomicznej i społecznej, za ignorowanie spraw ekonomicznych, nieliczenie się z opiniami krytycznymi. Najważniejszym błędem tow. E. Gierka było stworzenie sprzecznego z zasadami partii układu stosunków i metod działania w kierownictwie partii. Sprzyjał on intryganctwu oraz zastępowaniu rzeczywistej demokracji pozorami. — KC, BP i sekretariat absorbowane były sprawami drugorzędnymi a sprawy o zasadniczym znaczeniu rozstrzygane były poza nimi. Tow. E. Gierek ponosi także odpowiedzialność za poważne błędy w polityce kadrowej na szczeblu centralnym. W związku z powyższym KC PZPR postanawia odwołać tow. E. Gierka ze składu KC. — Rozpatrzenia wymaga także sprawa odpowiedzialności towarzysza Piotra Jaroszewicza. Mając dominujący wpływ na politykę społeczno-gospodarczą w całym 10-leciu, w szczególności odegrał on kluczową rolę w lansowaniu przekraczającej możliwości kraju i spójnej wewnętrznej polityki inwestycyjnej i w powiększaniu zadłużenia kraju. Poważne odpowiedzialność ciąży na tow. P. Jaroszewiczu za forsowanie czerwcowego projektu zmian cen w 1976 roku, a co ważniejsze, za przeciwstawianie się wszelkim próbom poważnych zmian polityki społeczno-gospodarczej. Apodyktyczny i autokratyczny styl kierowania tow. P. Jaroszewicza prowadził do pochopnych decyzji gospodarczych i kadrowych, ignorowania opinii partyjnej i nieliczenia się z głosami krytyki. W związku

z tym KC postanawia: Zobowiązać centralną komisję kontroli partyjnej do rozpatrzenia sprawy tow. P. Jaroszewicza i podjęcia decyzji co do jego przynależności do partii, wnikliwego zbadania jego odpowiedzialności oraz zasadności zarzutów o nadużywaniu stanowiska a także poinformowanie partii i opinii publicznej o wynikach. — Przyjęto następnie uchwałę dotyczącą zobowiązania byłych członków kierownictwa partii do rezygnacji z mandatów poselskich. — Oto treść tej uchwały: W związku z decyzją powziętą przez VI plenum KC partii o wykluczeniu z KC byłych członków kierownictwa partii VII plenum KC PZPR zobowiązuje towarzyszy Edwarda Babiucha, Jerzego Łukaszewicza, Tadeusza Pykę, Jana Szydlaka, Tadeusza Wrzaszczyka, Zdzisława Żandarowskiego do rezygnacji z mandatów poselskich, jakie z rekomendacji KC PZPR otrzymali w wyborach do Sejmu PRL. — KC zobowiązuje towarzysza E. Gierka do rezygnacji z mandatu poselskiego i z funkcji członka Rady Państwa jakie z rekomendacji KC PZPR otrzymał w wyborach do Sejmu PRL. — VII plenum KC zobowiązuje również tow. P. Jaroszewicza do złożenia mandatu jaki z rekomendacji KC otrzymał w wyborach do Sejmu. — Z kolei przyjęto uchwałę dotyczącą odpowiedzialności partyjnej Adama Glazura i Włodzimierza Lejczaka za ostre zaniedbania w pracy kierowanych przez nich resortów. Oto uchwała: — KC PZPR postanawia odwołać ze składu zastępców członków KC partii towarzyszy: Adama Glazura, byłego ministra budownictwa i przemysłu materiałów budowlanych, za niewłaściwe kierowanie resortem i karygodne zaniedbania w wykonywaniu planów budownictwa mieszkaniowego i przemysłowego oraz współudział w przedkładaniu nierzetelnych danych statystycznych, dotyczących budownictwa; Włodzimierza Lejczaka, byłego ministra górnictwa, za tolerowanie nieprawdziwych danych dotyczących wydobycia węgla oraz jego jakości, a także praktykę fikcyjnego obrotu węglem, co było kilkakrotnie dokumentowane przez Najwyższą Izbę Kontroli. — KC PZPR zobowiązuje centralną komisję kontroli partyjnej do zbadania zarzutów o nadużywaniu przez Adama Glazura stanowiska służbowego z podaniem wyników prac komisji do publicznej wiadomości. — KC zwolnił Wł. Kruczka, Alojzego Karkoszkę, St. Kowalczyka i Andrzeja Werblana z funkcji członków Biura Politycznego. — Andrzej Werblan zwolniony został z funkcji sekretarza KC. Złożył on oświadczenie przedstawiając motywy swojej decyzji. — St. Kania podziękował tym towarzyszom życząc im, aby w miarę swych sił aktywnie służyli partii i socjalistycznej Polsce. — Na członków Biura Politycznego powołano: Mieczysława Moczara, prezesa NIK-u i Tadeusza Grabskiego, sekretarza KC, na zastępcę członka Biura Politycznego Tadeusza Fiszbacha, I sekretarza KW partii w Gdańsku, na sekretarza KC powołano Romana Neya, zastępcę członka Biura Politycznego, rektora AGH w Krakowie.

7-12-89
Centralna Komisja Kontroli Partyjnej PZPR informuje, że w ostatnim czasie wydalono z partii 51 dyrektorów i kierowników różnych instytucji, m.in. byłego ministra handlu zagranicznego i gospodarki morskiej, Jerzego Olszewskiego. ■ Ministerstwo Finansów PRL wystąpiło z projektem podniesienia z dniem 1. 1. 1981 roku podatku dla rzemiosła. Podwyżka jest wyższa 2-5-krotnie od obecnej wysokości opodatkowania. Dziwne metody podniesienia polskiej gospodarki. ■ Kolejna Kontrola Najwyższej Izby Kontroli stwierdziła, że z 25-ciu licencji zakupionych przez przemysł motoryzacyjny tylko 14 jest normalnie wykorzystywanych. Pozostałe są wykorzystywane z paroletnim opóźnieniem lub niewykorzystane w pełni. Ponadto delegatura łódzka NIK stwierdziła, że na skontrolowanych 4.400 domków jednorodzinnych i letniskowych, wybudowanych w ostatnim 10-leciu, połowa była wybudowana nielegalnie a 1.800 wybudowano na terenach rolniczych, nieprzeznaczonych pod tego rodzaju budownictwo.

6-12-80
Radio warszawskie podaje, że do Peru przybyła delegacja „Solidarności" na zaproszenie Centrali Związkowej Ameryki Łacińskiej w Limie. Następnie delegacja udała się do Venezueli zaproszona przez Centralę Związkową S.T.W., a stamtąd do Madrytu. Jeśli ta informacja jest ścisła, to wywołuje zdziwienie, że te wizyty zaczynają się od Ameryki Południowej, a nie od europejskich Związków Zawodowych, wykazujących tyle sympatii i realnej pomocy dla „Solidarności". ■ W Warszawie odbyło się zebranie przedstawicieli Klubów Inteligencji Katolickiej z Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Torunia, Poznania, Gdańska, Szczecina, Katowic, Olsztyna, Elbląga, Tarnowa, Częstochowy i Nowego Sącza oraz redakcji *Tygodnika Powszechnego*, *Więzi*, miesięcznika *Znak* i Wydawnictwa „Znak". Przedmiot dyskusji stanowiły następujące problemy: — ogólna sytuacja w kraju; niebezpieczeństwa i zagrożenia, — stan społeczno-moralny społeczeństwa, — zadania laikatu katolickiego.

11-12-80
P. Mieczysław Pruszyński ufundował nagrodę im. Adolfa Bocheńskiego z dziedziny publicystyki politycznej — wyłącznie krajowej. Nagroda ta została przyznana Stefanowi Bratkowskiemu. Początkowo jury chciało przyznać nagrodę p. Andrzejowi Micewskiemu, ale musiało ustąpić na skutek gwałtownego protestu Aleksandra Bocheńskiego, który uważał, że książka Andrzeja Micewskiego „Współrządzić czy nie kłamać" jest obraźliwa dla PAX-u i Bolesława Piaseckiego. Ponieważ Aleksander Bocheński zagroził ustąpieniem z jury — jury ustąpiło. W skład jury wchodzą pp. Aleksander Bocheński, prof. Maria Dembińska, dr Marcin Król, prof. Zofia Libiszowska, red. Jan Meysztowicz, red. Edmund Moszyński, Mieczysław Pruszyński, Stanisław Stomma i red. Jerzy Turowicz oraz p. Teresa Tyszkiewicz. Nagroda wynosi zł 100.000.

16-12-80
W Gdańsku miało miejsce poświęcenie pomnika dla uczczenia pamięci stoczniowców zabitych w grudniu 1970 roku. Początkowo na pomniku miał figurować napis: „Pomnik stoczniowców, którzy zginęli w grudniu 1970". Na skutek interwencji ks. Orszulika ustalono napis: „Tym którzy zginęli w grudniu 1970", gdyż — jak oświadczył ks. Orszulik korespondentowi *Figaro* p. B. Margueritte — zginęło wówczas wielu ludzi którzy nie byli stoczniowcami, jak uczniowie szkół technicznych, robotnicy z innych zakładów a również milicjanci i żołnierze o których — zdaniem Episkopatu — nie można zapomnieć w dniu zgody narodowej. Na pomniku wyryto: zdanie wygłoszone przez Papieża w czasie jego pobytu w Polsce, werset biblijny wybrany przez Czesława Miłosza oraz jego wiersz.

21-12-80
Jak podaje korespondent paryskiego *Le Monde* Lech Wałęsa udaje się do Włoch 13 stycznia w otoczeniu licznej reprezentacji Episkopatu. Pobyt we Włoszech ma trwać tydzień czasu, z tego pierwsze dwa dni są całkowicie poświęcone Watykanowi. Wałęsa oficjalnie jest zaproszony przez włoskie Związki Zawodowe nie tylko chadeckie ale również socjalistyczne i komunistyczne. Pomijając fakt czy w obecnej sytuacji jest celowe, by Wałęsa wyjeżdżał z Polski, należy się obawiać, że te demonstracyjne firmowanie „Solidarności" przez Kościół wywoła mieszane uczucia w zachodnich Związkach Zawodowych, które nie są chadeckie, a które taką sympatią i *realną* pomocą przychodzą „Solidarności". ■ Władze PRL wprowadziły na okres świąteczny kartki na przydział mięsa i wędlin. ■ Od stycznia 1981 roku

Polska zawiesza komunikację promową między Gdańskiem a portem szwedzkim Karlskrona. Zapewne zostanie również zawieszona komunikacja z portem Nynaesham w pobliżu Stockholmu.

ZACHÓD — EMIGRACJA

11-11-80
Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie zorganizowało w Londynie wieczór upamiętniający 450 rocznicę urodzin Jana Kochanowskiego. Odczyt „Kochanowski u swoich współczesnych" wygłosił prof. Wiktor Weintraub z Harvard University, wybrane wiersze czytały: Tola Korian i Hanka Rawicz. Przewodniczył prof. Tymon Terlecki.

25-11-80
Z inicjatywy Związku Pisarzy Polskich na obczyźnie odbył się w POSK-u w Londynie wieczór poświęcony Czesławowi Miłoszowi.

30-11-80
Polska wersja *Osservatore Romano*, ukazująca się raz na miesiąc pod redakcją ks. Adama Bonieckiego, otrzymała zgodę na kolportaż w Polsce 60.000 egzemplarzy. Zgoda ta jest wynikiem długotrwałych rokowań. Może dzięki nim polskie *Osservatore Romano* jest wydawnictwem niesłychanie bladym. Czy nie lepiej byłoby wynegocjować powiększenia nakładu *Tygodnika Powszechnego* w Krakowie, który nadal nie może uzyskać odpowiedniego przydziału papieru?

3-12-80
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyło się walne zebranie Towarzystwa Polsko-Ukraińskiego. Po wysłuchaniu sprawozdania z dwuletniej działalności wyrażono podziękowanie i absolutorium ustępującemu zarządowi z prof. Jerzym Langrodem na czele. Nowy zarząd, w którym prezesura przypada stronie ukraińskiej, stanowią: prezes — inż. Wasyl Mychalczuk, wiceprezes — Władysław Żeleński, członkowie ukraińscy: Katarzyna Sztul, Olga Witochyńska oraz Bazyli Mułek, członkowie polscy: Zygmunt Hermaszewski, Marek Franciszkowski i Piotr Jegliński.

5-12-80
Tegoroczne nagrody pisarskie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Londynie otrzymali pp. Peter Raina za książkę poświęconą Kardynałowi Wyszyńskiemu, Wiesław A. Lasocki za całokształt twórczości, oraz Studium Polski Podziemnej za pracę „Armia Krajowa w dokumentach". Nagrody Rainy i Lasockiego wynoszą £ 200, a Studium otrzymało £ 600.

9-12-80
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wykład prof. Daniela Beauvois pt. „Présentation du deuxième volume des Voyages de Jean Potocki: Le Caucase et la Chine".

10-12-80
Tegoroczną nagrodę dziennikarską w Londynie otrzymał W. A. Zbyszewski. Nagroda została ufundowana przez p. F. Cassel-Kokczyńskiego, dyrektora Haskoby i wynosi £ 200.

12-12-80
W Centre du Dialogue w Paryżu Jerzy Turowicz, redaktor naczelny *Tygodnika Powszechnego*, wygłosił odczyt: „Polski Sierpień 1980".

17-12-80
W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się — zorganizowany przez Towarzystwo Historyczno-Literackie — wieczór, poświęcony Czesławowi Miłoszowi, na którym wiersze poety recytował Andrzej Seweryn.

18-12-80
W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Czesława Miłosza. Wiersze recytował autor oraz Jerzy Turowicz. ■ Od roku 1974 istnieje w Bagneux w rejonie paryskim foyer katolickie im. M. Kolbe dla studentek polskich. Foyer w czasie swego istnienia gościło ponad tysiąc studentek. Obecnie powstała inicjatywa stworzenia możliwie szybko ośrodka opieki i pomocy dla studentów polskich, pragnących studiować we Francji. Utworzono komitet honorowy złożony m.in. z kard. Etchegaray, kard. Marty, mera Paryża J. Chiraca i innych. Jest już przewidziany odpowiednio wyekwipowany budynek w 15 arr. W najbliższym czasie ma być ogłoszona publiczna subskrypcja. Informacje można otrzymać w: Foyer M. Kolbe, 97 rue de Verdun, 92220 Bagneux.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

Zmarł prezes Fundacji Jurzykowskich Alexis Coudert. Na jego miejsce dokooptowano do zarządu żonę adwokata M. Cohen. ■ Tegoroczne nagrody Fundacji Jurzykowskich zostały przyznane: Dr. Edward Ruzyłło, medycyna (Polska), Karol Maramorosh — biolog (USA), Aleksander Pełczyński — matematyk (Polska), Aleksander Łowniański — historyk (Polska), Maria Janion — historyk literatury (Polska), Stanisław Barańczak — literat (Polska), Nathan Rapatort — rzeźbiarz (USA), Kazimierz Sikorski — kompozytor (Polska), Stefania Kossowska — redaktor (Anglia). Nagrody dla tłumaczy otrzymali: Daniel Beauvois i Claude Backvis. ■ 11. 12. 1980 roku zmarła w Nowym Jorku Halina Wierzyńska. Jej prochy zostaną później przewiezione do Warszawy i pochowane obok męża, Kazimierza Wierzyńskiego, w Alei Zasłużonych na Starych Powązkach. ■ W 32-gą rocznicę ogłoszenia Powszechnej Deklaracjii Praw Człowieka Międzynarodowa Liga Obrony Praw Człowieka *(International League for Human Rights)* przyznała swoją doroczną nagrodę NSZZ „Solidarność". ■ Stella Walasiewiczówna została zastrzelona w Cleveland przez bandytów, którzy próbowali ją obrabować. Walasiewiczówna zdobyła złoty medal na Olimpiadzie w Los Angeles w 1932 roku i ustanowiła wiele polskich rekordów lekkoatletycznych. ■ W programie telewizyjnym NEW na kanale 5-tym w dn. 24 listopada 1980 reporterka Aida Alvarez przeprowadziła krótki wywiad z p. Markiem Krzyżańskim z redakcji *Nowego Dziennika*, codziennego pisma polonijnego wychodzącego w Nowym Jorku. P. Krzyżański, którzy przedstawił się jako pełniący funkcje zastępcy redaktora naczelnego, udzielał odpowiedzi w sprawach dotyczących obecnych przemian w Polsce. W toku rozmowy p. Krzyżański poinformował telewidzów, że „Solidarność" nie dotrzymała sierpniowej umowy zawartej z rządem PRL w sprawie nie prowadzenia działalności politycznej, ponieważ żądanie tej organizacji zwolnienia Leszka Moczulskiego z więzienia jest z jej strony aktem działalności politycznej. *Nowy Dziennik*, który z pewnymi zastrzeżeniami zajmuje stanowisko popierające ruch całego społeczeństwa polskiego, nie zabrał tym razem głosu, żeby odciąć się od poglądów wyrażonych przez swego pracownika. W ten sposób redakcja *Nowego Dziennika* wywołała wśród amerykańskich telewidzów wrażenie, że taki — jak przedstawił go p. Krzyżański — jest punkt widzenia najpopularniejszego pisma polonijnego wychodzącego na

Wschodnim Wybrzeżu Stanów. ■ Poetry Society of America nagrodę Witler Bynner Award w wysokości $ 1.000 za najlepszy tom wierszy przetłumaczonych z innego języka na angielski przyznało Czesławowi Miłoszowi za „Bells in Winter". ■ Profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, Alfred Tarski, obchodzi 14 stycznia 1981 roku 80-tą rocznicę urodzin. Redakcja *Kultury* łączy się z jego amerykańskimi kolegami w hołdzie dla wybitnego uczonego.

KRONIKA KANADYJSKA

W Kanadzie zmarł we wrześniu 1980 roku w wieku lat 81 Władysław Baśkiewicz, działacz społeczny interesujący się przede wszystkim problematyką współpracy polsko-ukraińskiej.

KRONIKA SZWEDZKA

8 grudnia 1980 roku w XVIII-wiecznej sali Szwedzkiej Akademii, Miłosz wygłosił tradycyjny wykład laureata nagrody literackiej. Wśród licznie zgromadzonych osób obecni byli także zaproszeni przez Fundację Nobla goście z Polski: prof. dr Irena Sławińska z KUL-u, Stefan Kisielewski, Jacek Woźniakowski, Mirosław Chojecki, Stanisław Barańczak oraz rodzina Czesława Miłosza. Środki masowego przekazu skorzystały z pobytu w Sztokholmie tych wybitnych polskich pisarzy i działaczy, ogłaszając liczne wywiady. Na uroczystościach obecni byli również Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz z Instytutu Literackiego.

Następnego dnia Fundacja Nobla i jej dyrektor, Stig Ramel, wydali w tejże sali Akademii przyjęcie dla wszystkich laureatów nagród 1980 roku.

Punktem kulminacyjnym uroczystości noblowskich była wielka akademia w sali koncertowej Filharmonii sztokholmskiej. Po scharakteryzowaniu poszczególnych laureatów przez przedstawicieli instytucji naukowych, które ich desygnowały, Król wręczał nagrody. Następnie w ratuszu odbył się bankiet na 1.200 osób.

W piątek, 12 grudnia, odbyło się spotkanie Czesława Miłosza z polską kolonią, zorganizowane przez Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* paryskiej w sali szwedzkiej Akademii, zapełnionej po brzegi Polakami. Tegoż dnia Miłosz miał wykład na Uniwersytecie Sztokholmskim w języku polskim i angielskim, a cały następny dzień spędził w Uppsali, gdzie wygłosił przemówienie i czytał swoje poezje na Uniwersytecie Uppsalskim.

Nie zabrakło jednak zgrzytu, jakim stała się podana przez szwedzką prasę wiadomość, że wśród laureatów Nobla, którzy podpisali depeszę do Breżniewa w sprawie aresztowanego sowieckiego matematyka Wiktora Braiłowskiego zabrakło podpisu Czesława Miłosza. Prasa szwedzka zaopatrzyła to w tendencyjny komentarz, jakoby Miłosz unikał wypowiedzi zahaczających o aktualną problematykę polityczną. Jeden z dzienników stwierdził jednak, że nikt się w tej sprawie do Miłosza nie zwracał.

◆

Uzupełnieniem polskich uroczystości związanych z przyznaniem Czesławowi Miłoszowi Nagrody Nobla był wieczór zorganizowany przez Federację Uchodźstwa Polskiego. Na program złożyły się: zagajenie przez prezesa Jerzego Urbańskiego oraz redaktora Ludomira Gąsowskiego, następnie wypowiedzi i dyskusje z publicznością Mirosława Chojeckiego i Stefana Kisielewskiego. Zebranie zakończył występ pianistki Alicji Johansson, która wykonała utwory Chopina. Warto zaznaczyć, że w czasie tego wieczoru została zebrana dość pokaźna suma na rzecz wydawnictw, ukazujących się w Polsce poza cenzurą. Inny zgrzytem był wywiad p. Adama Bromberga udzielony szwedzkiemu pismu *Expressen* w dn. 10. 12. 1980 (a więc w dniu rozdania nagród Fundacji Nobla). Wywiad ten wywołał duże poruszenie wśród Polonii szwedzkiej, która oceniła go bardzo negatywnie.

Ogłoszona w grudniu 1980 roku przez czołowe księgarnie szwedzkie statystyka sprzedaży książek wykazała, że książki Miłosza znajdują się między drugą a szóstą pozycją, zależnie od księgarni (na pierwszym miejscu znalazły się pamiętniki artystki filmowej Ingrid Bergman). W przekładzie szwedzkim ukazały się dotychczas następujące książki Czesława Miłosza: „Zniewolony umysł" (wydany po raz pierwszy w 1956 roku przez wielką spółkę wydawniczą „Natur och Kultur", było to jedyne dzieło Miłosza znane w Szwecji przed przyznaniem mu nagrody Nobla), następnie wybór wierszy pt. „Möte" („Spotkanie"), wydany przez „Scientia Brombergs Bokforlag" i obecnie „Dolina Issy" oraz wybór esejów pt. „Jestem tu", które ukazały się w tymże wydawnictwie.

KONFERENCJA W MADRYCIE

W Madrycie odbyła się w dniach 9-22 listopada konferencja dysydentów sowieckich i wschodnioeuropejskich. Została zorganizowana przez *Ad Hoc Committee for the Madrid-Helsinki* (USA), którego sekretarzem organizacyjnym jest prof. Allan Weinstein, współpracowniczką i współorganizatorką Ludmiła Thorne *(Freedom House)* i który stanowi zalążek tworzącego się właśnie w USA *Citizens Committee* (grupującego takie osoby jak, m.in., S. Bellow, L. Bernstein, R. Conquest, L. Łabędź, S. M. Lipset, R. Nisbet, M. Nowak, R. Pipes, L. Kołakowski, R. Aron) i całą rzeszę dysydentów wschodnioeuropejskich (Bukowski, Gorbaniewska, Dżilas, Kuzniecow, Michajłow, Siniawski, Walendowski i in.). Drugim współorganizatorem imprezy był *Helsinki Watch Committee,* na czele którego stoją Robert Bernstein (prezes *Random House,* dużej firmy wydawniczej) i Orville Schell, a do którego należy m.in. Ludmiła Aleksiejewa z Moskiewskiej Grupy Helsinki, współpracującej z Andriejem Sacharowem.

Zjazd ten zyskał sobie miano konferencji paralelnej: odbywał się równolegle do toczących się właśnie w Madrycie obrad KBWE. Stał się okazją do wielu imprez, dyskusji, konferencji.

W poniedziałek 10 listopada zainaugurowano wystawę samizdatu zorganizowaną przez Pawła Tigrida i Andrzeja Stypułkowskiego przy wydatnej pomocy Piotra Jeglińskiego. Obszernie eksponowano wydawnictwa NOW-ej, Trzeciego Maja a także prasę niezależną: *Krytykę, Res Publikę, Spotkania, Zapis* krajowy i londyński, fotografie Mirosława Chojeckiego, Jacka Bierezina i drzwi wejściowych do GUKPPiW[1] (krajowa okładka „Księgi Cenzury" wydanej nakładem NOW-ej), prymitywny powielacz spirytusowy, koszulki „Solidarności". Rosjanie zaprezentowali maszynopisowy samizdat sowiecki, liczne fotografie więźniów po-

1. Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk.

litycznych zaopatrzone w opis ich spraw i wyroków. Czesi przedstawili dokumenty Karty 77 i liczne publikacje krajowe i emigracyjne.

Wystawa, otwarta przez cały czas trwania konferencji paralelnej, przyciągnęła szerokie rzesze publiczności, odwiedziło ją wielu dziennikarzy prasy zachodniej i emigracyjnej, telewizje RFN, Francji i Hiszpanii oraz — co było rzadsze — osobistości zachodniego życia politycznego: Rocard, Jospin, Pelikan[2].

W dniu otwarcia wystawy muzycy hiszpańscy dali koncert na cześć Andrieja Sacharowa. 11 listopada odbyła się konferencja prasowa zorganizowana przez *Ad Hoc Committee*. Zabrali głos: gen. Hryhorenko, Wł. Bukowski, H. Khlgatin (Ormianin z niezależnego ruchu zawodowego), T. Venclova, L. Aleksiejewa, dwaj członkowie francuskiej Grupy Helsinki oraz B. Toruńczyk. Konferencji prasowej przewodniczył prof. A. Weinstein oraz L. Thorne. Mówcy podali obszerne informacje dotyczące łamania praw człowieka w ZSSR, B. Toruńczyk przedstawiła oświadczenie KOR-u i dokument opracowany przez Komisję Helsińską w Polsce „O przestrzeganiu praw człowieka i obywatela w PRL", sygnowany przez L. Cohna, E. Lipińskiego, Z. Romaszewskiego i A. Steinsbergową, a opracowany przy pomocy Biura Interwencyjnego KOR-u (Warszawa, październik 1980). Obszerne fragmenty tego dokumentu, przetłumaczone w rekordowym czasie na język angielski, były szeroko rozpowszechniane wśród uczestników konferencji paralelnej i udostępnione prasie zachodniej.

W ciągu tygodniowej konferencji niezliczone grupy dysydentów przyciągały uwagę opinii publicznej: Afgańczycy — w tym dwie osoby przybyłe wprost z okupowanego kraju, uczestnicy ruchu oporu; Niemcy domagali się zniesienia zaostrzonych przepisów ograniczających kontakty z NRD, świeżo wprowadzonych w życie (zademonstrowali także autentyczny karabin automatyczny z muru berlińskiego, który samoczynnie strzela do obiektu ukazującego się w jego zasięgu); Czesi mówili o sytuacji w CSRS, jako reprezentant Karty 77 zjawił się Jiři Lederer, od dwu miesięcy przebywający na Zachodzie, tuż przed wyjazdem zwolniony z więzienia; Bałtowie i Ukraińcy przedstawiali sytuację swych narodów. A byli także członkowie Międzynarodowego Komitetu im. Sacharowa i wybitni przedstawiciele ruchu opozycyjnego w ZSSR: Hryhorenko, Bukowski, Kuzniecow, Ginzburg, Gorbaniewska, Pliuszcz, Venclova, Aleksiejewa, Borysow, Wladas Šakalis (Litwin, działacz Grupy Helsińskiej, który podczas Olimpiady piechotą przedostał się przez Finlandię na Zachód, ratując się przed aresztowaniem). Z PRL była Barbara Toruńczyk, lecz strona polska była z niezrozumiałych względów niezwykle słabo reprezentowana. Romaszewski nie dostał paszportu, nie tłumaczy to jednak

2. W Madrycie była podówczas obecna czołówka zachodnioeuropejskiego życia politycznego w związku z odbywającym się tam zjazdem Międzynarodówki Socjalistycznej. Lecz ani Brandt, ani Mitterand, ani Craxi nie zjawili się na imprezach konferencji paralelnej.

dlaczego organizatorzy nie zadbali o szerszą reprezentację najnowszej emigracji, pozostającej przecież w żywym kontakcie z krajem.

Jedną z sensacji konferencji paralelnej był list trzech opozycjonistów czeskich znajdujących się w więzieniu. Jaclan Benda, Vaclav Havel i Jiři Dienstbier wystosowali mianowicie w związku z odbywającą się KBWE pismo, w którym postulują aby państwa-sygnatariusze Aktu Końcowego w Helsinkach zostały zobowiązane do przedstawiania listy swoich więźniów politycznych i aby wyłoniona w tym celu w Madrycie komisja zajęła się zbadaniem uzasadnień prawnych tych wyroków, tak z punktu widzenia helsińskiego Aktu Końcowego, jak z punktu widzenia Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela, oraz żeby zajęła się kontrolą warunków życia i zdrowia tych więźniów.

Na *party* wydaną przez *Helsinki Watch Committee*, na której byli obecni wszyscy uczestnicy konferencji paralelnej, przybyła amerykańska delegacja rządowa na KBWE, m.in. dwaj jej przewodniczący, minister sprawiedliwości w gabinecie Cartera Max Kampelman i Griffin Bell oraz (w charakterze gospodarza) Robert Bernstein z *Random House*, a także obecny szef najpotężniejszej centrali amerykańskich związków zawodowych AFL CIO Lane Kirkland, który paradował w koszulce „Solidarności". Inne rządy jakoś konferencji paralelnej nie zauważyły. Delegat PRL prof. Dobrosielski nie miał na to czasu: biegał od delegacji do delegacji (naturalnie tylko zachodnich), perswadując, że należy łagodzić spory i warunki, gdyż inaczej w Polsce dojdzie do katastrofy (przez cały czas trwania konferencji paralelnej trwał impas w obradach rządowych).

Na jednej z licznych konferencji, tuż po obszernym referacie Leopolda Łabędzia na temat polityki amerykańskiej, została poddana surowej krytyce polityka *détente* i sama idea KBWE. Ginzburg zakwestionował potrzebę kontynuowania tych konferencji, stwierdzając, że KBWE odegrała już swoją pozytywną rolę, a mianowicie doprowadziła do „spotkania ludzi Wschodu z ludźmi Zachodu". Obecnie dysydenci wschodnioeuropejscy współpracują z zachodnią opinią publiczną niezależnie od KBWE i poza jej ramami, konferencje te przeistoczyły się natomiast, zwłaszcza odkąd Zachód uświadomił sobie prawdziwą naturę polityki ZSSR, w „spotkania ludzi z ludożercami". Zachód zatem, zdaniem Ginzburga, nie będąc w stanie podjąć konfrontacji militarnej z ZSSR, powinien popierać ideę praw człowieka, jedyną, która jest w stanie „rozbroić przeciwnika", odstąpić natomiast od KBWE gdyż konferencje takie niczego dobrego już nie mogą dać. „Idei Helsinek" bronił Paweł Tigrid, który stwierdził, że KBWE powinny być kontynuowane, gdyż jest to także trybuna dla oskarżeń Rosji, a zarazem trybuna dla dysydentów Europy Wschodniej. Uważa on, że KBWE należy kontynuować, gdyż nawet częściowe ulżenie losowi narodów Wschodu jest czymś pozytywnym (np. ruch turystyczny, krążenie idei, informacji, kontakt z Zachodem, częściowa emigracja itp). Zwłaszcza, że nikt przecież nigdy w

Europie Wschodniej nie oczekiwał, iż Rosja stanie się pod wpływem KBWE i *détente* państwem prawdziwie demokratycznym, w pełni respektującym podpisane umowy międzynarodowe. KBWE jest więc potrzebna jako wygodna platforma dla wywierania presji na ZSSR i jego politykę. Oczywiście pod warunkiem, że nie przeistoczy się ona w arenę ratowania *détente* „za wszelką cenę", w kapitulację Zachodu.

W podobnym duchu wypowiadała się Ludmiła Aleksiejewa, oba te głosy były jednak odosobnione. Dominowało rozgoryczenie, odraza, rozczarowanie. Mnożyły się postulaty zerwania KBWE raz na zawsze.

30 listopada 1980

NOWOŚĆ WYDAWNICZA

TADEUSZ BOROWICZ

Polacy wobec Moskwy

Wybór publicystyki

KOMENTARZE O SYTUACJI I WYDARZENIACH W POLSCE W OSTATNICH MIESIĄCACH

Cykl artykułów z „Narodowca"

TREŚĆ: Chleba choć nie ma wolności. — Droższe mięso w Polsce. — Ostatnia broń narodu. — Sowiecki brat-nadzorca. — Epoka przemian w Polsce? — Kościół i naród. — Bardzo niebezpieczny etap. — Polska uratowała Europę? — „Przywrócić autorytet partii?" — Ilu jest w Polsce Szczepańskich? — Moskwa ma też swój Gdańsk. — Znieść cenzurę wydawnictw. — Czego Moskwa może chcieć. — Wolne Związki Zawodowe. — Dlaczego nie mamy nafty? — Polska potrzebuje pomocy. — Solidarność wszystkich stanów. — Strefa sowieckiego niebezpieczeństwa. — By spokój panował w Warszawie. — Między Niemcami i Rosją. — Kogo popiera naród? — Nie igrać z ogniem. — Czy Polska „zarazi" inne kraje? — Zły sąsiad niemiecki. — Gdzie jest suwerenność? — Problem wyżywienia w Rosji. — Lekcja polska dla Chin? — Komunizm nikogo nie zjednoczy. — Zapomniane kraje bałtyckie — Polacy wobec Moskwy.

Stron 158. Cena F. 22, z przesyłką we Francji F. 27,30, do Belgii, Niemiec Zachodnich, Włoch i Anglii F. 24,90.

Do nabycia w „Narodowcu"

Listy do Redakcji

Toronto, 4 grudnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z dużą przyjemnością przeczytałam w nr. 11 (1980) *Kultury* omówienie III-go tomu „Pamiętnika Literackiego", a satysfakcję sprawiło mi to co p. Maria Danilewicz Zielińska pisze o tzw. „Słowniku Pisarzy Emigracyjnych". Potwierdza to słuszność wysuwanej przeze mnie koncepcji słownika. Autorka obeszła się zresztą bardzo łagodnie z tym opracowaniem, choć nie sądzę by znała jego kulisy. Niestety przyszedł moment gdy należy je, przynajmniej w skrócie, ujawnić.

Od szeregu lat sprawa Słownika pisarzy emigracyjnych była moją wielką troską. Pierwsza wymiana listów z prez. Związku Pisarzy, p. Garlińskim, na ten temat datuje się z 1977 roku. Na jesieni 1978, będąc w Londynie, zaproponowałam p. Garlińskiemu, że taki słownik opracuję w ścisłej współpracy ze Związkiem, co zostało skwapliwie przyjęte.

Niestety współpraca potoczyła się bardzo przykrymi torami. Przez cały jej okres bezskutecznie walczyłam o to właśnie, o czym pisze p. Danilewicz Zielińska i o szereg innych spraw. M.in.: o rozszerzenie części biograficznej i uwzględnienie współpracy z czołowymi pismami z okresu dwudziestolecia i emigracji; o odnotowanie właściwego, a niekoniecznie książkowego debiutu pisarskiego (obraz fałszywy rozwoju twórczości, a w okresie emigracyjnych trudności wydawniczych niemal anachronizm), o utworzenie — przed drukiem próbnej części w *Pamiętniku Literackim* — Komitetu Redakcyjnego, złożonego ze znawców literatury i bibliografii. Odpowiedzią na moje postulaty było z reguły „nie", umotywowane: „zarząd zdecydował".

Zdawałam sobie sprawę, że w warunkach emigracyjnych nie można opracować słownika na miarę krajowych wydawnictw tego typu (Korzeniowska, Czachowska), niemniej daleka byłam od formatu minimalistyczno-deformującego typu Bartelskiego, choć opublikowany fragment może takie skojarzenie nasuwać.

Moja rola w opracowaniu części słownika wydrukowanej w *Pamiętniku Literackim* zredukowana została stopniowo do pomocniczej, aczkolwiek zgłosiłam się do Związku z propozycją inną. Materiały złożyłam w *maju 1979*. W toku dalszej korespondencji zarząd Związku odmówił umieszczenia mojej przedmowy, po czym zerwał ze mną korespondencję, zawiadamiając, że praca zostanie wykończona w szczegółach przez Komitet Redakcyjny *Pamiętnika Literackiego*. Składu Komitetu nie podano do mojej wiadomości, natomiast pozbawiono mnie wglądu w zmiany poczynione przez Komitet, nie mówiąc o korekcie.

Daleka jestem od uważania, by moja wersja Słownika była dobra, tym więcej, że zmuszona zostałam do stosowania się do dyrektyw Związku. Niemniej *wersja wydrukowana ma z moją mało wspólnego* — wprowadzono bowiem szereg „poprawek" i zmian, czyniąc przy tym poważne błędy rzeczowe.

Sprawa Słownika wypłynęła na porządek dzienny obrad Związku Pisarzy w Londynie w czerwcu 1980. Rezultatem było powołanie Komisji dla zbadania zatargu pomiędzy Zarządem Związku Pisarzy a mną. W momencie gdy ten list piszę upłynęło niemal pół roku od Walnego Zebrania. Do dziś żadne orzeczenie nie zostało wydane, choć przesłałam obszerny, udokumentowany list do Komisji. Dodać trzeba, że członkowie Związku którzy

na zebraniu nie byli, nie zostali dotąd w żadnej formie o sprawie poinformowani, stąd niesłuszne przypisywanie mi redaktorstwa Słownika, za który pełną odpowiedzialność ponosi Związek Pisarzy i Komitet Redakcyjny Pamiętnika Literackiego.

Wyrazy szacunku łączę,

Jadwiga JURKSZUS-TOMASZEWSKA

◆

University of California, Los Angeles, 4 grudnia 1980.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero teraz miałem okazję aby przeczytać numer 9/396 *Kultury* z września 1980 roku. Na str. 146, w rubryce „Kronika Amerykańska" przeczytałem notatkę o tym, że wziąłem udział w polsko-amerykańskiej konferencji „okrągłego stołu", która odbyła się w Waszyngtonie w dniach 10-11 lipca 1980, po egidą Center for International and Strategic Studies przy Georgetown University.

Jeśli to jest możliwe to prosiłbym o sprostowanie tej wiadomości. Zostałem rzeczywiście zaproszony na tę konferencję ale ze względu na szereg przyczyn, nie wziąłem w niej udziału.

Normalnie nie prosiłbym o sprostowanie tej notatki ale jak się Pan na pewno orientuje, nie cieszę się zbyt dobrą opinią wśród społeczeństwa emigracyjnego i nie widzę powodu dlaczego ta nieprawdziwa notatka miałaby przedstawić mnie w fałszywym świetle.

Korzystam z okazji i pozwalam sobie przesłać Panu Redaktorowi Życzenia Świąteczne i Noworoczne.

Z wyrazami poważania,

Andrzej KORBOŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

M. Kałuski, Australia. — Listu nie zamieścimy. Abstrahując od meritum — Pana uwagi są zbyt spóźnione.

Edward Dusza, USA. — Nie zamieścimy. Nie zamierzamy drukować polemiki na marginesie recenzji p. A. Matejki z książki Al. Hertza.

M. P., Binghamton USA. — Nie zamieścimy. Zarzuty pod adresem Z. Baua wydają się nam błahe a rozpoczęcie końcowego bankietu modlitwą nie jest naszym zdaniem ani dowodem prowincjonalizmu ani wykluczaniem z kultury polskiej niekatolików.

Pani M.K., Warszawa. — Nie zamieścimy. Zarzucając nam przeinaczanie faktów historycznych trzeba się samej tego wystrzegać. Wszyscy wiemy o terrorze w PRL po wojnie. Dotyczył on w pierwszym rzędzie Akowców i działaczy politycznych — w bardzo małym stopniu środowisk intelektualnych. O ile nas pamięć nie zawodzi to nikt, czy prawie nikt ze środowiska literackiego czy naukowego nie siedział w więzieniu, ani był poddawany torturom. Radzimy przeczytać „Zniewolony umysł" Czesława Miłosza. Jak najbardziej doceniamy znaczenie wyboru papieża Polaka i jego wizytę w Polsce dla odrodzenia społeczeństwa i często to podkreślaliśmy. Był to czynnik doniosły, zasadniczy, ale trudno twierdzić że jedyny.

Dokumenty

PREZYDIUM NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
REGIONU MAZOWSZE — Warszawa, 21 listopada 1980.

OŚWIADCZENIE

Dnia 20 bm. o godz. 16.30 funkcjonariusze SB i MO pod nadzorem wiceprokurator W. Bardonowej przeprowadzili rewizję w siedzibie NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze. Podczas przeszukania zakwestionowano dokument dotyczący stanu praworządności w naszym kraju. Jest to pismo zatytułowane: „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej", przesłane 30 października 1980 roku przez Prokuratora Generalnego L. Czubińskiego do podległych mu urzędów (patrz załącznik str. 210 i nast.).

Dokument ten ujawnia liczne przypadki samowolnych decyzji policyjnych nadużywania władzy i naruszania prawa. Co więcej, traktuje je jako zupełnie oczywiste. Pokazuje tym samym, że urząd prokuratorski był instrumentem w rękach aparatu bezpieczeństwa. Dokument ten ma jednocześnie wykazać, iż powstanie niezależnych związków zawodowych stanowi rezultat wszystkich dotychczasowych działań „antysocjalistycznych". Jest on kolejnym dowodem na to, że znaczna część aparatu wymiaru sprawiedliwości nie przyjęła do wiadomości Porozumienia Gdańskiego. W tej sytuacji fakt, iż Prokurator Generalny zaleca podległym placówkom „umiejętne wykorzystanie załączonego tekstu w pracy politycznej i zawodowej" nabiera groźnej wymowy.

Następnego dnia po rewizji w lokalu „Mazowsza" wezwany został na przesłuchanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i tam zatrzymany Jan Narożniak, pracujący społecznie przy uruchamianiu poligrafii związkowej.

Przestrzegamy władze przed nawrotem na drogę represji. Domagamy się natychmiastowego uwolnienia Jana Narożniaka. W razie dalszego przetrzymywania go w areszcie będziemy zmuszeni ogłosić stan gotowości strajkowej w wybranych zakładach regionu Mazowsza. Równocześnie postulujemy ujawnienie roli L. Czubińskiego w naruszaniu praworządności w minionym dziesięcioleciu, a zwłaszcze jego odpowiedzialność za znęcanie się nad robotnikami Ursusa i Radomia po czerwcu 1976.

PREZYDIUM NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" REGIONU MAZOWSZE

ZARZĄD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"
REGIONU MAZOWSZE — Warszawa, 25 listopada 1980.

ZERWANE POROZUMIENIE

Dnia 20 listopada przeprowadzono w siedzibie NSZZ „Solidarność" regionu Mazowsze rewizję. W wyniku znaleziono dokument „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności anty-

socjalistycznej", który według prokuratury powinien być „umiejętnie wykorzystany". Dokument opatrzony był napisem „Tajne". Jednak nie wszystko, na czym napisano tajne, powinno być tajne. Tajne były kradzieże i marnotrawstwo, tajna była niekompetencja i głupota, tajne było wszystko, co chciano ukryć przed ludźmi ze strachu przed kompromitacją i słusznym gniewem, tajne były przestępstwa MO i SB na Wybrzeżu w 1970 roku oraz w Radomiu i Ursusie w 1976 roku. Również znaleziony dokument prokuratury był tajny, bo gdyby był jawny, ludzie dowiedzieliby się, że chodzi o zagrożenie działalności Niezależnych Związków Zawodowych. Ukryć trzeba było fakt, że prokuratura zaleca MO i SB dalsze łamanie prawa.

Sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałością Rzeczypospolitej. Sprawiedliwość musi być jednakowa dla wszystkich. Dość już innych praw dla nich a innych dla nas. Kraść i marnotrawić cudzej pracy nie wolno nikomu, im też. Nie wolno im też używać aparatu sprawiedliwości jako narzędzia terroru. Aktem terroru wobec naszego Związku jest bezprawne pozbawienie wolności Jana Narożniaka, który społecznie pracował dla naszej poligrafii. Opublikowanie tego „tajnego dokumentu" jest sposobem walki o sprawiedliwość i jednakowe prawa dla wszystkich. Nie wolno za to nikogo ścigać. Dlatego żądamy wypuszczenia członka i pracownika „Solidarności" Jana Narożniaka, a również zwolniony powinien zostać Piotr Sapeło, pracownik poligrafii prokuratury.

Siedemdziesiąt dwa dni, tyle upłynęło od porozumień gdańskich do zarejestrowania „Solidarności", tyle czasu walczyliśmy o prawo do istnienia. Brutalna ingerencja prokuratury i Służby Bezpieczeństwa w działalność naszego związku i aresztowanie naszego pracownika ma uniemożliwić nam działanie. Zwyciężyliśmy walkę o istnienie, zwyciężymy walkę o prawo do spokojnej pracy dla dobra kraju.

Wkroczenie milicji do biura „Solidarności" to złamanie umowy społecznej, to danie pierwszeństwa sile przed prawem. Organy ścigania chcą działać tak, jakby nie było sierpnia 1980 roku. Chcieliśmy załatwić sprawę ugodowo, władze ugody nie chciały. Wczoraj nasza delegacja dwukrotnie podejmowała rozmowy. Władze odmówiły zwolnienia zatrzymanych i zerwały negocjacje. W tej sytuacji Prezydium NSZZ „Solidarność" regionu Mazowsze ogłasza dzień 27 listopada dniem gotowości strajkowej. Musimy przeciwstawić się bezprawiu. Jedynym źródłem niepokoju jest wielokrotne łamanie przez władze porozumień gdańskich.

Pamiętajmy. Siedemdziesiąt dwa dni musieliśmy walczyć o prawo do istnienia. Nie pozwolimy prowokatorom zrywać porozumienia gdańskiego.

ZARZĄD NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" REGIONU MAZOWSZE

OŚWIADCZENIE
NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ „NOW-a"
z dnia 25 listopada 1980

(Fragmenty)

Dnia 21 listopada aresztowany został Jan Narożniak, społeczny pracownik Poligrafii „Mazowsze". Jan Narożniak ma 29 lat, jest matematykiem oraz doktorantem Polskiej Akademii Nauk. Uczestniczył w organizowanej przez KOR akcji pomocy robotnikom represjonowanym podczas 1976 roku. W sierpniu 1980 był jednym ze wspomagających strajk w Stoczni Gdańskiej. Od trzech lat J. Narożniak współpracuje z Niezależną Oficyną Wydawniczą, która udostępnia społeczeństwu w wielotysięcznych nakładach zakazane przez

cenzurę książki. J. Narożniakowi grozi kara więzienia od pół roku do lat pięciu. Zarzuca mu się „ujawnienie wiadomości stanowiących tajemnicę państwową" (art. 260 par. 1 Kodeksu Karnego).

O jaką tajemnicę chodzi? Opracowanie Lucjana Czubińskiego zawiera rejestr stosowanych dotychczas metod zwalczania ludzi występujących w obronie praw obywatelskich, wolności i praworządności w Polsce. W opracowaniu tym nie ma żadnych faktów nieznanych opinii publicznej. Jest to natomiast cyniczny instruktaż, sporządzony przez prokuratora generalnego na użytek podwładnych. Dokument ten aprobuje i zaleca prokuratorom bezprawne działania, nic więc dziwnego, że ujawnienie go spowodowało tak nerwową reakcję jego autorów.

Przypomnieć należy, że Lucjan Czubiński był generalnym prokuratorem PRL w 1976 roku. Wówczas to wobec demonstrujących robotników Radomia i Ursusa stosowano masowe tortury, skazywano ich w sfingowanych procesach. Na ręce Lucjana Czubińskiego wpłynęło wtedy wiele skarg poszkodowanych. Oto kilka cytatów:

„Rzuciło się na mnie pięciu i przykuli mnie do kaloryfera. Bili mnie wszyscy naraz tak, że szybko straciłem przytomność. Używali pałek, bijąc rączką, która miała wtopiony ołów. Kopali mnie po całym ciele. Czasem biło mnie trzech a nawet pięciu razem. Większość z nich była pod alkoholem".

„Pierwszą tego dnia ścieżkę zdrowia przeszedłem od Żuka do milicyjnej Nyski, około 50 metrów. Kazali iść wolno, żeby każdy mógł uderzyć. Bili pięściami, pałkami, butami. Pod sam koniec upadłem, pod gradem pałek nie dałem rady wstać".

„Dwóch wzięło pałki i ustawili się za mną i zaczęli mnie bić po plecach na przemian. Powiedzieli: ty nam łaski nie robisz, weźmiemy jakiegokolwiek chłopaka z rozruchów, damy mu baty i powie, że cię widział, jak podpalałeś Dom Partii. Albo podstawimy policjanta, który powie, że cię widział i będziesz miał podpalenie".

Na żadną z tych skarg prokurator generalny nie udzielił odpowiedzi. Więcej nawet, poszkodowanych groźbami i szantażem próbowano zmusić do milczenia. To winni łamania prawa w minionym dziesięcioleciu nie zostali ukarani. Oni to właśnie wkraczają dziś na drogę represji.

Domagamy się ukarania winnych masakry robotników Wybrzeża. Domagamy się ukarania odpowiedzialnych za tortury i bezprawie w czerwcu 1976 roku. Domagamy się uwolnienia Jana Narożniaka.

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA

ZAŁĄCZNIK

PROKURATOR GENERALNY PRL

Warszawa, 30 października 1980.

Przesyłam Towarzyszowi Prokuratorowi opracowane w Prokuraturze Generalnej „Uwagi o dotychczasowych zasadach ścigania uczestników nielegalnej działalności antysocjalistycznej" do umiejętnego wykorzystania w pracy politycznej i zawodowej.

(—) *Lucjan CZUBIŃSKI*
Prokurator Generalny

UWAGI O DOTYCHCZASOWYCH ZASADACH ŚCIGANIA UCZESTNIKÓW NIELEGALNEJ DZIAŁALNOŚCI ANTYSOCJALISTYCZNEJ *

Działalność nielegalnych grup antysocjalistycznych, wywodzących się z kręgów inteligenckich rozpoczęła się pod koniec lat pięćdziesiątych. Skupiała ona głównie młodszych pracowników naukowych oraz studentów Uniwersytetu Warszawskiego, z którymi współdziałała grupa intelektualistów krakowskich. W początkowym okresie głównymi formami ich działania były spotkania studenckie w klubach dyskusyjnych a także spotkania o charakterze towarzyskim, na których wygłaszano referaty o treści polityczno-gospodarczej i prowadzono dyskusje przedstawiające w fałszywym świetle zasady ustrojowe PRL i innych państw socjalistycznych, negujące dorobek tych państw oraz krytykujące kierunek ich dalszego rozwoju.

Pod koniec 1964 roku Służba Bezpieczeństwa ujawniła podczas przeszukania w mieszkaniu jednego z uczestników „grupy warszawskiej", Stanisława Gomułki, dokument nazwany „Program klasy robotniczej", którego twórcami, jak wykazało przeprowadzone śledztwo, byli głównie Karol Modzelewski i Jacek Kuroń, a współdziałali z nimi Stanisław Gomułka i Bernard Tejkowski. Kilka miesięcy później ujawniono, że K. Modzelewski i J. Kuroń opracowali „List otwarty" do członków POP PZPR i do członków uczelnianej organizacji ZMS przy Uniwersytecie Warszawskim. Obydwa te dokumenty o zdecydowanie wrogiej socjalizmowi treści w dużej mierze wyrażały zasady ideologii trockistowsko-rewizjonistycznej, w istocie nawoływały do obalenia przemocą ustroju PRL.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, iż w cytowanym wyżej „programie" wśród szeregu rewizjonistycznych zaleceń zmiany systemu władzy w PRL znalazły się żądania utworzenia w Polsce niezależnych od państwa związków zawodowych, przyznania klasie robotniczej prawa do strajku oraz zlikwidowania jednolitej partii klasy robotniczej i utworzenie w jej miejsce kilku partii rywalizujących ze sobą.

W związku z powyższą działalnością K. Modzelewski i J. Kuroń zostali aresztowani, oskarżeni i skazani za próbę obalenia przemocą ustroju PRL. W odrębnym postępowaniu za podobną działalność zostali aresztowani, a następnie oskarżeni i skazani Kazimierz Badowski, Ludwik Has i Romuald Śmiech. Prowadzono też postępowanie karne przeciwko osobom utrzymującym kontakty z zagranicznymi ośrodkami dywersji ideologicznej, którym przekazywali materiały szkalujące ustrój i władze PRL. Za taką działalność między innymi aresztowano w 1968 roku, a następnie oskarżono i skazano, wywodzących się także z kręgów Uniwersytetu Warszawskiego Macieja Kozłowskiego, Marię Tworkowską, Krzysztofa Szymborskiego, Jakuba Karpińskiego i Marię Szpakowską (tzw. „taternicy").

W czerwcu i lipcu 1970 roku aresztowano, a następnie oskarżono i skazano trzydzieści osób należących do nielegalnej organizacji politycznej „Ruch". Organizacja ta skupiała grupę osób spośród inteligencji łódzkiej, warszawskiej i lubelskiej ściśle powiązanej z klerem, w której wiodącą rolę odgrywali czterej bracia Czumowie: Hubert, Łukasz, Andrzej i Benedykt.

* „Uwagi" Prokuratury Generalnej publikujemy ze wszystkimi zawartymi w nich błędami stylistycznymi i rzeczowymi („M. Mikołajska" o znanej aktorce Halinie Mikołajskiej, dość charakterystyczne przemianowanie KSS „KOR" na Komitet *Solidarności* Społecznej KOR, itp.).

Program tej organizacji był wyraźnie antysocjalistyczny, jej ideologia opierała się na nieograniczonej własności prywatnej, na negowaniu funkcji klasy robotniczej. Działalność „Ruchu" polegała głównie na opracowywaniu i rozpowszechnianiu ideologii wrogiej socjalizmowi, a w późniejszym czasie także na organizowaniu aktów terroru (próba wysadzenia pomnika Lenina w Poroninie).

Niezależnie od przedstawionych wyżej najpoważniejszych grupowych działań antysocjalistycznych, jakie miały miejsce w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ujawniono szereg innych przypadków wrogich działań antysocjalistycznych, które zwalczano również przy użyciu środków represji karnej (np. aresztowano, oskarżono i skazano Melchiora Wańkowicza, aresztowano Stanisława Salmonowicza i innych).

W związku z wydarzeniami tzw. marcowymi w 1968 roku, a później z wydarzeniami tzw. grudniowymi w 1970 roku oraz wydarzeniami w 1976 roku (na terenie Radomia i Ursusa) aresztowano, oskarżono i osądzono szereg osób, które dopuściły się przestępstw przeciwko porządkowi publicznemu i mieniu społecznemu. Po zakłóceniach porządku publicznego w 1976 roku w Radomiu i Ursusie nastąpiła znaczna aktywizacja sił antysocjalistycznych, które podjęły zakrojoną na szeroką skalę działalność, w tym również naruszającą przepisy prawa karnego.

We wrześniu 1976 roku utworzono nielegalny związek o nazwie Komitet Obrony Robotników, w skład którego weszły osoby zajmujące się już od wielu lat działalnością antysocjalistyczną (J. Kuroń, J. Lityński, A. Maciarewicz, A. Michnik, M. Mikołajska i inni). Związek ten (przekształcony 29 września 1977 roku w Komitet Solidarności Społecznej KOR) prowadził i prowadzi nadal działalność, której pewne formy wyczerpują znamiona przestępstwa.

Wzrost aktywności osób prowadzących po wydarzeniach radomsko-ursuskich akcję podsycania w społeczeństwie nastrojów niepokoju, mogących doprowadzić do ewentualnych dalszych zakłóceń porządku publicznego (np. zamierzano wykorzystać Juwenalia krakowskie do wywołania rozruchów kolportując fałszywe wiadomości co do przyczyn śmierci studenta UJ — Pyjasa) powodował konieczność wszczęcia śledztwa i zastosowania w maju 1977 roku aresztu tymczasowego wobec 7 osób prowadzących najbardziej aktywną działalność przestępczą. Aresztowano wówczas Jacka Kuronia, Adama Michnika, Antoniego Maciarewicza, Piotra Naimskiego, Wojciecha Ostrowskiego, Jana Józefa Lipskiego. Podejrzanym zarzucano popełnienie przestępstw polegających na zorganizowaniu i kontynuowaniu współdziałania z obcymi, wrogimi Polsce organizacjami (RWE, Instytut Literacki w Paryżu, „Aneks" i inne) w celu szkodzenia interesom politycznym PRL drogą systematycznego przekazywania specjalnie spreparowanych, nieprawdziwych informacji i opracowań o stosunkach społeczno-politycznych w kraju. Wyniki śledztwa potwierdziły fakty opracowywania, drukowania i kolportowania (w tym również przekazywania za granicę) informacji zawierających niejednokrotnie fałszywe wiadomości na temat m.in. działalności represyjnej wobec osób dopuszczających się naruszeń prawa. Wiadomości te szeroko kolportowane mogły doprowadzić do dalszych zakłóceń porządku publicznego. Śledztwo natomiast nie dostarczyło pełnych dowodów potwierdzających bezpośrednie powiązanie osób objętych postępowaniem z wrogimi Polsce organizacjami zagranicznymi (Radio Wolna Europa, *Kultura* paryska). Postępowanie przygotowawcze zostało w tej sprawie umorzone w odniesieniu do wszystkich osób na zasadzie dekretu z 20 lipca 1977 roku o amnestii.

W latach 1977-1980 nastąpiło dalsze umocnienie organizacyjne elementów kontestatorskich. Obok KSS „KOR" powstały nowe organizacje, takie jak Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, Studenckie Komitety Solidarności, Komitety Samoobrony Chłopskiej, Ruch Młodej Polski, Konfederacja

Polski Niepodległej. Organizacje te coraz szerzej oddziaływały na społeczeństwo, m.in. przy pomocy zakrojonej na szeroką skalę działalności wydawniczo-propagandowej. Opracowano, drukowano i kolportowano około 30 publikacji periodycznych (gazety, biuletyny, magazyny). Wydano wiele nowych broszurowych opracowań oraz wydrukowano kilka książek. Nakłady szeregu tytułów sięgały kilku tysięcy egzemplarzy. Wydrukowano i rozpowszechniano w społeczeństwie dziesiątki tysięcy ulotek reprezentujących poglądy i hasła ugrupowań antysocjalistycznych i skierowane przeciwko istniejącej władzy. Opisana działalność poligraficzna i wydawnicza była prowadzona bez zgody Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, a więc stanowi przestępstwo z artykułu 6 Dekretu z 5 sierpnia 1946 roku o utworzeniu GUKPPiW. Udział wymienionych uprzednio organizacji prowadzących taką nielegalną, przestępczą działalność publicystyczną uznano, iż może być potraktowany jako przestępstwo z art. 276 § 1 Kodeksu Karnego. Rozważana może być również kwalifikacja prawna z art. 273 § 3 KK, przy ocenie działalności tych osób, które pełnią funkcje kierownicze w KSS „KOR" i innych organizacjach, które nie zostały zalegalizowane. W płaszczyźnie przepisów prawa karnego można także rozpatrywać treść niektórych opracowań, np. Leszka Moczulskiego pt. „Rewolucja bez rewolucji", będące w istocie programem działania ROPCiO, zmierzającego do przejęcia władzy (jak zajdzie potrzeba przy użyciu siły) przez elementy antysocjalistyczne. Wypada podkreślić, że autor opracowania kreśląc parę lat temu wersję obalenia ustroju w Polsce opisuje, że poprzedzone to będzie okresem powstawania coraz bardziej trwałych i mocnych struktur organizacyjnych skupiających siły polityczne (antysocjalistyczne), rozbudowy wolnej prasy, lokalnych samorządów, niezależnych związków zawodowych. Jednym słowem tworzenia siły zdolnej do zdobycia władzy w państwie.

Należy podkreślić, że w ostatnich latach zmieniono formy postępowania wobec osób prowadzących działalność antysocjalistyczną rezygnując z wytaczania im procesów karnych o tę działalność a ograniczając się jedynie do działań o charakterze porządkowo-zapobiegawczym. Działania Służby Bezpieczeństwa, zmierzające do ograniczania zasięgu negatywnych inicjatyw podejmowanych przez zorganizowane grupy antysocjalistyczne oraz przeciwdziałania tworzeniu i kolportażowi nielegalnych wydawnictw, tudzież odcinania elementów antysocjalistycznych od poszczególnych środowisk społecznych i zawodowych, polegały m.in. na:

1. przeprowadzaniu licznych przeszukań ujawniających dużą ilość nielegalnie wytwarzanych publikacji przeznaczonych do kolportażu oraz różnych urządzeń, środków do ich sporządzania i powielania;
2. odbieraniu i zatrzymywaniu przedmiotów wymienionych w pkt. 1.;
3. dokonywaniu zatrzymań w aresztach MO osób w celu paraliżowania ich działalności antysocjalistycznej;
4. kierowaniu do Kolegiów do Spraw Wykroczeń wniosków o ukaranie osób, które prowadząc działalność antysocjalistyczną dopuszczały się różnych wykroczeń.

Udział organów Prokuratury w tych działaniach polegał na:

5. zatwierdzaniu przeszukań i zatrzymania przedmiotów odebranych w toku przeszukań oraz na wydawaniu w sporadycznych przypadkach postanowień o zarządzaniu przeszukania;
6. w kilku przypadkach osoby zaangażowane w działalność antysocjalistyczną pociągnięto do odpowiedzialności karno-sądowej za popełnienie przestępstw pospolitych;
7. dokonaniu dwukrotnie — w grudniu 1979 i sierpniu 1980 — tymczasowego aresztowania na okres kilku dni grup osób prowadzących działalność antysocjalistyczną.

Ad 1: Przeszukania są właściwie jedną z głównych form przeciwdziałania wpływom elementów antysocjalistycznych na społeczeństwo przy pomocy nielegalnego tworzenia i kolportowania materiałów propagandowych. Dokonywane są one przez funkcjonariuszy SB i MO, z reguły w oparciu o nakazy kierowników jednostek SB i MO. Są to przeważnie przeszukania pomieszczeń domowych, lecz również i osobiste (np. przy zatrzymaniu osób zajmujących się kolportażem). Przeszukania te najczęściej dokonywane są u osób związanych z działalnością antysocjalistyczną. Wyniki tych czynności są prawie zawsze pozytywne, o czym świadczy fakt, że na około 200 przeszukań dokonanych w drugim kwartale br. w tych sprawach w całym kraju tylko w kilku przypadkach czynności te okazały się bezowocne.

Ad 2: W wyniku przeszukań odnaleziono i zatrzymano duże ilości najróżniejszych publikacji nielegalnych. Wśród nich zakwestionowano periodyczne pisma, takie jak „Robotnik", „Głos", „Biuletyn Informacyjny", „Krytyka", „Dziennik Polski", „Zapis", „Biuletyn Dolnośląski", „Zeszyty Historyczne", „Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych", „Gazeta Polska", „Rzeczypospolita", „PPN", „Gospodarz", „Aneks", „Postęp", „Placówka", „Bratniak", „Uczeń Polski", „Robotnik Wybrzeża". Znajdowano również książki i broszury wydawane nielegalnie przez tzw. Niezależną Oficynę Wydawniczą NOW-a, a także różnego rodzaju publikacje jednorazowe, takie np. jak: „Rewolucja bez rewolucji", „O handlu z Zachodem", „Kryzys czy przesilenie", „Władza i opozycja", „Twarzą w przyszłość", „Po wielkim skoku", „W połowie życia", „Zatruta humanistyka", „Śpiewnik warchoła", „Jak długo jeszcze", „Do wszystkich ludzi pracy", „Dzieje Katynia", „Czarna Księga Cenzury PRL", „Uwagi o rewolucji węgierskiej" i inne.

Ujawniono i zakwestionowano także znaczne ilości różnych ulotek, odezw, plakatów, nawołujące społeczeństwo do różnego rodzaju protestów przeciwko posunięciom władzy i popierania działalności antysocjalistycznej. Znaleziono także pewną ilość bezdebitowej literatury pochodzącej zza granicy, zwłaszcza wydawanej przez Instytut Literacki w Paryżu. Ilość egzemplarzy zatrzymywanych w poszczególnych przypadkach była różna, od pojedynczych do wieluset egzemplarzy. Łącznie w pierwszym kwartale br. zatrzymano około 10 tys. egzemplarzy różnych publikacji o przedstawionym charakterze. W wyniku przeszukań zatrzymano również pewną ilość różnego rodzaju urządzeń i środków do tworzenia nielegalnych publikacji — maszyny do pisania, powielacze, farby, papier itp.

Ad 3: Zatrzymania dokonywane były najczęściej w związku z odbywaniem narad różnego rodzaju aktywu kierowniczego organizacji antysocjalistycznych lub „komitetów redakcyjnych" nielegalnych wydawnictw. Zatrzymywane były osoby, które powielały, drukowały lub kolportowały nielegalne publikacje, lub je posiadały. Zatrzymani byli osadzani w aresztach komend MO. Funkcjonariusze SB przeprowadzali, lub usiłowali przeprowadzić z nimi rozmowy wyjaśniająco-uświadamiające, nie przynoszące najczęściej żadnego skutku. Zatrzymanych wypuszczano na wolność z reguły przed upływem 48 godzin. W wyjątkowych przypadkach, jak to miało miejsce w ostatnich dniach sierpnia br., co do kilku osób łączny czas zatrzymania przekroczył ustawowy termin. Kilku czołowych działaczy grup antysocjalistycznych (Kuroń, Michnik i inni) zostało wówczas kolejno osadzonych w kilku aresztach MO po dwie doby. Jak wynika ze skarg skierowanych do Prokuratury osoby te przed upływem 48 godzin były zwalniane z aresztu, lecz przy wyjściu z komendy MO znów je zatrzymywano i osadzano w innej komendzie na kolejne 48 godzin. Ze skarg tych wynika, że pomiędzy jednym a drugim zatrzymaniem funkcjonariusze SB pozwalali tym osobom na spacer po mieście, wypicie kawy w kawiarni, kupno owoców.

Ad 4: W szeregu przypadkach uczestnicy działalności antysocjalistycznej ukarani zostali przez Kolegia do Spraw Wykroczeń. Były to takie wykroczenia jak: nielegalne zgromadzenie (art. 52 § 1 Kodeksu Wykroczeń), rozrzucanie ulotek (zaśmiecanie miejsc publicznych, art. 145 Kodeksu Wykroczeń), wznoszenie okrzyków (art. 51 § 2 Kodeksu Wykroczeń), nielegalne zbiegowiska (art. 50 KK), noszenie bez zezwolenia odznaki Konfederacji Polski Niepodległej (art. 61 § 6 Kodeksu Wykroczeń).

Jak wynika z przekazanych Prokuraturze informacji Biura Śledczego MSW w drugim kwartale br. ukarano łącznie 31 osób. Kolegia wymierzyły w większości przypadków kary grzywny, w kilku sprawach kary pozbawienia wolności. Wnioski o ukaranie kierowane były przez komendy MO. W tych sprawach, w których odwołanie od orzeczenia skazującego kierowano do sądu, udział w postępowaniu odwoławczym brali prokuraturzy.

Ad 5: Udział organów Prokuratury w przeciwdziałaniu poczynaniom kontestatorów polegał m.in. na dokonywaniu czynności procesowych we wszczętych postępowaniach przygotowawczych. Aktualnie Biuro Śledcze i niektóre Wydziały Śledcze KW MO prowadzą pod nadzorem prokuratur postępowania przygotowawcze w 15 sprawach o przestępcze poczynania członków grup antysocjalistycznych. Postępowania te otwarte są w następujących miejscowościach: Warszawie (2 sprawy), Gdańsku, Lublinie, Katowicach, Krakowie, Poznaniu, Toruniu, Radomiu, Szczecinie, Wrocławiu, Łodzi, Rzeszowie, Wałbrzychu, Kaliszu. W sprawach tych najczęściej wydawano na wniosek MO postanowienie o zatwierdzeniu przeszukania i zatrzymaniu omówionych poprzednio przedmiotów znalezionych w toku przeszukań.

Podstawą do wydawania takich decyzji były wyniki przeszukań w postaci ujawnionych publikacji wydawanych i kolportowanych przez ugrupowania antysocjalistyczne. Treść tych publikacji oceniana jest najczęściej w płaszczyźnie art. 271 lub 273 Kodeksu Karnego. Należy podkreślić, że w przypadku, gdy treść publikacji była obojętna z punktu widzenia prawa karnego, to podstawą do zatwierdzenia przeszukań i odebrania publikacji był fakt, iż pochodziły one z przestępstwa polegającego na ich wydrukowaniu bez zgody Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Znaczna ilość zatrzymanych w wyniku przeszukań przedmiotów — maszyn do pisania, powielaczy, papieru, a zwłaszcza nielegalnych publikacji — stwarza w niektórych sprawach trudności z ich przechowywaniem. W związku z tym podjęto na zasadzie art. 201 § 1 Kodeksu Postępowania Karnego decyzję o przekazaniu tych publikacji do Zbiornicy Makulatury.

Ad 6: Kilka osób uczestniczących w działalności antysocjalistycznej, które dopuściły się przestępstw pospolitych, pociągnięto do odpowiedzialności karno-sądowej. W drugim kwartale br. odnotowano 9 takich spraw, w których wszczęto postępowanie, w tym kilka zakończono wyrokami skazującymi. Były to przestępstwa popełnione w związku z prowadzoną działalnością, jak też nie związane z nią.

Do pierwszej grupy należały takie występki jak kradzież papieru, maszyny do pisania, powielacza, przemyt powielacza; do drugiej — pobicie lub groźba pobicia oraz użycia noża, wyłudzenie poświadczenia nieprawdy.

Ad 7: W grudniu 1979 roku i w końcu sierpnia br. w prowadzonych postępowaniach przygotowawczych zastosowano tymczasowe aresztowania trwające kilka dni wobec najbardziej aktywnych kontestatorów, których pozostawienie na wolności i kontynuowanie działalności wywrotowej mogło w tych dniach doprowadzić do wywołania poważnych zakłóceń porządku publicznego (w grudniu 1979 roku na Wybrzeżu Gdańskim, w sierpniu br. w związku z akcją strajkową w kraju).

W grudniu 1979 roku, w sprawach nadzorowanych przez prokuratury w Warszawie i Łodzi, aresztowano 15 osób. W sierpniu 1980 roku w Warszawie aresztowano 21 osób, a w innych miastach 7 — łącznie więc 28 osób. Areszty te stosowano pod zarzutem przestępstw z art. 276 Kodeksu Karnego, popełnionych przez udział w związkach (KSS „KOR", ROPCiO), mających na celu działalność przestępczą polegającą na tworzeniu i rozpowszechnianiu różnych publikacji bez zezwolenia GUKPPiW.

Podstawowym materiałem dowodowym, uzasadniającym areszty zastosowane w sierpniu br., były przede wszystkim wyniki przeszukań przeprowadzonych w mieszkaniach podejrzanych, w toku których zakwestionowano duże ilości nielegalnych publikacji o treści społeczno-politycznej i gospodarczej. Zawarte w tych publikacjach informacje zmierzały do wywołania niepokojów społecznych, były tendencyjne, demagogiczne a nieraz wprost fałszywe, chociaż nie zawsze wyczerpywały dyspozycje przepisów art. 270, 271 lub 273 Kodeksu Karnego. Zawsze jednak były one wydawane bez zgody Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, co stanowiło występek z art. 6 A Dekretu z 5 sierpnia 1946 roku.

Charakter, ilość, treść, sposób opracowywania i kolportowania tych wydawnictw wskazywał jednoznacznie na zorganizowaną działalność publikacyjną, prowadzoną w ramach wyżej wymienionych nielegalnych organizacji politycznych. Niektóre z tych publikacji miały nawet nadruki wskazujące na to, że były wydawane w ramach tych organizacji. Część opracowań była podpisana przez osoby, które w ten sposób niejako potwierdzały swą działalność w ramach owych nielegalnych organizacji. Zakres ujawnionej i udokumentowanej działalności publikacyjnej wskazywał na to, że stanowiła ona jeden z najważniejszych celów tych organizacji na obecnym etapie działalności.

Te wszystkie fakty były brane pod uwagę przy stosowaniu aresztów i formułowaniu zarzutów udziału tych osób w związkach (nielegalnych organizacjach politycznych) mających na celu popełnienie przestępstwa (wydawanie publikacji bez zgody Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk). Trzeba jednak stwierdzić, że opisany materiał dowodowy, na którym oparto decyzję o tymczasowym aresztowaniu nie był pełny i w przypadku, gdyby śledztwo miało być zakończone akt oskarżenia musiałby być znacznie wzbogacony. Pogłębienie materiału dowodowego wymagać będzie przede wszystkim uzyskania dowodów osobowych (wyjaśnień podejrzanych, zeznań świadków), pozwalających na zebranie pełnych dowodów winy osób zaaresztowanych. Uwzględniając, że stosowana w ostatnich latach przez osoby biorące udział w działalności antysocjalistycznej taktyka, polegająca na odmawianiu z reguły składania w postępowaniu przygotowawczym wyjaśnień bądź zeznań, powoduje bardzo poważne trudności w uzyskaniu wspomnianych dowodów osobowych — koniecznym staje się zwrócenie większej uwagi na udokumentowanie w szerszym niż dotychczas stopniu przejawów przestępczej działalności grup antysocjalistycznych.

Obecnie czyny osób uczestniczących w działalności antysocjalistycznej traktowane są jako udział w związku mającym na celu tworzenie i kolportowanie nielegalnych publikacji (przestępstwo z art. 276 Kodeksu Karnego). Pewne przejawy działalności tych grup wykraczają jednak poza ramy dyspozycji tego przepisu. Jak wynika bowiem z niektórych opracowań i publicznych wystąpień przedstawicieli ugrupowań antysocjalistycznych przewidują oni także możliwość, a nawet konieczność, przejęcia władzy w kraju, także w drodze użycia siły. Dzisiaj mówią o tym zupełnie wyraźnie. Przygotowania realizacji takich zamysłów stanowić może podstawę do kwalifikowania tej działalności z punktu widzenia prawa karnego, jako czynności

przygotowawczej, a nawet podejmowania działań zmierzających do obalenia przemocą ustroju w Polsce. W związku z tym przy pogłębianiu materiału dowodowego należy przewidywać potrzebę wybrania i utrwalenia dowodów pozwalających na ewentualne sformułowanie zarzutów o takie przestępstwo.

Warszawa, październik 1980 r.

PROKURATURA GENERALNA
Departament II i III

O PRACY BIURA INTERWENCYJNEGO KSS „KOR"

We wrześniu 1980 roku minie trzy lata od powstania Biura Interwencyjnego KSS „KOR". Sukcesy odniesione podczas akcji pomocy represjonowanym w wydarzeniach radomsko-ursuskich 1976 roku spowodowały napływ do KOR-u szeregu listów proszących o pomoc lub donoszących o przypadkach drastycznego łamania praworządności. Konieczność ustosunkowania się do tych spraw jak również fakt rozszerzenia problematyki działania w ramach Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR" stały się impulsem do powołania specjalnej komórki, której zadaniem miało być badanie napływających spraw, ich dokumentacja oraz udzielanie pomocy poszkodowanym.

Trzyletni okres działalności Biura wykazał, że praktycznie nie istnieje taka dziedzina życia, w której interes obywatela zagwarantowany mocą przepisów prawnych byłby rzeczywiście respektowany. Pogardę dla prawa reprezentują nie tylko poszczególne urzędy, ale różne instytucje takie jak sądy czy prokuratury, ze swojej istoty powołane do przestrzegania prawa. Tak więc dalsze działanie Biura wymagało pewnej konkretyzacji i zawężenia zadań jakie przed nim postawiono. Aktualnie problematyka działalności Biura konkretyzuje się wokół dwu zagadnień. Pierwsze z nich dotyczy represji jakie dotykają działaczy niezależnej opozycji demokratycznej. W aktualnej sytuacji rozwijania się ruchu i jednoczesnego zwalczania go przez państwo wszelkimi dostępnymi środkami, zadanie to musi być traktowane jako zadanie priorytetowe. Poczucie, jeśli nie względnego bezpieczeństwa, to przynajmniej maksymalnej solidarności środowiska opozycyjnego stanowi warunek konieczny dalszego rozwoju. W tym względzie z pomocy Biura korzystały i mogą nadal korzystać wszelkie działające na terenie kraju ugrupowania opozycyjne, niezależnie od orientacji politycznej.

Represje jakie spadają na działaczy opozycji demokratycznej można podzielić na dwie grupy:

1. Bezpośrednie działanie aparatu ścigania (milicji, SB, prokuratury, sądu); wchodzą tu:
   a) zatrzymania na 48 godzin,
   b) przeszukania,
   c) kolegia kończące się na ogół grzywną,
   d) kolegia, w wyniku których następuje areszt,
   e) fingowane procesy sądowe.

2. Stymulowane przez SB działania innych organów władzy; najczęstszą formą są tu zwolnienia z pracy. Reszta działań nie poddaje się prostej klasyfikacji, gdyż jest wynikiem bezpośredniej inwencji pracowników SB

i obejmuje praktycznie wszystkie dziedziny życia nie wyłączając szykanowania dzieci opozycjonistów. (W nawale prac i zadań jakie stoją przed uczestnikami opozycji fakt permanentnego odmawiania im przez MSW paszportów zagranicznych jest być może niesłusznie ignorowany).

Bezprawne zatrzymania i przeszukania są systematycznie ewidencjonowane i podawane do publicznej wiadomości przez Jacka Kuronia i Zespół Redakcyjny Komunikatu KSS „KOR".

W pozostałych przypadkach działalność Biura obejmuje:

1. Pomoc materialną;
2. Pomoc prawną;
3. Działalność informacyjną, w tym organizację szerokich działań odwetowych.

Ad 1. — Mówiąc o pomocy materialnej dla osób represjonowanych należy zdać sobie sprawę z możliwości finansowych Biura Interwencyjnego. Pamiętać przy tym należy, że wydatkowanie funduszy Biura w ciągu roku jest bardzo nierównomierne i uzależnione w oczywisty sposób od stopnia nasilenia represji. Comiesięczne minimum pozostające w bezpośredniej gestii Biura stanowi suma 100 do 120 tys. zł. Pozostała część budżetu wynosząca w skali rocznej praktycznie drugie tyle jest rozchodowana w miarę potrzeb na wniosek Biura Interwencyjnego przez Radę Funduszu KSS „KOR". W ramach funduszu dyspozycyjnego Biura ok. 60-70 % stanowią zasiłki dla osób pozbawionych pracy. Zasiłek taki wynosi 3 tys. zł dla osoby samotnej plus tysiąc złotych na osobę pozostającą na jej utrzymaniu, wypłacany jest on najczęściej przez okres 3 do 6 miesięcy, a w szczególnie uzasadnionych przypadkach po konsultacji z Radą Funduszu może być przedłużony na dalszy określony okres czasu. Z podobnej pomocy korzystają również osoby pozostające na utrzymaniu osób uwięzionych. Przedstawione wyżej zasady wymagają dwóch omówień:

Po pierwsze zasiłek dla osób pozbawionych pracy nie może stanowić formy etatyzacji działaczy opozycyjnych, stąd określony czasokres jego wypłacania i wymóg starań o pracę. Warto tu zauważyć, że zakaz zatrudniania odnosi się do pewnych regionów kraju i nie dotyczy innych, a poza tym istnieje cały szereg niezależnych od państwa instytucji mogących zatrudniać pracowników (sektor prywatny, instytucje kościelne, wreszcie wydawnictwa niezależne), tak więc okres sześciu miesięcy wydaje się dostateczny dla stworzenia podstaw materialnej egzystencji. Niestety fundusz Biura jest bardzo ograniczony i nie jesteśmy w stanie zaspokajać słusznych skądinąd pod względem merytorycznym roszczeń pracowniczych, jeśli nie dotyczą one bezpośrednich podstaw bytowych.

Drugie omówienie dotyczy sprawy niezwykle dla Biura kłopotliwej. Otóż część osób otrzymuje bezpośrednie wsparcie z zagranicy, bądź z organizacji związkowych czy polonijnych, bądź od osób prywatnych. Ponieważ na co dzień spotykamy się z morzem potrzeb, których nie jesteśmy w stanie zaspokoić, uważamy, że w takiej sytuacji wypłacanie zasiłków jest niesłuszne. Ponieważ jednak na ogół nie jesteśmy informowani o tego typu systematycznej pomocy, mogą powstać sytuacje, w których zasiłki wypłacane są jednocześnie z kilku źródeł. Stan taki należy uznać za niezdrowy i szkodliwy społecznie.

Z funduszu Interwencyjnego wypłacane są również grzywny oraz koszty postępowania w rozprawach czy to sądowych czy kolegialnych. Przy czym z doraźnego funduszu interwencyjnego mogą być opłacane nie więcej niż trzy, cztery kolegia. W wypadku większych akcji milicyjnych, jak np. akcja sandomierska w czerwcu br.) Rada Funduszu asygnuje dodatkowe sumy na pokrycie grzywien.

Również z części pozostającej w gestii Rady Funduszu udzielane są pożyczki lub też większe zasiłki bezzwrotne w uzasadnionych przypadkach losowych.

Problem rekompensat materialnych, który nie został dotychczas rozwiązany w całości, to sprawa dokonywanych przez funkcjonariuszy SB, w majestacie prawa (jak również bez niego), grabieży sprzętu powszechnego użytku podczas prowadzonych przez nich przeszukań. Ofiarą padają tu przede wszystkim maszyny do pisania, ale również: magnetofony, radioaparaty i inny sprzęt fotograficzny, w tym nieraz bardzo cenne obiektywy, taśmy magnetofonowe z muzyką lub nagranymi lekcjami języków, torby skórzane oraz pieniądze. W sprawach tych toczona jest jednostronna korespondencja. Prokuratura na większość skarg w ogóle nie odpowiada. W wypadku, gdy zabrany sprzęt stanowi warsztat pracy Biuro Interwencyjne usiłuje w jakiś sposób straty pokryć, jednakże w większości przypadków straty te nie zostały dotychczas wyrównane.

Biuro Interwencyjne widzi możliwość rozwiązania tego problemu bez rozszerzenia wielkości budżetu. Różnice poziomu technologicznego Polski i krajów zachodnich są na tyle duże, że przeprowadzenie na Zachodzie zbiórki nieużytkowanego już przez właścicieli sprzętu technicznego i przesłanie go do kraju mogłoby ten problem praktycznie rozwiązać. Ponieważ sam sprzęt jest sprzętem powszechnego użytku, jego wysyłka nie powinna natrafiać na inne przeszkody, jak tylko natury organizacyjnej.

Ad 2. — Pomoc prawna obejmuje zarówno konsultacje prawne w sprawach cywilnych (sprawy pracy, wywłaszczeń itp.) jak również obronę w sfingowanych sprawach karnych przed sądami czy też kolegiami d/s wykroczeń. W ostatnim wypadku obrona jest zapewniona z reguły w sprawach zagrożonych karą aresztu. O ile w przypadku sądów czy prokuratury możemy mówić o dyspozycyjności w stosunku do władz partyjnych czy SB, to sytuacja jaka panuje w kolegiach nie daje się określić innym słowem niż prostactwo pozostające na usługach policji. Pogarda dla prawa łącznie zresztą z przepisami procedury, jaka towarzyszy tzw. rozprawom, nie zachowanie nawet pozorów obiektywizmu, przekracza wszelkie wyobrażalne granice. W tej sytuacji występowanie w całej powodzi drobnych, zagrożonych grzywnami spraw wydaje się całkowicie niecelowe i nieuzasadnione organizacyjnie i ekonomicznie. Główna trudność zorganizowania należytej pomocy prawnej wiąże się z atmosferą szantażu i terroru, jakiemu poddane jest środowisko adwokackie w Polsce (katowicka sprawa Świtonia, Słupsk — sprawa Marka Kozłowskiego, Warszawa — wyeliminowanie mec. Lis-Olszewskiego). Horrendalnym w swej wymowie dokumentem może tu być pochodzący z 1976 roku list katowickiej Rady Adwokackiej potępiający warszawskich adwokatów za obronę robotników Radomia i Ursusa. W takiej atmosferze grupa adwokatów podejmujących się spraw opozycji demokratycznej jest bardzo ograniczona. Powoduje to kolosalne przeciążenie pracą. Konieczność dojazdów sprawia, że mimo, iż pomoc prawna prowadzona jest przy minimalnych kosztach (nie pobieranie przez adwokatów opłat na rzecz zespołu adwokackiego karane jest dyscyplinarnie) rozchody wynoszą tu około 20 tys. zł miesięcznie. W sytuacji, gdy wyroki zapadają poza sądem warto odpowiedzieć sobie na pytanie: jaki jest sens podejmowania walki na płaszczyźnie prawnej?

Odpowiedź na to jest trojaka. Po pierwsze w części spraw, głównie zresztą cywilnych (np. sprawy pracy), gdzie sądy są w mniejszej części infiltrowane przez policję i SB bywa, że wyroki zapadają zgodnie z poczuciem sprawiedliwości i tam pomoc prawna wydaje się całkowicie naturalna. Po drugie w sprawach, w których wyroki są z góry przesądzone

fachowa pomoc prawna pozwala na ujawnienie i udokumentowanie dziejącego się bezprawia.

Wreszcie po trzecie konsekwentne podejmowanie tego typu spraw ma istotne znaczenie dla kształtowania morale środowiska prawniczego w Polsce. Wymienić tu można kilka pozytywów: pojawianie się w fingowanych przeciwko opozycji postępowaniach karnych stale tej samej grupy nazwisk (sędzia Aleksandrow — Warszawa, sędzia Sułkowski — Gdańsk, prokurator Nastuła — Katowice, prokurator Detko — Warszawa) świadczy o tym, że reszta środowiska, jeśli nawet nie potrafi się przeciwstawić naciskom, to przynajmniej unika jednocześnie dezawuujących sytuacji. Dalszym elementem jest tu wzrost solidarności w środowisku adwokackim oraz rozszerzanie się grupy adwokatów podejmujących współpracę z Biurem Interwencyjnym. Najogólniej można by powiedzieć, że prowadzona działalność doprowadziła w ostatnim okresie do powstania w środowiskach prawniczych pewnego zaniepokojenia stanem praworządności w Polsce.

Ad 3. — Jednym z podstawowych środków obrony jakim dysponuje Biuro jest informowanie i mobilizowanie opinii publicznej. Należy tu podkreślić, że skuteczne realizowanie tego celu wymaga współpracy całej opozycji i Biuro w tych wypadkach obejmuje organizację i koordynację działań szerszej grupy ludzkiej, a nie tylko stałych współpracowników. Spośród tego typu żądań wymienić należy organizowanie wyjazdów obserwatorów na procesy, przygotowywanie sprawozdań informacyjnych dla prasy niezależnej i korespondentów zagranicznych, a także sporządzanie dokumentacji i przygotowywanie wstępnych tekstów dla oświadczeń z listów KSS „KOR". Wiarygodna informacja społeczeństwa stanowi najpoważniejsze zagrożenie systemu totalitarnego, z tego powodu jest w rękach opozycji również środkiem odwetu i nacisku na władzę.

W tych rejonach, w których mamy do czynienia z fingowanymi procesami sądowymi prowadzona jest masowa akcja informacyjna przy pomocy ulotek i wzmożonego kolportażu wydawnictw niezależnych. Ma ona na celu uświadomienie władzom lokalnym inspirującym (za pozwoleniem centrali) działania represyjne, że fakt uwięzienia poszczególnych uczestników ruchu nie rozwiązuje problemu, a powoduje jedynie rozszerzanie się działań opozycyjnych. Ponieważ kontrakcje wymagają w takich wypadkach mobilizacji na długi okres czasu dużych sił policyjnych, są kosztowne i destabilizują życie rejonu (dochodziło wręcz do łapanek jak np. na dworcu w Katowicach), to taktyka szerokich akcji informacyjnych może być skutecznym środkiem nacisku na władze i przynosić w pewnych przypadkach pozytywne rezultaty (sprawa Świtonia, sprawa Chojeckiego). Akcje tego typu są zarówno kosztowne jak i pracochłonne, także dla opozycji. Wymagają one druku dużej ilości ulotek, odrywania od zajęć i wyjazdów w odległe miejsca sporych grup ludzkich. I wreszcie w wypadku zatrzymań opłacania wysokich kosztów kolegiów. Z tych przyczyn rozwinięcie akcji do właściwych rozmiarów jest bardzo utrudnione i powoduje przynajmniej chwilową nieskuteczność działań podejmowanych w obronie Edmunda Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego. Tego typu szerokie akcje są najczęściej dofinansowywane przez Radę Funduszu (druk, grzywny). Pozostająca w gestii Biura reszta pieniędzy 20-30 tys. zł jest rozchodowana głównie na dojazdy i jednorazowe zasiłki. Obejmuje to zarówno dojazdy na rozprawy obserwatorów, dojazdy na akcje ulotkowe jak również przejazdy współpracowników Biura Interwencyjnego w ramach badania napływających z całej Polski spraw.

Oczywiście przedstawiony system rozchodowania pieniędzy nie jest sztywny i w miesiącach o zmniejszonych rozchodach możliwe jest prowa-

dzenie akcji informacyjnych finansowanych z bezpośredniego funduszu Biura Interwencyjnego.

Druga płaszczyzna, w której działalność Biura jest znacznie szersza, obejmuje badania, dokumentację i podejmowanie interwencji w sprawach dochodzących z całego kraju, a dotyczących poszczególnych obywateli, których interesy zostały w sposób szczególnie drastyczny pogwałcone przez aparat władzy. Omówienie działań podejmowanych na tym polu przez Biuro Interwencyjne jest bardzo trudne przede wszystkim ze względu na różnorodność napływających spraw. Dotyczą one praktycznie wszystkich dziedzin życia, a dostarczany przez nie obraz rozmiarów dziejącego się w PRL bezprawia jest chyba jeszcze bardziej przerażający, niż obraz jaki wyłania się z represji stosowanych wobec grup opozycyjnych. Naginanie porządku prawnego do aktualnych interesów partii doprowadziło do sytuacji, w której pogarda dla prawa stała się powszechna, a niesprawiedliwe rozstrzygnięcia ferowane są już nie w imię wyimaginowanych założeń ideologicznych(choć to także), ale służą często utylitarnym interesom poszczególnych grup czy wręcz osób prywatnych. Z punktu widzenia państwa totalitarnego można powiedzieć, że obecny stan chaosu prawnego powoduje wzrost poczucia nieograniczonej władzy u członków aparatu i jednocześnie atmosferę terroru wśród społeczeństwa, ale pamiętać należy również, że nic nie budzi takiej nienawiści, jak właśnie krzywda wyrządzana w majestacie prawa.

Ilość spraw napływających do Biura Interwencyjnego kształtuje się na poziomie kilkuset w skali rocznej i ograniczeniem są tu praktyczne możliwości Biura. Z żalem trzeba stwierdzić, że są one skromne i część spraw musi dość długo oczekiwać na podjęcie. Powoduje to zniechęcenie korespondentów i tym samym ogranicza ilość spraw. Jest to szczególnie przykre dla ludzi współpracujących z Biurem Interwencyjnym, którzy muszą mieć świadomość, że każda podjęta sprawa spowoduje lawinę innych, które siłą rzeczy muszą pozostać niezałatwione, sprawiając zawód tym, którzy mieli do nas zaufanie. Pewną pociechę stanowi tutaj fakt, że znaczna część zgłaszających się do nas osób dość dobrze zdaje sobie sprawę zarówno z rozmiarów bezprawia jak i naszych możliwości i zwracając się do Biura mają na celu nie tyle załatwienie partykularnego interesu, ile nawiązanie kontaktu i podjęcie wspólnej walki.

Ze względu na różnorodność napływających spraw działania Biura Interwencyjnego są bardzo zróżnicowane. Jednym z najistotniejszych elementów jest przeprowadzenie wywiadu środowiskowego i możliwie dokładne umotywowanie sprawy. Element ten jest o tyle istotny, że narażeni jesteśmy zarówno na prowokacje policji jak i zgłoszenia osób niezrównoważonych psychicznie czy wręcz hochsztaplerów. W sprawach, w których można oczekiwać jakiegoś powodzenia staramy się nie ujawniać naszego udziału, aby nie powodować u władz zahamowań ambicjonalnych. Jednocześnie wiadomość o tym, że sprawę znamy, na ogół dociera do tzw. czynników kompetentnych i obawa przed skandalem sprzyja pozytywnemu załatwieniu interesanta. Pomoc sprowadza się w takich przypadkach do porady, w jaki sposób sprawę należy prowadzić, napisania odpowiednich pism, skontaktowania z adwokatem czy wreszcie spowodowania kanałami nieoficjalnymi zainteresowania się sprawą osób czy instytucji, posiadających u władz dostateczny autorytet. W wypadku niereagowania władz pozostają oczywiście te same środki, które stosowane są do obrony uczestników opozycji demokratycznej, a więc podanie do publicznej wiadomości, zajęcie stanowiska lub wystąpienie do władz oficjalnych przez KSS „KOR", bądź wreszcie szeroka akcja informacyjna (np. podjęta w środowisku łódzkim akcja w sprawie morderstw w Komendzie Łódź Bałuty).

Materiały zgromadzone przez Biuro Interwencyjne w wyniku napływających skarg obywateli stały się podstawą do przygotowywanego dla Konferencji Madryckiej raportu o stanie przestrzegania praw człowieka w PRL.

Spośród problemów społecznie najbardziej ważkich wymienić należy:

1. Stosowanie przez organa ścigania przemocy fizycznej w czasie śledztwa i zatrzymań, prowadzącej w konsekwencji do kalectw i zabójstw.
2. Działalność kolegiów administracyjnych.
3. Stan więziennictwa.
4. Sprawy rentowe.
5. Sprawy wywłaszczeń na wsi.
6. Sprawy wynikające ze stosunku pracy.

W grupie tej specjalnie nie wymieniono interwencji, podejmowanych na rzecz ludzi szykanowanych za działalność religijną, gdyż ich finałem było na ogół powstanie zorganizowanych grup włączających się do działań opozycji demokratycznej (np. Komitety Ludzi Wierzących w Siedlcach i Przemyślu).

Ad 1. — Problem ten, zasygnalizowany przez wydarzenia radomsko-ursuskie, stał się jednym z naczelnych zagadnień podjętych przez Biuro Interwencyjne. Bicie przez milicję w czasie zatrzymania i śledztwa stanowi praktykę powszechną i doprowadza w konsekwencji do zabójstw. Pierwsza część zebranych materiałów została opublikowana przez Biuro w Dokumentach Bezprawia. Często daje się słyszeć argument: policja wszędzie bije. Być może, ale nigdzie mordercy nie są do tego stopnia bezkarni. W sprawach przeciwko milicjantom prokuratura na ogół odmawia wszczęcia śledztwa lub też bardzo szybko pod byle pozorem je umarza, gdy zaś sprawa dociera do sądu nawet w najcięższych wypadkach zapadają śmiesznie niskie wyroki.

Szczytem wynaturzenia w tej dziedzinie może być przykład prokuratora B. Śliwy, który został zwolniony z zajmowanego stanowiska za to, że chciał doprowadzić do wykrycia sprawcy czysto kryminalnego morderstwa rabunkowego popełnionego przez milicjanta.

Ad. 2. — Naigrywanie się z wymiaru sprawiedliwości dotyczy praktycznie ogółu rozpraw toczących się przed Kolegiami d/s Wykroczeń i jest tym bardziej niebezpieczne, że dociera do bardzo szerokich warstw ludności, jest dla nich podstawową edukacją prawniczą. Najbardziej schematycznie można by zarysować to następująco. Ponieważ w Polsce nie udało się przeprowadzić przez Sejm ustawy o tzw. pasożytach (która obowiązuje w ZSRR i CSRS), rolę jej spełniają kolegia. Osoba nie pracująca, zatrzymana, skazywana jest przeważnie na karę aresztu do 3 miesięcy przy czym wyrok nie ma tu często nic wspólnego z zarzucanym, a tym bardziej udowodnionym przewinieniem. Jeśli nawet zapada wyrok grzywny to i tak w związku ze stosowaną powszechnie natychmiastową wykonalnością w trybie przyspieszonym sprawa kończy się aresztem zastępczym. W ten sposób kolegia dostarczają państwu całe legiony bezpłatnych pracowników.

Ad 3. — Materiały dotyczące stanu więziennictwa w PRL zostały opublikowane w oświadczeniu KSS „KOR" z maja 1979 roku w sprawie amnestii. Ogólnie warunki higieniczne, wyżywieniowe, warunki pracy przedstawiają się katastrofalnie. Wyniki dalszych badań w tej sprawie zostaną przedstawione w raporcie madryckim.

Ad 4. — Sprawy rentowe, wobec których Biuro Interwencyjne czuje się całkowicie bezradne, należą do najboleśniejszych. Problem dotyczy tu w pierwszym rzędzie grupy osób, które za działalność w szeregach AK na terenach wschodnich zostały aresztowane i odbyły w sowieckich łagrach długoletnie wyroki. Osobom tym władze odmawiają zarówno wszelkich odszkodowań jak i przyznania praw kombatanckich. Ponieważ jednocześnie osoby

te nie mają na ogół pełnej wysługi lat (spędziły je w łagrach) to ich warunki bytowe graniczą bardzo często z nędzą. Rozwiązanie tego problemu wymagałoby przede wszystkim stałych zasiłków. Szczególnie na tym polu oczekujemy pomocy od organizacji kombatanckich na Zachodzie.

Ad 5. — Od lat prowadzona jest w kraju polityka przejmowania ziemi od prywatnych gospodarzy. Wydana niedawno ustawa o przymusowym wykupie gospodarstw zaniedbanych stworzyła pole do dalszych nadużyć w tej dziedzinie. Podobnie zresztą dzieje się ze sprawami komasacji. Biuro Interwencyjne podejmowało w tych sprawach pojedyncze interwencje, jednakże wymagają one bardziej generalnego podejścia w ramach odradzającego się ruchu chłopskiego.

Ad 6. — Spraw ze stosunku pracy jest bardzo dużo. Dotyczą one bezprawnych zwolnień, wypadków przy pracy, prawa wynalazczego. Już sam Kodeks Pracy wyraźnie uprzywilejowuje państwowego pracodawcę, a podporządkowane aparatowi władzy terenowe komisje odwoławcze i sądy przesuwają granice dyskryminacji pracownika jeszcze dalej. Podobnie jak w sprawach chłopskich, Biuro Interwencyjne zajmuje się całym szeregiem takich spraw — jednakże i tu problem wymaga bardziej całościowego podejścia, którego oczekiwać można ze strony grupujących się wokół *Robotnika* sygnatariuszy Karty Praw Robotniczych czy też powstających Wolnych Związków Zawodowych.

Rozchody jakie ponosi Biuro w związku z grupą spraw indywidualnych nie są wyodrębnione i zostały włączone do poprzednio omawianych pozycji (pomoc materialna, prawna, działalność informacyjna).

Podkreślić należy, że stała pomoc materialna udzielana jest tutaj raczej w wypadkach wyjątkowych, jednakże sytuacja materialna poszkodowanych zmusza często Biuro do pełnienia funkcji czysto charytatywnych.

Tyle o problematyce działalności Biura Interwencyjnego.

A czym jest naprawdę Biuro?

Już sam termin jest nader mylący. Biuro jako takie nie istnieje. Jest to grupa kilkunastu, czasami do 30 osób, które decydują się większą lub mniejszą część swojego czasu poświęcić takiej działalności. Wyjazdy, wywiady środowiskowe, dokumentacja spraw, opracowywanie materiałów, ulotkowanie, opieka nad klientami Biura to zakres ich działania. Są oczywiście ścigani przez SB i policję, a więc starają się gubić inwigilację by dotrzeć do klientów, spotykają się ukradkiem, czasami zamykani są na 48 godzin, a czasem, gdy ich działalność zbyt doskwiera MO, mogą być skazani jak Marek Kozłowski ze Słupska na wielomiesięczne wyroki w fingowanych procesach. Ponieważ telefony są na podsłuchu a korespondencja czytana, to przekazanie każdej wiadomości wymaga przejazdu czy to w lepszym przypadku na koniec miasta, czy w gorszym na drugi koniec Polski. Pochłania to ogromne ilości czasu i energii. Ze względu na przeprowadzane rewizje Biuro nie posiada swego archiwum. Materiały porozrzucane są w dziesiątkach miejsc i sprawdzenie czegoś wymaga znów przejazdów, gubienia inwigilacji itd.

Jeżeli chodzi o dalsze perspektywy rozwoju działalności interwencyjnej to można tu wymienić dwa kierunki. Jeden to powstawanie niezależnych współpracujących z Biurem i przejmujących od Biura pewną grupę zagadnień komórek specjalistycznych, drugi to powstawanie tego samego typu komórek regionalnych zajmujących się problemami swego terenu. Obydwa te kierunki dają się zaobserwować już w tej chwili i tak, jak już podano w sprawach represji antyreligijnych działalność interwencyjną przejęły w jakiejś mierze Komitety Ludzi Wierzących, zaś problemami wsi i sprawami pracy zajęły się, przynajmniej w generalnym kształcie, zespoły *Robotnika* i *Placówki*.

W drugim nurcie obejmującym powstawanie komórek regionalnych wymienić należy niezwykle intensywną działalność interwencyjną podjętą już od ponad roku w środowiskach łódzkim i gdańskim.

Obydwie drogi rozwoju pozwalają na rozszerzenie działalności interwencyjnej i powstawanie tego typu nowych zespołów powinno się stać przedmiotem wysiłku organizacyjnego i troski ze strony Biura Interwencyjnego KSS „KOR".

Zbigniew ROMASZEWSKI
Zofia ROMASZEWSKA

Warszawa, lipiec 1980 r.

NADZWYCZAJNY ZJAZD DELEGATÓW STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH

„O ZNACZENIU ŚRODKÓW KOMUNIKACJI SPOŁECZNEJ W POLSCE I ROLI STOWARZYSZENIA DZIENNIKARZY POLSKICH W ICH ROZWOJU — OCENA WSTĘPNA WNIOSKÓW Z DYSKUSJI"

Wszystkie analizy przyczyn kryzysu politycznego i gospodarczego w Polsce wskazują, że istotnym czynnikiem tego kryzysu był sposób funkcjonowania systemu środków społecznego komunikowania. Ich sposób funkcjonowania odpowiadał sprzecznej z duchem socjalizmu, realizowanej w praktyce doktrynie, według której zadaniem propagandy jest urabianie świadomości społecznej, narzucanie ocen i opinii, a zadaniem dziennikarzy pouczanie i strofowanie swych czytelników, słuchaczy i widzów. Ta doktryna propagandy przyjmowała za naturalny ostry podział na tych, którzy rządzą, oraz tych, którzy mają słuchać i wykonywać polecenia.

Fakty wykazały, że monopol informacyjny zagraża najżywotniejszym interesom społeczeństwa, któremu odbiera szansę integracji i naturalnego rozwoju. Działa on także przeciwko samej władzy, prowadzi bowiem do erozji postaw moralnych tak aparatu władzy jak obywateli, do paraliżu mechanizmów współpracy społecznej.

Kontrolę nad prasą, radiem i telewizją sprawowała dotychczas nie partia, lecz biurokracja partyjna, administracyjna i gospodarcza. Objawiało się to w zakazach, o czym informować nie wolno, i w nakazach o czym należy pisać i mówić obowiązkowo. Przyjmowano jako założenie, że można i trzeba osiągnąć jednomyślność społeczeństwa we wszystkich sprawach. To założenie wraz z przedstawionym uprzednio sposobem traktowania środków masowego komunikowania się musiało doprowadzić do sytuacji, w której przedstawiciele władzy nie czytają prasy informacyjnej własnego kraju, ponieważ z góry wiedzą, co w niej powinno być napisane, a społeczeństwo nie wierzy nawet prawdziwym wiadomościom, podejrzewając w nich kolejną próbę manipulacji.

Społeczeństwo porozumiewało się poza oficjalnymi środkami przekazu, a faktyczny monopol informacyjny został przejęty przez zagraniczne radiostacje. W konsekwencji doszło do zerwania kontaktu władzy ze społeczeństwem, skutek wszystkich propagandowych zabiegów okazał się przeciwny zamierzeniom.

Wobec takich doświadczeń znaczenie właściwego funkcjonowania środków komunikacji społecznej dla prawidłowego funkcjonowania socjalistycznego systemu społecznego w Polsce stał się dziś oczywistością. Bez ich właściwej, autentycznej roli niemożliwe jest ani porozumienie między obywatelami, ani porozumienie między obywatelami i władzą. Dlatego Zjazd wyraża przekonanie, że członkowie Stowarzyszenia — a wśród nich członkowie partii i innych stronnictw politycznych — powinni służyć swoją pracą socjalistycznemu systemowi społecznemu w Polsce w całości, a nie poszczególnym grupom lub osobom w aktualnym aparacie władzy, służyć swoim ideałom politycznym, a nie bieżącym i doraźnym dyspozycjom takich grup lub osób. Państwo, partia, stronnictwa polityczne i organizacje społeczne mogą przy pomocy swego aparatu prowadzić propagandę, czyli urabiać opinię publiczną na korzyść danych koncepcji, poglądów lub ideałów; jednakże takie aparaty propagandy powinny ograniczyć swą rolę we współpracy z dziennikarzami do ustalania ogólnych kierunków polityki, opiniowania i nadzoru, nie ingerując w bieżący tok redagowania gazet czy też realizacji programów radiowych i telewizyjnych. Przy działaniu urzędu cenzury w sposób ograniczony i zdefiniowany ustawą takie zasady współpracy ułatwią dziennikarzom prawidłowe spełnianie ich podstawowych obowiązków społecznych w służbie informacji i społecznego porozumienia się.

Członkowie naszego Stowarzyszenia muszą zrobić wszystko, co leży w ich mocy, dla wyprowadzenia środków masowego komunikowania się ze stanu kryzysu, w jakim się znalazły. Warunkiem przywrócenia im społecznego zaufania i warunkiem skutecznego w przyszłości funkcjonowania jest mocne ugruntowanie zasady jawności życia publicznego na wszystkich szczeblach politycznych i państwowych oraz tworzenie drożnego systemu obiegu niemanipulowanej informacji. Wprowadzenie zasady jawności życia publicznego zależy nie tylko od gwarancji legislacyjnych, lecz także od szeroko pojętej demokratyzacji kraju oraz od jej ugruntowania w praktyce i świadomości społecznej. Wybrani w autentycznym głosowaniu uczestnicy Nadzwyczajnego Zjazdu SDP, których większość to członkowie PZPR, ZSL i SD, są przekonani, że niezbędnym elementem demokratyzacji życia politycznego w kraju oraz jej trwałości jest respektowanie zasad wewnętrznej demokracji we wszystkich ogniwach i instancjach partii oraz stronnictw politycznych i organizacji społecznych, a także umocnienie kontrolnej roli Sejmu PRL i innych organów przedstawicielskich oraz wszelkich instytucji społecznego samorządu.

W tym procesie demokratyzacji kraju Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich powinno odgrywać istotną rolę, powinno stać się jednym ze strażników jawności życia publicznego oraz swobody obiegu informacji. Powinno wywierać wpływ na kształtowanie modelu i funkcjonowanie systemu masowego komunikowania się. W związku z tym Zjazd zobowiązuje nowowybrane władze Stowarzyszenia do aktywnej współpracy nad opracowaniem raportu o stanie komunikacji społecznej w Polsce, analizującego doświadczenie przeszłości i wskazującego zasady oraz warunki prawidłowego ich funkcjonowania w socjalistycznym systemie społecznym naszego kraju. Zjazd zobowiązuje te władze, jak też władze Oddziałów Stowarzyszenia, do systematycznego, okresowego formułowania opinii o aktualnym stanie komunikacji społecznej w całym kraju (lub na terenie działalności Oddziałów) i o polityce informacyjno-propagandowej państwa, partii i stronnictw politycznych oraz innych organizacji społecznych. Zjazd zobowiązuje jednocześnie nowowybrane władze Stowarzyszenia do aktywnego udziału w pracach nad ustawą o cenzurze, a następnie w pracach nad prawem prasowym.

Gwarancją właściwej roli naszego Stowarzyszenia powinny być, zdaniem Zjazdu, nowe instytucje w systemie organizacyjnym Stowarzyszenia. Podniesieniu autorytetu naszego środowiska zawodowego będą służyły nie tylko te wspomniane wyżej nowe instytucje wewnątrzorganizacyjne, ale także postulowane zasady współudziału ogniw Stowarzyszenia w kształtowaniu polityki kadrowej wydawców prasy i zwierzchników komitetu radia i telewizji (m.in. prawo zespołów redakcyjnych do akceptowania lub odrzucania kandydatur do stanowiska redaktora naczelnego, do obrony odwoływanych redaktorów naczelnych, jeśli zespół uzna odwołanie za nieuzasadnione, do zgłoszenia sprzeciwu wobec dalszego pełnienia funkcji przez redaktora naczelnego, o ile odpowiednia instancja Stowarzyszenia uzna taki sprzeciw za uzasadniony interesem społecznym). Zjazd zobowiązuje nowowybrane władze Stowarzyszenia do podjęcia działań na rzecz zrównania w prawach wszystkich zespołów redakcyjnych, mając w szczególności na uwadze redakcje gazet zakładowych i zakładowych rozgłośni — ich rola w nowej sytuacji społecznej kraju może być ogromna, jeśli zostaną wyłączone z dyspozycji dyrekcji oraz innych decydentów w obrębie zakładów, branż i resortów. To samo dotyczy prasy związkowej jak też czasopism środowiskowych i zawodowych.

Istotnym elementem gwarancji prawidłowego funkcjonowania środków komunikacji społecznej w Polsce będzie też dbałość Stowarzyszenia o przestrzeganie dziennikarskich norm etycznych przez każdego członka Stowarzyszenia. Naruszanie ich nie jest osobistą sprawą winnego, jest aktem skierowanym przeciw całemu środowisku zawodowemu, przeciw jego statusowi i wiarygodności. Zjazd zobowiązuje nowowybrane władze Stowarzyszenia do przeprowadzenia weryfikacji jego członków tak pod względem zgodnych ze statutem podstaw przynależności, jak przestrzegania dziennikarskiego kodeksu obyczajowego, a jednocześnie do

prac nad weryfikacją zespołu norm, regulujących prawa i obowiązki dziennikarza. Normy te w nowej, zaktualizowanej wersji powinny zostać poddane ogólnośrodowiskowej dyskusji i przekazane szerokiej opinii publicznej, upoważnionej tym samym do społecznej kontroli nad ich wykonaniem.

Zjazd wyraża nadzieję, że zachodzące zmiany w życiu politycznym, społecznym i gospodarczym kraju przyniosą szeroki rozwój środków komunikacji społecznej w Polsce. Oznacza to zarówno wzrost nakładów prasy, jak i przyszły rozkwit lokalnych gazet, rozgłośni i stacji telewizyjnych, niezbędny dla procesów integracji społecznej, dla policentryzacji życia kulturalnego i społecznego w kraju. Działania w tym kierunku powinny doprowadzić do trwałego przełamania monopolu ośrodka społecznego w przekazywaniu informacji i formułowaniu poglądów dotyczących całego kraju, inaczej bowiem nadal nie będzie możliwe szybkie i rzetelne informowanie opinii publicznej o faktach i procesach zachodzących poza Warszawą, a mających znaczenie ogólnokrajowe.

Zjazd wyraża również nadzieję, że wszelkie znaczące w życiu kraju środowiska społeczne uzyskają szansę pełnego wyrażania swych poglądów poprzez własne gazety i czasopisma o nakładach odpowiadających społecznemu zapotrzebowaniu. Dotyczy to w chwili obecnej przede wszystkim prasy nowego ruchu związkowego, jak też prasy innych poza PZPR stronnictw politycznych oraz prasy katolickiej i prasy innych wyznań.

Rozwój środków komunikacji społecznej oznaczać musi odrodzenie lub pojawienie się nowych instytucji w ich funkcjonowaniu, takich jak inne obok Polskiej Agencji Prasowej agencje informacyjne, lub rozszerzenie prerogatyw Rzecznika Prasowego Rządu o stały obowiązek wyrażania poglądów władz na aktualne wydarzenia polityczne, co zdejmie odpowiedzialność za to z Polskiej Agencji Prasowej. Jesteśmy zdania, że program taki, wzbogacony inicjatywami wszystkich zainteresowanych środowisk i przy ich współpracy, spotka się z żywym poparciem tak społeczeństwa, jak władz naszego kraju, ponieważ społeczeństwu zapewnia podmiotowość, a władzy — możliwość skutecznego porozumiewania się ze swymi współobywatelami.

Stowarzyszenie nasze skupia ludzi o różnych poglądach na świat i różnych przekonaniach, którzy zarówno swoim piórem jak działalnością pragną służyć narodowi. Pomne świetnych wielowiekowych tradycji prasy i publicystyki polskiej, Stowarzyszenie będzie dążyło do zapewnienia środowisku dziennikarskiemu autorytetu moralnego i zaufania społecznego. Rodowód nasz, jak wiadomo, sięga pierwszych dzieł o naprawie Rzeczypospolitej i prowadzi przez doświadczenia walk o niepodległość i sprawiedliwość społeczną. Pragniemy kontynuować ten nurt dziennikarstwa w Polsce Ludowej, który dawał świadectwo prawdzie, wyrażał głębokie aspiracje społeczeństwa i służył ideałom demokracji socjalistycznej. Czujemy się zobowiązani dbać o to, by nie powtórzyły się niechlubne praktyki przeszłości, które odbierały naszemu zawodowi jego sens i godność. Moment historyczny, w którym podejmujemy tę uchwałę, pozwala żywić nadzieję, że dziennikarstwo polskie na trwałe odzyska wiarygodność i będzie uczciwie służyło porozumieniu społecznemu, dając zawsze świadectwo prawdzie.

673/700/80

UWAGI NADZWYCZAJNEGO ZJAZDU DELEGATÓW SDP W SPRAWIE USTAWY O CENZURZE I USTAWY PRASOWEJ

Głębokie deformacje społecznego systemu informowania w naszym kraju były jedną z istotnych przyczyn cyklicznie powtarzających się kryzysów politycznych. Deformacje te znajdowały wyraz przede wszystkim w blokowaniu dostępu do źródeł informacji, w manipulowaniu informacją i upowszechnianiu zniekształconego obrazu rzeczywistości, w dyskryminowaniu i szykanowaniu, zarówno osób udzielających informacji jak i dziennikarzy, usiłujących przekazać prawdę opinii publicznej.

Polityka informacyjna pojmowana była błędnie — miała upowszechniać wyłącznie te treści, które służyły doraźnym interesom władzy, eliminowano natomiast informacje niewygodne, gdyż ujawniały one wynaturzenia funkcjonowania władzy. Przez lata działał i nie został jeszcze całkowicie usunięty rozbudowany system partykularnych, branżowych, organizacyjnych i lokalnych nacisków, zniekształcających informację. Systematycznie tłumiono krytykę. Polityka kadrowa w aparacie propagandy i w środkach masowego przekazu służyła utrwalaniu tych deformacji. Szerzyły się również nieetyczne postawy wśród samych dziennikarzy.

Schorzenia systemu informowania były jedną z przyczyn zerwania więzi zaufania między społeczeństwem a władzą, czemu środowisko dziennikarskie dawało niejednokrotnie wyraz. Stwierdzamy, że księga zapisów cenzorskich kursujących po kraju w formie powielonej była wielkim szokiem dla społeczeństwa. Był to dokument świadczący o stopniu zwyrodnienia działania cenzury.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich stoi konsekwentnie na stanowisku, że w interesie naszego społeczeństwa i państwa leży jawność życia publicznego i wynikająca z niej swoboda informowania. Niezbędne — w interesie społeczeństwa i państwa — ograniczenia powinny mieć charakter wyjątkowy i nie mogą naruszać treści konwencji międzynarodowych, których Polska jest sygnatariuszem, a także porozumień gdańskich.

Zadania urzędu cenzury powinny zostać wyraźnie ograniczone do strzeżenia interesów ogólnopaństwowych, z wyłączeniem inte-

resów regionów, instytucji, organizacji lub osób. Cenzura nie może być wykorzystana do manipulowania opinią publiczną.

Naczelny Urząd Cenzury (nie przesądzając oczywiście nazwy) winien być podporządkowany Sejmowi. Prezesa Naczelnego Urzędu Cenzury powołuje Sejm.

Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich opowiada się za możliwie konkretną, nie zostawiającą pola dla nadużyć interpretacyjnych list, tych treści, których publikacja może kolidować z interesem ogólnopaństwowym.

Należy wprowadzić przepis przewidujący, że będą wyłączone kontroli wstępnej cenzury między innymi:

— publikacje przeznaczone tylko do użytku wewnętrznego i opatrzone odpowiednią klauzulą lub wydane na prawach rękopisu,
— publikacje organizacji politycznych i społecznych, związków zawodowych, związków wyznaniowych i stowarzyszeń przeznaczone dla ich członków i opatrzone taką klauzulą,
— publikacje naukowe szkół wyższych, PAN i instytutów oraz towarzystw naukowych,
— zgodne z prawdą relacje o wydarzeniach historycznych,
— dzieła będące dziedzictwem kultury,
— wystąpienia sejmowe i w ramach innych organów przedstawicielskich.

Decyzje cenzury powinny być wydawane na piśmie i zawierać: datę, miejscowość, oznaczenie organu, który je wydał, podstawę prawną, uzasadnienie wskazujące istotne okoliczności faktyczne.

Od decyzji cenzury służy odwołanie do prezesa Naczelnego Urzędu Cenzury: autorowi, kierownikowi redakcji, uprawnionemu przedstawicielowi Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich.

Prawomocne decyzje Naczelnego Urzędu Cenzury są zaskarżalne do Naczelnego Sądu Administracyjnego, który bada je zarówno pod względem legalności, jak i z merytorycznego punktu widzenia.

Konieczne jest wprowadzenie instytucjonalnych gwarancji zapewniających w szczególności:

— możliwość ingerencji cenzury jedynie w stosunku do treści konkretnego dzieła, nigdy zaś wobec autorów, wydawnictw, bądź redakcji,
— prawa autorów i redakcji do informowania społeczeństwa o ingerencjach cenzury,
— sprawowanie przez Sejm — poprzez jego organy — bieżącej kontroli cenzury, zaś w przypadku istnienia instytucji wytycznych interpretacyjnych opracowywanych przez Naczelny Urząd Cenzury,
— konieczność zatwierdzenia ich przez organ Sejmu pod rygorem nieważności; wytyczne takie byłyby jawne i nie wiązałyby sądu.

Postulujemy udział organizacji dziennikarskiej w pracach nad ustawą o cenzurze, jak również opublikowanie jej projektu — w możliwie szybkim terminie — dla umożliwienia udziału w dyskusji wszystkim oddziałom SDP oraz środowiskom twórczym.

Nadzwyczajny Zjazd SDP zwraca się do Sejmu PRL o niezwłoczne podjęcie prac przygotowawczych do uchwalenia ustawy prasowej w 1981 roku. Postulat w tej sprawie środowisko dziennikarskie wysuwało od dawna i obecnie nie można już dłużej odkładać jego realizacji. Doświadczenia bowiem ostatnich lat jeszcze raz drastycznie unaoczniły, że brak prawnej regulacji działalności środków masowego przekazu stał się jedną z istotnych przyczyn zakłócenia i zniekształcenia ich społecznej funkcji. Jesteśmy jednym z nielicznych krajów nie posiadających ustawy prasowej.

Przygotowywana obecnie, zgodnie z porozumieniem gdańskim, ustawa o cenzurze, stanowi tylko jeden zasadniczy element prawa prasowego. Oprócz tego niezbędny jest kompleksowy akt prawny najwyższej rangi, obejmujący całość zagadnień prawnych funkcjonowania prasy, radia i telewizji. Skodyfikowane prawo prasowe, określające zasady polityki informacyjnej naszego państwa, zasady funkcjonowania instytucji prasowych i państwowego radia i telewizji oraz normy wykonywania zawodu dziennikarskiego powinno stanowić — w aspekcie prawnym i praktycznym — główny instrument kierowania środkami masowego przekazu w skali kraju, a także instrument kontroli nad nimi — zgodnie z normami praworządności.

Wyrażamy pogląd, że istotą zawartej w ustawie prasowej wykładni zasad polityki informacyjno-propagandowej państwa powinno być zobowiązanie dziennikarza i redakcji prasowej oraz zagwarantowanie im możliwości swobodnego uzyskiwania i przekazywania pełnej i rzetelnej informacji o wydarzeniach z wszystkich dziedzin życia publicznego oraz prezentowanie różnych poglądów i opinii. Ustawa powinna zakazać manipulowania informacją w zakresie podmiotowym i rzeczowym oraz w zasięgu upowszechniania. Ustawa powinna również określić środki prawne uniemożliwiające wykonywanie funkcji cenzorskich przez organy nie mające do tego ustawowych uprawnień, a także wykorzystywanie przez osoby lub instytucje urzędu cenzorskiego do naruszania zasady jawności życia publicznego i prawa do informacji, przeciwdziałania krytyce, ujawnianiu negatywnych zjawisk w życiu społecznym, nieudolnego działania ogniw władzy i administracji oraz osób, oraz naruszania norm prawa i współżycia społecznego. Zależnie od stopnia szkodliwości społecznej, ustawa powinna przewidywać sankcje dyscyplinarne, administracyjne i karne za bezprawne wydawanie zarządzeń zakazujących podległym pracownikom udzielania informacji dziennikarzom. Sankcje te należy określić również wobec osób urzędowych, świadomie udzielających dziennikarzom informacji nieprawdziwych.

Widzimy również potrzebę odpowiedniej modyfikacji i noweli-

zacji przepisów o ochronie czci, tajemnicy zawodowej, odpowiedzialności karno-prawnej dziennikarzy, ochronie praw autorskich oraz innych przepisów, związanych z odpowiedzialnością prawną dziennikarzy.

Uważamy, że projekt ustawy prasowej powinien powstać przy autentycznym udziale środowiska dziennikarskiego, jego organizacji twórczo-zawodowej oraz specjalistów z dziedziny prasoznawstwa. Przed wniesieniem pod obrady Sejmu, projekt ustawy prasowej należy poddać szerokiej dyskusji wśród dziennikarzy i innych środowisk społecznych.

Nadzwyczajny Zjazd upoważnia nowe władze naczelne SDP do przekazania Prezydium Sejmu tekstu rezolucji w sprawie ustawy o cenzurze i ustawy prasowej oraz natychmiastowego uznania za niezgodny z prawem (Dekret z 1946 roku, Dziennik Ustaw poz. 210) i uchylenia art. 5 rozporządzenia Prezesa Rady Ministrów z 1975 roku (Dziennik Ustaw Nr 13).

Nadzwyczajny Zjazd zobowiązuje nowe władze SDP do niezwłocznego powołania własnego zespołu roboczego i grupy ekspertów w celu przygotowania założeń i projektowania ustawy prasowej.

REZOLUCJA ZJAZDU SDP DOTYCZĄCA PRAWA CZŁOWIEKA DO ŻYCIA W NIESKAŻONYM ŚRODOWISKU

Dziennikarze zgromadzeni na Nadzwyczajnym Zjeździe SDP wyrażają poparcie dla treści Listu Otwartego do Sejmu PRL uczonych, twórców, lekarzy i dziennikarzy Krakowa — dotyczącego prawa człowieka do życia w nieskażonym środowisku, prawa do zachowania i ratowania ojczystej przyrody.

Polska znajduje się na granicy katastrofy ekologicznej. Skutki tego stanu rzeczy rzutują w ogromnym stopniu na siłę populacyjną, twórczą, produkcyjną i obronną naszego społeczeństwa.

Oczekujemy, że władze naszego państwa z najwyższą powagą potraktują przedstawiony problem i przystąpią do takich działań, które skutecznie powstrzymają: dalszą degradację środowiska ekologicznego człowieka, rabunkową gospodarkę zasobami przyrody, niszczenie ojczystego krajobrazu naturalnego i kulturowego, nadwerężanie zdrowia narodu.

Jednocześnie popieramy powstały w Krakowie Polski Klub Ekologiczny, który stoi na straży praw i powinności obywatelskich i państwowych w zakresie ochrony środowiska, zdrowia społeczeństwa, oraz przyrody ojczystej.

DELEGACI NA ZJAZD SDP

UCHWAŁA PLENUM KOMITETU ZAKŁADOWEGO PZPR W PLL „LOT"

rozszerzonego o zakładowy aktyw partyjny

Dnia 25. 9. 1980 roku aktyw partyjny PLL „LOT" podjął rezolucję w kluczowych zagadnieniach działalności Partii, uważając, że pełna realizacja przedstawionych zadań jest niezbędnym warunkiem dalszego skuteczniejszego działania Partii.

Do dnia dzisiejszego nie otrzymaliśmy odpowiedzi na nasze postulaty. Tylko do części z nich w zadawalający nas sposób ustosunkowało się VI Plenum KC

Naszym zdaniem kryzys polityczny w społeczeństwie i partii trwa nadal i nie można go rozwiązać jedynie metodami deklaracji, zapowiedzi reform, lub markowaniem działań bez podejmowania konkretnych i pryncypialnych rozstrzygnięć.

W ostatnim czasie obserwujemy zmiany na stanowiskach sekretarzy wojewódzkich (w 15 województwach) z zachowaniem starego stylu i formy odchodzenia (ze względu na stan zdrowia przejście do innej odpowiedzialnej pracy). Jest to kontynuacja powszechnie potępionej przez społeczeństwo polityki karuzeli stanowisk.

Protestujemy przeciwko powoływaniu komisji partyjno-rządowej d/s rolnictwa, w której praktycznie nie ma rolników, czy reformy gospodarczej, którą mają nam przygotować tacy towarzysze jak: Jędrychowski, Pszczółkowski, Secomski czy Bożyk.

Towarzysze!

Z zadowoleniem przyjmujemy zachodzącą odnowę w ruchu związkowym, naszym pragnieniem i żądaniem jest, aby rzeczywista odnowa następowała także w Partii.

Zwracamy się do wszystkich uczciwych komunistów, członków naszej Partii i bezpartyjnych, abyśmy zdecydowanie zaprotestowali przeciw stawianiu nas w roli marionetek i manipulowaniu nami przez te siły w kierownictwie Partii, które nie chcą i nie potrafią zrozumieć istoty złożonej sytuacji polityczno-społecznej w naszej Ojczyźnie.

Uważamy, że w trosce o najbardziej podstawowe interesy naszej Ojczyzny i Partii musimy wziąć na siebie obowiązek dokonania porządku i uczciwego rozrachunku w naszych szeregach, przede wszystkim w wyższych instancjach partyjnych, tj. w Komitecie Centralnym i w Komitecie Warszawskim.

Musimy tego dokonać, ponieważ w dalszym ciągu mamy do czynienia ze zmową milczenia jako formą odpowiedzi na nasze żądania. Zbyt silne są powiązania osobowe i wzajemne zależności w gronie osób kierujących Partią, aby od nich domagać się konsekwentnego rozliczania z kryzysu, do którego doprowadził nas Komitet Centralny i Rząd.

Towarzysze!

Musimy otrząsnąć się z ciosów, które niezasłużenie na nas, szeregowych członków Partii spadają. Pracowaliśmy i działaliśmy w Partii przez 35 lat sumiennie, wkładając w to cały nasz wysiłek i umiejętności, i nie mamy sobie wiele do zarzucenia. To nie my, ale nieudolne i skompromitowane kierownictwo Partii doprowadziło do tego, że nie możemy z podniesionym czołem i czystym sumieniem rozmawiać z naszymi kolegami — bezpartyjnymi robotnikami.

Odnosimy wrażenie, że wielu naszym towarzyszom z instancji nadrzędnych nie zależy naprawdę na socjalizmie i Partii, ale tylko na utrzymaniu własnych lukratywnych stanowisk i funkcji.

Kategorycznie żądamy, aby na zapowiedzianym VII Plenum nastąpiło dalsze konsekwentne rozliczenie pozostałych towarzyszy odpowiedzialnych za doprowadzenie kraju i partii do stanu tragedii.

Uważamy, że należy poinformować całe społeczeństwo o tym, kto jakie poglądy prezentował w kierownictwie Partii przed VI Plenum, kto za jakie sprawy odpowiadał i jak się z nich wywiązał. Nie możemy anonimowo rozliczać tylko b. I Sekretarza i b. Premiera oraz tych towarzyszy, którzy z KC odeszli na VI Plenum.

Naszym zdaniem należy dokonać w okresie do VIII Plenum oceny wszystkich członków kierownictwa Partii i kierownictwa poszczególnych komitetów wojewódzkich według następujących zasad:

— czerpanie korzyści materialnych z zajmowanych stanowisk;
— odważne głoszenie poglądów i zajmowanie stanowiska przy podejmowaniu, jak wykazała praktyka, błędnych decyzji w Biurze Politycznym i Prezydium Rządu, wyniki uzyskiwane w kierowaniu własnym odcinkiem pracy;
— stosunek do wydarzeń na Wybrzeżu i stanowisko w sprawie powszechnie oczekiwanej odnowy.

W pierwszej kolejności należy dokonać oceny następujących towarzyszy: Edward Gierek, Władysław Kruczek, Piotr Jaroszewicz, Andrzej Jaroszewicz, Aleksander Kopeć, Alojzy Karkoszka, Jerzy Łukaszewicz, Jan Szydlak, Andrzej Werblan, Jerzy Waszczuk, Jerzy Olszewski, Zdzisław Grudzień, Janusz Wieczorek, Tadeusz Pyka, Adam Glazur, Józef Pieńkowski, Tadeusz Wrzaszczyk, Zdzisław Żandarowski.

Żądamy podania do wiadomości publicznej, na jakie stanowiska są przenoszeni rozliczani członkowie Biura Politycznego i innych instytucji partyjnych.

Towarzysze!

Ponownie domagamy się w trybie b. pilnym zwołania IX nadzwyczajnego Zjazdu Partii. Jeżeli nie jesteśmy w stanie przygotować na Zjazd założeń reform gospodarczo-społecznych, to proponujemy tematykę Zjazdu ograniczyć do spraw ideologicznych i kadrowych.

Natomiast w terminie 6-12 miesięcy po IX Zjeździe zwołać następny Zjazd, poświęcony wyłącznie zagadnieniom naszej gospodarki.

Oświadczamy, że jeśli nasze żądania nie zostaną pozytywnie rozstrzygnięte, to zakładowa organizacja partyjna w PLL „LOT" nie będzie realizowała dyrektyw i poleceń nadrzędnych władz partyjnych w obecnym składzie, a przejmie pełną odpowiedzialność za losy Partii na swoim terenie.

Uchwałę przyjęto jednogłośnie.

I SEKRETARZ KZ PZPR
w PLL „LOT"
Jan KONIUSZEWSKI

Warszawa, 13. 11. 1980 r.

Otrzymują:
I Sekretarz KC PZPR tow. St. Kania.
I Sekretarz KW PZPR tow. Al. Karkoszka.
I Sekretarz KD PZPR tow. J. Kędzierski.

CZY GROZI NAM INTERWENCJA?

Jakie są w tej chwili nasze granice wolności? Jak daleko możemy się posunąć, by nie doszło u nas do tego, co stało się w Czechosłowacji w 1968 roku?

Ciągle ktoś się boi, że takim przekroczeniem granicy może być jakieś konkretne wydarzenie, np. decyzja „Solidarności" o strajku. Otóż pomysł patrzenia na rzeczywistość w ten sposób, że interwencja nastąpi, bo wywiesi się gdzieś transparent antyradziecki albo ktoś z KOR-u będzie miał jakąś funkcję w „Solidarności", jest kompletnie bez sensu.

Rosjanie tutaj wjadą lub nie wjadą w zależności od swoich możliwości interweniowania oraz od tego, czy uznają, że Polska wymyka się z ich sfery wpływów.

A więc najpierw ta pierwsza sprawa. Sądzę, i nie jestem w tym sądzie osamotniony, że wkroczenie do Polski kosztowałoby Rosjan niezwykle dużo i że oni wcale tego nie chcą.

Po pierwsze — wiedzą, i takie jest powszechne odczucie społeczeństwa, że sytuacja wyglądałaby u nas inaczej niż w Czechosłowacji, że tu doszłoby do wojny.

Po drugie — już sam fakt wojny w Polsce uruchomiłby różne odśrodkowe siły w Związku Radzieckim. Przecież tam się i tak już różne rzeczy dzieją, nasilają się konflikty narodowościowe, pogarsza sytuacja gospodarcza.

Po trzecie — wierzę głęboko, że wojna w Polsce wywołałaby olbrzymie parcie opinii publicznej na rządy Zachodu, musiałyby one zastosować blokadę ekonomiczną wobec ZSRR; że ośmieliłoby to bardzo Chińczyków, którzy mają swoje porachunki ze Związkiem Radzieckim, że Chińczycy uzyskaliby niebagatelną pomoc z Zachodu i w efekcie powstałby nowy front na Dalekim Wschodzie.

Tak więc wkraczając tutaj Rosjanie utraciliby najpewniej możliwość prowadzenia swojej imperialistycznej polityki w Azji, ekspansji w stronę Oceanu Indyjskiego. A być może — na skutek polityki zbrojeń, którą musieliby prowadzić przy odcięciu pomocy Zachodu, doszłoby do rewolty w różnych krajach naszego obozu, na które spadłyby koszty tych zbrojeń. To zaś mogłoby oznaczać koniec Związku Radzieckiego.

Sądzę, że kierownictwo radzieckie zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i dopóki nie będzie naprawdę musiało, dopóty powstrzyma się od interwencji.

A kiedy uzna, że naprawdę musi? Kiedy uzna, że Polska wymyka się z rosyjskiej sfery wpływów? Trzeba być Breżniewem, żeby to wiedzieć, a nie przypuszczam, żeby wiedział to w tej chwili nawet Breżniew. Moskwa nie ma stałego przepisu na wjazd. Sądzę, że w obecnej sytuacji skłonna jest akceptować różne rzeczy, dopóki nie nastąpi generalne zagrożenie jej panowania.

A przecież takie generalne zagrożenie nie ma nic wspólnego z tym, jakie się robi gesty czy miny, jakie się mówi słowa.

Jeśli ktoś uważa, że rytualne gesty są tu potrzebne, to niech je robi. Nie wydaje się, żeby wielkiemu Związkowi Radzieckiemu na tym zależało. Jest stare powiedzenie: *„Moskwa słowam nie dowieriajet"*. To prawda, Moskwa nie wierzy w słowa, ani miłosne, ani pełne nienawiści — musi sprawdzić, a sprawdzić to znaczy mieć tu wojsko i policję.

I dopóki komuniści mają wojsko, policję i oczywiście centralną administrację — dopóty Moskwa wciąż jeszcze może liczyć na to, że przyjdą dla niej lepsze czasy i wszystko nam zabierze. A my liczymy na to, że przyjdą dla niej czasy jeszcze gorsze i wtedy nam jeszcze więcej odda.

W Polsce rodzi się teraz wielki ruch społeczny, wiele ruchów — bo to przecież nie tylko związki zawodowe. Ludzie doprowadzeni do ostateczności dotychczasową polityką władz biorą swój los w swoje ręce. I nikt ich nie zatrzyma. Można piszczeć, żeby przestali, ale to nic nie pomoże.

Poza tym zatrzymać się teraz — znaczyłoby to skazać się na katastrofę, jako że system centralnego sterowania został już rozbity, a nie powstało jeszcze na jego miejsce nic nowego.

Mamy więc z jednej strony te wielkie ruchy społeczne, tę samodzielność,

samorządność w różnych dziedzinach życia, z drugiej zaś — konieczność zachowania tzw. kierowniczej roli partii, czyli jej panowania nad centralną administracją, policją i wojskiem. Obydwie te rzeczy trzeba pogodzić. Musimy to zrobić. Musimy stworzyć zupełnie nowy model oparty na kompromisie.

Chodzi o to, aby to wszystko, co stanowi politykę wewnętrzną państwa, było ustalane w drodze negocjacji między zorganizowanym w samorządne i niezależne organizacje społeczeństwem a władzami państwowymi. Nowy model stosunków społecznych to właśnie instytucjonalne formy tych negocjacji.

Takiego modelu nie da się wymyśleć przy biurku. Musi być wypracowany przez wszystkie te ruchy społeczne, poprzez dyskusję. Pomysłów będzie na pewno wiele, będą one kontrowersyjne, sporne. Tylko w ten sposób może powstać model, który stanie się własnością całego społeczeństwa.

Proces tworzenia się tych ruchów, wypracowywania nowego modelu jest zarazem procesem wyrywania władzy komunistycznej kolejnych dziedzin życia społecznego. Takie ograniczanie władzy komunistów może prowadzić do tego, że całkiem ją utracą. I w tym sensie musimy ryzykować wjazd radzieckich czołgów.

Ale ponieważ tego nie chcemy, to nie chcemy również, nie wolno nam przekroczyć tej granicy, którą jest obalenie centralnej władzy komunistycznej. Nie przekroczymy jej tylko wówczas, gdy wypracujemy instytucjonalne formy negocjacji. Bez tego każdy kolejny i nieunikniony w obecnych warunkach konflikt grozi wybuchem, a tym samym stwarza ryzyko niezamierzonego obalenia władzy.

Jestem przekonany, że interwencji nie będzie. Nie jest to wiara irracjonalna. To co się dotychczas zdarzyło, to co się nam udało osiągnąć pokazuje wyraźnie, że istnieją w naszym społeczeństwie siły, zdolności i możliwości, żeby zorganizować się i dokonać niezbędnych reform, nie naruszając granic strzeżonych przez radzieckie czołgi.

Jacek KUROŃ

ROBOTNIK, 23. 11. 1980, Nr 68/69.

LIST DO LECHA WAŁĘSY

Postal, Telegraph and
Telephone International

W.P. Lech Wałęsa
Niezależne Samorządne Związki
Zawodowe — Solidarność

Genewa, 24 listopada 1980.

Drogi Kolego,

Pozwalam sobie w ten sposób do Was się zwracać jako stary związkowiec, czynny w organizacjach związkowych od ponad 30 lat, z czego większość w międzynarodowym ruchu wolnych związków zawodowych. Piszę do Was, drogi Kolego, w imieniu organizacji której jestem sekretarzem generalnym od szesnastu niemal lat, mianowicie Międzynarodowego Zrzeszenia Pracowników Łączności. Związki Zawodowe 89 krajów reprezentujące ponad 3,5 milionów członków, należą do naszego Zrzeszenia — IPTT.

Zarząd światowy IPTT na swym dorocznym zebraniu w dn. 26 i 27 listopada uchwalił jednomyślnie przesłać na Wasze ręce braterskie pozdrowienia oraz wyrazy podziwu i przyjaźni dla robotników polskich, którzy dzięki swej odwadze, jedności, sprawnej organizacji, oddaniu się sprawie i doskonałemu kierownictwu zdobyli sobie prawo do niezależnych samorządnych związków zawodowych. Zarząd światowy naszego Zrzeszenia deklaruje swą solidarność i przyjaźń z nowymi niezależnymi związkami zawodowymi Polski i potwierdza pełne poparcie IPTT dla niezależnych związków zawodowych „Solidarność". Zarząd światowy uchwalił również w imieniu naszego Zrzeszenia i jego organizacji członkowskich udzielić wszelkiej możliwej pomocy „Solidarności", w braterski i bezinteresowny sposób.

Łączę wyrazy szacunku i ściskam dłoń

Stefan NĘDZYŃSKI
Sekretarz Generalny
Międzynarodowego Związku Pracowników
Poczt, Telegrafów i Telefonów

ZADANIA T.K.N. W OBECNEJ SYTUACJI KRAJU
(Uchwała zebrania ogólnego z dn. 22. 11. 1980 r.)

Mijają trzy lata od chwili zawiązania naszego Towarzystwa. Przez te trzy lata łączyliśmy nasze usiłowania z innymi niezależnymi inicjatywami zmierzającymi do tego, abyśmy jako naród nie stali się bezwolną ofiarą despotyzmu, który zaprzeczał nam naszych praw, kaleczył kulturę i język, deprawował charaktery.

Nasze dokonania edukacyjne były na miarę naszych szczupłych sił. Korzystając tylko z prywatnych mieszkań i działając stale pod czujnym okiem, a niekiedy i pod twardą ręką policji, naszą pracą nie mogliśmy objąć więcej niż parę zaledwie setek młodzieży w kilku miastach uniwersyteckich. Szerzej jednak rozchodziły się nasze wydawnictwa, a jeszcze szerzej rozeszła się idea Towarzystwa: idea aktywnego i krytycznego poszukiwania wiedzy o świecie, w którym żyjemy. Ta idea dziś owocuje.

W jakże zmienionych warunkach spotykamy się dziś, w listopadzie 1980 roku. Jeszcze niedawno musieliśmy się zbierać potajemnie. Dziś przed nikim kryć się nie musimy. Jeszcze niedawno wykładowców naszych przetrzymywano w aresztach, karano grzywnami, napastowały ich chuligańskie bojówki. Dziś możemy swobodnie przemawiać w wypełnionych po brzegi aulach.

Te nowe warunki, które zawdzięczamy robotnikom polskim, stawiają przed naszym Towarzystwem znacznie zwiększone obowiązki społeczne. Po mocy naszej spodziewają się dziś trzy wielkie środowiska: studenci, nauczyciele i związkowy ruch robotniczy.

1. Środowisko studenckie było dotąd głównym terenem naszej pracy i oddziaływania. Ostatnio aktywność i chłonność tego środowiska wzrosły ogromnie, a między TKN i Niezależnym Zrzeszeniem Studentów wytworzyły się więzy dobrej współpracy. Zaproszenia na odczyty dochodzą do naszych wykładowców z dziesiątek uczelni w kraju, w tym z takich, które nigdy przedtem styczności z TKN nie miały. Jest rzeczą zrozumiałą, że w obecnym gorączkowym okresie największym powodzeniem cieszą się odczyty na tematy aktualne. Będziemy wszelako dbali o to, aby umasowienie audytoriów nie pociągnęło za sobą obniżenia poziomu odczytów i dyskusji.

TKN nie zamierzało nigdy zajmować się kształceniem specjalistycznym. Naszym zadaniem jest praca nad podnoszeniem kultury humanistycznej i politycznej młodzieży z wszelkich kierunków studiów. Przy zachowaniu tej zasady będziemy się starali z czasem przywrócić także bardziej kameralne formy seminaryjne, zwłaszcza we współpracy ze studenckimi kołami naukowymi. Zaufanie, jakim młodzież studiująca darzy nasze Towarzystwo, uważamy za kapitał moralny, który powinien być z pożytkiem wykorzystany.

2. Drugim kierunkiem pracy Towarzystwa jest współdziałanie z nauczycielstwem nad poprawą systemu szkolnego. Ideowe zasady tego współdziałania przedstawione zostały w naszym „Liście otwartym do nauczycieli i wychowawców" z 14 czerwca br. Z początkiem nowego roku szkolnego TKN podjęło już roboczą współpracę z nauczycielami zrzeszonymi w NSZZ „Solidarność" (zwłaszcza regionu Mazowsze) starając się służyć pomocą i konsultacją ich cennym inicjatywom, uczestnicząc w narodowej dyskusji o przyszłości oświaty i inspirując prace nad założeniami przyszłych programów i podręczników, zwłaszcza historii, języka polskiego i literatury oraz wychowania obywatelskiego.

TKN działa też i będzie działać na rzecz upowszechnienia wartościowych idei pedagogicznych — zarówno tych zakorzenionych w tradycji i sprawdzonych, jak nowych i zasługujących na zainteresowanie. W szczególności TKN gorąco popiera ruch instruktorów harcerskich, zmierzający do odrodzenia ZHP i do przywrócenia harcerstwu jego zapomnianych dziś wartości wychowawczych. Nawiązują się pierwsze kontakty z organizatorami uczniowskich zespołów samokształceniowych, które oczekują pomocy programowej i materiałowej.

3. Trzecim i nowym dla nas terenem działania jest współpraca z organizującym się ruchem związkowym. Rozpoczęła się ona w chwili, gdy zawieziony do Stoczni Gdańskiej apel intelektualistów polskich z dnia 20-23 sierpnia o bezpośrednie negocjacje rządu z MKS-ami pozyskał nam zaufanie przywódców strajkowych, dzięki czemu powstać mogła komisja ekspertów przy gdańskim MKS, później przy MKZ, wreszcie przy Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność", złożona w większości z aktywnych członków naszego Towarzystwa. Obecnie „Solidarność" otwiera przed nami ogromne pole służby społecznej w pracy badawczej, konsultacyjnej i Oświatowej. Ruch związkowy i ruch wiejski podjęły piękną a w PRL przerwaną tradycję Uniwersytetów Robotniczych i Ludowych. Powinnością TKN jest współdziałać w utrzymaniu i rozwoju tych placówek.

4. Towarzystwo nasze pragnie także w nowych warunkach pozostać jednym z ośrodków opiniotwórczych środowiska naukowego i literackiego. Nie powinno zabraknąć naszego głosu w debacie o organizacji nauki i życia kulturalnego, o modelu i zadaniach szkoły wyższej, o polityce wydawniczej i cenzuralnej. Szczególną troskę poświęcić wypada odbudowie tych dziedzin nauk społecznych i humanistycznych, w których i poznanie i nauczanie uległo najgłębszym deformacjom: dotyczy to zwłaszcza historii najnowszej, literatury współczesnej, filozofii, ekonomii i podstaw nauk politycznych. Ich odrodzenie nie będzie możliwe bez zmiany zasad doboru kadr naukowych. Będziemy się domagali przezwyciężenia ponurej spuścizny roku 1968 w polskiej kulturze i nauce oraz naprawienia — w takiej mierze w jakiej to możliwe — szkód moralnych i intelektualnych wyrządzonych i wciąż jeszcze wyrządzanych przez cyklicznie powracające fale prześladowań i odgórnie reżyserowane kampanie oszczerstw i nienawiści.

5. Odnowa humanistyki i nauk społecznych wymaga swobody badań i nonkonformizmu w myśleniu. TKN nie jest zespołem badawczym, ale poprzez swoje kolokwia i publikacje inicjowało dyskusje nad problemami „wyklętymi" i dotychczas na ogół omijanymi przez środowiska naukowe.

Ten nurt dociekań staje się dziś potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Towarzystwo zamierza poświęcić szczególną uwagę analizie przesileń politycznych w dziejach PRL, ewolucji systemu rządzenia oraz postaw społecznych (w tym także postaw samych intelektualistów), a to w przekonaniu, że analizy takie — oprócz wartości poznawczych — mogą być przydatne przy opracowywaniu długofalowego programu reform demokratycznych w Polsce.

Warunkiem sprostania wymienionym zadaniom jest rozszerzenie naszego grona, zwłaszcza zaś pozyskanie nowych, utalentowanych wykładowców i autorów oraz ludzi gotowych służyć Towarzystwu swymi umiejętnościami organizacyjnymi. TKN pragnie być w szczególności otwarte i atrakcyjne dla młodych — pracowników nauki, pisarzy, eseistów — którzy znajdą w nim szerokie pole pracy.

Dopóki nie widzimy możliwości nieskrępowanego działania w „oficjalnych" ramach instytucjonalnych i wydawania naszych wykładów i Zeszytów w normalnych domach wydawniczych, dopóty nie zamierzamy występować o zmianę naszego statusu. Będziemy radzi, jeśli nadejdzie moment po temu stosowny.

Już dziś jednak gotowi jesteśmy współdziałać z instytucjami i stowarzyszeniami, których cele z naszymi choćby częściowo się zbiegają. Będziemy popierali inicjatywy zmierzające do ustalenia w Polsce wolności nauczania, obwarowanej jedynie granicami prawa i kompetencji. Przyłączamy swój głos do starań o reaktywowanie Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Będziemy starali się być obecni, gdziekolwiek toczy się walka o tolerancję dla cudzych przekonań i o szacunek dla prawdy.

TOWARZYSTWO KURSÓW NAUKOWYCH

Warszawa, 22 listopada 1980 r.

POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY
W KANADZIE

ogłasza przedpłatę na książkę
Adama Tomaszewskiego

„GORZKO PACHNĄ PIOŁUNY"

ADAM TOMASZEWSKI
5 RIDOUT STREET, APT. A.
TORONTO, ONT. M6R 1Z1

— Prosimy korzystać z kuponu —

WPŁATY NA POMOC DLA ROBOTNIKÓW, KTÓRZY STRAJKOWALI I DLA ICH RODZIN ORAZ NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ" I INNE WOLNE ZWIĄZKI ZAWODOWE

Bezimiennie z Aulney (Francja) — na „Solidarność" ..... F. 400,00
Bezimiennie z Bazylei (Szwajcaria) — na „Solidarność" .... F. 125,00
Bezimiennie z Holandii na Zw. Zaw. „Solidarność" ..... F. 50,00
K. R. Apt, Rotterdam (Holandia) — na Wolne Zw. Zawodowe F. 200,00
Bob Borowicz, Chile — na cele „Solidarności" i Wałęsy .... F. 630,00
J. Bzowska i J. Jakubowski, Paryż — na Wolne Zw. Zawodowe F. 200,00
For support Polish Straiking Workers — Mr. and Mrs. Stanley J. Drazek of College Park, Md (USA) — $ 20,00 ..... F. 88,00
R. Głowacki, Melbourne (Australia) — dla Wolnego Związku Robotników „Solidarność" jako pomoc dla walczących i prześladowanych — $ A. 900,00 ..... F.4.500,00
S. Gotowicz, Kensington Gardens, S.A. (Australia) — sumy zebrane przez Dom Polski w Adelajdzie na robotników w kraju — $ A. 1.200,80 ..... F.6.422,04
(na sumę tę złożyli się pp. Z. Korpe — $ A. 200,00; Wojtyna, S. Danski, Łotewski Komitet Społeczny — po $ A. 100,00; Hauzer, Barszcz, Dom Polski Society Ltd., Dom Polski Arts Club i T. Wierzbowski — po $ A. 50,00; J. Skocz i M. Seweryniuk — po $ A. 40,00; Korbel i Maślanka — po $ A. 30,00; Gotowicz, Pawlak — po $ A. 25,00; zebrane przy drzwiach — $ A. 24,80; J. Landsberg — $ A. 21,00; Grodzcy, S. Domagalski, Słowik, Barsznica, Poc i państwo Książki — po $ A. 20,00; Ciesiołkiewicz, Szwedowscy, Maka, Duluk, Z. Manowski, S. Strojko — po $ A. 10,00; Biliński — $ A. 8,00; J. Kałuża, A. Sawicki, J. Grabek, Halit Qerimi i Lemaniak — po $ A. 5,00; Piekarz — $ A. 2,00).
Zofia Jordanowska, New York, N.Y. — zebrane wśród polskich uczestników „Opłatka", urządzonego 7. 12. 1980 w New Yorku przez Radę Kobiet Europejskich na Uchodźstwie — na Wolne Związki Zawodowe „Solidarność" — $ 102,00 F. 449,00
Jan Kaczanowski, Kolonia (RFN) — DM 60,00 ..... F. 138,25
J. i Z. Kamieńscy, Toronto — zamiast prezentów świątecznych na „Solidarność" — $ US 100,00 ..... F. 440,00
M. Lawina, Dubendorf (Szwajcaria) — na „Solidarność" — F.szw. 100,00 ..... F. 250,00
K.L., Lidingö (Szwecja), na „Solidarność" Gdańsk — K.S. 250,00 F. 250,00
Likasi (Zaïre) — na niezależne syndykaty F.2.073,93
Na żywność dla dzieci polskich robotników — zebrane od parafian polskiej parafii w Los Angeles — $ 210,00 .... F. 924,00
Anne-Marie Olsson, Löderup (Szwecja) — na „Solidarność" — K.S. 100,00 ..... F. 100,00
Polski Społeczny Komitet Pomocy w Sydney, N.S.W. — na Niezależny Zw. Zaw. „Solidarność" w Polsce (nadesłał przewodn. Komitetu p. Emil Niemiec-Polaczek) — $ 2.000,00 F.10.000,00

Post 152 SWAP w Parma, Ohio — na pomoc strajkującym — $ 270,00 ..... F.1.188,00
The Polonia Civic Centre, Centrala w Rochester, N.Y. (USA) — na „Solidarność" (nadesłał F. Banachowski) — $ 100,00 F. 440,00
Anna Winczakiewicz, Paryż — zamiast kwiatów na grób Haliny Wierzyńskiej ..... F. 100,00
Wpłaty za pośrednictwem *Wiadomości Polskich* w Sydney od: J. Grocholski — $ A. 45,00; T. Koncewicz — $ A. 25,00; S. Rak i K. Nowakowski — po $ A. 20,00; S. Brykiert — $ A. 10,00 i W. Spirewka — $ A. 3,00 — razem: $ A. 123,00 F. 615,00

WPŁATY NA KSS „KOR"

Anonimowo z Genewy ..... F. 550,00
Bezimiennie z Paryża — pamięci Romana Jurysia ..... F. 200,00
Bezimiennie z USA — dla uczczenia pamięci Stryja — $ 500,00 F.2.200,00
A. Czudec, Toronto, Ont. (Kanada) — $ c. 50,00 ..... F. 183,50
Czesław M. Foksowicz, Edmonton, Alta (Kanada) — $ c. 120,00 F. 432,00
Danuta i Henryk Hiżowie, Philadelphia (USA) — $ 200,00 .. F. 880,00
Ing. Władysław Holcman, Kopenhaga ..... F. 90,00
Piotr Kalinowski, Paryż ..... F. 100,00
Komitet dla Praw Ludzkich w Polsce, Madison, Wisc. (USA) — nadesłane Lidia Wojtowicz — $ 120,00 ..... F. 530,00
Kazimierz Mielewczyk, Oshawa, Ont. (Kanada) — $ c. 10,00 F. 36,00
Krzysztof Rachański (USA) — $ 10,00 ..... F. 44,00
Dr Adam Sułkowski, Sudbury, MA (USA) — $ 23,00 ..... F. 101,50
Syndicat des Professeurs de l'Université de Québec à Chicoutimi — $ c. 250,00 ..... F. 900,00

◆

Bezimiennie z Guelph (Kanada) — na pomoc dla strajkujących w Polsce za pośrednictwem KSS „KOR" — $ 200,00 .... F. 880,00

WPŁATY NA NOW-ą

A.T. (USA) — $ 110,50 ..... F. 486,00
K. L. Lidingo (Szwecja) — K.S. 250,00 ..... F. 250,00

WPŁATY NA TKN

Bezimiennie z Heidelbergu (RFN), po raz 5-ty — DM 100,00 F. 230,00
Bezimiennie z Winnipegu (Kanada) — $ US 50,00 ..... F. 220,00
Dr Richard Breyer, Marburg (RFN) — DM 100,00 ..... F. 230,00
Andrzej J. Chilecki, Kolonia (RFN) — 11-ta rata rocznego stypendium ufundowanego dla osoby wybranej przez TKN — DM 100,00 ..... F. 230,00
Dr J. M., Kolonia (RFN) — DM 100,00 ..... F. 230,00
P. G. E., Flensburg (RFN) — DM 50,00 ..... F. 115,00

◆

Bezimiennie z Winterthur (Szwajcaria) — dla p. Moczulskiej, celem racjonalnego odżywiania jej uwięzionego męża Leszka Moczulskiego ..... F. 600,00

◆

Komitet Pomocy Ofiarom Represji w PRL, Ottawa — na ROPCiO F. 367,65

◆

W redakcji *LISTÓW DO POLAKÓW* złożyli:

F. Drozd z Portland — $ 20,00; J. Łuczycki z Portland — $ 12,00; W Bukowski z Southington — $ 10,00; S. Hyjek i W. Musiał z Southington, W. Kejna z Hartford i T. Polczyk z Perth Amboy — po $ 5,00 — razem: $ 62,00
z czego: na KPN (grupa Moczulskiego) — $ 52,00 .... F. 228,00
na strajkujących robotników — $ 10,00 ..... F. 44,00

◆

Podajemy do wiadomości naszych Czytelników, że w roku 1980 otrzymaliśmy dary:

na *Fundusz Kultury*	F. 59.836,59
na pomoc dla Opozycji w Kraju ogółem:	F. 398.424,47
w czym na:	
pomoc dla Robotników	F. 186.833,40
KSS „KOR"	F. 61.459,85
ROPCiO (A. Czuma)	F. 21.264,80
KPN (L. Moczulski)	F. 14.924,45
TKN	F. 27.575,07
PPN	F. 5.776,50
NOW-a	F. 17.235,20
Różne instytucje, redakcje etc.	F. 63.355,20

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt Légal: 1er Trimestre 1981.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (3) 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		F. 115,00	F. 210,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	$A 4,50	$A 26,00	$A 48,00
AUSTRIA : Henryk Odianicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 190,00	F.B. 1100,00	F.B. 2000,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury"	$ US 5,00 F. 20,00	$ US 28,00 F. 115,00	$ US 52,00 F. 210,00
DANIA : O.T. ZALEWSKI, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryzu	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 10,50	Fl h. 60,00	Fl. h. 110,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tél. (514) 465-2362 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115 ; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	$ Can. 6,00 DM 10,00 F. 20,00	$ Can. 35,00 DM 60,00 F. 115,00	$ Can. 60,00 DM 100,00 F. 210,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1			
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss ...	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..			
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 20,00	K.S. 115,00	K.S. 210,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009, Tél. 475-8886. Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, wis. 53211 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland,, Ohio, 44145. Tél. 871-48-47 Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271 ; Krystyna Leser, 1725, 17-th Street, N.W., Washington D.C. 20009 ; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234 ; F. Orzechowski, Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103. POLONIA, Bookstore, 2886 Milwaukee Ave., Chicago, Il. 60618, tel. 312) 489-2554 ; E.I. Suszynski, 4923 Merrill St., Torrance, Cal. 90503, tel. (213) 540-2398 ; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Ksiegarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich. 48211 ; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Ca., 94306, telefon: (415) 327 - 5590 & 851 - 0748.	$ US 5,00	$ US 28,00	$ US 52,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27.. Tel. 75-67-241	F. 20,00	F. 115,00	F. 210,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 210; półroczna — F. 115.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,20.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 321 — JANINA KOWALSKA

POGRANICZE

Powieść o początkach polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii.

Str. 280. Cena F. 80,00.

◆

TOM 322 — ZOFIA ROMANOWICZOWA

SKRYTKI

Nowa powieść autorki
„Baśki i Barbary"
i innych książek, które zapewniły jej wysokie miejsce w literaturze emigracyjnej.

Str. 200. Cena F. 55,00.

◆

TOM 323 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘCDZIESIĄTY CZWARTY

Zawiera m.in. opracowania: J. Rakowskiego — *Zetowcy i Piłsudczycy* (1); E. Halicza — *Ksiądz Brzóska* (Hierarchia kościelna a Powstanie Styczniowe); J. R. Krzyżanowskiego — *Teatr AK w Sowietach;* St. Jerzmanowskiego — *W potrzasku;* Z. Żółtowskiej — *Polonia kujbyszewska;* J. Łobodowskiego — *„Tu mówi Madryt";* A. A. Świderskiego — *Gdański „Bratniak";* Z. Hładkiego — *Porucznik Zaćwilichowski;* bogate działy: POLEMIKI, RECENZJE, KRONIKA, UCRAINICA, OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 45,00.

◆

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180. Cena F. 50,00.

RICHARD S.A. - PARIS - 606.88.26

Cena 30 F